

Zapach magii

NORTON ANDRE



calibre 0.7.28

Andre Norton

Zapach magii

Przekład Ewa Witecka

Tytuł oryginalu Scent Of Magic

Dziękuję Rose Wolf, Ann Crispin, Mary Schaub, Eluki BesShahar, Lyn Mc Conchie, Mary Krueger i Caroline Fike

za poparcie, które tak wiele dla mnie znaczyło w ubiegłym roku

1

Wielki dzwon na głównej wieży strażniczej Kronengredu zaczął bic jak na trwogę. Nawet najbardziej pracowici uczeni nie pamiętali, od ilu lat tak było. Silny wibrujący dźwięk przeniknął wszystkie stłoczone obok siebie stare budowle. Docierał nawet do zamku znajdującego się na wzgórzu rywalizującym wysokością z dzwonnica. Chociaż mrok mijającej zimy nadal czaił się czarnymi plamami wokół alei i drzwi, dzwon wzywał teraz wszystkich solidnych obywateli - tych, którzy zapewniali Kronengredowi dostatek i bezpieczeństwo - aby wstali i powrócili do codziennych zajęć. Jego Wysokość książę Kronengredu mógł wsunąć się głębiej pod koldre na swoim wielkim łożu, ale w małej spizarce (na pewno nie można było zaszczyścić jej mianem "pokoju") przylegającej do ogromnej kuchni Karczmy Wedrowców, Willadene usiadła z westchnieniem: przy każdym ruchu zbutwiałe zdzbia słomy jak zwykle drapały ją poprzez wystrzępiony siennik.

Po przebudzeniu zawsze robiła to samo. Zanim sięgnęła po długą koszulę, jej ręce wedrowały do małego woreczka, ogrzanego przez jej małe piersi, i podnosiły go do udrezonego nosa. Głęboko wciągała w nozdrza won pokruszonych przypraw i ziół, które rozjaśniały jej w głowie. Tym razem tępy ból po długiej służbie ostatniej nocy w szynku nie ustąpił.

Teraz ubrała się pośpiesznie, wkładając odzienie przerobione po znacznie większej osobie, tak znoszone, że miało jednolitą brudnoszara barwę. Zapachy - każdego ranka musiała się mobilizować, by wytrzymać ohydne wonie. Była pewna, że czasami nawiedzały ją w snach jako nocne koszmary. Ta kuchnia to nie ogród kwiatowy stworzony dla umiłania życia corce jakiegoś wielmoży. Właśnie wsuwała gładkie włosy pod chustkę, kiedy usłyszała szczek rondli stawianych na długim stole. Zadrzała z niepokoju. Tylko ciotka Jacoba ma odwagę używać tych naczyń jak popadnie, a sadzać po odgłosach, tego ranka ponosi ją jej krewki temperament i musi się na kims wyładować.

-Willa, chodź tu, ty leniwa fladro! - Chrapliwy głos, którego brzmienie przypominało czyszczenie zapuszczonego kotła, podniósł się po kolejnym szczeknięciu garnka. Pewnie ciotka Jacoba popchnęła wielki kociol do owsianki z takim rozmachem, że odbił się od poczerniałych od dymu kamieni wielkiego ogniska.

Willadene (czasami zapominała, że niegdys tak ją nazywano - upłynęło bowiem wiele lat, odkąd straszliwa zaraza zdziesiątkowała mieszkańców miasta, a kuzynka jej ojca - na rozkaz siedziącego grodzkiego - niechętnie przyjechała na pomywaczkę czy raczej na popychadło) pobiegnęła do kuchni.

Na szczęście miała się na baczności i dlatego uchyliła się przed wielkim, ciężkim kuflem; gdyby w nią trafił, mogłaby stracić przytomność. Powitanie Jacoby nie należało do przyjemnych, kiedy była w tak złym humorze. Willadene szybko sięgnęła na dół kawał słoniny. Ze wszystkich sił musiała się bronić przed mdlącym smrodem, gdyż mięso tutaj nigdy nie było dobrej jakości: zawsze przetrzymywano je zbyt długo. Jacoba załowała każdego pensa, jeśli chodziło o pożywienie dla większości klientów jedzących wczesnym rankiem. Może byli tak senni, że polykali je na wpol śpiąc.

Jacobę znowu zaczęła mieszać w wielkim kotle z owsianką, którą zawiesiła nad ogniem minionej nocy, żeby jego zawartość powoli się gotowała. Obsługujący klientów chłopak imieniem Figis z niedomytą twarzą ze szczękiem ustawiał miski na tacy. Nie podniósł wzroku, ale Willadene zauważyła, że ma podbite oko. Było to świadectwo nigdy nie kończącego się konfliktu między Figisem a stajennym Jorgiem.

Willadene zabrała się do krojenia słoniny nożem, który Figis powinien był wczoraj naostrzyć. Nie pokroiła słoniny na gładkie paski, lecz na postrzępione kawalki, które zamierzała włożyć do rondla o trzech nożkach i długiej rączce. Uklekała więc w popiele i przysunęła ciężki garnek na tyle blisko ognia, aby jego zawartość zaczęła się smażyć.

Z całej duszy pragnęła wyjąć swój woreczek z ziołami i użyć go do ochrony przed ostrym odorem skrecającego się mięsa. Jednak zgarbiła się i cierpiała w milczeniu, bojąc się zwrócić na siebie uwagę Jacoby.

Ta duża kobieta kroila wczorajszy czarny chleb - teraz twardy, prawie jak kamień. Talerze już czekały na smażoną słoninę i ser. Wikt ten może był trzeciej lub nawet czwartej kategorii, za to Jacoba nie skąpiła jedzenia.

Później kucharka odwróciła się, by nalać ochłody owsianki do pięciu misek. Willadene skuliła się przy ognisku.

Jak dotąd, szczęście jej nie dopisywało. Wyche został na noc. Kiedy wymknęła się chyłkiem - dwie ostatnie świece właśnie się dopalały - Wyche nadal tkwił w szynku: jego olbrzymie cielsko wylewało się z jednego wielkiego krzesła, jakie posiadała karczma. Zapach najmocniejszego zaprawionego korzeniami jablecznika nie mógł ukryć smrodu bijącego od Wyche'a. Nie był to tylko odor niemytego ciała i brudnego odzienia, ale jeszcze czegoś, co dziewczyna wyczuwała, lecz czego nie umiała nazwać - choć od czasu do czasu karczma gościła i innych klientów wydzielających taką samą nieprzyjemną won. Przeważnie były to typy spod ciemnej gwiazdy. Musi zapytać Halwice...

-Kiedy to spalisz, dopiero poczujesz, jak ogień parzy! Willadene szybko cofnęła rondel, którego trzy nozki zgrzytnęły na kamieniach ogniska. Owinęła szmatą reke najciasniej, jak mogła, by chronić ją przed zarem rozgrzanego naczynia. A mimo to rączka nadal ją parzyła, gdy podeszła do stołu, usiłując utrzymać ciężki rondel w pozycji poziomej. Jacoba długo przyglądała się smażonej słoninie.

Wreszcie ułożyła przyrumienione kawałki na pokrojonym chlebie, starając się dzielić sprawiedliwie. Podwoiła tylko ostatnią porcję. To oczywiście dla Wyche'a. Willadene przechyliła ostrożnie rondel i nalala trochę syczącego tłuszczu na każdą kromkę.

W międzyczasie Figis zdążył już odejść z tacy pełna misek i z garnkiem miodu do posłodzenia ich niesmacznej zawartości. Teraz wrócił po resztę posiłku.

-Ten kupiec z Bresty - rzekł, przezornie trzymając się z dala od Jacoby - oświadczył, że znalazł karalucha w swojej misce. Spojrz... - Figis postawił miske na stole kuchennym; wyraźnie widac w niej było czarnego owada. - Dodaj też, że zamierza porozmawiać z tutejszym sędzią o miesie, którego nie zamówił... - Chłopiec zachichotał i z łatwością uchylił się przed pieścią Jacoby. Chwycił drugą z chlebem, miesem i dużą gomołką sera i odszedł, zanim kucharka zdolała okrzyk stol.

Figis postąpił nierozsądnie, pomyślała Willadene. Jacoba jest bardzo pamiętliwa. Wcześniej czy później chłopak zapłaci za swoje zachowanie. Choć jego ostrzeżenie może być prawdziwe - jeszcze kilka skarg do sędziego i Jacoba wpadnie w tarapaty.

W rzeczy samej Willadene od początku służby w kuchni zajazdu zastanawiała się, dlaczego Jacobie tak długo udaje się uniknąć reprimendy za brud i podejrzaną jakość potrawy.

Teoretycznie Karczma Wędrowców jest własnością Jacoby, ale w rzeczywistości każdy budynek w Kronengredzie należy do księcia, choć ta sama rodzina może w nim mieszkać przez wiele pokoleń. Książę bez wątpienia ma na głowie ważniejsze sprawy niż zaniedbania i porywczyste usposobienie jakiegokolwiek karczmarza.

Minęło pięć lat od zarazy morowej, która otworzyła Uttobricowi drogę do władzy nad Kronenem. Przedtem był mało znanym, dalekim krewnym rodziny książęcej, lecz zrzadzeniem losu jako jedyny mężczyzna z tego rodu uniknął okropnej śmierci w meczarniach. Złoty jednak ktoś, kto był znacznie bliżej tronu - pani Saylana, córka ostatniego księcia. Straszliwa zaraza zabrała także jej małżonka, ale Saylana miała syna; na swoje szczęście znajdował się on z dala od miasta, gdy zaatakowała ją śmiertelna choroba. Wśród wielmożów nie brakowało takich, którzy znacząco unosili brwi lub nawet osmielili się szeptać po kryjomu, kiedy w rozmowie wymieniano jego imię. Uttobric miał więc rywala - lub kogos, kto mógł się nim stać - choć kronenskie prawo sukcesji nie uległo zmianie i tron należał do niego.

-Idź do szynku, flejtuchu! - warknęła Jacoba. - Wyche chce przepluć sobie gardło. Pewnie przyciągasz klientów... Hmm... - W głosie Jacoby zabrzmiała nuta, która powstrzymała Willadene od natychmiastowego wykonania rozkazu.

-Brakuje ci tylko dwadzieścia jeden dni do chwili, gdy sędzia ogłosi ci dorosłą kobietą, choć jesteś głupia i chuda jak szczapa. Wyrzucasz dobre jedzenie i mówisz, że doprowadza cię do mdłości. Mdłości! Probujesz okłamać lepszych od siebie, bo jesteś okropnie uparta. Nie odznaczasz się urodą... Ale jesteś młoda i możesz lepiej trafić. Spodobał się Wyche'owi, dziewczyno. Nie obrzucaj go złymi spojrzeniami. Jako twoja opiekunka z woli sędziego mam prawo wybrać mężczyznę, który zdejmie mi cię z karku. Wyche musi być niespełna rozumu, skoro ciebie pragnie. Idź teraz do izby i, jak powiedziałam, bądź dla niego miła. Ciesz się, że dostaniesz mężczyznę z pełnym trzosem - ofiarował przecież dostatecznie wysoką opłatę ślubną. Z jakiegokolwiek powodu ta przemowa wprowadziła karczmarza w dobry humor. A na zakończenie Jacoba ryknęła głośnym śmiechem. Willadene doskonale zdawała sobie sprawę, że z jej twarzy można wyraźnie wyczytać obledne przerażenie, jakie budził w niej taki los.

Halwice - gdyby tylko udało się jej dotrzeć do Halwice! Wiedziała, iż nie może mieć żadnej pewności, że zielarka choćby tylko wysłucha jej prośby. Z tęsknotą pomyślała o tamtym spokojnym sklepie i o wszystkim, co los zdawał się jej obiecywać, odkąd po raz pierwszy tam trafiła. Gdyby tak mogła służyć jako kucharka u Halwice, czułaby się jak w niebie. Przecież umie

gotowac i robi to dobrze, kiedy ma po temu okazje. Ale od doroslosci i mozliwosci wyboru dzieli ja dwadziescia jeden dni. Na razie Wyche czeka, Jacoba zas zbliza sie do niej z podniesiona wielka piescia. Willadene odeszla, przyciskajac do piersi rece, jakby slaby zapach nadal bijacy od jej woreczka z ziolami mogli ja uchronic przed straszną przyszloscia.

Przemknela obok wielkich drzwi z zamiarem dotarcia do polki obok juz odszpuntowanej beczki, zeby jak najszybciej napelnic dzbanek. Zerknela szybko za siebie i zobaczyla, ze wielkie krzeslo jest puste. Nieco przestraszona spojrzala jeszcze raz - miala nadzieje, iz Wyche juz sobie poszedl.

Ale to jego szerokie plecy zaslanialy najwieksze okno w szynku, nie dopuszczajac swiatla do tych, ktorzy znajdowali sie za nim. Bylo ich czterech - wszyscy ubrani w noszone zazwyczaj przez obcych kupcow, sfatygowane podrozne stroje ze skory i grubych tkanin. Nosili odznaki swego zawodu, co znaczylo, ze sa legalnie zarejestrowanymi podroznymi, chronionymi przez tradycje przed wszelkimi kłopotami na terenie Kronenu - oczywiscie nie przed tymi mieszkancami ksiestwa, ktorzy stali poza prawem.

Najstarszy z tej czwórki dziobal noszonym zwykle u pasa specjalnym nozem na poly zweglona slonine; na jego twarzy wyraznie malowal sie niesmak. Mial na sobie schludna odziez, a krotkie, krecone siwe wlosy wystawaly mu spod czapki w ksztalcie miski. Na prawej rece polyskiwal pierscien i widac bylo, ze kupiec jest zamożnym czlowiekiem. Odepchnal od siebie kawalek polanego tluszczem chleba i wydal gardlowy dzwiek, który zwrocil na niego uwage towarzyszy. Najmlodszy z nich mial taki sam szeroki nos nad wyjatkowo malymi ustami. Rysami twarzy przypominal starszego kupca do tego stopnia, ze mogli byc ojcem i synem. Dwaj pozostali wygladali na nizszych ranga w swojej gildii.

-Coraz mniej jest strazy drogowej - w glosie starszego mezczyzny zadzwieczal gniew. - Kiedy jechalismy tu z zachodnich wzgorz, spotkalismy chyba z pol kompanii uzbrojonych straznikow. Sprawiali wrazenie, jakby opuszczali swoje posterunki. Powiadam wam, ze ten, kto wydaje takie rozkazy, oddaje nas w rece rozbojnikow jak gesi handlarzowi drobiu!

Siedzacy po obu stronach mowiacego mezczyzny milczaco przytakneli. Najmlodszy jednak popatrzył na dowodce i leciutko pokrecil glowa, jakby probowal zaprzeczyc.

-Interesy wielmozow - zauwazyl jeden z pozostalych - zawsze przewazaly nad naszymi. Pamietajcie, ze istnieje wiele zagrozen. Nigdy dotad Kronenczycy nie walczyli miedzy soba. Tym niemniej ... - zawiesil glos i wzruszyl ramionami.

Dzbanek w dloniach Willadene byl juz pelen po brzegi, ale wzdragala sie przed podejsciem do zwalistego mezczyzny przy oknie, czujac buchajacy od niego smrod. Poniewaz Wyche nie zmienil pozycji, uznala, ze calkowicie pochlania go to, co widzi poprzez nierowne szybki najwiekszego okna z zastyglymi wewnatrz babelkami powietrza. Zbierala w sobie odwage, aby podejsc do stojacego pod sciana stolika, który znajdowal sie niemal w zasiegu jego reki, napelnic kufle i wymknac sie, zanim Wyche ja zauwazy.

Los znow ja zawiodl. Wyche wzruszyl ramionami i odwrocil glowe. Malenkie ciemne oczka w jego tlustej obrzmialej twarzy wygladaly jak para rodzynek. Usta mezczyzny wykrzywil grymas, który musial uwazac za powitamy usmiech.

-Moj brzuch chce czegos dobrego, dziewczko! - Odwrocil sie od okna i wyciagnal ku Willadene wlochata lape. Dziewczyna szybko podala mu kufel. Kiedy jednak Wyche podniosl naczynie do ust i lykal jego zawartosc, rozmyslnie oparl druga dlon o sciane, odcinajac Willadene droge ucieczki. Sciagnal grube wargi i postawil kufel na stoliku, jednoczesnie mierzac przestraszona dziewczynne taksujacym spojrzeniem od stop do glowy i z powrotem.

Smrod, ktorego nigdy nie umiala zidentyfikowac, stal sie tak silny, ze Willadene chwycily mdlosci.

-Chuda jestes - zauwazyl Wyche - ale mloda, i Jacoba przysiega ze nadal pozostajesz dziewczica. Juz dlugo nie przetrwasz w tym stanie.

Willadene przycisnela sie do sciany, odruchowo szukajac rekami amuletu, lecz zanim go znalazla, ogromna geba Wyche'a zblizyla sie do jej twarzy. Dostala gesiej skorki od szorstkiego dotkniecia jego ust. - Tak, mysle, ze sie nadasz. Zadne mlkosy nie beda sie tu krecily i gapily na kogos takiego jak ty. Jacoba twierdzi, ze umiesz gotowac, a kazdy mezczyzna pragnie suto zastawionego stolu i kobiety ogrzewajacej mu loze. Jestes plochliva jak jagnie urodzone na wiosne. - Czubkiem jezyka oblizal grube wargi, ktore - czula to! - zostawily cos w rodzaju piany na jej skorze. - Lubie takie, oswojenie ich nie trwa dlugo...

Willadene nie wiedziala, co jeszcze strasznego zamierzal dodac. Zrobilo sie jej niedobrze juz od tego, co uslyszala. Ale Wyche przestal sie jej przygladac. Po omacku siegnela do drzwi na lewo, prowadzacych na dwor. Czy ma jakis wybor? Ucieczka bez opiekuna to szalenstwo. Moga ja nazwac wloczega i wypedzic z Kronengredu, chociaz byla pewna, ze Jacoba dobrowolnie nie zrezygnuje z oplaty slubnej. Uslyszala srebrzysty dzwiek dzwoneczka, do karczmy weszly dwie kobiety w oponczach, z zaslonietymi twarzami. Odziana w brazowy plaszcz dziewczyna o dziecinny wygladzie szla tuz

za nimi, dzwigając duży koszyk już tak pełny, że ugięła się pod jego ciężarem.

-Pokarm dla głodnych, jak głosi drugie przykazanie. Kobieta, która pierwsza przeszła przez próg, znów zadzwoniła dzwoneczkiem. Identyczny dzwonek jej towarzyszki odpowiedział jak echo.

Krzęśla zgrzytnęły na kamiennej podłodze, gdy czterej kupcy wstali i złożyli głęboki ukłon. Ich przywódca podszedł do nowo przybyłych, grzebiąc rekawem trzosie. Willadene dostrzegła błysk srebrnej monety.

-Wasza Wielka Pani była dla mnie łaskawa.

Jedna z kapłanek Jasnej Gwiazdy wysunęła spod oponczy dużą sakiewkę, do której wrzucił swoją ofiarę, a jego towarzysze szybko poszli w ślady swego zwierzchnika.

-O co mamy się modlić dla ciebie? - spytała pierwsza siostra. Twarz miała tak osłonięta welonem, że trudno było dostrzec jej rysy.

-O bezpieczna podróż - dla mnie, Jaskara z Bresty, i tu obecnych moich towarzyszy. W naszych czasach takie modły są bardzo potrzebne, siostró.

-Zło zawsze czyha poza zasięgiem światła - odparła kapłanka w chwili, gdy Jacoba weszła do głównej izby.

-Co się dzieje...? - zaczęła karczmarka i urwała, gdy zobaczyła kapłanki. - Ty - zwróciła się do Willadene - sprzątnij ze stołu, jeśli goście już skończyli posiłek.

Willadene z wdzięcznością przeszła na drugą stronę izby, jak najdalej od Wyche'a. Towarzyszając kapłankom dziewczyna postawiła koszyk na ławie i Willadene pośpiesznie włożyła do niego polane tłuszczem kromki chleba. Sądząc po zawartości kobiałki, siostrzom zebrzącym w okolicznych zajazdach i w domach wielmożów powiodło się tego ranka.

-Oby los ci sprzyjał, dobra kobieto - powiedziała pierwsza siostra. Kiedy miała służką usiłowała podnieść koszyk, omal go nie upuściła i nie rozsypała jego zawartości.

-Wielkiej Pani na pewno się spodoba, jeśli pozwolisz, by twoja służka nam pomogła. Musimy udać się jeszcze tylko do jednego miejsca z prośbą o jałmużnę i dziewczyna szybko tu wróci.

Willadene świetnie zdawała sobie sprawę, że rozgniewana Jacoba chciała odpowiedzieć na te prośby negatywnie. Nikt jednak nie odmawiał kapłance Jasnej Gwiazdy, gdyż wszyscy wiedzieli, że Wielka Pani rządzi samym losem.

-Wracaj jak najprędzej, dziewczko - zagroziła karczmarka. - Proznawaliśmy niemal do drugiego dzwonu i nic nie zrobiliśmy.

Willadene chętnie chwyciła rączkę koszyka z drugiej strony. Kobiałka zakolysała się, kiedy pomywaczka Jacoby wyszła z wielkiej izby razem ze służebnicą kapłanek. O dziwo, Wyche znów podszedł do okna, jakby chciał odprowadzić je spojrzeniem.

Willadene dyszała szybko. Tak jak zło ma własne zapachy, tak są też wonie towarzyszące dobru. Wielokrotnie wdychała je w sklepie Halwice. Poczula zapach kwiatów - zwykły powiew - kiedy niosąc koszyk wraz ze służką siostrz z klasztoru Gwiazdy, wychodziła z karczmy.

Wyche znów je obserwował. Willadene domyślała się, do jakiego domu kierują się siostry - miejscowy sędzia grodzki mieszkał trzy domy dalej. Wszyscy wiedzieli, że jego żona jest pobożna i szczodra. Willadene pomyślała, że może przejść na drugą stronę ulicy obok kamienicy sędziego i - choć zbliżał się czas drugiego dzwonu, wzywającego wszystkich stołecznych kupców do pracy - niepostrzeżenie dotrzeć do sklepu zielarki.

Nie wiedziała, co się stanie. W przeszłości Halwice była dla niej dobra i uczyła ją od czasu, gdy raz w miesiącu Jacoba zaczęła ją posyłać po niewielkie ilości przypraw, które miały ukryć smród nieswieżego mięsa.

Willadene posłusznie szła za zebrzącymi siostrami, równając krok z dziewczyną, z którą dzwigała ciężki koszyk. Służka spojrzała na nią tylko raz, gdyż wedle nakazów Jasnej Gwiazdy miała zawsze patrzeć tylko w ziemię i nie rozglądać się na boki na doczesny świat.

Skreśliły na rogu ulicy, by zgodnie ze zwyczajem podejść do kuchennych drzwi domu sędziego. Kiedy Willadene usłyszała srebrzysty dźwięk dzwonek, napięła wszystkie mięśnie. W chwili gdy drzwi się otworzyły i zabrzmiały powitalne słowa, spojrzała na swoją towarzyszkę.

Nie było czasu na wyjaśnienia - po prostu musi odejść! Puscila raczke kobialki tak nagle, ze druga dziewczyna musiala oprzec sie o sciane domu, aby nie upasc, i szybko pobiegla.

Myslala, ze uslyszy za soba wolanie i zdumiala sie, gdy sie nie rozleglo. Moze Najswietsza i Najjasniejsza Gwiazda rozpostarla swoj swiecacy plaszcz miedzy mieszkancami domu a uciekiniarka...

Musi skrecic w lewo - tak, widziala wielki dom Maningerow. Dwie ulice dalej i za zakretem jest sklep Halwice. Nigdy nie szla tam ta droga, ale byla pewna, ze nie zabladzi.

Owional ja poranny chlod i zmrozil palce stop odsloniete w domowych sandalach. Willadene dyszala ciezko; dostrzegala kazde oswietlone okno, kazdy ruch na ulicy. Starala sie biec wolniej, isc normalnym krokiem, ale po chwili znow przyspieszala. Nie mogla sobie teraz przypomniec, kiedy odkryla to schronienie. Na pewno w mglistoscie zapamietanych dniach sprzed zarazy morowej, gdyz zna zielarke od bardzo dawna.

Halwice zasiadala w Radzie Gildii. Znacznie lepiej znala wlasciwosci swoich ziol niz wielu lekarzy, ktorzy przybywali, kroczac dumnie, na wezwanie chorego. Wtedy ich pieknie skrojone szaty z oznaka zawodu i zdobionymi brzegami rozwiewaly sie, a z szerokich kapeluszy zwisaly maski, jakich uzywali, kiedy musieli wejsc do skazonego zaraza pomieszczenia. Czasami byli tak dumni ze swojej profesji, ze - w wiekszosci przypadkow - graniczyla to z arogancja. A przeciez ci "mistrzowie uzdrawiania" musieli wlasnie do Halwice slac szybko poslancow po mieszanke ziolowe.

Lecznicze ziola - choc Willadene wiedziala, jak wielka wage przywiazuje do nich Halwice - nie byly jedynym towarem sprzedawanym w jej sklepie, gdzie won przypraw rywalizowala z aromatami pachnidel i ostrymi zapachami olejkow. Same te wonie rowniez zaslugiwaly na uwage.

Willadene potarla kciukiem nos. Juz niemal wyczuwala uczte zapachow, ktora na nia czeka. Zawsze stala dluga chwile lub dwie w drzwiach sklepu Halwice, wciagajac w pluca ta wonna mieszanke. Miala wtedy wrazenie, ze kapie sie w najswiezszy wiosennym powietrzu, w najmocniejszych woniach lata i zapachach jesieni. Czula, ze przenikaja przez jej spocona skore i zlepione potem wlosy - uwalniajac ja spod wladzy Jacoby, nasuwajac nowe myśli i odswiezajac dobre wspomnienia.

Willadene bowiem "miala nos". Wprawdzie kazdy osobnik jej gatunku posiada ten narzad, ale niewielu los obdarzyl takim przywilejem jak ja - zdolnoscia rozpoznawania i nazywania najsubtelniejszych zapachow. Krztusila sie i dostawala mdlosci od ohydnych odorow przesycajacych kuchnie Jacoby, natomiast wonie zrecznie przyrzedzonego kremu, paczuszki suszonych lisci i platkow, i plynow tak cennych, ze dozowano je po kropelce z malych szklanych fiolek, dawaly jej poczucie wolnosc i sprawialy przyjemnosc.

Pamietala, jak Halwice po raz pierwszy testowala jej wech - trzymala sloiczek z kremem, od ktorego bila wilgotna, rozkoszna won, bogata jak skarb ze szkatulki na klejnoty. I Willadene z duza pewnoscia siebie zidentyfikowala kazdy skladnik tego smarowidla - miarke tego i owego.

Ksiazecy dworzanie i dworki dobrze placili za produkty wybrane sposrod buteleczek i sloiczkow Halwice. Wprawdzie Jacoba posylala Willadene tylko po najtansze i najpospolitsze przyprawy, ale dziewczyna pozostawala w sklepie tak dlugo, jak sie odwazyla. Chlonela won jakichs wlasnie destylowanych perfum, sluchala wyjasnien Halwice i patrzyla tesknie na szeregi fiolek i buteleczek oraz na rzedy waskich szufladek, z ktorych kazda byla podzielona na przegrodki i wypelniona sproszkowanymi liscmi, platkami i skrawkami suszonej skorki owocow. Dziewczyna przypomniala sobie nawet prawie zapomniana umiejetnosc czytania, przygladajac sie symbolom wypisanym na kazdym naczyniu.

Gdyby Jacoba tylko zechciala... Frustracja wywolana koniecznoscia pelnienia posluga nigdy nie opuszczala dziewczyny, niczym przewlekly bol. Juz od dwoch lat Halwice regularnie skladala propozycje odkupienia Willadene. Karczmarka zawsze jednak odpowiadala zlosliwie, ze sedzia grodzki oficjalnie wlasnie jej przyznal pomywaczke sposrod dzieci osieroconych przez straszliwa zaraze i ze jako krewna zaakceptowala wyznaczona zaplate za wziecie takiej niezrecznej pomocnicy.

Willadene nigdy nie mogla zrozumiec, dlaczego Jacoba chce zatrzymac pomywaczke, ktora zawsze zaslujuje na kare i jest tak chorowita jak urodzone w zimie jagnie. Wiadomo, ze Halwice musialaby drogo za nia zaplacic, ale przeciez zawsze chciala pokryc te koszty. Czy chodzilo o to, co uslyszala dzisiaj, ze Jacoba liczy na oplate slubna za Willadene?

Dziewczyna myslala czasami, ze kucharka nie chce jej odstapic z czystej zlosliwosci, Jacoba bowiem lubila dreczyc ludzi. Willadene przypuszczala, ze karczmarka posyla ja po drobne zakupy do sklepu zielarki tylko po to, aby zadawac jej cierpienia.

Wszystko jednak ma swoj kres. Za dwadziescia jeden dni bedzie dorosla i Jacoba nie zdola jej zatrzymac wbrew jej woli. A wtedy... Jeszcze nie osmielila sie zaproponowac Halwice, zeby ja zatrudnila. Nie oczekiwala nawet, ze zostanie uznana

za pełnoprawna uczennice. Pragnęła tylko pracować w sklepie przez cały czas, a jedyną zapłatę stanowiłaby sama możliwość przebywania w nim i nauki - jeżeli Halwice uzna ją za godną tego wysiłku.

Zielarka miała spokojne i pogodne usposobienie, nie przyjaźniła się jednak z żadną ze swych sąsiadek. Była miła dla wszystkich, lecz nie lubiła plotkować. Przez większość czasu milczała, jak gdyby jej myśli zajmowały ją bardziej niż klienci. A przecież gotowa była służyć wszystkim, wysłuchiwała skarg chorych, mieszała kordiały i balsamy, które tak dobrze działały, że wszyscy Kronenczycy znali ich wartość.

Halwice z pewnością nie pochodziła ze szlacheckiego rodu. Jednakże choć ubierała się i zachowywała skromnie, wielokrotnie, jak Willadene widziała na własne oczy, zmusiła do okazania szacunku niejedną drażliwą lub zadzierającą nosa panią domu. Miała do czynienia zarówno z dworzanami, jak i z kramarzami, i traktowała ich wszystkich równie uprzejmie.

Willadene drgnęła, gdy usłyszała bicie drugiego dzwonu, ogłaszającego początek dnia pracy. Wymknęła się z bocznej alejki i pospieszyła w dół ulicy. Słyszała coraz głośniejszy stukot i szczeł, gdy kupcy otwierali swoje sklepy, witając się głośno.

Sklep Halwice znajdował się na parterze dwupiętrowego budynku. Podczas gdy sąsiednie kamienice obwieszane były chorągwiemi zachwalającymi ten lub inny towar ewentualnym nabywcom, okna jej sklepu zdobiły skrzynki - jedne z zielonymi, podobnymi do koronki paprociami, drugie mieniące się różnobarwnymi kwiatami; Nawet na dachu znajdowały się polki z tacami, na których rosły różne rośliny, a tylne drzwi wychodziły na splachetek dobrze nawiezionej i uprawionej ziemi. Wydawała ona znacznie zdrowsze plony i można by się spodziewać w samym sercu miasta.

Willadene zwolniła kroku. Jacoba może się domyslić, dokąd udała się jej pomywaczka. I niewykluczone, iż już doniosła do biura sędziego, że oddana pod jej opiekę dziewczyna waleś się bez zezwolenia. Czy złośliwa karczmarka mogłaby narobić kłopotów Halwice?

Zaluzje sklepu zielarki nadal były opuszczone i nic nie wskazywało na to, że jego właścicielka rozpoczyna nowy dzień pracy. Willadene nagle przystanęła. Ten zapach... Zły zapach oznaczał tarapaty.

Podbiegła do wejścia. Skobel był podniesiony - dlaczego więc zaluzje pozostały zamknięte? Dziewczyna ostrożnie zbliżyła rękę do drzwi. Wyczuła, że coś jest nie w porządku - wysiłkiem woli stłumiła mdłości.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, popchnęła drzwi, które otwarły się powoli. Powietrze przesycali wszystkie te zapachy, które tak lubiła - rozróżniła jednak wśród nich coś złego i niebezpiecznego, czego nie umiała nazwać... Halwice?

W sklepie z zamkniętymi zaluzjami panował półmrok. Widziała jedynie ciemne zarysy lady i polek. Weszła do środka ostrożnie, jakby była pewna, że ktoś zastawił tam pułapkę.

2

Pierwsze dźwięki wielkiego dzwonu nie obudziły mężczyzny. Kiedy już otworzył oczy i wygrzebał się z pościeli, podszedł do okna, rozsunał ciężkie kotary i wyjrzał na szare o brzasku miasto w dole. Uttobric z Kronenu nigdy nie był imponującą postacią, nawet wtedy, gdy miał na sobie ceremonialne szaty. Tym bardziej teraz, gdy zagryzł dolną wargę, pochłonięty myślami, które nie daly mu spać minionej nocy. Przetykane siwizną kasztanowatą włosy księcia stały deba nad jego wąską twarzą poraną zmarszczkami; dwie bruzdy biegiły po bokach jego cienkich ust, a pozostałe zlobiły czoło. Wbił krótkowzroczne oczy w mrok, gdzie nieliczne mrugające światełka zapowiadały nadejście nowego dnia...

Oczywiście Uttobrica, jak każdego człowieka, martwiła śmierć ludzi zabitych przez zarazę, na pewno jednak nie był odpowiedzialny za to, że pozostał jedynym mężczyzną z linii panującej. Teraz mógł sobie powiedzieć w duchu, że zarówno obawiał się swego poprzednika na tronie, jak i zazdrościł mu z całego serca. Wubric miał te wszystkie cechy, którymi on sam nigdy nie mógł się pochwalić - był władcą tak pewnym siebie, że potrafił poświęcić uwagę innym sprawom.

Uttobric nie musiał odwracać głowy i patrzeć na stół, gdzie szybko wypalały się dwie świece, żeby przypomnieć sobie, co tam leży: raporty - i to stanowczo za dużo... Wszyscy oni rozszarpaliby go na kawałki, gdyby mogli.

Komu może zaufać? Czasami nawet podejrzewał Vazulę - chociaż kanclerz, w razie upadku Uttobrica, na pewno utraciłby stanowisko, ponieważ nie pochodził ze starej arystokracji, tylko z kupieckiej rodziny. Vazul był bardzo inteligentnym i przebiegłym człowiekiem, pozornie bezgranicznie oddanym księciu.

To Vazul minionej nocy wysunął propozycję, która początkowo zaszokowała Uttobrica. Księżę nadal uważał swoją córkę za małe dziecko, które bawiło się z garstką starannie dobranych towarzyszek i do niczego nie było mu potrzebne z powodu swojej płci. Ale na co zwrócił mu uwagę Vazul? Ze właśnie plec księżniczki może teraz okazać się użyteczna.

Uttobric puscil zaslone i podreptal z powrotem do swojego wysokiego loza. Podniosl swiecznik z nie zapalona swieca i lezaca obok niego na polce miniature. Pozniej zapalil swiece od gasnacego ogarka, opadl na stojace w poblizu krzeslo i zblizyl do oczu portret swojej corki.

W glebi duszy wierzył, że portrecisci zawsze pochlebiali swoim klientom; dla nich to przeciez tylko dobry interes. Vazul jednak zapewnil go - i bylo to prawda - że Mahart odziedziczyla wiele cech jego zony z wygaslego juz rodu. Widzial teraz miekkie, kasztanowate loki, lekko trojkatna twarzyczke z nieco wystajacym podbrodkiem. Usta ponad nim byly ksztaltne, wygięte w lekkim uśmiechu.

Delikatne luki brwi i geste rzesy ocienialy duze oczy o niespotykanej zielonej barwie. Tak, to nie jest juz twarz dziecka i musial przyznac, że jesli artysta nie upiekszył portretu, ksiezniczke Mahart mozna nazwac urodziwa.

Piekno moze zauroczyc, ale kazdy mezczyzna dostatecznie bystry, by zaoferowac to, czego on, Uttobric, akurat potrzebuje, zazada czegos wiecej niz slicznej twarzyczki i zalotow niedojrzalej panny. I ksiaze Kronenu powinien mu to dac. Posag...

Uttobric rzucil miniature na stol miedzy papiery. Nizsze oplaty portowe? To zbyt malo. Nie, bedzie musial dac jasno do zrozumienia, że w dniu slubu oglosi pana mlodego swoim nastepca.

Niski mezczyzna siedzacy w krzesle o wysokim oparciu westchnal. Czy jest w stanie to zrobic? Los poblogoslwil krola Hawknera zbyt wieloma synami, to prawda. Moze zechce wywianowac w ten sposob, powiedzmy, trzeciego lub czwartego, a Kronengred to lakomy kasek. Po wejsci u w te koligacje z wladca sasiedniego panstwa bedzie mozna bezpiecznie przeprowadzic niezbedne zmiany. Armia Hawknera bowiem proznuje, a proznujacym zolnierzom koniecznie trzeba znalezc jakies zajecie, zeby nie rozejrzeli sie po otoczeniu i nie podjeli niewygodnych dla krolestwa decyzji.

Uttobric spiorunowal spojzeniem chwiejny stos dokumentow. Oczywiscie wiedzial, że ogolaca zachodnia granice ksiestwa i jego gorzyste terytorium z wycwiczonych zolnierz y. Przez caly czas kupcy skarzyli sie coraz glosniej. Niech wiec ktorys z krolewiczow przyprowadzi ze soba dostatecznie duzo swoich gwardzistow i w ten sposob bedzie mozna poprawic te niebezpieczna sytuacje.

Gdyby tylko... ksiaze znow zagryzl wargi. Gdyby tylko mieli dosc czasu! Saylana... Wykrzywil teraz usta, jakby chcial splunac. Jej zwolennicy... Nawet doskonale wyszkoleni szpiedzy Vazula nie mogli dostatecznie gleboko przeniknac w szeregi jej popiecznikow, by dowiedziec sie na pewno, kto ja poprze, gdy dojdzie do otwartej konfrontacji. Saylana, corka Wubrica, ktorej prawo nie pozwalalo na objecie tronu, miala syna, Barbrica - i to dla niego knula wszystkie spiski.

Jesli Mahart poslubi krolewicza, ktory w razie potrzeby bedzie mogl wezwac na pomoc zastepy Hawknera, Saylana powaznie sie zastanowi, zanim przylozy reke do zdrady. Spojrzal na miniature. Tak naprawde nigdy nie rozumial kobiet. Matke Mahart po raz pierwszy zobaczyl na swoim weselu - byla dostatecznie ladna. Zawsze jednak dokuczala mu mysl, że zona prowadzi wlasne, potajemne zycie, do ktorego on nie ma dostepu. A potem nastapil atak zarazy i wszystkie jego watpliwosci zniknely. Fakt, że jego corka przezyla, to kaprys losu, figiel szalejacej w miescie smiertelnej choroby.

Nie oczekiwal, że Mahart sprawi mu jakies klopoty. Przez te wszystkie lata dziewczyna byla tak pilnie strzezona, że z pewnoscia nie mogla sie zainteresowac zadnym chlopcem w tym samym wieku. Mysl, że zostanie zona krolewicza, olsni ja wystarczajaco, aby bez sprzeciwu wypelnila wole ojca. Tak, wezwie Vazula i...

Zaskoczylo go dyskretne pukanie do drzwi. Chociaz nie byl doswiadczonym wojownikiem, w jednej chwili zerwal sie z krzesla i siegnal po miecz, ktory, wedle wymogow ceremonialu dworskiego, co noc lezal w nogach jego loza. Poczerwienial, gdy uswiadomil sobie, że musial odchrzaknac, zanim odpowiedzial chrapliwie:

-Wejsc!

Drzwi uchylily sie tylko na tyle, aby bardzo wysoka i chuda postac z szatami podkasanymi dla uzyskania wiekszej szybkości ruchow mogla sie przez nie przesliznac. Stroj nowo przybylego zalsnil w slabym swietle swiec, w ktorym zablysnal rowniez ciezki, ozdobiony drogimi kamieniami lancuch, spoczywajacy na jego waskich ramionach. Wisior z oznaka urzedu kolysal sie w poblizu pasa mezczyzny.

-O co chodzi, Vazulu?

Kanclerz, przychodzac do wladcy w ten sposob, postapil wbrew wszelkim obyczajom. Teraz zas ostroznie zamykal za soba drzwi, jakby bal sie, że ktos za nim idzie.

-Jaka jest decyzja Waszej Ksiazeczej Mosci?

W mroku Uttobric niemal nie widział twarzy mowiącego, tylko jego wysoka postać. Vazul podszedł do stołu i stanął, gorąc wzrostem nad swoim panem, co księcia zawsze wpędzało w kompleksy.

-Dlaczego musiałeś przyjść po odpowiedź właśnie o tej porze? - spytał gniewnie.

-Czas nigdy nie czeka na ludzi, to oni są jego sługami - powiedział kanclerz głębokim głosem zawodowego mówcy, który w razie potrzeby potrafi pokierować słuchaczami wedle swojej woli. - A czas ucieka, Wasza Książeczko Mosć. Nietoperz nie wrócił.

Uttobric mocniej ścisnął w reku miecz, którego jeszcze nie odłożył.

-Pojmali go?

-Ktoż to wie? - Vazul wzruszył ramionami. - W każdym razie do tej pory zawsze składał meldunki w umówionym wcześniej terminie.

Wprawdzie zablokowaliśmy jego umysł najlepiej, jak umieliśmy, ale nie wiemy, jakimi środkami dysponują nasi przeciwnicy. Mamy informacje, że w minionym roku Jej Wysokość Saylana kilkakrotnie kontaktowała się z przybyszami zza morza. Każdy kraj ma swoich wywiadowców i część z nich zna tylko ci, którzy się nimi posługują. Ale to znaczy, Wasza Książeczko Mosć, że musisz działać szybko.

Kanclerz stał teraz w pełnym blasku świecy. Był prawie tak chudy jak szkielet, a jego szata, ozdobiona na piersi książecym herbem, wydawała się niemal za ciężka dla niego. Miał krótko obcięte włosy, jakby był wojownikiem, ale jego zapadnięte policzki porastała krótka broda, a w jasnoszarych oczach krył się stalowy błysk obnażonego miecza. Książę ufał Vazulowi tylko dlatego, iż wiedział, że kanclerz doszedł do władzy i upadnie wraz z nim. Vazul był niezwykle przebiegły, czasami niemal wydawało się, że umie odgadywać przyszłość - a przynajmniej dostrzec pewne niebezpieczne problemy, które mogły się pojawić.

-Ale jeśli Nietoperz się nie zameldował... - powiedział powoli książę.

-Dlaczego wnioskuje, że dzwón bije na alarm? - Kanclerz wzruszył ramionami. - Ponieważ znam go tak dobrze, jak ty powinienes go znać, Wasza Książeczko Mosć. Jest najlepszym z naszych oczu i uszu i nigdy dotąd nie dostarczył fałszywej informacji. Wiemy, że dwa dni temu przekroczył granicę - skontaktował się tam z naszym człowiekiem. Powinien był się zameldować wczoraj o zachodzie słońca. Cokolwiek go zatrzymało, znajduje się na terenie twojego państwa, Wasza Książeczko Mosć, może nawet tutaj, w Kronengredzie.

Uttobric z całej siły wsunął miecz do pochwy i wydawszy nagle wargi, wrócił do krzesła, z którego przed chwilą wstał, ruchem ręki wskazując Vazulowi drugą stronę stołu.

Zanim kanclerz przyłączył się do księcia, podniósł trójramienny świecznik, zapalił wszystkie trzy świece, a wtedy stało się tak jasno, że mogli dobrze się widzieć.

-Wygląda na to, że teraz nawet nie wiemy, czy ten plan można wprowadzić w życie - zaczął książę, mrugając w silnym blasku świec. - Nietoperz miał nam powiedzieć, jakie stanowisko zajmuje Hawkner. Co teraz zrobimy? Czy mamy otwarcie zwrócić się z tym do króla? Jeżeli akurat będzie w złym humorze, co mu się często zdarza, może uznać naszą propozycję za żart, i to niestosowny.

Uttobric niespokojnie poruszył się w krzesle. Spotkał się z królem Hawknerem tylko dwukrotnie - w tym raz na swoim weselu - i w obu wypadkach czuł się przytłoczony przez potężnego sąsiada, miał wrażenie, że jest niemal lokajem czekającym na jego rozkazy, chociaż Kronen nie należy do państwa Hawknera - Oberstrandu - i nigdy nie należał.

O dziwo, dostrzegł jakiś ruch na barku kanclerza, coś niewidocznego przesunęło się w dół ramienia Vazula, aż spod grubo haftowanego szerokiego rekawa wysunęła się gładka, czarna głowka. Porastające ją futro było tak ciemne, że żółte światło świec tylko od czasu do czasu odbijało się od pary oczu osadzonych nad wąskim, spiczastym pyszczkiem. Książę patrzył ze wstrettem, aż z rekawa wylonilo się całe ciałko ulubienicy Vazula. Stworzenie sprawiło wrażenie, że jest czymś więcej niż zwykłym zwierzęciem. Na pewno w Kronen nie widziano takiego gibkiego, długiego zwierzątka o krótkich łapkach z ostrymi pazurami. Uttobric nienawidził tego stworzenia, lecz coś powstrzymywało księcia przed wydaniem rozkazu, by kanclerz trzymał je z daleka od niego. Zwierzątka usiadło teraz i polizowało się po klatce piersiowej.

Książę zignorował je wysiłkiem woli. Zamiast tego podjął napastliwym tonem przerwana wcześniej przemowę.

-Czy mam pojsc z czapka w reku i zwrócić się do Hawknera za pośrednictwem pana Perfera? Nasz ambasador jest głupcem i nie wiemy, na ile można mu ufać.

-Jeszcze nie. - Vazul przesunął dłoń po grzbiecie swojej ulubienicy. - Czy Wasza Księżeczka Mosć już rozmawiał z panną Mahart? Na pewno jest dostatecznie dorosła, by myśleć o małżeństwie z przystojnym księciem...

-Mahart trąkocze beznamiętnie jak szczebiotnik, jeśli mam cierpliwość jej słuchać! - Burknął książe. - W jednej chwili wypaplałaby wszystko pani Zucie i wszyscy by się o tym dowiedzieli.

-Niestety tak. Jednakże... - Kanclerz nie przestawał głaskać dziwnego stworzenia. - Nie chodziło mi o wyjawienie jej szczegółów tej sprawy, tylko o ogólną rozmowę na temat małżeństwa. Kto wie, może takie pogłoski zwrócą uwagę pani Saylany i zmuszą jej zwolenników do ujawnienia się, co wyjdzie ci tylko na korzyść, Wasza Księżeczka Mosć.

Książę zaczął obgryzać paznokieć; przeniósł spojrzenie z kanclerza na stosy raportów. Tak, jeśli trochę zamieszają w tym garncu, na pewno buchnie z niego nieco więcej pożytecznej pary.

-No, dobrze - oznajmił. - To na pewno da się zrobić. Wezwij Burrisa - możemy zaraz się tym zająć.

Kanclerz pociągnął za sznur dzwonnka, by przywołać osobistego sługę księcia. Sam ani się nie uśmiechnął, ani nie zmienił obojętnego wyrazu twarzy. Z coraz większą łatwością narzucał Uttobricowi swój sposób myślenia - ale zbyt pewność siebie jest grzechem.

Głos wielkiego dzwonu wdarł się w najprzyjemniejszy sen księżniczki. Odkąd Mahart przestała być bardzo małą dziewczynką, nigdy nie oglądała świata poza starymi murami pałacu, ale dzisiaj w nocy wymknęła się ze swojej wieży do miejsca, które ledwie sobie przypominała po obudzeniu - na wielką, rozległą łąkę, gdzie kwiaty uginały się pod zwykłym tchnieniem wietrzyku niosącego zapach samego lata.

Zapach lata - zmarszczyła lekko brwi, wracając myślą do jakiegoś bladego wspomnienia. Oczywiście! Teraz wysunęła się z rozburzonej, uszytej z jedwabiu i aksamitu pościeli, i usiadła na łące. Skupiła uwagę na małym, przenośnym piecyku stojącym na brzegu jej toaletki. Nie unosił się z niego wonny dym, ale kiedy się przeciągnęła, rozkładając szeroko ramiona, miała wrażenie, że mogłaby zamruczeć jak jeden z kotów strzegących zamku przed myszami i szczurami.

Ta Halwice to rzeczywiście prawdziwa mistrzyni w swoim fachu - stworzyła dla niej kadzidło, które sprowadzało spokojne i błogie sny. Ludzie mówili, iż Halwice sprzedaje pachnidła tak pełne mocy, że mogą one przyciągnąć lub odstraszyć innego człowieka. Niezadowolone spojrzenie Mahart powędrowało do baterii ozdobnych buteleczek na tej samej toalecie. W wielu z nich kryły się rzadkie zamorskie perfumy - jej ojciec trafił w sedno, ofiarowując jej na Święto Środka Zimy nowy rodzaj wody kwiatowej. Wydawało się, że w jego pojęciu buteleczka perfum doskonale zastępuje lalki, które dawał jej wcześniej - chociaż obdarowywał ją nimi tak długo, aż w końcu ktoś, prawdopodobnie Vazul, zwrócił mu uwagę, że Mahart wreszcie dorosła.

Nie zadzwoniła po Julte, swoją pokojówkę. Uwolniła się z kokonu pościeli, wsunęła stopy w czekające futrzane kapcie i usiadła przed toaletką, nachylając się nad nią, by wciągnąć w nozdrza pozostałości zapachu spalonego kadzidła.

Świece ledwie się nadpały i zapaliła je teraz zapalniczka - wszystkie cztery - by przyjrzeć się swemu odbiciu w dużym zwierciadle. Włosy nadal miała zaplecione w warkocze, jak zwykle na noc, lecz ich matowa, brązowa barwa nie dodawała jej urody. Zazdrościła Zucie gładkich, czarnych włosów, które wyglądały jak atlasowe. Ale przecież ona sama wcale nie jest brzydka! Po raz pierwszy Mahart pozwoliła sobie w to uwierzyć.

Dysponowała pewną ilością pudrów i kremów. Wiedziała, że Zuta chętnie ich używa, ale sama miała wątpliwości, czy powinna pojsć w jej ślady. Cały czas bowiem myślała o chichoczących służebnych, które zawsze obmawiają swoje panie za ich plecami. Bala się, że może nawet rozbawi Zute, a ta będzie zbyt uprzejma, by powiedzieć jej całą prawdę. Co ona sama zrobiłaby bez Zuty!

Mahart odnosiła wrażenie, że ta dama do towarzystwa już od urodzenia wiedziała, czego jej pani powinna się nauczyć. Zawsze umiała powiedzieć to, co należało w danej chwili, zachować się uprzejmie, a kiedy Mahart była młodszą, szybko tuszowała niezreczne słowa lub uczynki dziewczyny. Czasami Mahart pragnęła, by nadal opiekowała się nią jej piastunka.

Piastunka służyła jeszcze matce Mahart i była dla młodej księżniczki pocieszycielką w dzieciństwie, wynagradzała obojętność ojca, bo książę, zniecierpliwiony, unikał towarzystwa córki. Ale piastunka odeszła wraz z dzieciństwem. Otrzymała wysoką emeryturę i zajęła się swoją rodziną w Brescie. Później pojawiła się Zuta, ośniewająca Mahart obyciem i madrością, choć była od niej tylko o trzy lata starsza. Zucie zaraz odebrała nie jedno, lecz oboje rodziców, ale nowa dworka Mahart pochodziła z wysokiego rodu i wydawała się całkiem zadowolona ze swego obecnego położenia.

To właśnie Zuta opowiedziała jej o zielarce Halwice. Mahart, chociaż tak pilnie strzeżona w tym luksusowym więzieniu, z westchnieniem zapagnęła ją opuścić pomimo otaczającego ją komfortu; może kiedyś uda jej się spotkać tę dostarczycielkę snów i pania pachnidła.

Tylko że... Mahart jest taka zmęczona... zmęczona... zmęczona. Wykrzywiła usta w podkowkę i znow owładnęła nią depresja, która dokuczała jej przez ostatnich kilka miesięcy. Była zmęczona takim życiem, niekiedy wydawało się jej, że się dusi. Gdyby nie odkryła przed kilku laty wielkiej biblioteki zamkowej, co wiedziałaby o zewnętrznym świecie poza skorupą, w której zamknął ją ojciec?

Strona za stroną zawędrowała do dalekich krajów, stawiała czoło dziwnym zwierzętom i jeszcze dziwniejszym ludziom - i poznała przeszłość Kronenu oraz rolę, jaką w niej odegrała jej rodzina. Sądziła, iż ojciec nigdy nie przychodzi do wielkiej biblioteki; była głęboko przekonana, że pani Saylana również tego nie robi, choć od czasu do czasu któryś z jej sług przychodził poszukać jakiejś książki, zawsze na polkach najstarszej części, gdzie skorzane okładki pozostawiały kurz na rękach niedoszłych czytelników.

Oczywiście, codziennie wychodziła na spacer, ale mogła zawitać jedynie do małego ogrodka, z którego na ten czas usuwano ogrodników. A posiłki jadła w okazałej, majestatycznej jadalni, gdzie jej ojciec przelatywał pokarm w pośpiechu, czasami w towarzystwie Vazula, i żaden z nich nie zwracał uwagi na Mahart.

Zachęcała Zute do kontaktów z innymi damami dworu. Plotki, które Zuta przynosiła z takich spotkań, zawsze były interesujące. Naturalnie dworki Mahart nie mogły się spotykać ze sługami Saylany. Choć liczba tych ostatnich zmalała od śmierci poprzedniego księcia, jego córka nadal miała swoich zwolenników i gości.

Mahart widziała z daleka Barbricę, syna Saylany, i nie wywarł na niej wielkiego wrażenia. Ten powłoczacy nogami i śmiejący się głupkowato i piskliwie młodzik na pewno nie nadaje się na przyszłego księcia, który powinien mieć odpowiednią prezencję, godną władcy Kronenu. Ale w takim razie... co z ojcem?

Przy każdym posiłku siedział pod oficjalnym portretem dalekiego kuzyna i różnica między nimi wydawała się coraz większa za każdym razem, gdy ich ze sobą porównywała.

Potężna postać zmarłego księcia na pewno zacmiewała większość znanych jej mężczyzn. Najbardziej przypominał go kapitan Rangle z gwardii księżej: miał podobnie energicznie zarysowaną szczękę, dumną postawę wojownika i głowę trzymał równie wysoko. Czy Wubric rzeczywiście oniesmielał swoich poddanych, czy też tylko tak mu się wydawało?

Mahart nie odrywała oczu od zwierciadła. Widziała, jak wygląda. Czy inni również uważali ją za takie zero? Gdyby utraciła pozycję księżniczki, kto wtedy składałby jej ukłony i prawil zdawkowe komplementy?

W zamysleniu potarła dłoń o czoło. Nigdy dotąd nie zadawała sobie samej tylu pytań. Miała wrażenie, jakby sen - choć nie uwolnił ciała - zapalił wieloramienny świecznik w ciemnym zakątku jej umysłu.

Jeszcze raz nachyliła się nad przenośnym piecykiem, by sprawdzić, czy nie uchwyci jakiejś pozostałości tamtego niezwykłego zapachu. W tej samej chwili dyskretnie pukanie do drzwi uswiadomiło księżniczkę, że właśnie traci swoją prywatność i że nie będzie jej miała do końca tego długiego dnia.

Oczywiście to była Julta, której bezszelestny, posuwisty krok kontrastował ze sztywną postawą. Pokojowka umiała wyrazić swoją reakcję na wszystko wykrzywieniem warg lub uniesieniem brwi. Zuta powiedziała jednak, że Julta milczy w towarzystwie innych służebnych tak samo jak w obecności swojej pani i że jest spokojna, zrecona i czasami zdaje się znikać w tle, jakby wtopiła się w jeden z wyblakłych ze starości gobelinów.

Julta postawiła srebrną tacę na toalecie i nalala ze srebrnego dzbanka poranny napar z ziół, który miał poprawić humor na cały dzień.

-Czy Wasza Wysokość dobrze wypoczęła?

-Jak zawsze, Julto.

-Jest posłanie od Jego Księżejści Młoci. Życzy sobie zobaczyć się z tobą w swoim gabinecie przed drugim dzwonem.

-Dziękuję ci - odparła Mahart, sacząc ziołową herbatkę. No cóż, ten dzień zaczyna się od zaskoczenia. Mogła policzyć na palcach okazje, kiedy ojciec wzywał ją do komnaty będącej centralnym ośrodkiem jego niełatwego życia. - Włożę zieloną suknię haftowaną w pędy winorośli, Julto.

Pokojowka już odwróciła się do wysokiej szafy. Ta suknia - zielona jak liść i obramowana srebrnym haftem w kształcie gwiazdek winnej latorośli - zawsze dodawała księżniczce odwagi. Szczególnie dzisiaj miała w sobie coś świeżego, ożywczego, co kłóciło się z ponurą atmosferą starej komnaty i przypominało Mahart sen o rozległej łące usianej różnokolorowymi kwiatami.

Julta uczesała jej włosy w nowa fryzurę zaproponowana przez Zute. Mahart cierpliwie wytrzymała szarpanie i upinanie. Dwa warkoczki zostały zwinięte nad uszami i osłonięte cienkimi srebrnymi siatkami, choć przytrzymujące je szpilki czasami kludy bolesnie. Później nastąpił zwykły rytuał mycia i ubierania. Julta jak zawsze milczała, co pozwoliło Mahart spokojnie pomyśleć.

Co ostatnio zrobiła takiego, iż ojciec nie tylko przypomniał sobie, że w ogóle ma córkę, lecz także wezwał ją o tej porze na rozmowę? Ma jednak dość czyste sumienie. W takim razie nie chodzi o jakieś złe sprawowanie z przeszłości, ale będzie musiała stawiać czoło nowym, nieznanym nakazom na przyszłość.

Kiedy wyjmowała z trzymanej przez Julte otwartej szkatułki z klejnotami skromny naszyjnik ze srebrnych lisci, który zawsze nosiła do swojej ulubionej sukni, usłyszała znowu stukanie do drzwi. Mahart musiała sama zapiąć naszyjnik, gdyż Julta poszła, by wpuszczać do komnaty Zute - choć jak na nią było to naprawdę wcześnie.

Ksiezniczka od razu poczuła się szara i brzydka. Ciemnoniebieska, atlasowa suknia Zuty otulała jej postać tak ciasno, jakby dworka nie miała pod nią koszuli. Zuta nie nosiła jednak głębokiego dekoltu, jak to lubiły otaczające Saylane damy, a podobny do torby, haftowany złotem czepiec niemal całkowicie okrywał jej włosy.

Wykonała głęboki dyg i powiedziała z uśmiechem:

-Dobrze wybrałaś, Wasza Wysokość. Wstałaś rzeska tego ranka. - Przeniosła wzrok z Mahart na przenosny piecyk.

-To prawda - zgodziła się z nią ksiezniczka. - Wszystko było tak, jak obiecałaś, Zuto. Na pewno tamta zielarka ma wielką wiedzę w swoim zawodzie. Chciałabym... - wyrwało się jej bez zastanowienia i nagle z jakiegoś powodu uznała, że nie chce z nikim dzielić się tą myślą. Ale skoro już zaczęła... - Chciałabym sama odwiedzić ten słynny sklep.

Zuta spochmurniała lekko i pokręciła głową.

-Nie wypada, Wasza Wysokość. Jeśli chcesz się dowiedzieć, co ta zielarka ma jeszcze do zaoferowania, wezwij ją i rozkaż, żeby przyniosła próbki - jeżeli Jego Książęca Mość się zgodzi. Przecież ojciec zawsze pozwalał ci wybierać najlepsze materiały na twoje suknie u mistrza Gorgiasa i czy na ostatnie imieniny nie ofiarował ci perfum o zapachu lili, które tak ci się spodobały? Przypomnij mi o tym, kiedy poprosisz o pozwolenie na spotkanie z zielarką, gdyż to właśnie ona je stworzyła. A teraz... czego sobie życzysz?

Czekała przy drzwiach. Mahart wyrzekła się ostatniego spojrzenia w zwierciadło i odrzekła:

-Jego Książęca Mość chce się ze mną zobaczyć w swoim gabinecie przed drugim dzwonem. Śniadanie zjem więc później, Zuto.

Na moment wydało się jej, że usta dworki rozchyliły się, jakby chciała zadać pytanie. Jeżeli jednak dama do towarzystwa chciała poznać powód tego niezwyklego wezwania, zbyt dobrze знаła etykiety dworskiej, by to pytanie nie padło.

Dlatego Mahart sama zeszła po schodach do pełnej krzątaniny części zaniku. Gwardzisci, których prawie nie zauważała, stawali na baczność, gdy ich mijala. Wreszcie dotarła do drzwi książęcego gabinetu. Tam gwardzista stuknął w podłogę paradną wlocznia tak głośno, jakby walnął pięścią w drzwi.

Z wewnątrz dobiegła przytłumiona odpowiedź i gwardzista, porzucając na moment obowiązkową pozę, otworzył drzwi i zaanonsował:

-Jej Wysokość wielmożna pani Mahart, Wasza Książęca Mość.

Mahart wzięła głęboki oddech i zrobiła krok do przodu. Wszystkie ciężkie draperie przy oknach były odsunięte i nieco dziennego światła wpadało do wnętrza gabinetu, rozjasniając je wraz z blaskiem świec stojących na szerokim biurku. Książę nie był sam; obok niego, zgięty w ukłon, stał Vazul.

Zaskoczona ksiezniczka otworzyła szerzej oczy, ale złożyła ceremonialny, głęboki ukłon swemu ojcu. Obecność kanclerza jeszcze bardziej ją zdziwiła.

-Życzę ci, ojczu, miłego dnia i oby los ci sprzyjał. Ucieszyła się, że głos jej nie zdrzał.

-Tak, tak... - Książę niecierpliwie machnął ręką. Na pewno nie wyglądał na zadowolonego z tego spotkania, ale spojrzał na nią dziwnie. Otworzył jeszcze szerzej oczy, jakby córka była ciekawostką, na którą ktoś zwrócił jego uwagę.

-Siadaj... - Znowu machnął ręką, tym razem w stronę krzesła, które przysunął kanclerz.

Usiadła więc, lecz ogarnął ją głęboki niepokój. Czego od niej chce? Nie wąpiła, że znalazła się tutaj przez Vazulę.

-Jesteś dorosła. - Urtożbic przerzucił teraz papiery na biurku, jakby zdał sobie sprawę, że trudno mu znaleźć odpowiednie słowa. - Dorosła na tyle - powtórzył szybko - żeby się zareczyć.

Mahart zacisnęła oparte na kolanach dłonie. Dobrze wiedziała, że w tej sprawie nie ma nic do powiedzenia.

Ojciec znieruchomiał i patrzył na nią wyczekująco.

-Tak, ojciec - wykrztusiła. Książę chyba czekał na tę odpowiedź, gdyż mówił dalej:

-Jako kobieta nie masz pojęcia o sprawach państwowych. Ale to jest coś, co musisz zrozumieć, gdyż chodzi tu o bezpieczeństwo księstwa. Dobrze wiesz, że nie byłem następcą tronu, gdyż pochodzę z bocznej linii książęcego rodu. Los uczynił mnie władcą Kronenu, gdy zarazą pochłonęła mojego bliżej spokrewnionego kuzyna i innych prawowitych dziedziców księstwa. Prawo nie pozwoliło pani Saylanie wstąpić na tron, gdyż żadna kobieta nigdy nie rządzi w Kronenie. Jej synowi - wykrzywił usta, jakby chciał dodać kilka obraźliwych słów na określenie Barbrica - również nie, ponieważ ją przeżyłem. Lecz choć wtedy los okazał się dla mnie łaskawy, nie poszczęściło mi się pod innym względem. Twoja matka urodziła mi tylko córkę.

Powiedział to tak, pomyślała Mahart, jakby matka, która ledwie pamiętała, w jakis sposób zrobiła to celowo.

-A teraz posłuchaj uważnie, dziewczyno, tego, co nasz zacny kanclerz odkrył podczas długich poszukiwań w kodeksach prawnych, gdyż pewne zmiany i odpowiednie interpretacje starych dekretów mogą przynieść właściwe rozwiązania.

Vazul podszedł do okna. Wpadające przez rozsunięte draperie światło oświetliło go w pełni, jakby chciał w ten sposób skupić na sobie uwagę Mahart. Wydawało się, że jedno ramie ma wyższe od drugiego i dopiero po chwili księżniczka dostrzegła czarne jak atrament zwierzątko, bez którego nigdy go nie widziano i którego nie cierpiał cały dwór.

-Za rządów księcia Kathbrica II - głos kanclerza wywierał hipnotyczny wpływ na dziewczynę, która, o dziwo, zapragnęła, żeby mówił dalej - powstała podobna sytuacja. Miał on tylko córkę, Jej Wysokość Rothanne. Drugi z kolei następcą tronu, daleki kuzyn, lajdackimi czynkami wielokrotnie zhańbił swoją książeczą krew. Książę Kathbric zwrócił się o pomoc do Domu Jasnej Gwiazdy. Siostry modliły się, prosząc Gwiazdę o natchnienie. Bogini zesłała wizję ówczesnej księżni przy swoim ołtarzu. Inne kapłanki widziały snop srebrzystego światła, lecz tylko ich zwierzątko ujrziała Te, Która w nim stała. I rzekła zjawą tak: jeżeli pani Rothanna posłubi równego jej urodzeniem młodzieńca, który przybędzie do Kronenu nie jako gość, lecz mieszkaniec, by spędzić tu resztę życia, wówczas książę, po ślubie córki lub przed swoją śmiercią, może oficjalnie uznać zięcia za swego rodzony syna. Poszukano więc takiego młodzieńca i znaleziono go w Arsenie za morzem. Wygnał go tam wielki zdobywca cesarz Lantee, który wcielił jego państwo do swojego imperium. Młodzian ów był najstarszym synem swego ojca, a teraz ostatnim z rodu. Przybyli z Kronenu wysłannicy potwierdzili jego królewskie pochodzenie. Sprowadzono go tutaj, ożeniono z Rothanną, a później ogłoszono prawowitym następcą tronu, synem Kathbrica.

Reka Vazula, podniesiona, gdyż chciał pogłaskać swoją ulubienicę, zdawała się poruszać w rytmie jego słów. Teraz urwał.

Dziwne uczucie ogarnęło Mahart, jakby drugie ją otworzyło się w jej jaźni, dodając odwagi.

-Jeżeli to już raz się zdarzyło... dlaczego nie miałoby się powtórzyć? Jej Wysokość Saylana...

-Jej Wysokość Saylana - w chrapliwym głosie ojca zabrzmiała groźba - na swoje nieszczęście ma silną wolę. Nie posłuchała rozkazu swego ojca i posłubiła pana Alikena - oczarowała ją jego uroda i sława, jaka się cieszył po zdobyciu twierdzy banitów w Volonie. Po ataku zarazy na swoje nieszczęście zrozumiała, jak wielki błąd popełniła. Jej ojciec i małżonek zmarli, a ten ostatni był szlachcicem zaledwie od pięciu pokoleń, dlatego więzy pokrewieństwa nie łączyły go z żadnym rodem panującym. Nic równie głupiego i szalonego już się nie powtórzy - mówił dalej książę. - Jak sama słyszałaś, dzięki Jasnej Gwiazdzie Vazul znalazł ten wspaniały precedens - a teraz to ty spełnisz swoją powinność.

Mahart nagle zadrżała. Dla kobiet z wysokich rodów małżeństwo zawsze było loterią jak gra w Kosci Losu. Tylko nieliczne panny widziały swoich narzeczonych przed dniem ślubu. Ale taka nieoczekiwana perspektywa naprawdę ją przeraziła.

-Kto... - zaczęła, lecz ojciec uciął krótko:

-Dowiesz się wszystkiego we właściwym czasie.

-Wasza Książeczka Mosc - powiedział z naciskiem Vazul, jakby chciał o czymś przypomnieć księciu.

-Tak, tak. - Uttobric uderzył w usłane papierami biurko. - Jeszcze nie możesz pokazać się na dworze. Będziesz pobierała nauki. Później zaś zjawi się gość, którego powitasz zyczliwie. A teraz odejdz - mam dużo pracy.

Odprawił córkę machnięciem ręki. Wazul dwoma szybkimi krokami znalazł się przy drzwiach i otworzył je z ukłonem. Kiedy Mahart mijala kanclerza, dobiegł ją jego cichy szept:

-Będziesz miała teraz więcej swobody, Wasza Wysokość... Uważaj, jak będziesz z niej korzystać.

3

Zapach, od którego Willadene dostała gęsiej skórki, był naprawdę silny. Zamrugala oczami, żeby lepiej widzieć w mroku panującym w sklepie zielarki. Lampa, zawsze przez całą noc paląca się w przeciwnym końcu pomieszczenia, stanowiła teraz jedyne migotliwe źródło światła oprócz smugi słonecznego blasku wpadającego przez uchylone drzwi. Willadene niemal nie traciła sandałem skulonej postaci leżącej na podłodze... Czy to Halwice? Podniosła rękę do ust, nie krzyknęła jednak, choć przerażenie chwyciło ją za gardło. Nie wiedziała dlaczego, ale rozumiała - jakby ktoś wydał jej taki rozkaz - że teraz niezbędny jest spokój.

Przeniósła wzrok poza skulone ciało na krzesło, którego przedtem nie było w sklepie; widocznie zostało przyniesione z wewnętrznej izby. Siedziała w nim zielarka, nieruchoma i milcząca. Martwa?

Rękę Willadene drżały jak osika, lecz w jakiś sposób zdołała obejść leżące na podłodze ciało i dojść do jednej z mocno świecących lamp, których Halwice używała przy mieszaniu proszków. Na szczęście zapalniczka była obok i po dwóch nieudanych próbach dziewczyna zdołała zapalić knot.

Willadene, z lampą w drżących dłoniach, odwróciła się w stronę siedzącej na krześle milczącej postaci. Spojrzały na nią oczy zielarki. Wydawało się, że czegoś od niej zadają. Halwice żyła, lecz coś ją paraliżowało i czyniło bezsilną. Mogł to sprawić ktoś za pomocą pewnej zakazanej mieszanki ziołowej, ale Halwice nigdy czegoś takiego nie używała.

Te oczy... Willadene w jakiś sposób zdołała wyszeptać:

-Co się...?

Oczy Halwice ponaglały ją, zdawało się, że usiłują napisać jakieś przesłanie w powietrzu. A potem przeniosły się z dziewczyny na półprzymknięte drzwi i z powrotem. Zadawały, domagały się czegoś. Willadene zdała sobie sprawę, że musi zareagować. Ale jak...? Czy Halwice chce, by wezwwała pomoc?

-Możesz odpowiedzieć? - Zadawała, najważniejsze w tej sytuacji pytanie. - Zamknij oczy...

Powieki zielarki natychmiast opadły, a potem znowu się uniosły. Willadene odetchnęła głęboko, prawie z ulgą. Wiedziała, że mogą się porozumieć.

-Mam pójść po doktora Reymonde?

Był to najbliższy mieszkający lekarz, który korzystał z medykamentów wytwarzanych przez Halwice.

Powieki zielarki opuściły się nagle, uniosły i znowu opadły.

-Nie? - Willadene starała się trzymać lampę nieruchomo. Prawie zapomniała o ciele leżącym na podłodze.

Wbiła wzrok w Halwice tak mocno, jakby chciała wymusić potrzebną odpowiedź. Zauważyła, że zielarka przeniosła spojrzenie poza nią i utkwiała je w podłodze. Milcząca kobieta znowu zamrugala dwa razy z taką powagą, jakby to był rozkaz. Willadene próbowała domysleć się, o co chodzi.

-Zamknąć drzwi? - spytała. W odpowiedzi Halwice zamrugala szybko, twierdząco. Dziewczyna ostrożnie obeszła nieruchome, skulone na podłodze ciało i spełniła polecenie. Halwice nie chce pomocy z zewnątrz... ale co złego tu się stało? Czy ten milczący kształt na podłodze to sprawca obecnego położenia zielarki?

Po zamknięciu drzwi dziewczyna, podnosząc wysoko lampę, drugą ręką instynktownie zatrzasnęła zasuwę. Gdy się odwróciła, znowu ujrzała wbity w siebie uważny, wymowny wzrok Halwice. Zielarka zamrugala. Tak, Willadene rozumiała, że Halwice nie chce tu nikogo innego.

Później spojrzenie zielarki powędrowało w stronę podłogi i zatrzymało się na nieruchomym ciele. Willadene ostrożnie postawiła lampę obok niego, a potem uklekła. Był to mężczyzna leżący twarzą do podłogi. Miał na sobie podróżny stroj z

welny i skory, jakby wlasnie przybyl z jakas karawana. Halwice czesto miala do czynienia z kupcami handlujacymi przyprawami i dziwnymi korzeniami; do jej sklepu regularnie docieraly tez pokruszone liscie roznnych rodzajow. Ale co sie stalo...?

Dlugoletnia praca w kuchni Jacoby, przenoszenie zelaznych garnkow i rondli oraz ogromnych przyborow kuchennych sprawily, ze Willadene, choc mala i chuda, miala wiecej sily, niz sie wydawalo. Zdolala przewrocic nieznajomego na plecy. Jego cialo bylo zimne i nie widziala ani rany, ani zadnego innego urazu. Odniosla wrazenie, ze powalila go momentalnie jedna z tych niesamowitych mocy, o ktorych opowiada sie w bajkach dla dzieci.

Byl mlody i mial ciemne, kedzierzawe wlosy. Willadene delikatnie dotknela jego glowy, szukajac obrazen, ktore mogly ukrywac geste kedziory. Na chudej twarzy o regularnych rysach zaczynal sypac sie pierwszy zarost. W sumie nie mial w sobie nic, czym roznilby sie od innych drobnych kupcow, ktorych obslugiwala w Karczmie Wedrowcow. Willadene wytarla reke o wystrzepiony fartuch.

Byla prawie pewna, ze nieznajomy nie zyje, ale nie jest przeciez lekarka. Podniosla pytajace spojrzenie na Halwice.

Znow nie mogla oderwac wzroku od szeroko otwartych oczu zielarki. Pozniej zas Halwice, jakby upewniwszy sie w ten sposob ze dziewczyna skupila na niej cala uwage, ponownie spuscila oczy na cialo na podlodze. Nastepnie znow popatrzyła na Willadene i tym razem niespiesznie, jakby calym wysilkiem woli, przeniosla wzrok z dziewczyny i nieruchomego mezczyzny na kotare zaslaniajaca wejscie do izby na zapleczu sklepu.

Zielarka trzykrotnie powtorzyła ten manewr. Willadene ponownie musiala zgadywac.

-Mam go zabrac na zaplecze... tego wlasnie chcesz? - Wskazala na drzwi prowadzace do izby.

W odpowiedzi Halwice mrugnela tak gwaltownie, jakby byl to rozkaz. Tak, tego wlasnie chce. Trzeba ukryc nieznajomego przed ewentualnymi nieproszonymi gosciami, takimi jak sama Willadene.

Dziewczyna postawila lampe na ladzie, po czym precisnela sie miedzy lezacy na podlodze mezczyzna a krzeslem Halwice. Chwycila pod pachy bezwladne cialo - choc wszystko w niej sie wzdragalo przed tym, co robi. Z trudem zdolala zaciagnac nieznajomego na zaplecze, zatrzymujac sie od czasu do czasu, a potem uparcie ciagnac dalej. Izba za sklepem byla duza, gdyz jednoczesnie pelnila role sypialni i kuchni, znacznie czysciejszej i ladniej pachnacej niz krolestwo Jacoby.

Willadene stala, wpatrujac sie w cialo. Pomyslala, ze nierozsadnie jest pozostawic je tak na widoku. Halwice spala na skladanym lozu i nic nie udaloby sie pod nim ukryc. Dziewczyna rozejrzala sie wokolo i ujrzala obok ogniska lawe ze schowkiem. Byl to masywny mebel o glebokim siedzisku. Jezeli przestrzen pod nim jest rownie szeroka... Na szczescie tylne okna okazaly sie otwarte; naplywala przez nie mieszanina zapachow ziol z duzego ogrodu ukrytego za sklepem; Willadene poczula sie odswiezona, jakby owe wonie rozjasnily jej w glowie, mogla wiec myslec rozsadnie. W takim razie pozostaje lawa ze schowkiem.

Z trudem ukryla tam cialo i upewnila sie, ze nie dostrzeze go nikt, kto przelotnie zajrzy do izby. Stala, dyszac tak ciezko, jak gdyby galopowala niczym klacz wycigowa.

Musiala oprzec sie reka o framuge drzwi, zeby nie upasc, gdy podwiazывала kotare. Potem wrocila do Halwice. Stanela tuz przed zielarka i poinformowala ja o wszystkim.

-Jest pod lawa ze schowkiem, nie znalazlam lepszego miejsca do ukrycia.

Znow odpowiedzialo jej pojedyncze mrugniecie. Mowila dalej:

-Czy moze zrobic cos dla ciebie, pani?

Halwice zamrugala twierdzaco, a Willadene uwaznie przyjrzala sie jej wedrujacemu spojrzeniu. Dziewczynie wydalo sie, ze Halwice skupila uwage na szufladach w wysokiej szafie. Przesuwala po nich dlonia, az zatrzymalo ja kolejne mrugniecie zielarki. Wiedziala, ze sa tam rzadkie ziola, niektore pochodzace z krajow tak dalekich, ze niewielu Kronencykow o nich slyszalo. Wysunela szuflade. Znalazla trzy male paczuski, kazda owinieta w chroniaca przed wilgocia natluszczona skore. Podnosila je po kolei dopoty, dopoki Halwice nie mrugnela na znak, ze to ta wlasciwa.

Teraz oczy zielarki powedrowaly dalej, tym razem do baterii buteleczek z olejkami i flakonikow z perfumami. Willadene znow powtorzyła caly proces, dotykajac wszystkich po kolei, az otrzymala znak.

Czekala na dalsze wskazowki. Zdala sobie sprawe, ze Halwice spoglada teraz na przenosny piecyk stojacy na nizszej polce. Willadene postawila go na ladzie. Nie, oczy zielarki zatrzymaly sie tuz przed krzeslem, na którym siedziala. Willadene

przesunęła piecyk w to miejsce.

Później sięgnęła po wybrana buteleczke i paczuszkę. Mrugniecie - tak! Otworzyła pakiecik. Zapach, który owionął dziewczynę, zaskoczył ją. Przypominał won napływająca od zebranych siostr, którym towarzyszyła tego ranka. Był całkowitym przeciwieństwem ohydny, słabnącego teraz smrodu, który wyczuła wcześniej w tym pomieszczeniu.

Dobrze wiedziała, że wszelkich pachnidel trzeba używać ostrożnie. Zapaliła przygotowane drewnka na dnie piecyka, a potem podniosła otwartą papierową torebkę do góry, aby zielarka mogła wszystko zobaczyć. Wyjęła z torebki szczyptę ziarnistego proszku. Mrugniecie odpowiedziało: tak. Willadene wrzuciła to, co trzymała, do ognia i szybko chwyciła buteleczkę.

Był to jeden z tych flakoników, które Halwice specjalnie zamówiła na własny użytek z zastrzeżeniem, że za każdym razem może wypłynąć z niego tylko jedna kropla. Oczy zielarki nakazały Willadene wlać trzy krople do tego, co już buchało wonnym dymem z przenośnego piecyka.

Dym zgęstniał. Przybrał kształt liny i teżał coraz bardziej. Kiedy stał się tak długi, jak wysoka była Willadene, zaczął się zwijać w spirale i spirala ta otuliła Halwice, zasłaniając ją przed wzrokiem dziewczyny.

Willadene cofnęła się o krok i oparła o łade. Zapach dymu wypełnił sklep; był tak silny, że zdawał się dusić. Przez chwilę, która dłużyla się niczym godzina, dym przesłaniał Halwice, a potem zniknął jak zdmuchnięty. Zielarka poruszyła się, podniosła dłoń z kolan i pokręciła głową, jakby sprawdzała, czy krepujące ją niewidoczne więzy zginęły bez śladu. A potem przemówiła:

-Gwiazda przysłała cię tu dzisiaj. Ale ten węzeł jeszcze nie został rozwiązany do końca. - Spróbowała wstać, lecz znów osunęła się na krzesło. - Czas, potrzebuje czasu i myślę, że pozostało mi go bardzo mało. Dziecko, sprzątnij to wszystko... - Skinieniem głowy wskazała na przenośny piecyk, flakonik i paczuszkę. Możemy przynajmniej mieć nadzieję, iż ten, kto rzucił ten ciemny czar, nie dowie się - a przynajmniej nie w najbliższym czasie - że pod tym dachem znajdują się środki, które mogą go zniszczyć.

-Przyszłaś po przyprawę. - Z każdym słowem głos zielarki ożywał się coraz bardziej. - Będę cię szukać?

Willadene wydawało się, że uciekła bardzo dawno temu, gdyż wydarzenia, które miały miejsce w sklepie zielarki, przycmiły pamięć o tym, co zrobiła.

-Nie wysłano mnie, pani, ja... ja uciekłam - wyznała.

-Od kogo?

-Od Jacoby. Chciała mnie sprzedać Wyche'owi za wysoką opłatę ślubną... myślę, że właśnie dlatego mnie zatrzymała. - Willadene zwinęła ręce w postrzępiony fartuch. - I ma do tego prawo, pani, sam sędzia tak powie.

-Ach, Wyche... - Halwice powiedziała to tak, jakby mówiła o śmieciu. - Jacoba nie jest członkinią rady miejskiej i nie ma prawa twierdzić, że sędzia pozwoli jej zadysponować tobą w taki sposób. To nie takie proste, jak jej się wydaje. Nie występowałam przeciwko niej przez ostatnich kilka lat, z powodów nie mających nic wspólnego z tą sprawą, ale teraz sama się tym zajmie! - Powiedziała to tonem osoby przyzwyczajonej do wydawania rozkazów, które natychmiast są wykonywane. - Najpierw jednak musimy odegrać pewną scenę. - Znowu spróbowała wstać, ale widac było, że jakaś słabość nie pozwala jej na to, i jej zwykle beznamietna twarz chmurniała coraz bardziej.

-A co z tym martwym mężczyzną? - Willadene wskazała na kurtyne zasłaniające wejście na zaplecze.

Halwice z wielką determinacją zdołała stanąć na nogi i Willadene pośpiesznie ją podtrzymała, nie otrzymawszy odpowiedzi. Dopiero kiedy zielarka, opierając się ciężko na ramieniu dziewczyny, doszła do lady, której się szybko uchwyciła, przemówiła do niej tak:

-On żyje i można się nim zająć później. Teraz jednak... Czy zdołasz otworzyć zamek? - Skinieniem głowy wskazała na nadal zamkniętą witrynę sklepową. - Postaraj się zwrócić na siebie jak najmniej uwagi. Każdemu obserwatorowi musi się wydawać, że wszystko jest jak zawsze gotowe do przyjęcia klientów. - Na twarzy Halwice malowało się teraz zmęczenie i mocno trzymała się lady.

Nerwy Willadene były równie napięte. Nie miała najmniejszego pojęcia, co się stało lub co może się wydarzyć, ale gotowa była wykonać każdy rozkaz, który sprawi przyjemność kobiecie o wychudłej twarzy toczącej swój własny bój.

Po wyjściu na ulicę starała się dobrze wykonać to nowe dla niej zadanie. W pobliżu były trzy inne sklepy, ale na szczęście

nie dostrzegła ich właścicieli, tylko zaledwie kilku przechodniow, z ktorych zaden, jak sie upewnila, od czasu do czasu omiatajac otoczenie spojrzaniem, nie zwracal na nia uwagi.

Kiedy wreszcie odsunela te nocne zapory, gotowe do przymocowania od wewnatrz, wsliznela sie przez szpare, ktora sobie pozostawila, i szybko wcisnela sworznie na miejsce. Przed soba miala teraz witryne sklepowa, na ktorej znajdowaly sie najbardziej poszukiwane towary - buteleczki, szkatulki z wieczkami wysadzonymi drogimi kamieniami, kulki aromatyczne gotowe do zawieszenia na szyi lub u pasa - wszystkie skarby czekajace tylko na napelnienie ich wyrobami Halwice, rzucajace sie w oczy na tyle, by przyciagnac klientow do sklepu.

Zrobilo sie juz dostatecznie jasno. Halwice zdmuchnela lampe i odstawila ja na miejsce. Ze zmarszczonymi brwiami patrzyla na krzeslo, ktore nie tak dawno ja wiezilo.

-Odstaw je w najdalszy kat - rozkazala. - Musi wygladac jak czesc tego, co tu powinno byc, kiedy oni przyjda.

Willadene, ciagnac ciezkie krzeslo, chciala zapytac, kim sa ci tajemniczy "oni", ale uznala, ze Halwice jest juz w pelnej formie i ze najlepiej zrobi, spelniajac bez pytania jej polecenia.

Kiedy umiescila krzeslo w zaciemionym tylnym rogu pomieszczenia, jak rozkazala jej Halwice, zwrocila uwage na kolorowa iskierka na podlodze w poblizu miejsca, z ktorego odciagnela bezwladne cialo mezczyzny. Podniosla cos, co poczatkowo uznala za pieniadz, gdyz bylo okragle i duze jak moneta o sporej wartosci. Po odwroceniu znaleziska zobaczyla na jego brzegu maly haczyk; najwidoczniej byla to ozdoba przeznaczona do wieszania na lancuszk. Nie miala tez do czynienia z moneta, jak poczatkowo myslala, gdyz na obu stronach znajdowal sie jakis symbol - szeroko rozpostarte skrzydla z tarcza, w srodku, na ktorej wyryto miecz skrzyzowany z berlem. Kilkakrotnie widziala te odznake - nalezala do kanclerza Vazula.

-Daj mi to! - Halwice nie podniosla glosu, ale widac bylo, ze jeszcze bardziej sie zaniepokoil. Kiedy Willadene podala zielarce znalezisko, ta jedna reka puscila sie lady i szybko ukryla je w staniku.

-Nie wolno ci o tym mowic...

Dziewczyna skinela glowa. Moze znaleziona oznaka nalezala do trupa (nadal nie mogla uwierzyc w zapewnienia Halwice, ze nieznamy mezczyzna zyje) i spadla, gdy Willadene zaciagnela go za kotare.

-A teraz posluchaj mnie uwaznie, dziewczyno, i udowodnij, ze masz w sobie to, czego w tej chwili potrzebuje. Do mojego sklepu przyjda straznicy miejscy, juz wktocze tu beda. To, co tutaj znalazlas, to pulapka zastawiona na mnie i na mezczyzne, ktorego ukrylas na zapleczu. Dlatego jestem przekonana, ze odwiedzi nas straz z polecenia sedziego. Ty jak zwykle przyszlas po przyprawy dla Jacoby. Odmierz te same co zazwyczaj w odpowiednich ilosciach...

Zielarka znow oburacz chwycila sie lady. Dziewczyna wziala z polki arkusik papieru, wygladzila go na wierzchu kontuaru i zdjela stojaca w poblizu skrzynke. Ostroznie nabrala mala szufelka te sama ilosc przyprawy co zawsze i nasypala na papier. Ledwie zdazyla wsunac owa skrzynke na miejsce, kiedy z ulicy dobiegl ja odglos krokow maszerujacych mezczyzn w ciezkich butach. Halwice miala racje! To na pewno straznicy. Willadene obeszla lade i stanela przed zielarka. Poczula, ze musi przytrzymac sie wypolerowanego kontuaru, tak jak Halwice.

Jezeli Jacoba zglosila juz jej ucieczke, szybko zostanie schwyтана. Jesli mogla miec nikla nadzieje, ze tak sie nie stanie, to tylko dlatego, ze karczma znajdowala sie w innej dzielnicy i ze sedzia, ktoremu podlega tamta czesc miasta, nie zdolal jeszcze przekazac tej nowiny swoim kolegom.

W drzwiach stanal jakis mezczyzna, ale Halwice nie spojrzala na niego, tylko patrzyla ponuro na Willadene.

-Powiedz Jacobie, iz na calym swiecie nie ma takiej przyprawy, ktora sprawi, ze jej pomyje beda sie nadawaly do jedzenia. Wziala ich juz duzo na kredyt - kiedy zamierza za nie zaplacic?

Willadene, cala soba wyczuwajac obecność mezczyzny, ktory stal teraz blisko niej, starala sie opanowac drzenie glosu.

-Pani, ja jezdem tylko podkuchenna. Karczmarka nic mi nie mowi, kaze tylko isc i przyniesc przyprawy do miesa. Proszę, o pani! - Zgarbila sie, jakby juz czula uderzenie laski Jacoby na koscistych barkach. - Pozwol mi wziac to, co mi kazala przyniesc, bo juz i tak sie zlosci.

-Cos ty za jedna? - uslyszala nad uchem chrapiwy glos, a na jej ramie opadla ciezka reka. Na pewno bedzie miala siniaka.

Willadene nie musiala udawac, ze jest przerazona. Mezczyzna, ktory przycisnal jej plecy do kontuaru, rzeczywiscie byl

straznikiem. Kolczuga, helm ocieniający górną część twarzy, na której dziko jeżyły się wasy, to coś więcej niż ostrzeżenie - raczej zapowiedź katastrofy.

-Jest podkuchenna w Karczmie Wedrowców - powiedziała Halwice tak spokojnie, jakby wymieniała grzeczności na temat pięknego dnia. - Przysłano ją tutaj po przyprawę...

Willadene nie osmieliła się poruszyć. Mężczyzna obrzucił zielarkę krótkim spojrzeniem; omiatał teraz szybko oczami wnętrze sklepu, a dwaj towarzysze tłoczyli się za nim.

-Dzielnicy sedzia dobrze mnie zna - podjęła znowu Halwice - i zasiadam w radzie miejskiej. Dlaczego poczynacie sobie tak ostro? Czy nie zaopatruje Jego Książęcej Mocy i członków wszystkich innych znanych rodów...? - W jej głosie brzmiał teraz gniew; tak właśnie zareagowałby każdy uczciwy kupiec, potraktowany podobnie. - Zapłaciłam podatki - dalałm je osobiście samemu sędziemu. Nikogo nie obraziłam i przestrzegam praw gildii...

Dowodca strażników znowu na nią spojrzał. Wskazał kciukiem na zasłonięte kotara wejście do wewnętrznej izby.

-Co tam jest, pani? - zapytał mniej agresywnie niż przedtem.

-Moje mieszkanie, a za nim ogród, w którym hoduje niektóre zioła. Zobacz sam. Ale czego szukasz? Jestem uczciwą kobietą i nie przywykłam do takiego traktowania. Bądź pewny, że poskarzę się sędziemu...

Strażnik nie odrywał od niej wzroku.

-Złożono nam doniesienie o tym sklepie, o tobie - powiedział flegmatycznie. - Otrzymałm wiarygodną informację, że znajdziemy tutaj pewnego poszukiwanego przez nas oszusta, pani, zabitego... - Jego wasy nastroszyły się jak szczecina dzika. - Podobno podano mu zatruty napój.

Halwice wyprostowała się, jej twarz stęzala.

-Cóż to za ohydne oszczerstwa?! Czy widzisz tu martwego mężczyznę? Popatrz, przyjrzyj się dobrze!

Serce Willadene waliło młotem; bała się, że zacznie się trząść, gdyż Halwice właśnie wskazywała na zasłonięte kotara drzwi drugiej izby.

-Posłuchaj mnie uważnie, sierzancie! Jeżeli ty sam albo któryś z twoich niezdarnych podwładnych uszkodzicie choćby jeden z moich towarów, nie tylko złożę skargę do samego sędziego, lecz także do Jego Książęcej Mocy. Spojrz tu... - Wskazała na spoczywającą pod szklanym kolpakiem szklana buteleczka w kształcie róży, tak mała, że Willadene bez trudu mogłaby ją ukryć w dłoni. - To jest Tchnienie Róż dla Jej Wysokości Mahart. Czy znasz jego cenę? Warte i jest więcej niż twoja półroczna pensja, a w dodatku naraziłbys się na gniew tej wysoko urodzonej damy!

-Nasze informacje... - próbował kontynuować, ale przyjrzał się ostrożnie buteleczce i odszedł od niej kilka kroków - ...pochodzą ze źródła, które nie jest plotkarskie. Skoro sama kazesz nam i szukać, zrobimy to.

Minal Willadene i szarpnięciem odsunął kotarę. Dziewczyna wbiła wzrok w ladę, w pakiecik przypraw, które rzekomo kupowała; czekała, aż sierzant znajdzie ukrytego mężczyznę. Ale on chwilę później wrócił do sklepu wielkimi krokami. Może ostrzeżenie Halwice wywarło pożądaną wpływ.

-No więc? - zapytała zielarka. - Gdzie jest twój martwy mężczyzna? Poszukaj w ogrodzie, jeśli musisz. Nie zobaczysz tam niedawno skopanej ziemi. Bądź pewny, że wpiszę do księgi sędziego moją odpowiedź na ten zarzut i skargę na przeszkody w prowadzeniu interesów. Dlaczego jakiś martwy mężczyzna miałby się znaleźć akurat w moim sklepie? Złożyłam przysięgę przed ołtarzem Jasnej Gwiazdy i moje serce zbadala najwyższa kapłanka, która dzięki swej mocy umie wykryć zło w ludziach. Oświadczyła, że jestem niezdolna do machinacji mogących wyrządzić zło komukolwiek. Odważysz się podważyć ten osąd? Gdyby w nocy ktoś próbował ukrasć moje towary, gdzie mogłby je sprzedać? Zresztą, czy władze miasta nie pozwoliły mi umieścić dzwonka alarmowego, by wezwać w takim wypadku straż? Kto słyszał mój dzwonek? Gdzie jest jakiś intruz? Czy złożyłam skargę?

Mówiła coraz ostrzejszym głosem, zarzucając strażnika pytaniami. Pełne policzki mężczyzny płonęły czerwienią, a jego dwaj podwładni wycofali się do drzwi wejściowych, zerkając na boki, jakby obawiali się, że mimo woli wyrządzą jakąś szkodę. Widac było, że sierzant jest rozgniewany. Willadene niemal czuła żar jego gniewu. Na własne oczy przekonał się jednak, że w sklepie zielarki nie ma niczego niezwykłego. I na pewno wzmianki Halwice o wpływach, jakie zyskała u sędziego tej dzielnicy i nawet u samego księcia, trafiły w czuły punkt. Nie groziłaby mu, gdyby nie mogła poprzec groźbami.

-Zloze meldunek, pani. - Straznik najwyrazniej probowal ratowac twarz, mowiac ostrzegawczym tonem.

-Zrob to i zajmij sie swoimi sprawami. Nie przeszkadzaj mi w moich - odrzekla ostro.

Straznik opuscil sklep. Szedl w odleglosci kilku krokow od swoich podwladnych, ktorzy teraz znajdowali sie na ulicy. Kiedy juz nie mozna go bylo zobaczyc przez male szybki wystawy, Halwice odwrocila sie do Willadene. Dziewczyna zdazyla wyjac ze stosu inny kawalek papieru i wlasnie go zwijala.

-W porzadku, poszli na zachod. A teraz posluchaj mnie uwaznie. Wez to, jakbys rzeczywiscie wracala z zakupow, ktore jakoby mialas zrobic. Kiedy znajdziesz sie za drzwiami, idz w przeciwna strone - na wschod. Wiesz, gdzie jest dom doktora Dobbliera?

Willadene skinela glowa.

-Pojdz ta alejka na tyly tego domu i podejdz do plotu otaczajacego moj ogrod. Nalicz piec sztchet, a potem nacisnij na dwie nastepne; otworza sie przed toba. Zastukaj trzy razy do tylnych drzwi.

Willadene odetchnela gleboko.

-Mam tu wrocic? - szepnela. Halwice zmierzyla ja spojrzeniem.

-Czy nie tego wlasnie chcialas?

-Och, tak, tak!

-W takim razie wracaj szybko. Mamy duzo do zrobienia. Willadene wybiegla na ulice, jakby sie obawiala, iz zostanie surowo ukarana za to, ze pozno wrocila z zakupow.

4

Zycie Mahart, ktore kiedys przyrownywala ona do wegetacji wieznia stanu, zmienilo sie bardzo szybko. Wprawdzie nadal uniemozliwiano jej bliskie kontakty z dworzanami i dworkami Saylany, ale coraz czesciej odwiedzal ja Vazul, ktory przyprowadzal ze soba po kilka dam ze starszego pokolenia. Ksiezniczka spedzala z nimi pare godzin w swojej bawialni, prowadzac nudne rozmowy i przestrzegajac bardzo sztywnej etykiety. Wiedziala, ze wiekszosc z nich bardzo sie nia interesuje i choc wzdragala sie w duchu, starala sie zachowac obojetna mine wobec taksujacych spojrzez, jakimi mierzyly ja damy spoza wachlarzy. Zuta zawsze uczestniczyla w tych wyczerpujacych spotkaniach. Potem nader chetnie rozmawiala o kazdym gosciu - czasami przekraczajac granice tego, co wedle obowiazujacych zwyczajow mogla uslyszec mloda dziewczyna. Takie rewelacje przypominaly Mahart historie, o jakich czytala w ksiazkach, ale ktorzych nigdy dotad nie kojarzyla z zywymi osobami. Ksiezniczka miala teraz mnostwo nowych strojow - szwaczki pracowaly codziennie od rana do wieczora. Musiala stac przez wiele godzin, gdy jedna lub druga mierzyla brzeg bluzki, zaznaczajac miejsce na szew.

Chociaz Zuta nadal zachecala ja do noszenia jaskrawszych kolorow i drozszych materialow, Mahart trzymala sie barw, w ktorzych czula sie najlepiej: bladych odcieni zieleni, blekitu i zolci. Nie pragnela tez nadmiernej ilosci haftow ani obszyc z futra i metalowych nici.

O tym, co jest powodem tej calej chwaly, ktora na nia splynela wbrew jej woli, dowiedziala sie podczas jednej z porannych wizyt Vazula. Kanclerzowi towarzyszył gwardzista niosacy spora skrzynie. Z mina magika, ktory zamierza zadziwic publicznosć, Vazul otworzył skrzynie, odsłaniając prawdziwy skarb. Klejnoty zdawały się świecić niemal równie jasno jak lampa i Mahart utkwiała w nich wzrok, czując dziwny wstret. Było ich zbyt dużo, żeby mogły być prawdziwe. Vazul szybko zapewnił ją, że klejnoty te nie są własnością ktoregos z członków rodu panujacego, lecz samego ksiestwa, i że nosi się je z okazji waznych uroczystosci panstwowych.

Jedna z takich ceremonii wlasnie miala sie odbyc. Od lat - a scisle mowiac od czasu zarazy - nigdy nie bylo uroczystosci, podczas ktorej corki i synowie szlachetnych rodow po raz pierwszy spotykali sie ze swoim wladca. Uttobric uwazal to za strata cennego czasu, gdyz przygotowania do takiego spotkania zajmowaly wiekszosci mieszkancow zamku kilka tygodni; w dodatku nigdy nie mial przekonania do tych ceremonii, bo nie dowierzal wielmozom.

Tym razem jednak to nie Uttobric mial byc osrodkiem zainteresowania. Ksiaze oswiadczył bowiem, że skoro Jej Wysokosc ksiezniczka Mahart dorosla, takie wlasnie wydarzenie stanie sie najlepszym wstepem do przypadajacych na nia obowiazkow.

Vazul i Zuta zaznajomili ksiezniczke ze szczegolami ceremonialu audiencji. Wygladalo na to, ze bedzie to dla niej gorsze niz zapraszanie na herbatki starszych dam dworu. Jednakze Mahart zmusila sie do nauczania roli, ktorej nie chciala

odgrywać, ale która była częścią jej niepewnego dziedzictwa.

-Będzie obecna Jej Wysokość Saylana - oznajmiła Zuta. - Zajmie niższe krzesło. To ty, Wasza Wysokość, wejdiesz pierwsza, a ona, zanim usiądzie, musi złożyć ci ukłon, choć z pewnością nie tak głęboki jak inni. Maja jej asystować co najmniej trzy ulubione damy dworu, które staną na najniższym stopniu na prawym krancu podium.

-Ja będę twoją główną damą dworu, oczywiście jeśli wyrażysz zgodę. - Urwała, a Mahart szybko skinęła głową. - Maja ci też towarzyszyć pani Famina z Domu Ranavice, który jak dotąd nie opowiedział się otwarcie po żadnej ze stron w naszym zadawnionym sporze o następstwo tronu, oraz pani Geuverir z Krutzu - jej ojciec jest bardzo lojalny w stosunku do Jego Księżniczki. Te dwie damy zaproszono na dziś i zostaną ci przedstawione. A czy pamiętasz panią Honore? - Zuta uśmiechnęła się złośliwie.

Mahart przypominała sobie te postaci z irytacją. Ta wyniosła dama przyjeżdżała do jej bawialni przed kilkoma tygodniami, wyraźnie dając do zrozumienia, że spełnia tylko swój obowiązek i że nie ceni wysoko osoby, której ma złożyć hołd.

-Pani Honora jest matką pani Geuverir. Mówi się, że pani Geuverir odziedziczyła niektóre cechy charakteru swojej rodzicielki - dodała dworka.

Mahart uśmiechnęła się szeroko.

-Bardzo ci dziękuję, Zuto, za to ostrzeżenie.

W odpowiednim czasie spotkała się ze swymi nowymi damami dworu.

Księżniczka uznała, że są przesadnie wystrojone. Zauważyła też, że pani Geuverir z ukosa, nieprzychylnie spojrzała na jej stroj. Podobny wyraz odmalował się na niesympatycznej twarzy pani Honory. Pani Famina miała okrągłe policzki i mokre od potu włosy nad czołem. Kiedy się odezwała w odpowiedzi na jakieś bezpośrednie pytanie, okazało się, że lekko się jąka.

Krótkotrwale, lecz bogate doświadczenie wyniesione przez Mahart z kontaktów z dworem, umocniło jej zdolność przeczuwania niektórych sytuacji, dlatego była pewna, że dworki pani Saylany na pewno zamiały te ostatnie dwójki. Mogła jednak liczyć na to, że przynajmniej Zuta przyciągnie wzrok obecnych - o ile nie skupi go na sobie bez reszty!

Uroczystość ta rzeczywiście była dla księżniczki próbą cierpliwości. Otrzymała, jak zwykle, po południu przed ostatnim dzwonem, tak że wielka sala tronowa oświetlana nie tylko lasem świec w wysokich stojących kandelabrach, lecz także promieniami zachodzącego słońca wpadającymi przez umieszczone pod sufitem okna.

Mahart nie włożyła co najmniej jednej trzeciej biżuterii, którą jej zalecano, ale nawet teraz, gdy zerknęła w swoje zwierciadło, pomyślała, że wygląda jak wystrojona mała mieszczka. Jej kremowa atlasowa suknie pokrywała jasnozłota siatka, w której lśniło mnóstwo brylantów. Szeroki naszyjnik z tych samych kamieni zasłaniał większą część szyi odsłoniętej przez wycięty nisko dekolty, a błyszcząca tiara ciążyła na głowie tak, że obawiała się o jej bezpieczeństwo. Unosiła więc głowę wysoko, by ta ciężka ozdoba nie zesliznęła się na podłogę. Ze wszystkich tych wspaniałości Mahart naprawdę cieszył się tylko zapachem wydobywającym się z otrzymanej niedawno od ojca, ozdobionej drogimi kamieniami buteleczki w kształcie rozkwitłej róży, najpiękniejszej, jaką miała w swojej kolekcji.

Zapach nowych perfum umocnił jej determinację, by ta właśnie uroczystość utkwiała obecnym w pamięci. Zuta szła o dwa kroki za nią, ubrana w swój ulubiony różowy kolor, a dalej kroczyły pozostałe dwie damy dworu tak przesadnie wystrojone w falbany, koronki i drogocenne kamienie, że Mahart szybko odwróciła od nich wzrok.

Weszła majestatycznym krokiem, którego uczyła się przez wiele godzin w swojej komnacie, odpowiedziała uniesieniem ręki na głęboki ukłon kanclerza. Później oparła dłoń na jego ramieniu i Vazul poprowadził ją po pięciu stopniach do księzkiego tronu. W tym momencie była wybrana przedstawicielką ich władcy, dlatego wszyscy zgromadzeni w sali tronowej słusznie okazywali jej szacunek.

Drugie krzesło, ustawione stopień niżej niż tron, było puste, lecz pani Saylana właśnie nadchodziła na czele licznego orszaku. Większość z towarzyszących jej osób wtopiła się w tłum czekających dworzaków, ale eskortowały ją trzy dojrzałe piękności, odziane w wytworne szaty.

Sama Saylana wybrała atlas na suknie, która miała białoszary kolor księżycowych promieni, a w przejrzystej, pokrywającej spodnią szatę siatkę polyskiwały rubiny. Szeroki naszyjnik z tych samych kamieni okalał jej szyję. Wysuwały się z niego niewielkie faldki tłuszczu i żadne kosmetyki nie mogły ukryć bruzd wokół ust i kurzych łapek w kącikach oczu. Oczy miała tak błyszczące i rozżarzone jak rubiny. Nie pochylila głowy, na której zdobne drogimi kamieniami przepaski podtrzymywały jej włosy. Patrząc przed siebie, z kpiącym uśmiechem na uszmiłkowanych ustach złożyła głęboki ukłon, który, jak się zorientowała Mahart, miał w subtelny sposób znieważać ją samą, czyli córkę uzurpatora. Kroczące za Saylaną

trzy odziane w szerokie suknie damy również uklonily sie zamaszyscie.

Wszystko to bylo bardzo meczace. Jeden z heroldow przyprowadzil kolejno do stop tronu co najmniej dwadziescia szlachetnie urodzonych panien, wymieniajac glosno imie i rod kazdej z nich. Mahart usilowala zmusic sie do zyczliwego i przyjaznego usmiechu i prawidlowo wymowic polglosem imie kazdej mlodej damy zgietej w mozliwie najnizszym uklonie. Musiala wysluchac i zapamietac te imiona, upewnic sie, ze nikt nie poczul sie urazony i zlekcewazony. Pozniej ta czesc uroczystosci wreszcie sie skonczyla i stojacy przy najdalszych drzwiach sali herold zapowiedzial przybycie dziedzicow poszczegolnych rodow.

Podczas tego nawalu obowiazkow Mahart udawalo sie ignorowac Saylane, teraz jednak zauwazyła, ze rywalka jej ojca nachylila sie nieco do przodu.

I nic dziwnego, bowiem pierwszym wystrojonym gogusiem, ktory stanal przed Mahart, byl Barbric, syn Saylany. Ten wysoki mlodziak trzymal sie niezdarne i mial obwisle usta - na pewno nie wygladal na ksiecia z dziewczeczych marzen. Ksiezniczce nie spodobal sie tez sposob, w jaki zerknal na nia, prostujac sie z uklonu - jakby byla lupem, ktory zamierzal zdobyc. W zamku krzaylo wiele opowiesci o Barbricu i zadna z tych, ktore opowiedziala jej Zuta, nie przysparzala mu chwaly. Ucieszylo ja, ze kuzyn odszedl na bok. Co do pozostalych, byli dla niej tylko twarzami, jedna lub dwie wydaly sie jej urodziwe, zas reszte Mahart, przyzwyczajona do widoku swego ojca i Vazula uznala za zbyt mlode.

Ceremonia wreszcie dobiegla konca i Mahart mogla opuscic sale tronowa, schodzac ze stopni, obawiala sie, ze nadeprnie skraj swojej dlugiej, szerokiej sukni. Wystarczy, ze sie potknie, by dla Saylany obecność na tej uroczystosci z obowiazku zamienila sie w przyjemność.

Po powrocie do swojej komnaty Mahart ostrzej niz dotad zwrocila sie do Julty:

-Uwolnij mnie od tego!

Sama juz sciagala tiare, gdyz nie watpila, ze wlasnie od niej tak rozbolala ja glowa. Potem musiala stac cierpliwie, gdy Julta i Zuta zdejmowaly z niej klejnoty i suknie. Tutaj, w swojej komnacie, gdzie nie bylo tak wiele zapachow, ktore moglyby go zacmic - gdyz odniosla wrazenie, ze wszyscy dworzanie i dworki zlali sie perfumami o kontrastujacych woniach - znow czula znajomy, orzezwiajacy rozany aromat.

W porzadku: odegrala role, ktorej wymagali od niej jej ojciec i Vazul. Czy osmieli sie poprosic o cos w zamian? Zuta powiedziala, ze mozna by wezwac zielarke na zamek. Ale, na Najjasniejsza Gwiazde, Mahart czula sie smiertelnie zmeczona tym luksusowym wiezieniem i obowiazkami, jakie nakladalo na nia jej pochodzenie!

Na Gwiazde! Kiedy siedzac na lawie czekala, az Julta i Zuta ponownie zaplota jej wlosy w warkocze, nowa mysl przyszla jej do glowy.

-Zuto - powiedziala zywo - czy bylas kiedys w klasztorze Gwiezdných Siostr? Wiem, ze goscinie przyjmują one tych, ktorzy szukaja odpowiedzi...

-Nigdy, Wasza Wysokosc. Ale... - zaszczytila Mahart przenikliwym spojrzeniem - ... kilka ksieznych i wysoko urodzonych dam odwiedzilo je w przeszlosci.

-Zatem to dozwolone! - wykrzyknela ksiezniczka. Dlaczego nigdy dotad o tym nie pomyslala? - Tak, poprosze mego ojca, by pozwolil mi tam sie udac. Byloby dobrze - poniewaz chce mi przekazac czesc swoich oficjalnych obowiazkow - zebym poznala te, ktora podobno wie o wszystkim, co sie dzieje na swiecie - ksienie Gwiazdy.

Vazul, z siedzaca mu na karku swoja ulubienica o ciemnym jedwabistym futerku, zlozil ksieciu gleboki uklon. Teraz, po wzieciu udzialu we wspanialej uroczystosci dworskiej, kanclerz w glebi duszy uznal wladce Kronenu za jeszcze chudszego i bez prezencji.

-No wiec?! - warknal ksiazce, gdy Vazul sie wyprostowal. - Jak poszlo? Czy zrobila glupcow ze mnie i z siebie i teraz pol dworu smieje sie z nas ukradkiem?

Kanclerz pozwolil sobie na lekki usmieszek zadowolenia.

-Wasza Ksiazeca Mosc, Jej Wysokosc wspaniale wywiazala sie ze swego zadania. Zachowala sie tak, jakby spelnila ten obowiazek juz wielokrotnie.

Ksiazce spojrzal na niego spode lba.

-Czy oczy i uszy, które oplacasz, zameldowały o jakichs późniejszych komentarzach?

-Tylko o bardzo pochlebnych, Wasza Książeczka Mosć. W dworskim stroju Jej Wysokość sprawiała wrażenie, że naprawdę dobrze czuje się na tronie.

Uttobric przesunął papiery, zawsze gromadzące się wokół niego.

-A wilczyca się pokazała?

-Jej Wysokość Saylana pojawiła się, jak należy, Wasza Książeczka Mosć. Uznała wyższą rangę twojej córki w najbardziej poprawny sposób. Ale wśród młodzieńców z wysokich rodów, których przedstawiono księżniczce, Barbric był pierwszy.

-Demonstrowała go jak nowego rumaka bojowego, prawda? O ile wiem, tylko w niewielkim stopniu przypomina z wyglądu swego ojca.

-W niczym, co można by dostrzec podczas takiej prezentacji,

Wasza Książeczka Mosć. - Vazul poglaskał swoją ulubienicę. - Na pewno nie wygląda na wodza dzielnych meżów.

-Jeżeli zdoła utrzymać się na koniu i pomachać mieczem, Saylana ogłosi, że jest prawdziwym synem swego bohaterskiego ojca! - prychnął książę. - A teraz... - pogrzebał wśród papierów, aż znalazł jeden, który zbliżył do oczu - ...widzę, że Nietoperz okazał się użyteczny jak zwykle. Ale dlaczego spóźnił się z tym meldunkiem? Och, usiadz, człowieku, masz chyba do opowiedzenia całą historię. - Skinieniem ręki polecił kanclerzowi siąść na drugie krzesło.

Uśmiešek zniknął z ust Vazula.

-Myśle, Wasza Książeczka Mosć - powiedział powoli - że mamy wśród nas jakiegoś Nietoperza, który służy innemu panu.

Książę hałasliwie zgniotł dokument, który trzymał w dłoni.

-Został pojmany? - spytał, podnosząc głos.

-Nasi wrogowie podjęli próbę, która prawie się powiodła. Nietoperz ma znajomych, a ci w razie potrzeby go ukryją. Należy do nich dobrze znana ci kobieta - zielarka Halwice. Ma własną siatkę informatorów. Bardzo dobrze przysłużyli się jej w przeszłości, gdyż nie wszystkie jej wyroby pochodzą z Kronengredu, lecz większości sprowadza zza granicy.

-Nietoperz otrzymał paczuszkę, która miał jej oddać, i poznał, albo tak mu się wydawało, umieszczona na niej pieczęć. Z tego właśnie powodu ukrył się w domu zielarki do chwili, aż zdoła skontaktować się z nią. Ale ktoś manipulował przy tym pakiecie. Kiedy Halwice go otworzyła, Nietoperz runął na podłogę jak martwy, a ona sama stała się bezsilnym więźniem we własnym ciele. Gdyby nie szczęśliwy traf, karczemna pomywaczka, która przyszła do niej po pomoc, zielarka zostałaby pojmana wraz z Nietoperzem przez strażników sędziego.

-To on zastawił tę pułapkę? - Twarz księcia poczerwieniała z gniewu. - Na Jasną Gwiazdę! - Walnął pięścią w stół. - Bez względu na prawo miejskie kazać wziąć go na przesłuchanie, aż wszystko wypieją!

-Sam sędzia był tylko narzędziem - wyjaśnił Vazul, krecąc głowę. - Przesłano do niego list, który miał wszelkie pozory autentyczności. Dotyczył napadu na sklep zielarki i nosił jej pieczęć lub jej lichą kopię. Dzięki temu jednak dowiedzieliśmy się czegoś... - urwał - ...niepokojącego. Gdzieś tam jest ktoś, kto zna się na ziołach, ale działa poza prawami gildii, których każdy jej członek przysięga przestrzegać. Halwice ostrzegła mnie o tym. Dwukrotnie, jeśli pamiętasz, rozpoznała niezamówione substancje wśród tych, jakie jej dostarczono. Halwice twierdzi, że ten atak był silniejszy, niż uważała to za możliwe. Jako osoba mająca do czynienia z napojami z ziół uodporniła się na znane trucizny, bo wie, że może się z nimi zetknąć. A jednak ta trucizna powaliła ją tak, jakby była całkowicie bezbronna. I udało się jej obudzić Nietoperza dopiero po długich i zmudnych próbach. Mówi otwarcie, że nie zdołałaby tego dokonać bez pomocy kuchy z karczmy.

Książę spochmurniał.

-A ta mogła zostać podstawiona.

-Halwice za nią poreczyła, Wasza Książeczka Mosć. Wiadomo, że ta dziewczyna nigdy nie miała kontaktów z ludźmi, którzy chcieliby nam zaszkodzić. Przed atakiem zarazy mieszkała z rodzicami, jej ojciec służył w straży granicznej i przez długi czas przebywał z dala od rodziny. Matka zaś była położna i do dziś ubolewają nad jej brakiem ocaleli z zarazy mieszkańcy Kronengredu. Jako sierotę zabrano ją do przytulku i arbitralnie przydzielono kucharce z Karczmy Wedrowców. To nieprzyjemne miejsce, ale straż grodzka nie może nic zarzucić karczmarce, zwłaszcza że jest krewną dziewczyny.

Karczmarka uwielbia dreczyć swoje ofiary i znęcała się nad sierotą od samego początku. Grozi teraz, że wyda ją za podejrzanego typa, którego ostrożnie obserwujemy, gdyż chce otrzymać opłatę ślubną. Dziewczyna uciekła do Halwice, ta zaś poddała ją próbie i odkryła, że posiada ona wrodzony talent do zawodu zielarki. Dlatego zwróciła się do sądu grodzkiego o przyznanie jej opieki nad dziewczyną i dzięki sugestii pewnej wysoko postawionej osobistości - tu Vazul się uśmiechnął - stało się to faktem. Nie, nie obawiaj się, panie, ona nie należy do tych, którzy tkają pajeczki sieci.

-Skoro tak mówisz... - Książę wzruszył ramionami. - Przejdźmy do nowin z zagranicy. To prawda, że książę Lorien posprzeczał się ze swoim ojcem, królem Hawknerem?

-Do tego stopnia - odparł Vazul - że wraz ze swymi zwolennikami - a wszyscy to wycwiczeni w rzemiosle wojennym mezwowie, niektórzy byli strażnicy graniczni - wycofał się do twierdzy Keesal.

Książę upuścił dokument, który trzymał, odsunął go na bok wraz z innymi, odsłaniając jakąś mapę. Wziął z biurka okrągłe szkło i przyłożył je do północno-zachodniego kranca mapy.

-W pobliżu granicy - skomentował.

-W pobliżu czegoś jeszcze, Wasza Książęca Mość - zauważył Vazul. - Spójrz na lewo od góry Nastor...

-Jest tam czerwona kropka - odrzekł Uttobric, a potem szybko podniósł głowę i spojrzał kanclerzowi w oczy. - To nora Czerwonego Wilka!

-Właśnie. - Vazul skinął głową z aprobatą. - Ostatnio Czerwony Wilk miał marne łupy. Ale odkąd wycofał garnizon z Krantzu...

-Musiałem to zrobić! - warknął książę. - Jeżeli nie zabezpieczymy głównych dróg przed rozbojnikami, kupcy znowu zaczną zadawać kłopotliwe pytania.

-Tak, Wilk zaczyna odczuwać głód, a księciu Lorienowi towarzyszy niewielki orszak. Czerwony Wilk jest na tyle zuchwały, że może zaplanować szybki atak na drugą stronę granicy. Prawdopodobnie sądzi, iż nikt nie będzie go ścigał i że wysłanie tam naszych sił zajmie sporo czasu.

-Mówisz, że ludzie Loriena to weterani, prawda? - Książę odchylił się w krzesle i potarł ręką podbródek.

-Książę Lorien nie jest berserkerem walczącym na wszystkich frontach - odparł kanclerz. - Dobrze jednak wiadomo, że podziwia czyny zbrojne i że dobrowolnie przez dwie kadencje służył ze strażnikami granicznymi. W rzeczy samej, jego spor z ojcem zaczął się od tego, że za długo przebywa poza dworem i ludzie zaczęli porównywać go z następcą tronu, który ma dość leniwe usposobienie.

-Sądziś, że moglibyśmy... - Książę pochylił się do przodu w krzesle.

-Warto się nad tym zastanowić - odparł Vazul, gdy nagle rozległo się niesmiałe stukanie w drzwi.

-Wejść! - zawołał książę, dostatecznie głośno, by go usłyszano. Drzwi uchylily się na tyle, żeby przepuścić pazia; chłopak miał szeroko otwarte oczy jak szczenię osaczone przez złe psy myśliwskie. Srebrna tacka, którą niosł, zadrżała, złożony papier omal nie spadł na podłogę.

-Do Waszej Książęcej Mości - podał list z ukłonem.

-W porządku, w porządku. Możesz odejść, chłopcze, nie wolno mi przeszkadzać.

Wdzieczny paz pospiesznie zamknął za sobą drzwi tak głośno, jakby nimi trzasnął.

Książę już rozwinał list. Zaczernieniał się jeszcze bardziej i rzucił go na biurko.

-Z kobietami zawsze tak jest. Nigdy nie można ich zadowolic. Vazul podniósł list, przeczytał kilka linijek znacznie spokojniej niż książę, a potem powiedział ku całkowitemu zaskoczeniu swego pana:

-Świetnie. Dobrze nauczyła się swojej roli. Wasza Książęca Mość, to prawda, że wszystkie damy z książęcego rodu spotykały się z księciem Domu Jasnej Gwiazdy. W istocie to one dostarczają funduszy dla ubogich. Tak, klasztor leży w obrębie murów miejskich, ale twoja córka, panie, uda się tam oficjalnie, pozwalając, by pospolstwo ją ujrzało. Położy to kres plotkom, że jest kulawa lub potwornie brzydka...

-Co takiego?! - Książe zaczerwienił się tak bardzo, że mogło to zaniepokoić postronnego widza. Poderwał się z krzesła i opierając zacisnięte pięści na biurku, pochylał się ku kanclerzowi. - Kto tak powiedział o mojej córce?! Polknij te wszystkie kłamstwa, gdy zadynda z muru północnego!

-Plotka tak głosi. Przyczyniły się do tego pewne osoby, które możemy nazwać po imieniu. Tak długo trzymałaś córkę w zamknięciu, że tylko nieliczni ją widzieli. Teraz, gdy przedstawiłaś ją dworowi i szlachcie, niech ją pozna i zobaczy twój lud.

Mahart siedziała, trzymając oburącz ten tak ważny dokument. Nie mogła jeszcze uwierzyć, iż fakt, że odważyła się zwrócić z prośbą do ojca, przyniósł jej tak wiele. Potarła teraz kciukiem jego pieczęć w dole krótkiego arkusza papieru i przeszła do drugiej fazy swego planu. Nigdy nie nauczyła się jeździć konno, pozostawałaby więc podróż w lektyce, której zasłony ukryją ją przed oczami przechodniów. Ale lektura ksiąg z zamkowej biblioteki dostarczyła jej argumentu przeciwko takiemu rozwiązaniu. Pielgrzymka - to jest to!

Oczywiście nie długa, trwająca wiele dni piesza wędrowka do gór na zachodzie, gdzie najpierw pojawia się na niebie Jasna Gwiazda. Nie, ale Mahart zna cytaty, który potwierdzał, że jej pierwsza podróż do najważniejszego klasztoru w państwie może być uważana za pielgrzymkę.

Z całą pewnością w przeszłości inne księżne i wysoko urodzone damy z książęcego rodu szły pieszo z zamku do klasztoru Gwiazdy i uważano za właściwe i odpowiednie, że dotarły do największej świątyni Kronenu w ten pozornie pokorny sposób. Mahart dobrze wiedziała, że ojciec nie pozwoli jej odbyć tej podróży samotnie - czyli kroczyć ulicami miasta, które w minionych latach widziała tylko z balkonu jako zgromadzenie dachów w dole.

Beda ją eskortować książęcy gwardziści. Orientowała się również, że jako uzbrojeni mężczyźni nie będą mieli prawa wejść na wewnętrzne dziedzińce klasztoru. Zabierze ze sobą Zuta - na szczęście nikt nie nalegał, aby dwie damy, które dodano do jej dworu, towarzyszyły jej codziennie. Zresztą, zaakceptowałyby nawet ich obecność, gdyby było to konieczne. Wątpiła jednak, czy któraś z nich jest dobrze znana za murami klasztoru.

-Pojde tam jako patniczka - wypowiedziała na głos swoją decyzję.

-Ależ Wasza Wysokość, Jego Książęca Mość nigdy nie pozwoli ci iść ulicami! - zaprotestowała szybko Zuta.

-Nawet ojciec nie może przeciwstawić się odwiecznemu zwyczajowi. Moja matka udala się w taki sposób do klasztoru, by spotkać się z księciem Gofrera przez wybuchem zarazy. Nie, pozwól, żeby Julta wybrała dla mnie szarą wierzchnią szatę i najskromniejszy z moich płaszczy. Myślę, że odbędzie ta pielgrzymka dzisiaj. - Zanim, do dała w duchu, jej ojciec zmienił zdanie.

Decyzja księżniczki na pewno wywołała poruszenie wśród osób tworzących teraz, odkąd zaczęła uczestniczyć w życiu publicznym księstwa, jej miniaturowy dwór. Ale precedens zwyciężył. W razie protestów Mahart mogła wymienić po imieniu niemal wszystkie damy z książęcego rodu, które zrobiły to w przeszłości. Musiała jednak odłożyć wizytę w klasztorze o jeden dzień, gdyż dowódca gwardii książęcej powiedział jej osobiście, że trzeba przygotować dla jej orszaku ulicę, którą będzie przechodziła.

-To konieczne, Wasza Wysokość. Ci, którzy żyją pod książęcym berłem, będą chcieli zobaczyć Wasza Wysokość i musimy przygotować się do odparcia naporu tłumów. Inaczej Jego Książęca Mość nie wyrazi zgody.

Spędziła dwa wypełnione nudą dni, przez cały czas obawiając się, że jej ojciec zmieni zdanie. Zuta, która potrafiła niezwykle zrećnie zdobywać informacje, doniosła, że w gabinecie księcia odbywają się ważne narady. Wysłano posłanców i podobno wezwano na przynajmniej jedną naradę starszych stopniem oficerów. Ponieważ wszystko to zdawało się nie mieć nic wspólnego z Mahart, pobłogosławiła w duchu sprawę, które po raz kolejny spowodowały, że książę zapomniał, iż ma córkę.

Wreszcie czwartego dnia, odziana w najskromniejszą suknię ze swojej garderoby, niosąc szkatułkę z darem, który siostry przeznacza na jałmużnę, po raz pierwszy w życiu postawiła stopę na ulicy Kronengredu.

Z obu stron widziała tłumy, jak przewidywał to dowódca gwardii. Ludzie powitali ją głośniejszymi okrzykami i przez chwilę lub dwie nie mogła uwierzyć, że to na jej cześć. Dzieci wierzycyły się i biegły wzdłuż brzegów dywanu tuż poza zasięgiem rak gwardzistów. Mahart zdała sobie sprawę, że z całego serca śmieje się z ich figli i że odważyła się usmiechnąć do mieszkańców miasta.

Był to świat całkiem odmienny od ponurego zaniku i cieszyła się wszystkim, co widziała. Wolano:

-Niech Jasna Gwiazda błogosławi Wasza Wysokość!

Orszak przebył już kilka ulic. Mahart dostrzegła przelotnie sklepy za plecami tłumów i zapagnęła odwiedzić je osobiście. Ujrzała jednak przed sobą - stanowczo za wcześnie - klasztor Gwiazdy.

Tu również czekał na nią tłum, lecz nie byli to dobrze ubrani, wyglądający na zamożnych ludzie, którzy wcześniej zgromadzili się, by wiwatować na jej cześć. Nie, tutaj stał zgięty niemal w połowę stary mężczyzna podpierający się dwoma kijami; kobieta, której suknia składała się z lat naszywanych na łące; ślepiec prowadzony przez małżonkę, żółtooką dziewczynkę, która wyglądała na zbyt młodą, by powierzono jej tak ciężkie brzemie - i im podobni nieszczęśnicy. Cofnęli się na widok gwardzistów, gdy Mahart podeszła do otwartej przed nią wielkiej bramy klasztoru.

-To zebracy - wyjaśniła Zuta, która stała tuż za księżniczką. - Przychodzą tu codziennie po chleb.

Mahart nie miała czasu na odpowiedź, nawet na uporządkowanie myśli o nieszczęśnikach czekających przed bramą. W odległości zaledwie kilku kroków od wrot stało wysokie, podobne do tronu krzesło. Siedziała na nim kobieta w szarej szacie i płaszczu z błyszczącym kryształowym wisiosem w kształcie gwiazdy na piersiach, i był od niej taki sam lub nawet większy majestat jak od władcy Kronenu podczas oficjalnych uroczystości.

Mahart przypomniała sobie to, co przeczytała o takich spotkaniach, i złożyła ukłon równie głęboki jak przed samym księciem podczas audiencji w sali tronowej.

Siedząca na bogato zdobionym krześle kobieta wyciągnęła srebrną rozdzkę, która sama zdawała się świecić, i księżniczka pocałowała kryształową gwiazdę na jej czubku.

Twarz ksieni, widoczna w fałdach zawoju zasłaniającego kompletnie jej włosy, była pomarszczona i pobrużdżona przez czas, lecz jej wargi rozchylił szczery i przyjazny uśmiech.

-Witam Wasza Wysokość w przybytku Gwiazdy - powiedziała zaskakująco serdecznym tonem. - Dobrze się stało, córko, że postanowiłaś przyjść do mnie.

Mahart odwróciła się lekko i podała szkatułkę innej zakapturzonej postaci w fałdzistej oponczy, której kaptur był tak bardzo nasunięty na twarz, że wcale jej nie widziała.

-To dla biednych - zaczęła księżniczka, a potem dodała bez zastanowienia: - Czcigodna ksieni, biedni właśnie czekają przy bramie. Niech nie ucierpią z powodu mojego przybycia. Pozwól mi również służyć tym, których skrzywdził los.

Ksieni skinęła głową. Mahart wyrwała rękaw z ręki Zuty i rozejrzała się wokół, a jej pozostałe dworki szybko się wycofały. Koło bramy stały teraz siostry, każda z koszem w dłoniach. Mahart, muskając w przelocie swoje damy dworu, machnięciem ręki wezwała gwardzistów.

-Cofnijcie się! - rozkazała. - Niech siostry zrobią to, co do nich należy, wedle praw nadanych nam przez Gwiazdę.

Mężczyźni wycofali się, choć z wyraźną niechęcią. Mahart sięgnęła do koszyka najbliższej stojącej siostry, wyjęła bochenek chleba i podała dziewczynce uczeponiej polatanej sukni kobiety. Dziecko chwyciło dar tak, jakby się obawiało, że zostanie mu odebrany. Matka ukłoniła się niezdarne.

-Niech Jasna Gwiazda otoczy cię swym blaskiem, Wasza Wysokość. - Patrzyła teraz na Mahart z wyraźnym zdumieniem i lekkiem.

-Ciebie również, dobra kobieto - odparła Mahart.

W ten sposób, na oczach tłumów w Kronengredzie, stało się jasne tego dnia, że córka księcia Uttobrica, o której krążyły ohydne plotki, ma piękną twarz, proste ciało i dobre serce. Rada Vazula okazała się skuteczniejsza, niż mogli przypuszczać.

5

Na dźwięk pierwszego dzwonu Willadene obudziła się w gnieździe uwitym z poscieli na składanym łożku. Posciel ta, czysta i pachnąca lawendą i koniczyną, zdawała się wygładzać jej skórę i zsyłać sny, w których nie czaiły się groźne cienie. Tak wiele się zmieniło w ciągu ostatnich dwudziestu dni - miała wrażenie, że przeszła przez jakieś drzwi do nowego, wspaniałego świata. Potarła dłonie. Kremy, przyrządzane przez Halwicę, szybko usuwały z nich drobne blizny i chropowatość skóry, dziedzictwo wieloletniej pracy w kuchni.

A wszystko zaczęło się od tego, że posłuchała rozkazów Halwicy i opuściła jej sklep tamtego ranka, który teraz wydawał się taki odległy. Biała wtedy, ale poszła wskazaną aleją, znalazła ruchome deski w płocie i w ten sposób przybyła do tego pobłogosławionego przez Gwiazdę miejsca.

Wsliznela sie do domu zielarki i natychmiast uslyszala glosy w sklepie, choc ukryty pod lawa w wewnetrznej izbie mezczyzna nadal tam przebywal. Cos wiecej niz zwykla ciekawosc kazalo Willadene odsunac lekko brzeg kotary i zajrzec do srodka.

Wprawdzie Halwice stala za lada, ale nadal sie jej trzymala. A mimo to jej glos byl tak silny i dzwieczny jak zwykle.

-Niestety nie, rzadco - mowila wlasnie zielarka. - Tak, od czasu do czasu otrzymujemy takie pachnidla zza morza. Ale jak sam dobrze wiesz, karawany kupieckie nie przybywaja teraz tak licznie jak niegdys - a wiekszosc tego, na co czekam, jest krucha i latwo peka. Niestety, nie moze ci sprzedac tego, o co prosisz na zyczenie twojej pani. - Postukala lekko palcem w szklany korek buteleczki w ksztalcie rozy. - Jego Ksiazeca Mosc juz to zamowil na imieniny swojej corki.

Mezczyzna wzruszyl ramionami. Mial na sobie ciemnoniebieska liberie, a na piersiach i plecach splecione srebrne symbole, ktorych Willadene nie mogla rozroznic.

-Jej Wysokosc dobrze placi. Slyszala tez, ze ty, pani, umiesz destylowac perfumy w pelni dorownujace zamorskim.

-Kazdy ma swoje zajecie, rzadco. Stworzenie nowego olejku lub perfum czesto wymaga lat pracy. Niestety, w Kronenie nie ma duzych ogrodow. Wiekszosc roslin, ktore sie tu uprawia, uzywana jest w medycynie i w kuchni. - Usmiechnela sie do rozmowcy niezbyt przyjaznie, jak trafnie osadzila Willadene. - Oczywiscie, jesli kiedys Jasna Gwiazda okaze sie dla mnie tak laskawa, ze znajde Wladce Serc, wtedy rzeczywiscie moglabym zaoferowac prawdziwy skarb.

-Wladce Serc - powtorzyl mezczyzna. - Modl sie, zeby tak sie stalo.

-Opowiesc o nim jest bardzo stara, obecnie niemal zapomniana - Halwice wzruszyla ramionami. - Kiedys mowilo sie, ze pewna poblogoslawiona przez Gwiazde uzdrowicielka przypadkiem znalazla kwiat o tak doskonałym ksztalcie, tak kojącym zapachu, ze zakonserwowala go w oleju, skutecznie chroniac przed dostepem powietrza. Przekonala sie tez, ze ci, ktorzy nan spojrzeli, musieli przychodzic raz po raz, wiec jej interesy szly coraz lepiej. Az wreszcie pod koniec roku zeslano jej sen, z ktorego sie dowiedziala, ze Wladca Serc nie moze byc zrodlem dochodow. Dlatego rankiem udala sie do Haskeru i zlozyla go w ofierze.

-W Haskerze!

-Ten klasztor, jak mowiono, zaatakowali w nocy rozbojnicy. Jego skarby zagrabiono, kaplanki Gwiazdy zas zginely od miecza. A wszystko to stalo sie ponad trzysta lat temu. Od tej pory nigdy nie znaleziono Wladcy Serc. Pozostaly jednak opowiesci o pewnej damie, ktora czubkiem palca dotknela oleju, w ktorym ten cudowny kwiat byl zakonserwowany. Podobno miala ona tak wielu zalotnikow, ze poslubila mezczyzne znacznie wyzszezo od niej stanem i malzonek byl jej wierny przez cale zycie. Ale to wszystko jest teraz legenda. A wracajac do twojej oferty, rzadco... Jesli dostane nastepne Tchnienie Roz, wysle wiadomosc do Jej Wysokosci Saylany. Daje ci na to moje slowo.

Widac bylo, ze musial sie tym zadowolic, choc marszczyl brwi gdy wyjal srebrne monety z sakiewki u pasa i rzucil je na lade. Ale ostroznie wzial do reki owiniety w papier pakiecik, ktory otrzymal od Halwice. Zielarka poruszyla sie dopiero po kilku chwilach od jego odejscia. Zwrocila glowe ku otwartym drzwiom, jak gdyby w jakis sposob mogla odprowadzic go wzrokiem poza mury domu.

Wtedy powoli podeszla do drzwi, zamknela je, a potem wywiesila na zewnatrz mala tabliczke. Dopiero kiedy dodatkowo zaryglowala wejscie, odwrocila sie w strone wewnetrznej izby.

Odsunela kotare i bez slowa skinela glowa na powitanie Willadene, jakby wiedziala, ze ja tam znajdzie.

-Zapal lampy - rozkazala. - Musimy wszystko dobrze widziec.

Dziewczyna pospiesznie wykonala jej rozkaz i po zapaleniu pieciu lamp wszystkie cienie zniknely. Widziala teraz dobrze skulone cialo pod lawa. Halwice powiedziala, ze mezczyzna zyje, ale na pewno sie nie poruszyl od chwili, kiedy Willadene wepchnela go tam z takim trudem.

-Wyciagnij go stamtad. - Zielarka osunela sie na taboret, pozostawiajac otwarta przestrzen na podlodze.

Latwiej bylo rozkazac, niz wykonac rozkaz, ale w koncu Willadene wyciagnela mezczyzne spod lawy, twarza do gory. W bardzo jasnym swietle lamp lepiej widziala jego oblicze. Uznala, ze jest znacznie mlodszy, niz poczatkowo przypuszczala, i dosc przystojny. Mial delikatne rysy, a jego skory nie pokrywaly plamy i pryszczki jak u Figisa w Karczmie Wedrowcow.

Halwice przyjrzala mu sie uwaznie, jakby byl skomplikowanym polaczeniem cenionych przez nia substancji. Westchnela.

-No, coz, wezmy sie do niego. Podejdz do skladanego loza, przycisnij dwukrotnie dlonia miejsce tuz za zasuwanyymi drzwiami, w strone tylnej sciany izby.

Willadene zawahala sie i przelotne dotad spojrzenie Halwice przeszylo ja jak noz.

-Co cie zatrzymuje, dziewczyno? Czas jest teraz naszym wrogiem.

-Pani, tak latwo wyjawiasz mi swoje tajemnice - odparla powoli Willadene. - A jeszcze nawet oficjalnie nie wstapilam do ciebie na sluzbe.

-Ale przeciez w glebi serca wlasnie tego pragniesz - powiedziala zielarka z usmiechem - i tego chcialas, prawda?

Kiedy Willadene energicznie skinela glowa, Halwice mowila dalej:

-Mozna temu zaradzic. Tak, wyjawiam ci moje tajemnice, ale robie to dlatego, ze - na Gwiazde! - wiem, z jakiego jestes tworzywa. Niektore z nas maja wrodzone zdolnosci. Jezeli naprawde chcemy sluzyc tak, jak nam przeznaczone, wtedy ich uzywamy...

-Na przyklad wechu - wtracila Willadene.

-Tak. Twój nos nadaje sie nie tylko do wachania tego, co znajduje sie obok ciebie we flaszce lub w dzbanku, garnku i misce, lecz takze czegos wiecej. Co poczulas dzis rano, gdy otworzylas drzwi?

-Zlo! - Slowo to wyrwalo sie z ust dziewczyny, zanim zdazyla sie zastanowic.

Halwice skinela glowa, najwyrazniej zadowolona z odpowiedzi.

-Wyczuwasz teraz cos takiego?

Willadene zbadala powietrze wokol siebie, przesycone takim bogactwem zapachow, ze dlugo by musiala wymieniac ich nazwy. Ale smrod, o ktorym wspomniala zielarka, zniknal.

-Rozumiesz? - Halwice nie czekala na jej odpowiedz. - Ja rowniez, z laski Gwiazdy, posiadam ten sam dar. Mozna ci zaufac; i bede musiala to zrobic, gdyz zostalas wciagnieta w sprawy jednoczesnie wielkie i niebezpieczne. A teraz przynies mi to, co znajdziesz w tamtej niszy.

Willadene zrobila, co jej kazano, i pozornie masywna polka ustapila, odsuwajac sie tak jak zewnetrzne drzwi szafy, w ktorej tkwilo skladane loze. Wewnatrz znajdowala sie niewielka skrzyneczka, z ktorej ulatnial sie jakis zapach. Willadene nigdy nie spotkala sie z czyms takim - byl ostry i silny, prawie jak swieza, szczypiaca solanka. Przyniosla skrzyneczke zielarce, ktora polozyla ja na kolanach przed otwarciem.

Tak jak polki w szafach sklepowych, wnetrze skrzyneczki podzielone bylo na wiele przegrodek, kazda z wlasna przykrywka, a do jej wieka przymocowano plaska, podobna do talerza tace, nie wieksza od dwoch zlozonych dloni.

-To - Halwice wysunela tacke z uchwytow - trzeba umiescic na jego piersi na wysokosci serca.

Willadene szybko to zrobila, baczac, by tacka lezala rowno. Tymczasem Halwice juz zabrala sie do otwierania przegrodek. Nad jedna czy dwiema zawahala sie i ponownie je zamknela, ale z przymocowanego do paska lancuszka odczepila inna, mala, lecz glebsza miarke i przyczepiona do niej lyzka wsypala do jej wnetrza najpierw odrobine tego, a potem tamtego...

Drazniacy ostry zapach stawal sie jeszcze mocniejszy, choc nie byl nieprzyjemny. Wrecz przeciwnie, zdawal sie rozjasniac w glowie, sprawil, ze Willadene w niespotykany dotychczas sposob lepiej postrzegala otoczenie.

Halwice wymieszala lyzeczka wsypany do miarki proszek. Poniewaz miala zajete rece, wskazala ruchem podbrodka.

-Pod poduszka jest woreczek. Przynies go!

Woreczek byl mniejszy od sakiewki i wypelnialo go cos, co w dotyku przypominalo kamyki.

-Otworz - Halwice nadal mieszala - ale uwazaj.

Willadene rozwiazala sznurek i wytrzasnela na dlon przedmioty, ktore zalsnily w swietle lamp, jakby swiecily wewnetrznym blaskiem. Byly to drogie kamienie, ale zaden nie zostal oszlifowany. Wygladaly jak odlamki wiekszych sztuk,

które specjalnie roztrzaskano.

-A teraz - Halwice przysunęła nieco bliżej stół, na którym siedziała - musisz ułożyć z nich bezbłędnie pewien wzór, dokładnie tak, jak ci powiem, gdyż można to zrobić tylko dwukrotnie. Odszukaj dwa białe kryształy i umieść je nad czubkiem głowy Nicolasa.

Willadene wykonała polecenie; poznała przynajmniej imię nieznanego mężczyzny.

-A teraz wybierz niebieskie i umieść każdy z nich w połowie odległości między tymi, które już ułożyłaś - mówiła dalej zielarka.

Na samym końcu Halwice wyciągnęła w stronę dziewczyny miarke, której zawartość przez cały czas energicznie mieszała.

-Strasnij to wszystko na leżącą na sercu tacę, ale ostrożnie. Nie może zbyt szybko się rozsypać.

Dziewczyna zrobiła dokładnie to, co jej polecono. Proszek nie buchnął na boki, jak powinna się zachować każda podobna do popiołu substancja, lecz utworzył niewielki stosik.

-Poszukaj teraz gwiazdzistego kryształu - rozległ się następny rozkaz. Wykonała go posłusznie.

Kryształ ten nie był taki niekształtny jak pozostałe i miał gładziej brzozy, a w jego środku znajdowało się jądrow w kształcie gwiazdy.

-Włóż go do proszku!

Willadene posłuchała. Stało się tak, jakby przyłożyła do proszku zapalniczkę, gdyż zaczął się z niego unosić dym. Na wysokości dłoni nad wzniesieniem rozdzielił się na sześć równych smug i każda z nich dotknęła jednego klejnotu.

Ostry, ożywczy zapach sprawił, iż Willadene wydało się, że mogłaby, gdyby zechciała, unieść się z podłogi, na której przycupnęła, i pofrunąć wysoko ponad światem, który zawsze znała. Halwice znowu coś mówiła, ale nie wydała jej żadnego rozkazu.

Głos zielarki unosił się i opadał w śpiewie podobnym do piosenki; nie potrzebowała harfy, by utrzymać melodię. Słowa były dziwne i czasami zlewały się w jękiwym zawrocie. Tymczasem aromatyczny dym utkał chmurę zasłaniającą prawie połowę leżącego nieruchomo ciała. Willadene już nie widziała twarzy mężczyzny. Halwice, kołysząc się lekko, nie przestawała śpiewać. Dziewczyna dostrzegła przełomie wyraz twarzy zielarki. Halwice najwyraźniej była bardzo zmęczona, ale dziewczyna nie osmieliła się jej pomóc.

Dym, z którego powstał całun zasłaniający ciało mężczyzny, znowu się poruszył. Willadene była pewna, że zauważyła mgliste macki cofające się do jego źródła. I miała rację. Ale na srebrnej tacy nie pozostało nic, ani śladu spalenizny. I blask drogich kamieni przygasł.

Halwice zwiesiła głowę, jakby nie miała siły utrzymać jej prosto. Willadene bez rozkazu zebrała klejnoty i z powrotem wysypała je do woreczka. Potem głowa mężczyzny o ciemnych włosach poruszyła się, a szare jak stalowy brzeszczot oczy spojrzały groźnie na dziewczynę.

-Na Rogi Gratcha, kim jesteś? - syknął cicho, niczym kot rzucający wyzwanie rywalowi.

Willadene pośpiesznie się skuliła, gdy mężczyzna oparł się na łokciach i prawie usiadł. Rozejrzawszy się po izbie, zauważył Halwicę i znieruchomiał w tej niezdarnej pozycji. Potem znowu odwrócił głowę, by spojrzeć na Willadene, która nagle uświadomiła sobie, co widzi nieznanemu - brudna, odziana w lachmany kuchenna pomywaczka. Później poruszył się niesłychanie szybko. Zanim zdążyła się cofnąć, chwycił ją za włosy i pociągnął do góry, sprawiając dziewczynie ból. Ostrożnie zbadał wzrokiem izbę i trafił na zielarkę.

-Co ty tu narobiła?! - Szarpnął Willadene za włosy i wbił w nią groźne spojrzenie stalowoszarých oczu.

-Zostaw ją! - Halwice wyprostowała się na stolku. - Zawsze zbyt szybko szukasz odpowiedzi. Kiedy zrozumiesz wreszcie, że to głupota, Nicolasiu. Puszcz Willadene! Gdyby nie jej pomoc... Ile czasu może przeżyć człowiek pograżony w Głębokim Śniegu?

-Co ona tutaj robi? - zapytał Nicolas, ale rozluźnił uścisk i dziewczyna zdołała uwolnić głowę i cofnąć się od tak niebezpiecznego sąsiada.

-Taka była wola Jasnej Gwiazdy - odparła Halwice ostrym tonem dorosłej osoby rozmawiającej z dzieckiem. - Gdyby z woli Gwiazdy nie przyszła do mojego sklepu, oboje ugrzeźlibyśmy w sieci tej zmił. - Szybko opowiedziała, co odkryła Willadene i jakie wysiłki dla ich ratowania podjęła od tamtej chwili. Dziewczyna chciała wtrącić, że obchodziło ją tylko dobro Halwice, a nie tego gburą.

-Przyniosłem paczkę od Arwana, jak zwykle. Spotkał się ze mną w karczmie Na Rozstajach na granicy i pokazał mi pieczęć, gdyż wiedział, że udaje się do Kronengredu. Wszystko było jak zawsze... - Potem urwał i zmarszczył brwi. - Oni się mną posłużyli, prawda? - Arwan... - Oparł rękę na rekojesci wiszącego u pasa noża, który był znacznie dłuższy od używanych do jedzenia.

-W odpowiednim czasie dowiemy się, jaką rolę odegrał w tym wszystkim Arwan. - W głosie Halwice nadal brzmiało zniecierpliwienie. - Najważniejsze jest tu i teraz. Przeszedłeś przez granice z pewnym posłaniem. Już wtedy byłeś spóźniony, na długo po pierwszym dzwonie. Proponuję, żebyśmy zaczęli wszystko we właściwej kolejności. A to, jak sadzę - sięgnęła między piersi i wyjęła pieczęć w kształcie monety, którą Willadene znalazła na podłodze - należy do ciebie. Lepiej ruszaj dalej swoją drogą.

Wyglądało jednak na to, że Nicolas nie chciał posłuchać polecenia Halwice.

-Ta dziewczyna... - Jeszcze raz utkwil wzrok w Willadene.

-To moja sprawa, Nicolasie. Ostrzegam cię, nie należy igrać z losem. A teraz już idź.

I mężczyzna odszedł, nie przez sklep, lecz tylnymi drzwiami przez pełen ziół ogród, najwyraźniej szukając tej samej furtki, przez którą wcześniej weszła Willadene.

-Nicolas dobrze służy swemu panu - zaczęła zielarka po jego odejściu. - A teraz... zapomnij o nim!

Willadene zamrugła i skinęła głową. Palila ją ciekawość, ale miała dość rozsądku, by wiedzieć, że nie jest to odpowiednia pora na zadawanie pytań. Halwice zmierzyła ją spojrzeniem od stóp do głowy i dziewczyna znowu uswiadomiła sobie, jak niechlujnie w tej chwili wygląda.

-Przynies kociol, ten największy - Halwice gestem wskazała na ognisko - i postaw go na ogniu. Więc Jacoba chciałaby otrzymać za ciebie opłatę ślubną od Wyche'a? To można szybko załatwić. Dla twojego własnego dobra, dziewczyno, musisz się znaleźć pod moją opieką. Ponieważ są tacy, którzy zapłaciliby złotem za informacje o tym, co tu się stało, gdyby usłyszała to właściwa osoba.

Willadene zesztywniała. Nicolas mógł być szpiegiem - niewykluczone nawet, że i Halwice też tym się trudni - ale ona sama nie jest papłą i nigdy nią nie była. Wie też - dzięki swemu tajemniczemu darowi - że w siedzącej naprzeciw niej kobiecie nie ma zła i że cokolwiek zrobiła ona wcześniej, zawsze może to wyznaczyć Jasnej Gwiazdzie i nie lekac się wyrzutów.

-Tak - ciągnęła Halwice. - Obie należymy do tego samego rodzaju ludzi, dziewczyno, tylko że ja zostałam zahartowana jak doskonały orez przez kowalę, natomiast ty jesteś tylko nieobrobionym surowcem. Wiem, że od dawna chciałaś przybyć do mnie, ale z pewnego powodu nie mogłam zwrócić złości Jacoby przeciwko nam obu. Dzisiaj wszystko się zmieniło. Przynies mi teraz jedną z małych miarek i trzecią butelkę z lewej na drugiej półce w pobliżu wystawy.

Po powrocie Willadene Halwice spróbowała wziąć od niej oba przedmioty, ale ręce zielarki drżały tak bardzo, że nie zdołała ich bezpiecznie utrzymać.

-Starość przychodzi do nas wszystkich - powiedziała Halwice smutno, jakby myślała na głos. - Weź to, nalej płynu z butelki do miarki, aż do linii wydrapanej na szkle. Zrób to!

Dziewczyna współczująco kiwnęła głową i tak ostrożnie, jak podpatrzyła to u zielarki przyrządzającej wszystkie mieszanki, nalęła tylko parę kropel zielonkawego płynu do miarki. Otoczył ją świeży, orzeźwiający zapach, którego nie umiała nazwać, zapagnęła jednak, by zmyć z jej ciała wszelki brud, każdy siniak, każdą bliznę, czuła bowiem, że jest on w stanie właśnie to zrobić.

Halwice ujęła miarkę drzącymi rękami i przyłożyła do ust. Wypiła wszystko, do ostatniej kropli. Później przez moment siedziała spokojnie, a potem wstała tak energicznie, jak zawsze to robiła na oczach Willadene.

-No, dobrze. - Wyjęła butelkę z rąk dziewczyny. - Teraz możemy zająć się własnymi, nie cierpiącymi zwłoki sprawami.

Postawiła butelkę ostrożnie na stole i podeszła do kufra tak starego, że czas starł z niego niemal wszystkie malowane wzory.

Kiedy podniosła wieko, buchnął stamtąd zapach ziół używanych do ochrony odzieży przed molami i pleśnią. Halwice wyjęła pek ubran przewiazanych wąskim paskiem materiału. Położyła je na stole, a potem wskazała na bardzo dużą i głęboką miednicę, oparta o tylną ścianę izby.

-Nie potrzebuje pomywaczki - oświadczyła Halwice. - Ci, którzy mi służą od czasu do czasu, lepiej wyglądają. Weź wrzatkę z kotła, dolej zimnej wody z wiadra i zobaczmy, co się kryje pod tym wszystkim, co się teraz do Ciebie lepi. A potem ubierz się w to. - Uderzyła rekaw odzieży. - W tamtej skrzyneczce jest mydło. Wymyj nim porządnie zarówno ciało, jak i włosy. Nikt z takim wechem jak Twój nie zechce pozostać w równie kiepskim stanie. Ja idę do sklepu. Za długo był zamknięty. Zbliża się południowy dzwon, a kiedy mam coś do załatwienia, rzadko wychodzę później.

Halwice podwiązała kotare, Willadene zaś zabrała się do wykonywania jej rozkazów. Choć głęboka miednica nie była wanna, w której mogłaby się kąpać szlachcianka, dziewczyna przekonała się, że może przykucnąć w wodzie. Dołączyła wrzatkę z kotła i zabrała się do tak gruntownego mycia miękkim mydłem ze skrzyneczki, na jakie nie mogła sobie pozwolić od lat. Umyła włosy raz, a potem drugi, i przypominała sobie czasy, kiedy - tak jak teraz - nie musiała oszczędzać ani wody, ani mydła.

Obok znalazła szorstki recznik. Wytarła się nim do sucha i podeszła do małego ognia, wstydząc się popekanej skóry na rekach i wijących się na nich szarych linii brudu, którego, choć bardzo się starała, nie zdołała zmyć. Wśród podanych przez Halwicę ubrań znalazła koszulę dostatecznie szeroka, aby mogła otulić jej ciało. Później włożyła bluzkę z krótkimi rękawami przeznaczoną dla osoby, która potrzebuje przy pracy pełnej swobody ruchów. Bluzka była ozdobiona zieloną wstążką i Willadene pogładziła palcem tę ozdobę. Na samym końcu przyszła kolej na spodnice, faldzista i nieco za szeroka w pasie, ale dziewczyna przewiązała ją tym samym paskiem materiału, który przytrzymywał podarowane przez Halwicę ubrania. Były czyste, pachnące suszonymi kwiatami. Płatki rozsypywały się w powietrzu, kiedy Willadene wyciągała po kolei wszystkie części stroju.

Tak zaczęło się jej życie w sklepie i w domu Halwice. I zdaniem Willadene dorównywało ono żywotowi w jasności i pięknie, jaki Gwiazda obiecała swym wyznawcom.

Oczywiście, pojawił się wysłannik sędziego. Willadene i Halwice zostały wezwane, by stawic czoło majestatowi prawa, które dotychczas stało po stronie Jacoby. Ale ku zdumieniu dziewczyny karczmarka przycichła, ukrywając gniew, nawet jeżeli nadal w niej szalał. Usiłowała udowodnić, że Willadene jest zareczona, ale po kilku podchwytliwych pytaniach prawda wyszła na jaw i okazało się, iż dziewczyna nie miała w tej sprawie nic do powiedzenia.

Po raz ostatni widziałam Jacobę, pomyślała Willadene z ulgą i poczuciem, że wreszcie uwolniła się od przytłaczającego ją brzemienia. Odeszła razem z Halwicę, a dwóch sędziów grodzkich - jeden z dzielnicy Jacoby, drugi zaś ten, który czuwał nad utrzymaniem pokoju w tej części Kronengredu, gdzie mieszkała zielarka - potwierdziło, że wedle prawa jest teraz jej uczennica.

Podczas tego spotkania stało się jasne, że Halwice jest ważną osobą w Kronengredzie i akceptuje się jej słowo bez zastrzeżeń.

Jednak w następnych dniach pytania, które nawet sama sobie w głębi duszy bała się postawić, od czasu do czasu nie dawały dziewczynie spokoju. W sklepie panował ruch, obcy kupcy lub ich pomocnicy przybywali co jakiś czas, dostarczając towary daleko spoza granic Kronenu. Niektóre Willadene z czasem uznawała za wyjątkowe. Dwa z nich dostarczono pewnego razu po zapadnięciu zmroku tylnym wejściem i ci, którzy je przynieśli, po otrzymaniu zapłaty szybko ukryli ją pod ubraniem. Większość z tych gości prawie nie zdawała sobie sprawy z obecności dziewczyny, która siedziała cicho jak mysz pod miotłą, zajmując się sortowaniem towarów, naklejaniem etykietek lub po prostu robiąc porządek w sklepie.

Choć bardzo usiłowała usunąć się w cień, ich mieszkanie było niewielkie i nie pozwalało na zachowanie prawdziwej prywatności, mimo woli więc słuchała. Kontakty Halwice z wieloma z tych gości wydawały się Willadene bardzo tajemnicze i pozbawione sensu, lecz do żadnego z nich nie łągał charakterystyczny dla zła silny smród zgnilizny.

Nicolas pojawił się dwukrotnie - raz otwarcie w sklepie, a nosił wtedy piękny ciemnoczerwony kaftan z herbem kanclerza na piersi i na plecach - ze zwykłym zamówieniem na lek, który działa uspokajająco na nerwy i pozwala zasnąć. Spochmurniał, kiedy Halwice gestem poleciła Willadene, by odmierzyła odpowiednią dawkę. Widac było, że wciąż jeszcze nie dowierza tej dziewczynie.

-Słyszałam, że Jej Wysokość Mahart świetnie się spisala na ostatniej uroczystości dworskiej - powiedziała Halwice. - Jest dostatecznie urodziwa i zdaje się dobrze sobie radzić z obowiązkami, jakie nakłada na nią jej pozycja społeczna.

-Tak, to było ładne przedstawienie - prychnął Nicolas. - O ile wiem, nawet jasnie wielmożna pani Saylana niewiele mogła jej zarzucić. Ale prawda jest jedna, pani: chociaż Jego Książęca Mość doszedł do władzy kreta ścieżką, zrobi wszystko, by

ja utrzymać. A dziecko mogło odziedziczyć to, co ma w sobie jego ojciec.

-Czy pani Zuta nadal jest jej prawa reka? Nicolas zmarszczył brwi.

-A jak mogłoby być inaczej? Jego Książęca Mosk trzymał z dala od swojej córki wszystkie inne damy. Ale pozycja pani Zuty jest taka sama jak pana kanclerza - będzie im się dobrze wiodło tylko wtedy, gdy Jego Książęca Mosk pozostanie u władzy i nie przestanie darzyć ich łaskami.

-Za granicy docierają jakieś dziwne opowieści - ciągnęła spokojnie Halwice. - Podobno tamtejsza rodzina królewska również ma swoje problemy.

-Kronenu to nic nie obchodzi. - Nicolas wzruszył ramionami. A potem nagle zmienił temat rozmowy. - Czy to prawda, pani, że istnieją zapachy, które mogą usidlić człowieka, nie zabić go, tak jak próbowano tu uczynić, ale zmusić do działania na czyjąś korzyść bez jego wiedzy?

-Mówi się, że istnieją... To kobieca bron... - odrzekła zielarka.

Nicolas wyszczerzył zęby w bardzo nieprzyjemnym uśmiechu.

Halwice nie odrywała od niego wzroku, aż uśmiech znikł z jego twarzy.

-Kto jak kto, ale ty dobrze powinieneś wiedzieć, co to znaczy wpasć nawet w najmniej niebezpieczną z takich pułapek. Na twoim miejscu dobrze bym się zastanowiła nad taką możliwością.

Nicolas znowu się uśmiechnął, lecz tym razem był to prawdziwie młodzieńczy uśmiech.

-Dobrze, dobrze, zawsze krąży plotki, które mogą zmylić człowieka... Kto miałby w nie wierzyć? Moj pan dziękuje ci za twoje usługi...

W międzyczasie Willadene starannie wypchała ziołami poduszczykę, a teraz właśnie mazala ją klejem, który nigdy nie pozwoli jej rozerwać. Później przesunęła ją po ładzie w stronę Nicholasa.

Książęcy szpieg wybrał się w następne odwiedziny trzy dni później, tym razem w nocy, i cicho zastukał do tylnych drzwi. Willadene spojrzęła na zielarkę i na jej znak otworzyła zasuwe. Nicolas nie miał na sobie dopasowanego, pięknego kaftana z herbem kanclerza. Zamiast tego długa czarna oponcza z odrzuconym do tyłu kapturem otulała go od podbrodka aż do kostek.

Halwice bez słowa podeszła do jednej z szafek i wyjęła stamtąd sakiewkę zbyt wypchana, by mogły się w niej kryć pieniądze; nic w tym woreczku nie zabrzeczało, gdy wzięła go do ręki. Nicolas chwycił sakiewkę i ukrył pod oponczką.

-Granica? - Nie było to stwierdzenie, lecz raczej pytanie.

-Pani, nikt nie może dobrze wysledzić nocnego ptaka - roześmiał się Nicholas, niemal tak radosnie jak dziecko, które chce splatać figla. - Jeśli temu oto się powiesz, wkrótce usłyszysz dziwne wieści...

I odszedł bez pożegnania. Halwice powoli usiadła na krzesle, na którym wcześniej uwieziły ją czary, a potem z powrotem zaciągnęła do sklepu. Pokiwała głową nie nad Willadene, lecz nad czymś, co tylko sama mogła dostrzec.

-Oby blask Gwiazdy oświetlił mu drogę! Można tak grać z losem, ale nie zawsze. - Westchnęła, a potem zwróciła się bezpośrednio do Willadene. - Przynies mi księgę, która stoi w najdalszym końcu polki wiedzy, ale uważaj: jest tak stara, że pewnego dnia może rozsypać się w proch w czyichś rekach.

Willadene szybko posłuchała. Księga dziwnie pachniała rozkładającą się starą skórą i pergaminem. Wydzielała też mieszankę innych zapachów, których dziewczyna nie zdążyła zidentyfikować, gdyż Halwice wzięła ją od niej i położyła na stole między dwiema lampami, tak że ich blask padał na kruche karty. Zielarka przerzucała je ostrożnie.

-Można tylko spróbować - mruzczała, szukając czegoś. - Och, idź do łóżka, Willadene. Będę się zajmować tą sprawą przez pol nocny.

I znowu, choć pytania cisnęły się jej na usta, dziewczyna posłuchała.

calym Kronengredem i jestem pewny, ze wiekszosc mieszkancow miasta pobiegla tam, by sie na nia gapic! Vazul sciagnal wargi, a jego ulubienica wydalala cichutki, szczebiotliwy dzwiek, lezac w swojej ulubionej pozycji wokol szyi kanclerza. Czasami - Vazul uzbroil sie w cierpliwosc i wysilkiem woli pohamowal irytacje - Uttobric niemal doprowadzal czlowieka do szewskiej pasji.

-Wasza Ksiazeca Mosc... - starannie dobieral slowa - stalo sie akurat odwrotnie. Jej Wysokosc, zamiast sprzeciwic sie twojej woli, odegrala swoja role tak dobrze, jak gdyby cwiczyla sie w niej od dzieciinstwa. Wlasnorecznie nakarmila glodnych, tak jak czynia to pobożne siostry z klasztoru Gwiazdy. Niewiele kobiet z jej rodu uczynilo tak w przeszlosci, ale wszyscy, ktorzy to widzieli, uwierzyl, ze dobro Kronenu lezy jej na sercu.

Ksiazce zmarszczyl brwi; rozchmurzyl sie dopiero po dluzszej chwili.

-Co o tym mowi dwor? - zapytal. - Czy szepcza po katach, iz panna z ksiazeczego rodu tak zapomina o swojej pozycji, ze zadaje sie z zebakami?

Vazul westchnal w duchu, ale odpowiedzial pojednawczym tonem:

-Wasza Ksiazeca Mosc, czy juz od ponad roku nie slyszymy poglosek o tym, ze twoi przeciwnicy potajemnie zastawiaja sieci, chcac zrzucic cie z tronu? I gdzie jest armia, ktora mogliby wezwac? Ktoz zdolalby zebrac dostatecznie duzo pieniedzy, by sprowadzic nawet jedna kompanie najemnikow? I jak wszyscy wiedza, moga oni wystapic przeciwko swoim zleceniodawcom, jezeli ci nie placa im tak, jak obiecali. W takim razie twoi wrogowie znalezlby poparcie tylko u niezadowolonych, niesfornych Kronenczykow i nocnych zbojow z samego Kronengredu. W kazdym miescie sa tacy, ktorzy wywoluja rozruchy w nadziei na lupy. Jak dotad poddawalismy dokladnemu badaniu wszystkich cudzoziemcow przybywajacych do stolicy. Wiekszosc z nich to uczciwi kupcy. Tych pragniemy zachecac, gdyz nasze istnienie zalezy od handlu. Ale... - pochytil sie lekko do przodu i wyciagnal zza pasa zwiniety papier, ktory rozwinal tak, zeby do niego zerknac - wiemy tez, ze sa tacy, ktorzy przedostaja sie przez nasze bramy w obie strony i ze w samej stolicy przebywaja osoby majace powiazania z rozbojnikami. W ubieglym roku piec malych karawan zniknelo tak, jakby zapadly sie pod ziemie, a ataki na dwie wieksze, lepiej strzezone, odparto za cene ludzkiego zycia i co wiecej, dzieki przekonaniu tych kupcow, ze jestesmy dostatecznie silni, by ich chronic. Musimy utrzymac to miasto. Tak jak laskawie poczyniles ustestwa dla najpoteczniejszych kupcow i zaakceptowales tez - przynajmniej na pokaz - sugestie sedziow grodzkich, tak samo twoj lud powinien wierzyc, ze jego dobro lezy ci na sercu. Dlatego postepok Jej Wysokosci Mahart w klasztorze Gwiazdy - a zapewniam cie, panie, ze wieści o tym lotem blyskawicy rozeszly sie po miescie i zostaly nawet ubarwione - przysluzyl ci sie rownie dobrze, jak oddzial gwardii wychodzacy z zamku. Wasza Ksiazeca Mosc, powtarzam, ze Jej Wysokosc jest obecnie twoja najlepsza bronia i powinienes dobrze ja wykorzystac. Za dwadziescia dni sa jej urodziny - uczyn z nich wielkie swieto; niech Jej Wysokosc pojawil sie, by podziekowac ci za twoja wielkoduszosc. Ksiazce przeniosl wzrok z waskiej twarzy swego kanclerza na sciane, gdzie na wyblaklym gobelinie przedstawiono zwyciestwo odniesione na dlugo przed jego urodzeniem.

-A wiec dobrze: uczta, jalmuzny... wszystko jak zwykle, przypuszczam - powiedzial niechetnie. - Moja corka i ja udamy sie do opactwa Gwiazdy, zlozimy dzieki... Zdajesz sobie sprawe, jaka dziure to pozostawi w mojej sakiewce?! - burknal na zakonczenie.

-Ale za to zostanie przeprowadzone tak, jak nalezy - obiecal Vazul. Jezeli mial cos dodac do tej obietnicy, uniemozliwila mu to jego ulubienica, ktora cwierkala tak glosno, ze ksiazce rowniez dobrze ja slyszal.

Zwierzatko okrecilo sie wokol ramienia Vazula i jego spiczasty wasaty pysk zwocony byl teraz w strone sciany. Z niezwykla u niego szybkościa kanclerz zerwal sie na nogi, podbiegl do sciany z wyciagnieta reka i nacisnal palcami w pewien szczegolny sposob.

Bezdzwiecznie - zamek byl dobrze naoliwiony - jakas plyta odsunela sie, odslanjajac otwor, przez ktory moglby przejsc rosly mezczyzna, gdyby zgial sie wpol jak nowo przybyly. Nieznajomy wyprostowal sie na cala swoja wysokosc; byl wyzszy od ksiecia i nieco nizszy od Vazula. Odsuwajac lekko oponcze, nakreslil w powietrzu powitalny znak, ale nie okazal w inny sposob szacunku dla osob, z ktorymi teraz przebywal.

-Ksiazce Lorien dotarl do domku mysliwskiego - zameldowal. - Dwie noce temu zabito tam pasterza nad nasza granica. Jego stado rowniez wybito, a czyn ten na pewno wzburzy wiesniakow po obu stronach granicy. Zdaje sie, ze Czerwony Wilk wyprawil tez uczte na czesc ktoregos ze swych kompanow.

-To znaczy czyja? - zapytal ksiazce. - Szlachcica czy kogos nisko urodzonego?

-Nikt tego kompana nie widzial, gdyz przebywal on w kwaterze Wilka, a nikt sie tam nie zapuszcza bez rozkazu tego prowodyra. Czerwony Wilk rzadzi za pomoca bata i pala.

-Jeszcze rzadzi - sprostował spokojnie Vazul. - Utrzymywac zelazna discipline wsrod takich ludzi jak jego podkomendni umie tylko czlowiek o niezwyklej osobowosci. Czy nie mozna bylo zidentyfikowac owego goscia? - zwrocil sie teraz do przybysza.

-Kancelerzu, jade w tym celu dzis w nocy. Siatka jest jak zawsze na miejscu, dobrze rozmieszczona.

Po raz pierwszy kwasny usmiech wykrzywil wargi Uttobrica.

-Powodzenia! - powiedzial na pozegnanie.

Kiedy plyta zamknela sie za gosciami, ksiaze zwrocil wzrok na Vazula.

-Obdarzasz tego swojego Nietoperza niebywalym zaufaniem. Czy nie skarzyles sie zawsze, ze zaufanie bardzo oslabia czlowieka?

Vazul glaskal grzbiet swojej ulubienicy.

-Wasza Ksiazeca Mosc, Nietoperz ma wazne powody, by nienawidzic tak jak my. Prawdziwe jest powiedzenie, ze ten, kto ma tego samego wroga, w pewien sposob staje sie naszym towarzyszem.

Tak, ufam temu nocnemu wedrowcowi, poniewaz nie tylko pali go zawzieta nienawisc, ale takze nauczyl sie ja kontrolowac i moze wykonac jak najlepiej to, czego sie od niego wymaga. Ksiazce przygladal sie teraz kancelerzowi w zamysleniu.

-Trzymam cie na tym stanowisku, Vazulu, poniewaz w przyszosci, bez wzgledu na to, jaka ona bedzie, czeka nas taki sam los. Powiedz mi teraz, kiedy juz wyjasniles znaczenie, jakie moja corka ma dla powodzenia naszych planow, czy w jej otoczeniu jest jakas zaufana dworka, ktora ktos moglby naklonic do zdrady w razie potrzeby?

-Wasza Ksiazeca Mosc, glowna dworka, w istocie jedyna w ciagu ostatnich czterech lat, ktora sluzyla Jej Wysokosci, jest Zuta z Lakley.

-Z Lakley? Ale ona jest krewna Darmonda?

-Jest ofiara chciwosci pana Darmonda - odparl spokojnie Vazul. - Wedle prawa powinna byc tam pania, ale po ataku zarazy ruszyl on na zamek swego dziadka z dostatecznie duzymi silami, by go zdobyc. Oswiadczone, iz wszyscy jego krewni umarli na zaraze. Szeptano jednak, ze nie tylko na zaraze, ale i od stali. Zuta jako kobieta nie mogla odziedziczyc tytulacji i rzadzic Lakley. Miala jednak prawo do czesci naleznej corce i bylo to warte niewielkiego rozlewu krwi, gdyz jej ojcu dopisalo wyjatkowe szczescie w kilku zamorskich wyprawach. To nianka przekazala ja bezpiecznie do rak pani Janis z Ule. Kiedy ta ostatnia zmarla na zaraze, moi informatorzy doniesli mi ojej smierci... - Mowiac to, kancelerz przez caly czas glaskal swoje zwierzatko. Ksiazce parsknal smiechem.

-Zawsze dostrzegasz przyszle znaczenie kazdego czynu, Vazulu. Oczywiscie, to ty zaradzasz jej majatkiem.

Kancelerz pokrecil przeczaco glowa.

-Niestety nie, poniewaz Darmond jest tym, kim jest. Oplaceni przez niego falszywi swiadkowie stwierdzili, ze Zuta nie jest prawdziwa dziedziczka rodowej fortuny. Jednak, jak kazdy z nas, moze liczyc na pomyslniejsza przyszosc. Ma fundusze, ktore moze pobierac od rodu swej matki, choc do niego nie nalezy, i jest bardzo bystra. Jej Wysokosci nic nie zagrazalo w ostatnich kilku latach wlasnie dlatego, ze tak blisko byly ze soba.

-Jeszcze jedna para twoich oczu i uszu, Vazulu? Jesli tak, na pewno sie do tego nadaje. Nie zywilbys zdrajczyzni, tak samo jak ja.

-Nie, ona nic nie wie o naszych tajnych slugach, Wasza Ksiazeca Mosc. Jest jednak moim zrodlem informacji o Jej Wysokosci i o wszystkim, co jej dotyczy. Wasza Ksiazeca Mosc, musze powiedziec jeszcze o jednej sprawie zwiazanej z Mahart...

-To znaczy?

-Kiedy Jej Wysokosc wyruszyła na pielgrzymke do klasztoru Gwiazdy, szła pieszo. Podroz do srodka miasta w niesionej przez konie lektyce nie przynioslaby takiego efektu. Dlatego teraz... Wasza Ksiazeca Mosc, Jej Wysokosc musi nauczyc sie jezdzic konno.

-Jezdzic konno! - Ksiaze zamrugal kilkakrotnie. - Ale przeciez nie musi odbywac zadnych podrozy.

-Po miescie, Wasza Ksiazeca Mosc. Pomysl, teraz kiedy nadejdzie swieto, ktore zaplanowales, i ty sam wyjedziesz na miasto, czy wszystkim nie wyda sie dziwne, ze twoja corka wieziona jest w lektyce? Lud juz wie, ze nie jest ona kaleka i bedzie sie zastanawial, dlaczego podrozuje jakby w ukryciu.

-Jezdzic konno! - prychnal ksiaze. - W jaki sposob nauczysz sie tego wszystkiego w ciagu mniej niz dwudziestu dni? Ta dziewczyna nigdy nie widziala konia!

-Wasza Ksiazeca Mosc, twoj koniuszy jest uwazany za najlepszego w calym Kronenie. Mamy przeciez duzy dziedziniec, na którym cwicza gwardzisci - mozna nikogo na niego nie wpuszczac wtedy, gdy Jej Wysokosc bedzie pobierala nauki.

-W porzadku. Jezeli trzeba to zrobic, by dogodzic tym prostakom, niech tak bedzie. Zawsze masz wazne powody tego, co proponujesz, Vazulu.

-Wlasnie dlatego sluzę Waszej Ksiazecej Mosci - odpowiedzial kanclerz.

W taki oto sposob Mahart, bez wzgledu na to, czy pragnela tego, czy tez nie, zapoznala sie z czyms, co w przyszosci moglo sie dla niej stac jedna z postaci wolnosci. Jazdy uczyl ja starszawy mezczyzna, ktory najwidoczniej uwazal te nauki za uwlaczajaca dla swego statusu. Jednak dobrze znal swoje rzemioslo, a jego uczennica garnela sie do nauki. Zawsze pamietala o snie, który przysnil sie jej juz trzy razy - ze jest wolna i stoi na rozkwitlych lakach pod gołym niebem. Jezeli nauczysz sie kierowac zwierzeciem, które przyprowadzano do niej kazdego ranka o tej samej godzinie, moze zyskac jeszcze jeden klucz do zewnetrznego swiata.

Na szczescie okazala sie bardzo zdoabia uczennica. Szybko awansowala od nudnych rund na bardzo spokojnej klaczy do jazdy na mlodszy i mniej leniwy wierzchowcu. Chociaz ksiazecy koniuszy nigdy nie okazal zadowolenia z jej postepow, odgadla po niewielkich zmianach w jego zachowaniu, ze jest bliska tego, co uwazal za mozliwy do przyjecia wyczyn.

Jesli Mahart cieszyła sie z tej nowej wiedzy, nie mogla powiedziec tego samego o Zucie. Plac manezowy rzadko znajdowal sie w pelnym sloncu i bylo tam zimno komus, kto po prostu stal owiniety w szal, obserwujac akcje, ale nie biorac w niej udzialu. Gdy Mahart dostrzegla zsinialy z zimna nos i drzace cialo towarzyszki, zaproponowala w koncu, aby Zuta schronila sie w wozowni za stajnia. A potem tak zaabsorbowało ja to, co musiala zapamietac, zeby dobrze sie spisac, iz calkowicie zapomniala o Zucie. Nikt tez nie wiedzial, ze do damy do towarzystwa przylaczył sie mezczyzna odziany w skromny stroj, nie ozdobiony zadnym herbem, uszyty jednak z cennych tkanin.

Mahart z powaga raz po raz okrazala dziedziniec. Najwidoczniej wszystko, czego od niej wymagano, to utrzymanie sie w siodle po ulozeniu w odpowiednie faldy szerokiej spodnicy-spodni do konnej jazdy, wyprostowana postawa i umiejtnosc dawania sygnalow koniowi, zeby byl jej posluszny. Z czasem nauka jazdy stala sie taka rutyna, iz ksiezniczka przekonala sie, ze moze sobie pozwolic na rozmyslania o innych sprawach.

Zblizaly sie jej osiemnaste urodziny. Bardzo slabo pamietala czasy, kiedy mialo to jakies znaczenie. W minionych latach na obchody jej urodzin skladaly sie zyczenia Julty, gdy ksiezniczka wstala z loza, potem takiez zyczenia Zuty, którym towarzyszył skromny upominek. Tego samego ranka pojawial sie zwykle lokaj z taca, na ktorej lezal podarunek od ksiecia, i wypowiadal monotownie z pamieci formalne zyczenia pomyslności.

Teraz jednak zdala sobie sprawe, ze stanie sie centralna postacia jakichs uroczystosci. Pojawi sie w najciezszej ze swoich ceremonialnych sukien w towarzystwie ojca na zachodnim balkonie, by ukazac sie wszystkim zainteresowanym w Kronengredzie. Pozniej bedzie demonstrowala swoje nowe umiejtnosci publicznie, jadac za swoim ojcem do klasztoru Gwiazdy, aby przekazac urodzinowy dar ksieni.

Wiedziala juz, ze bedzie ja oslaniac polowa gwardzistow, chroniac starannie przed takim kontaktem, na jaki sobie przedtem pozwolila, kierowana buntowniczymi myslami. Ale przynajmniej ojciec nie zabroni jej spotkania z ksieniem i moze z niektórymi sprosrod tych, którzy wspierali te swiatynie.

Mahart juz odkryla, ze wonne swiece i kadzidlo palone w wewnetrznej swiatyni Gwiazdy pochodza ze sklepu zielarki Halwice, o ktorej tak wiele slyszala. I jesli protokol zabranial jej odwiedzin w sklepie zielarki, istniala duza szansa na takie spotkanie w swiatyni - chociaz zdawala sobie sprawe, ze sama nie powinna sie o to starac.

Po godzinie cwiczebnej jazdy pozwolila, by ksiazecy koniuszy pomogl jej zsiasc z konia. Jak zawsze podziekowala mu uprzejmie za jego trud i skierowala sie do wozowni, do ktorej odeslala Zute. Oczywiscie na plac manezowy prowadzilo wiele wejsc, nie mozna jednak bylo oczyszcic koszar z zolnierzy i zarzadzic przerwy w wojskowych zajeciach tylko po to, by zaden gwardzista nie przyjrzal sie bacznie Jej Wysokosci. Scisle przestrzegano dekretu ksiecia w tej materii.

Rozejrzała się, szukając wzrokiem Zuty, ale pomieszczenie było puste i jej dama do towarzystwa pokazała się dopiero po długiej chwili. Nadal osłaniała ramiona szalem, który trzymała ciasno pod brodą; jej twarz pokrywał lekki rumieniec.

-Skonczyłam na dzisiaj - powiedziała Mahart. - Co dalej będziemy robić?

-Pojdziemy do garderobianej, Wasza Wysokosc. Jak zapewne pamiętasz, przy ostatniej przymiarce tren nie chciał leżeć płasko.

-Równie dobrze mogłoby odziać mnie w zbroję! - prychnęła księżniczka. - Te ceremonialne szaty są prawie tak samo ciężkie. No dobrze, chodźmy tam.

Zawsze cieszyła się, gdy mogła się oddalić od koszar. Ta część zamku miała w sobie coś ponurego, co budziło w niej niepokój. Dwukrotnie podniosła do nosa zawieszona na lancuszkach aromatyczna kulka, by chłonąć jej rzeźwiący zapach.

-Wasza Wysokosc?

Mahart spojrzała pytająco na swoją towarzyszkę. Zuta w końcu pociągnęła szal i odsłoniła twarz.

-Tak? - ponagliła księżniczka, gdy dziewczyna milczała. Wreszcie przemówiła:

-To nic takiego, zwykła rozmowa dotycząca balu. Jej Wysokosc Saylana... Jej syn czasami doprowadza ją do rozpacz...

Mahart uśmiechnęła się szeroko.

-I nic dziwnego, to taki niezdarny duren!

Ku jej zaskoczeniu Zuta szybko rozejrzała się wokół.

-Wasza Wysokosc - wyszeptła. - Mówi się, a nawet zostało to już udowodnione, że ściany zamku mają uszy i języki.

Księżniczka mocniej ścisnęła aromatyczną kulkę. Zuta wyraźnie ją ostrzegła. Mahart wahala się chwilę, zanim zapytała równie cicho:

-Czy Jej Wysokosc Saylana ma jakiś plan?

Malżeństwo, pomyślała, ojciec mówił o malżeństwie! Czy będzie starał się podeprzeć swój chwiejny tron, wydając ją za mąż za Barbricę? Zaciśnęła zęby. Dotychczas zawsze stanowiła narzędzie swego ojca, ale są pewne granice...

-Zamierza dać pierwszeństwo panu Barbricowi - szeptała teraz szybko dworka. - Wszyscy wiedzą, że kiedy otworzysz bal, książę nie poprowadzi cię do tańca jak zwykle.

-Przecież nie mogę tańczyć sama.

Mahart usiłowała wyobrazić sobie majestatyczne figury taneczne dozwolone członkom książęcego rodu i omal się nie rozesmiała, gdy wyobraźnia podsunęła jej obraz ojca biorącego udział w takim widowisku. Nie, on pozostanie na tronie, choć zawsze źle się tam czuł. Wiedział, że powinien być obecny.

-Jego Książęca Mość musi dać znak, żebyś wybrała dla siebie partnera - ciągnęła Zuta.

-A Barbric znajdzie się na czele! - warknęła Mahart.

-Będzie jedynym, którego protokół pozwoli ci wybrać - odparła dworka. - Wasza Wysokosc wie, że jej ojciec ma mnóstwo wrogów. Gdybyś wybrała kogoś bez zastanowienia, mogłabyś zrazić jakiś rod, który Jego Książęca Mość chciałby przeciągnąć na swoją stronę.

To prawda, musiała przyznać Mahart. Niech więc tak się stanie - wybierze Barbricę. Na szczęście w uroczystym dworskim tańcu będzie musiała dotykać tylko wyciągniętych rąk partnera. Taki taniec jest śmiertelnie nudny - wiedziała o tym po wielogodzinnych ćwiczeniach majestatycznych poz - głębokie dygniecie, w odpowiedzi jeszcze głębsze ukłony, a na końcu zostanie odprowadzona na swoje miejsce na podium.

-Postaram się o tym pamiętać, Zuto - odparła, wzruszając ramionami. - Ale co powie mój ojciec na taką dyplomatyczną sztuczkę?

-Jego Książęca Mość nie może odrzucić wyboru Waszej Wysokosci. Uzna go za odpowiedni.

W następnych dniach, które minęły stanowczo za szybko, Mahart wydawało się, że musi pamiętać o zbyt wielu odpowiednich decyzjach. Nienawidziła ciężkich sukien nadmiernie obciążających jej smukłe ciało. Poswieciła kilka godzin na zebranie włosów w taką fryzurę, która pozwoli umieścić na głowie szeroką tiarę. Przynajmniej księżycy koniuszy dał spokój i na pewno zameldował ojcu, że księżniczka nie przyniesie mu wstydu, spadając z konia.

Dwukrotnie poleciła Zucie dostarczyć sobie to palone noca kadzidło, które przynosiło jej krzepiace, spokojne sny. A ostatnia dostawa była tak duża, że Mahart mogłaby palić ten czarodziejski proszek przez trzy noce z rzędu. Za każdym razem, gdy wracała we śnie na kwitnącą łąkę, czuła się pokrzepiona na duchu, ale jednocześnie zdawała sobie sprawę, że na coś czeka. W tym śnie nigdy nie chciała, nawet gdyby mogła, odejść z miejsca, w którym się znalazła. A przecież była coraz bardziej pewna, że ktoś tam jej szuka - choć nigdy żaden cień nie pojawił się na rozległym łące. Nigdy też się nie bała, czekała tylko niecierpliwie, a teraz obudziła się zawiedziona, kiedy wyczekiwany wedrowiec się nie pojawił.

Odnosiła wrażenie, że czas mknie jak ptak, a kiedy indziej, że pełźnie niemrawo. Vazul zaczął ją prosić o posłuchania i początkowo chciała odmówić. Kanclerz miał w sobie coś, co sprawiło, że w jego obecności nerwy miała napięte i czuła się niespokojna. Później jednak, gdy omawiane podczas tych spotkań sprawy, o których dotychczas nie miała pojęcia, zaczęły budzić w niej coraz większą ciekawość, czekała na niego z niecierpliwością.

Ojciec nigdy nie uważał jej za osobę godną uwagi - zapominał o niej natychmiast, gdy zniknęła mu z oczu. Vazul jednak od samego początku traktował ją jak myślącego człowieka, a nie naiwne dziecko, które zrzadzeniem losu okazało się księżecą córką.

To nowe i podniecające zainteresowanie obudziło się w niej podczas pierwszej wizyty Vazula i kluczem do niego stało się zachowanie jego dziwnej ulubienicy. Kiedy skinieniem ręki zaprosiła go, by usiadł, niepewna, czy nie przybył z jakas reprimenda od ojca, to gibkie zwierzątko o czarnej sierści wychyliło z rekawu kanclerza, przebiegło mu po kolanie, zeskoczyło lekko na podłogę i jak błyskawica podbiegło do stop księżniczki. Usiłowała podkurzyć palce nog pod faldami obszernej sukni, nie wiedząc, co robi, jeśli ta istota wskoczy jej na kolana. Dlatego nie odrywała od niej wzroku i pragnęła, żeby kanclerz odwołał swoją ulubienicę. Stworzonko stało na tylnych łapkach, skrzyżowało przednie na brzuszku, a jego uniesiona wysoko głowa i falowanie długich włosów wskazywały, że bada powietrze. Im dłużej Mahart przyglądała się temu dziwnemu zwierzątku, tym lepiej zdawała sobie sprawę, że nie jest groźne. Pod wpływem nagłego impulsu odpięła lancuszek z aromatyczną kulka od pasa i zbliżyła ją do wieszającego nosa zwierzątka.

Rozległ się szczebiotliwy dźwięk, bardzo cichy. Ulubienica kanclerza wbiła pazury przedniej łapki w osłoniętą siateczką część aromatycznej kulki i zbliżyła ją do nosa. Księżniczka wydało się, że małe czarne ciałko nadeło się, jakby wzięło najgłębszy oddech, na jaki było je stac.

-To od zielarki Halwice, Wasza Wysokość?

Mahart tak była pochłonięta dziwnym zachowaniem ulubienicy kanclerza, że drgnęła, gdy usłyszała pytanie Vazula.

-Tak, kanclerzu. To jej wyrob. Słynie z takich rzeczy.

-Z uzdrawiania również - skomentował. Ale nie próbował odwołać swojej nierozłącznej towarzyszki.

Smukłe czarne zwierzątko w końcu zrobiło to, czego Mahart tak się obawiała: skoczyło jej na kolana, trzymając kulke w wyjątkowo ostrych, groźnie wyglądających, choć małych zębach. Później wsunęło główkę w dłoń księżniczki i po prostu musiała pogłaskać jedwabistą sierść. W odpowiedzi wyczuła w małym ciałku wibracje, które mogły oznaczać tylko zadowolenie. Nie przestając głaskać ufnego stworzenia, podniosła oczy na kanclerza.

-Jak ono się nazywa?

Wszyscy w zamku wiedzieli o jego istnieniu, ale nigdy nie wspomniano żadnego imienia.

Vazul pochylił się do przodu, oczy, zwykle do połowy przysłonięte powiekami, miał teraz szeroko otwarte. Wpatrywał się w Mahart tak intensywnie, jakby chciał policzyć jej kości. Po raz pierwszy w życiu zobaczyła ze zdumieniem, że zrzucił maskę obojętności, którą zawsze nosił.

-Sssssaaa. - Wypowiedział dźwięk, który raczej był syknięciem niż prawdziwym słowem. Księżniczka jednak uznała, że jest to odpowiedź na jej pytanie. - To przyjaciółka, która warto pozdrowić.

-Sssssaaa. - Mahart najlepiej, jak mogła, starała się naśladować wymowę Vazula. Poczula ciepło, gdy zwierzątko w jakis sposób wśliznęło się na jej ramię i zaswiergotało do ucha.

Vazul nadal był tak zdumiony, że wciąż jeszcze nie przybrał oficjalnej obojętnej miny.

-Nie boisz sie... - To nie brzmialo jak pytanie, lecz stwierdzenie. - Wasza Wysokosc, zdobylas pomocnice. Docenisz ja dopiero wtedy, gdy nadejda ciezkie czasy...

-Ciezkie czasy?

-Tak, ciezkie czasy, poniewaz sam czas jest naszym wrogiem. Wasza Wysokosc, wysluchaj mnie uwaznie, gdyz musisz wiele zrozumiec, zanim calkowicie wchlonie cie ten dwor, gdzie musisz przebywac z koniecznosci.

Zaczal mowic bardzo cicho, a Mahart sluchala, nie przestajac glaskac zwierzatka, ktore samo do niej przyszlo. Spedzone w zamkowej bibliotece dlugie godziny pozwolily jej zrozumiec wiekszosc spraw, o jakich mowil - ale nie wszystkie, gdyz kroniki opowiadaly o czasach znacznie odleglejszych niz niedawna przeszlosc. Zawsze zdawala sobie sprawe, ze prawo jej ojca do tronu jest kwestionowane i bardzo wczesnie ostrzeżono ja przed pania Saylana. Teraz jednak uslyszala inne imiona; przy niektórych Vazul zawieszal glos, jakby dawal jej czas na ich zapamietanie.

Jego monotony glos, sciszony tak, jakby rozmawial z kims rownym mu wiekiem i wiedza, dzialal podobnie jak jej sny o ukwieconej lace - otwieral przed nia nowy, nieznan swiat. Byl to ponury swiat i niewiele dostrzegla w nim tego, co mogloby ja ucieszyc. Bardzo roznil sie od jej snow, ale jej zywa inteligencja, juz obudzona, szybko sie rozwijala pod wplywem informacji uzyskanych od Vazula.

-Panie, jesli Kronen jest tak przezarty zgnilizna, co mozna zrobic? Jezeli kupcy nie beda sie czuc bezpiecznie na naszych drogach, przestana do nas przybywac. Handel upadnie... - Zawahala sie, przypomniawszy sobie zebakow u bramy klasztoru Gwiazdy. Od czasu swojej pielgrzymki zrobila, co mogla, zeby im pomoc. - Doprowadzi to do katastrofy jak tamta zaraza...

Ssssaaa syknela jej do ucha, wyprostowala sie i jednym skokiem znalazla sie na kolanach Vazula.

-Tylko smierc przyjdzie po dluzszym czasie - odparl kanclerz. - W tej chwili musimy uczestniczyc w grze kogos innego albo udawac, ze to robimy...

-W grze Jej Wysokosci Saylany - odgadla, lecz Vazul ani nie potwierdzil, ani nie zaprzeczyl.

Odbyla jeszcze trzy takie spotkania z Vazulem. Na drugie i trzecie przyniosl pakieciki ziol, a na ostatnim zgodzil sie, zeby w swojej urodzinowej podrozy do klasztoru Gwiazdy mogla sie spotkac z Halwice. Zielarka bowiem jest mistrzynia gildii w swoim zawodzie i jako taka przybedzie do swiatyni, by uczcic urodziny ksiazeczki corki.

Wreszcie nadszedl ten uroczysty dzien - Mahart wiedziala, ze bedzie dlugi. Najpierw w majestacie pojawi sie u boku ojca na zamkowych schodach. Pozniej procesja do klasztoru, nastepnie nudna oficjalna kolacja, a na samym koncu bal. Wspaniala ceremonialna suknia juz na nia czekala, wisiala na scianie na grubym sznurze, zeby sie nie pogniotla.

Na toaletce lezal jak zwykle podarunek od ojca - cenniejszy w tym roku - flakonik w ksztalcie na wpol rozwinietej rozy. Mimo korka wydobywal sie z niego zapach perfum. Ale w glebi duszy Mahart pragnela kadzidla, ktore krylo sie w pakietkach przyniesionych przez Vazula - tego, ktore przenosilo ja gdzie indziej. Nigdy jeszcze nie widziala cudzoziemca, ktorego miala spotkac w tamtym miejscu. Bardzo ja niepokoilo, ze zbyt szybko spoznia. Wiedziala, ze Zuta jest ciekawa, jak to kadzidlo do niej dotarlo, ale zbyla ja, wyjasniajac, iz otrzymala je na rozkaz ojca, by miala jasny umysl i mogla sie przygotowac do czekajacego ja ciezkiego dnia.

Widziala flagi i sztandary, festony z kwiatow i galezi wzdluz trasy pochodu, gdy pozniej jechala krok w krok za ojcem przez ulice stolicy Kronenu. Zarumienila sie, slyszac wiwatujace tlumy. Slowa Vazula gleboko zapadly jej w pamiec; dobrze wiedziala, na jak kruchym fundamencie spoczywa cala ta gala w Kronengredzie.

Spokoj panujacy za brama klasztoru Gwiazdy nie mial w sobie nic z tego goraczkowego podniecenia. Mahart tak jak poprzednio uklonila sie ksieni. Ale teraz ta starsza wiekiem siostra, opierajac sie lekko na lasce, zaprowadzila ja do nawy Domu Gwiazdy.

Mahart slyszala w poblizu przytlumiony szmer gawiedzi. Wiedziala, ze w klasztorze sa mistrzowie z miejskich gildii. Uklekla przed oltarzem Gwiazdy i ofiara, ktora tam zlozyla, mogla popsuc humor jej ojcu; nawet nie probowala dostrzec, czy zmarszczyl brwi z niezadowoleniem. Umiescila bowiem buteleczke w ksztalcie doskonale pieknej rozy w jasnym swietle igrajacym wzdluz wszystkich ramion Gwiazdy.

Ponownie dokonano prezentacji i kazdy z mistrzow i mistrzyn z gildii pokazal swoja ofiare - niektorzy piekne egzemplarze wlasnych wyrobow. Znudzona ceremonia ksiezniczka zamyslila sie gleboko. Ocknela sie dopiero wtedy, gdy zbлизyl sie do niej piaty czlonek gildii. Byla to kobieta, odziana w jaskrawozielona suknie, nie ozdobiona ani koronkami, ani metaliczna nicia. Z godnoscia uklonila sie najpierw ksieciu, a potem jego corce.

Mahart nie potrafiła określić wieku zielarki. Chociaż na jej gładkiej skorze nie dostrzegła zmarszczek, ale oczy, które kobieta podniosła na księżniczkę, sprawiały bardzo dziwne wrażenie. Były żolte? A może tylko brązowe jak jesienne liście?

Mahart nie potrzebowała słów herolda, by wiedzieć, kto przed nią stoi. Nie pamiętała teraz, czego się spodziewała - może jakiejs staruszki, bardziej pasującej do brudnej pracy w ogrodzie, niż tej dojrzałej niewiasty w pięknej sukni. Halwice najwidoczniej czuła się zupełnie swobodnie w dworskim otoczeniu, czego brakowało nawet Saylanie, pomimo jej wszystkich poz i udawania. I to właśnie zielarka obudziła w jakimś głęboko ukrytym zakątku serca księżniczki pragnienie zawarcia prawdziwej przyjaźni.

7

Willadene odmierzała małą łyżeczką porcję jakiegoś proszku, od którego łzawiły jej oczy. Na pewno pachniał mocniej niż wszystkie gatunki pieprzu, z którymi się zetknęła w kuchni Jacoby. Odmierzyła bardzo starannie wszystkie składniki, a potem zatkła buteleczkę, do której wsypała te mieszankę. Na ulicy przed domem panował nienaturalny spokój. Połowa sklepow nadal była zamknięta, gdyż ich właściciele poszli przyrzec się wielkiej procesji. Willadene na pewno nie miała ochoty przyłączyć się do rozradowanego, wymachującego wstawkami tłumu. W rzeczywistości nie mogła się zmusić do wyjścia na ulicę lub poza furtkę z tyłu za ogrodem. Wprawdzie upłynęło wiele dni, odkąd, drząc na całym ciele i starając się ukryć strach, stanęła przed sędzią grodzkim i z wdzięcznością usłyszała, że odebrano ją Jacobie - która stała w brudnej, wyblakłej, znoszonej, niegdyś pięknej sukni - i oddano pod opiekę Halwice, jak zawsze ładnie ubranej i spokojnej. Widziała, jak zielarka kładzie pieniądze na stole urzędnika sadowego - dość, by wedle prawa wynagrodzić stratę poniesioną przez karczmarkę. Jacoba jednak każdym gestem, miną i postawą dawała do zrozumienia wszystkim, a przynajmniej Willadene, że jest bardzo niezadowolona z tej transakcji.

Czasami Willadene mogła sobie nawet wyobrazić, że kiedy opuści sklep z jakimś zleceniem dla Halwice, poczuje ciężką rękę karczmarki na ramieniu i zostanie zaciągnięta z powrotem do kuchni, chociaż zdrowy rozsadek mówił jej, że to nigdy się nie wydarzy.

W każdym razie sama czuła się bezpiecznie tylko w sklepie. Pragnęła jednak moc zobaczyć Halwice w jej pięknej, choć pozbawionej ozdób sukni, przed obliczem Jej Wysokości Mahart, jako szanowana członkini gildii.

Willadene wielokrotnie opisywano Jej Wysokość Mahart - iż ma tak piękną twarz, że nawet kwiaty bledną w jej obecności, iż ma tak dobre serce, że własnoręcznie karmiła biednych czekających przed świątynią Gwiazdy. Mówiono też, że jest wykształcona - jednym słowem to prawdziwy wzór doskonałości w swoim rodzie. Kazały też pogłoski, że na pewno wkrótce odbędzie się wspaniałe wesele. Łatwo jest mówić, ale plotka często przeczy prawdzie. Willadene coraz częściej zastanawiała się, jaka naprawdę jest księżeczka córka. Prawo zabraniało Mahart dziedziczenia tronu po ojcu, ale może ją zdobyć księżeczka z jakiegoś obcego kraju i po śmierci obecnego władcy włożyć koronę Kronenu.

Jedyną wiezią między Willadene a dziewczyną, której urodziny obchodzono tak uroczysto w Kronengredzie, było to, że od czasu do czasu w sklepie pojawiał się paz czy lokaj wysłany po pakiecik, starannie owinięty flakonik lub pachnący jak cały ogród Halwice woreczek zamówiony dla Jej Wysokości.

Z tygodnia na tydzień transakcje te zawierane były coraz częściej i chociaż Halwice zawsze dokładnie instruowała Willadene, kiedy pilnowała płynów przygotowywanych dla innych klientów, a nawet pozwalała jej samej wykanczac mniej ważne mieszanki, własnoręcznie przygotowywała pachnidła i perfumy dla mieszkańców zamku, przeważnie w samotności. Zwykle kazała dziewczynie zemiść jakiś produkt na proszek lub dawała jej podobne zajęcia, sama tymczasem pracowała przy stole oświetlonym przez dwie lampy nawet w najjasniejsze dni.

Willadene skończyła swoje zadanie i bardzo ostrożnie oczyściła łyżeczkę, którą odłożyła na miejsce wraz z innymi przyborami. Słyszała okrzyki tłumu nawet przez labirynt ulic dzielących ją od trasy przejazdu księcia i jego córki. Nie podeszła jednak do drzwi, tylko wzięła z małej szafki księgę, którą otworzyła z największą ostrożnością, gdyż zniszczone przez czas okładki ledwie się trzymały.

Nie była całkowitą ignorantką, kiedy los wydobyl ją piekła, za jakie uważała kuchnię Jacoby. Kiedy karczmarka odkryła, że Willadene nie tylko potrafi pisać i czytać, lecz także rachować, chętnie korzystała z jej umiejętności, choć zawsze w takich wypadkach udawała wielką pogardę dla godnej szlachcianki wiedzy swojej pomywaczki.

Natomiast Halwice, dowiedziawszy się, że jej nowa uczennica jest pismienią, zaczęła systematycznie udzielać jej lekcji i Willadene, od dawna spragniona wiedzy, chłonęła wszystko, co mogła. Potrafiła po zamknięciu oczu cytować całe strony z napisanych prostym językiem zielników, ale starsze księgi stanowiły dla niej zagadkę, którą często starała się rozwiązać, siedząc godzinami w blasku lampy.

Teraz szukała legendy - chociaż była pewna, że Halwice uważa ją za prawdę - historii Władcy Serc, cudownego kwiatu,

który rozlewał tak upojny zapach, iż zaden kochanek lub kochanka nie mogli mu się oprzeć. Willadene nie miała ukochanego, na pewno nie dla siebie poszukiwała tej starożytnej receptury. Ona sama pragnęła spędzić resztę swego życia tak jak cały miniony dzień.

Ale przypuśćmy, że znowu udałoby się wydestylować takie perfumy i ofiarować je Jej Wysokości Mahart. Wtedy Halwice zaskarbiłoby sobie łaskę księżniczki i Willadene choć w części byłaby mogła spłacić dług wdzięczności, jaki u niej zaciągnęła.

Znalazła te opowieści. Spisano je niewyraźnym pismem, z użyciem przestarzałych słów - a znaczenia niektórych dziewczyna musiała się domyślać - tylko jako legendy, a nie tak jak starannie przedstawione przepisy w ziołnikach, które znała i którymi się posługiwała. Władca Serc to jeden jedyny kwiat, zerwany ostrożnie i przechowywany w urnie z jakimś olejkiem, który Willadene uznała za najdroższy w sklepie Halwice. Sprzedawano go po kropelce i tylko właściciele wypchanych trzosów mogli sobie na niego pozwolić.

Tylko jak można znaleźć jakikolwiek kwiat? Willadene za swej pamięci nigdy nie była za murami Kronengredu. Wprawdzie Halwice utrzymywała kontakty z cudzoziemskimi kupcami, ale to oni do niej przybywali. Sama zaś nigdy nie opuszczała miasta, aby znaleźć to, co jej w końcu dostarczali. Willadene знаła kilka kwitnących ziół, jednakże pora roku, w której pojawia się ich paczki, miała nadejść jeszcze nieprędko. I dziewczyna wiedziała, co to za zioła i do czego służą.

Była pewna tylko jednego - taki cud jak Władca Serc musi rosnąć daleko od krain zamieszkałych przez ludzi. A jak można zapuścić się w poszukiwaniu tego niezwykłego kwiatu na takie pustkowia, gdzie teraz rozbojnicy rządzili niemal niepodzielnie?

Willadene czytała po raz trzeci tę krótką relację, kiedy przeszkodził jej jakiś hałas dochodzący z ulicy. Wracali ci, którzy poszli obejrzeć uroczysty pochod. Patrzyła przez otwarte drzwi, jak sędzia grodzki razem ze swoją eskortą przejechał obok, a piesi rozpięzchli się przed koniami. Dziewczyna szybko odłożyła księgę na miejsce.

Zeby dotrzec na czas do klasztoru Gwiazdy, Halwice musiala wyjsc z domu przed pierwszym dzwonem po przelknieciu tylko kawalka chleba i wypiciu kubeczka piwa. Willadene musi szybko podgrzac jedzenie, ktore dla niej przygotowala.

Ostroznie probowala zupy lyzka o dlugim trzonku, kiedy przybyla zielarka. Otaczala ja grupka sasiadek, glownie kupieckich zon z tej samej ulicy. Nawet z miejsca, w ktorym stala, Willadene slyszala, jak zasypuja ja gradem pytan.

Tak, Jej Wysokosc rzeczywiscie byla bardzo laskawa i ci, ktorzy nazwali ja urodziwa, nie sa wylacznie pochlebcami. Tak, Jasna Gwiazda poblogoslawila ksiecia, dajac mu taka corke... W koncu jednak Halwice podniosla rece do gory.

-Dobre kobiety, zaschlo mi w ustach. Powiedzialam wam wszystko, co moglam. Ona rzeczywiscie nadaje sie na krolowa i miejmy nadzieje, ze jesli nia zostanie, bedzie szczesliwa.

Kilka sasiadek troche sarkalo, ale w koncu pozwolily jej odejsc i choc Halwice nie zamknela drzwi, od razu weszla na zaplecze. Nie odezwala sie do czekajacej z posilkiem dziewczyny, lecz skierowala sie do ogromnej szafy skrywajacej skladane loze. Gdy jej glowa i ramiona zniknely w ciemnym wnetrzu, powiedziala:

-Sprzatnij wszystko ze stolu!

Willadene pospiesznie odstawila na bok miski i talerze zjedzeniem. Zdazyla zdjac ostatnie naczynie, kiedy Halwice wrocila do stolu. Nie patrzac na dziewczynę, postawila na porzadnie wyszorowanym blacie przedmiot, ktory trzymala blisko ciala w drodze powrotnej ze swiatyni, jak gdyby chciala go ukryc przed ludzkim wzrokiem.

Byla to biala miska, wielkosci obu zlozonych dloni Willadene, oraz woreczek, ktory dziewczyna juz widziala - ten, w ktorym znajdowaly sie odlamki oszlifowanych, lecz potluczonych krysztalow.

Nastepnie Halwice wziala dwie swiece, ktore, jak pamietala Willadene, palac sie wydzielaly aromatyczny dym. Postawila je po obu stronach miski i szybko zapalila. Do miski wlala nieco wody mietowej, ktorej uzywaly przy pracy i ktora musiala byc trzykrotnie zagotowana w celu zapewnienia jej czystosci.

Po wykonaniu tych wszystkich czynnosci zadowolona Halwice przywolala do siebie dziewczynę, kiwajac palcem.

-Wez to, co jest w srodku. - Przesunela do przodu woreczek z krysztalami. - Sciskaj je mocno przez trzy dlugie oddechy.

Willadene polozyla na dloni odlamki o ostrych krawedziach, a potem przykryla je druga, zeby nie wysunely sie miedzy palcami. Wziala trzy oddechy, wstrzymujac kazdy, jak gdyby

sie bala, ze wypuszczajac powietrze z pluc, moze wyrzadzic jakas szkode.

-Rzuc...

Willadene cisnela to, co trzymala, na blat stolu. Zaden z krysztalow nie potoczyl sie na podloge, czego sie obawiala.

Halwice pochyliła się do przodu; na głowie miała ciasny, ceremonialny czepiec bez brzegów, które ukrywałyby jej rysy. Przez długą chwilę po prostu patrzyła na rozsypane kolorowe odłamki. Później palcem wskazującym zaczęła je rozsuwać, odpychając jeden po drugim, aż wreszcie na stole pozostał długi, gładki, zielony kamień podobny do lodygi trzciny.

-Wez go i trzymaj! - po raz drugi polecila Willadene i tym razem dziewczyna naliczyła w myśli siedem oddechów, zanim zabrzmiał następny rozkaz.

-Wrzuc go do miski, a potem patrz w nią, dziewczyno; wyteż wszystkie swoje zdolności i patrz!

Izba zniknęła. Willadene wydało się, że stoi na brzegu bardzo spokojnego jeziora, doskonale gładkiego, bez najmniejszej fali; mijaly ja cienie, szybko lub leniwie, o tak zamazanych konturach, że nie miała pojęcia, czym są. Lecz coś w niej kazalo jej podjac probe zatrzymania tych przemykajacych obok cieni. Z ogromnym wysiłkiem, tak wielkim, jak gdyby wzięła na plecy ciężką wiązke chrustu, próbowała dostrzec coś wyraźniej. Ujrzała coś, co zanurkowało i znow wzniosło się do góry, a potem usilowało odleciec, walczac z przeciwnościami, które mogła sobie tylko wyobrazić. Obraz pogłębił się i wyostrzył. Obserwowała nietoperza, tak jak w letnie wieczory patrzyła na jego pobratymców wylatujących na łowy. Choć nie widziała rany, nie miała wątpliwości, że ten był w jakiś sposób okaleczony.

Dwukrotnie przelknęła ślinę, zanim odważyła się przemówić, gdyż mówienie przeszkadzało w patrzeniu. Kiedy wypowiedziała głośno pierwsze słowa, obraz zwierzęcia rozplynął się w nicosc.

-Nietoperz, ranny.

Usłyszała niewyraźny cichy jęk, który dobiegał gdzieś z zewnątrz, i poczuła coś dziwnego - ukłucie będące mieszaniną bólu i strachu. Była pewna, że nie pochodziło od okaleczonego nietoperza.

-Patrz dalej, patrz!

Rozkaz był tak stanowczy, że Willadene siła woli znow zagłębiła się w swojej wizji.

Tym razem obraz stał się wyraźniejszy, wystrzelił z nicosci, jakby nagle otwarły się jakieś

drzwi. Na pewno były to skały, upstrzone porostami, częściowo okolone wiencem niskich paproci. Nigdy jednak nie widziała w Kronengredzie kamiennych bloków wykutych z takich skal. W szczelinie między nimi (ich zbocza tworzyły w gorze luk, jakby chciały chronić wyrosły na kruchej lodydze kwiat w kształcie gwiazdy) ujrzała Władce Serc. Czarodziejski kwiat wyglądał dokładnie tak, jak go sobie wyobraziła, gdy usłyszała i przeczytała opowieść o jego dobroczynnym wpływie na ludzi.

Musiała wymówić tę nazwę głośno, gdyż nagle coś wyrwało ją z transu. Czyjeś wspierające ręce spoczęły na jej ramionach, ale zanim się całkiem ocknęła, od cudownego kwiatu napłynęła fala niezwykłego zapachu. Wiedziała, że nie zapomni go do końca życia.

-Aha, więc to tak! - najpierw z daleka, a potem z bliska zabrzmiał głos Halwice. - Niech tak będzie... Lecz droga może być długa i pogrążona w mroku.

Willadene widziała teraz tylko stół, na nim zaś miske z wodą, na dnie której leżał wrzucony przez nią zielony kamień. Musiała jednak oburacz oprzeć się o brzeg stołu, gdyż miała wrażenie, że nadal czuje ten cudowny zapach, tak silny, jak won najmocniejszego jesiennego piwa.

W zamku położonym znacznie wyżej niż dom i izba Halwice książę Uttobric kulil się w swoim krześle. Był w szatach, które zawsze wyglądały, jakby uszyte je dla innego mężczyzny, i które marszczyły się na całej swej długości.

Uttobric nigdy nie był człowiekiem towarzyskim i im bardziej się starzał, tym bardziej nienawidził tych wszystkich pełnych przepychu parad, w których musiał brać udział. Ale sama władza - co normalne dla kogoś, kogo zawsze pomijano, kto przez większą część życia był posmiewiskiem całego dworu - upajała go jak mocne wino i nie zamierzał z niej zrezygnować. Teraz wystarczy, że przyłoży swoją pieczęć do jakiegoś skrawka papieru i jeden z tych, którzy drwili z niego tak otwarcie, stanie się niczym.

Ale jeszcze nie przyszedł na to czas. Książę wiedział o tym i poczuł, że wzbiera w nim złość.

-Jak myślisz, czy wywarliśmy odpowiednio duże wrażenie na mieszkańcach Kronengredu? - zapytał, choć nie chciał teraz widzieć wyrazu twarzy Vazula.

-Było to najlepsze posunięcie, jakie mogłeś zrobić, panie - odparł natychmiast kanclerz. - Los sprzyjał Waszej Księżce Mosci. Dał ci córkę, która może być potężną bronią, jeśli zostanie odpowiednio poinstruowana.

Uttobric rzucił się teraz w głąb krzesła, a jego długa szata zmarszczyła się wzdłuż kregosłupa.

-A ty tego dopilnujesz - skomentował, przyglądając się Vazulowi spod półprzymkniętych powiek. - Pamiętaj jednak, mój kanclerzu, że tylko ze mną awansujesz lub upadniesz...

Nie dokonczył, gdyż czarne zwierzątko siedzące na ramieniu Vazula nagle skoczyło do przodu tak szybko i zrecznie, że jednym skokiem przebyło niemal całą komnatę. Kanclerz się odwrócił, aby popatrzeć na swoją ulubienicę, i oparł rękę na rekojesci sztyletu, który nosił u pasa.

Ssssaaa pomknęła prosto do pokrytej ciemną boazerią ścianę i stanęła na dwóch łapkach, wbijając pazury w drewno i wydając wysoki syczący okrzyk. Kanclerz zrobił trzy kroki, zanim dotarł do tego miejsca, a książę musiał wstać z krzesła i szarpnąć zapiecie ceremonialnego płaszcza, żeby się uwolnić od krepujących ruchy fałd.

Rece kanclerza poszukały ukrytych zamków. Przez chwilę widzieli tylko ciemny otwór, ale Ssssaaa wpadła w niego jak szalona, a Vazul poszedł za nią z obnażonym brzeszczotem w dłoni. Potem, gdy z kolei książę zbliżył się do tajnych drzwi, usłyszał okrzyk bólu nieco tylko głośniejszy od jeku.

Vazul znów był teraz odwrócony plecami do otworu w ścianie i cofał się w stronę komnaty. Nie trzymał już sztyletu, lecz oburącz ciągnął ciało, które szamotało się lekko, jakby chciało się uwolnić. Kanclerz położył zdobycz na podłodze i pośpiesznie zamknął tajne drzwi. Tymczasem Uttobric pochylił się nad mężczyzną, który usiłował usiąść, ale musiał z tego zrezygnować, zgrzytając zębami.

-Byłeś śledzony? - spytał książę, przenosząc spojrzenie na ścianę, a potem z powrotem na rannego.

-Leżałem tam... - bardzo cicho wykrztusiła ofiara. - Nikt mnie nie śledził.

-I nie mogłoby. - Vazul omal nie odepchnął łokciem księcia z drogi i ukląkł, jedna ręka przewracając rannego na plecy. Później zajął się rozwiązywaniem wiązadeł zatłuszczonego kaftana i zdarł go z lewego ramienia przybysza.

Ssssaaa przycupnęła obok głowy leżącego mężczyzny i przednia łapka gładziła go po sztywnych od potu włosach. Ranny zamknął oczy i nagle głowa opadła mu na bok. Zaskoczony książę cofnął się szybko.

-Skonał? - zapytał.

-Jeszcze żyje. - Kanclerz podniósł opadającą bezwładnie głowę rannego i nachylił się nżej. - Czuje ten smród...

-Trucizna! - Książę cofnął się jeszcze dalej.

-To sztuczka, często stosowana przez nocnych rozbojników, ale jeśli podejmie się leczenie na czas... Musimy nie tylko spróbować ocalić Nietoperza, lecz także dowiedzieć się, i to szybko, jaka informację starał się nam dostarczyć, walcząc ze śmiercią.

-Mozna go uratowac? - Uttobric nadal wpatrywal sie w cialo, jakby spodziewal sie, ze rozpadnie sie w proch na jego oczach. - Potrafilbys to zrobic?

-Ja nie, Wasza Ksiazeca Mosc. - Vazul pokrecil przeczaco glowa. - Ale w Kronengredzie na pewno jest ktos, kto zdola przywrocic go do zycia, jesli tylko moze to uczynic smiertelny czlowiek.

-Tak, zielarka Halwice. - Ksiaze skinal glowa.

-Jednak - podjal pospiesznie kanclerz - nie mozemy go tutaj zostawic. Dzis wieczorem jest bal, przed nim zas uczta, na ktorej musimy sie pojawic obaj, sa bowiem tacy, ktorych bardzo zainteresuje, dlaczego nas tam nie ma. Bal przyciagnie wiekszosc slug do zachodniego skrzydla. - Vazul dotarl do sztywnej od krwi koszuli i ostroznie wyjmowal tampon wetkniety w krwawiaca rane. - Pozostaje wiec Czarna Wieza.

Ksiaze szarpnal dolna warge.

-Tak, nikogo tam nie wieziono przez pol wieku albo dluzej. Ostatni byl ksiaze Rotonbric, ktory zwariowal. Ale jak go tam przeniesiemy?

-Tylko tajnymi korytarzami, Wasza Ksiazeca Mosc. I ktos musi mi w tym pomoc, poniewaz Nietoperz wazy wiecej, niz moze udzwignac. Danerks...

Ksiaze utkwil spojrzenie w lezacych na podlodze mezczyznie, jakby chcial, zeby tamten w jakis sposob znalazl sie bardzo daleko od j ego komnaty.

-Danerks - powiedzial powoli. - Przynajmniej jest lojalny w stosunku do mnie, inaczej juz dawno bym nie byl. - Wydal cienkie wargi. Jego luzna szata opadla, gdy podszedl do wiszacego na przeciwleglej scianie dzwonka i energicznie pociagnal dwa razy.

Nie musial sie obawiac, ze Danerks, jego lokaj, jest gdzie indziej, niz byc powinien - pare drzwi dalej wyjmowal ksiazece szaty, w ktorych Uttobric uda sie na uczte i bal. Ilez czasu traci sie na ubieranie na takie okazje! Uttobric pomyslal przelotnie, ze na nieszczescie bedzie ich wiecej do chwili, az ich plany sie powioda.

Halwice zostala wezwana po zmroku i potajemnie. Willadene uslyszala tylko szybki szept przy tylnych drzwiach, gdyz nocny gosc odszedl najpredzej, jak tylko mogl. Potem zielarka zajela sie gromadzeniem jakichs skrzynek, flaszeczek i dzbanuszkow, ktore wlozyla do podroznej sakwy bez slowa wyjasnienia. Dopiero kiedy skonczyla i siegala po oponcze, przemowila wreszcie do Willadene.

-Zaszla nagla potrzeba i nikt nie moze sie dowiedziec, co sie stalo. Jutro oczekuje dostawy z za morza. Otworzysz sklep jak zwykle i przyjmiesz paczke, za ktora juz zaplacilam. Jezeli ktos o mnie zapyta, mozesz powiedziec, ze przyjmuje trudny porod, ze wezwano mnie w nocy, a ty nie wiesz dokad i nie masz pojecia, kiedy wroce.

Nic więcej nie dodała, ale Willadene odgadła, iż jej pani na pewno nie zajmie się porodem. Zauważyła bowiem, jakie leki wybrała Halwice - i jak niedawno się dowiedziała, miały one leczyć rany.

-Idź i niech Gwiazda cie chroni... - Halwice chyba jej nie usłyszała, tak szybko wysliznęła się tylnymi drzwiami.

Willadene wróciła do kolacji złożonej z chleba i sera. Tej nocy w mieście było niespokojnie. Nawet zamknięta w izbie na zapleczu słyszała okrzyki tłumów. Wielu ludzi zgromadzi się na wielkim placu u stop zamku. Książęcy słudzy obdarują wszystkich darmowym piwem i ciastkami, dając obywatelom Kronengredu przynajmniej przedsmak uczyty i wielkiego balu w twierdzy na gorze. Pospolstwo napatrzy się do woli na karety przywożące członków wielkich rodów na to uroczyste zgromadzenie. Willadene omiotła wzrokiem izbę, w której siedziała. Niech Jej Wysokość Mahart skosztuje wszystkich przysmaków, tanczy w rytmie majestatycznej muzyki i cieszy się reszta uroczystości w dniu swych urodzin; ja, Willadene, w pełni zadowolona to, co ma tutaj i teraz.

Halwice nie powiedziała, o jakiej porze ma przybyć ta cenna przesyłka, ale kiedy nikt nie przyszedł do sklepu do pierwszego nocnego dzwonu, dziewczyna przestała jej oczekiwać. Każda nagle potrzeba, dla której Halwice opuszcza swój dom, musi być naprawdę poważna. Snucie przypuszczeń do niczego nie doprowadzi - jeśli ma się o wszystkim dowiedzieć, dowie się we właściwym czasie.

Położyła się spać o tej samej porze co zawsze, pozostawiając tylko zapaloną nocną lampę na wypadek powrotu zielarki, i wsunęła się głęboko w podniszczoną, lecz pachnącą lawendą pościel na składanym łóżku.

Dopiero kiedy powieki jej zaciążyły, wróciła myślą do tego, co Halwice robiła z miską i ze świecami. Wspominając dziwną skalę i kwiat, który tam dumnie unosił koronę, usiłowała przywołać każdy zapamiętany szczegół. Szybko jednak zasnęła.

Kiedy Willadene obudziła się rano, Halwice jeszcze nie wróciła i teraz dziewczynę ogarnął niepokój. Zmusiła się jednak do wykonywania codziennych obowiązków w tej samej kolejności co zawsze, gdy zielarka była w domu.

Właśnie otworzyła sklepowe zaluzje i przygotowała się do pracy, kiedy usłyszała znajomy głos.

-Hej, Willa, co slychac?

Figis już nie miał na sobie wyplowiałych lachmanów tak jak w karczmie, lecz znacznie porządniejszy stroj, jaki mogłby nosić kupiecki pomocnik w małym sklepie. Szedł nieco bunczucznie, chociaż jak zauważyła Willadene, ani jego kosciste rece, ani chuda twarz nie były naprawdę czyste.

-Niezle - odparla lakonicznie. Nigdy nie ufala komus, kto przebywal pod dachem Jacoby, i nurtowal ja coraz wiekszy niepokoj. - A co w karczmie?

-Brr! - Figis az splunal na bruk. - Zaszly tam pewne zmiany... Ta stara maciora juz nie kwiczy tak glosno jak przedtem.

Slyszac tak ordynarne okreslenie Jacoby, Willadene zainteresowala sie na tyle, by zapytac:

-Jacoba juz nie jest wlascicielka karczmy? - Nie dotarla do niej zadna pogloska na ten temat, lecz czasami wydarzenia wyprzedzaly plotki.

-To karczma ja ma - odrzekl dosc tajemniczo. - Ale gdzie jest twoja pani? Patrz, mam tu dla niej paczke.

Siegnal miedzy rozwiazane rzemyki kaftana i wyjal jeden ze znajomych kwadratowych pakieczkow, dobrze owinietych w natluszczony jedwab.

-Wezwano ja do porodu - odparla natychmiast Willadene. - Powiedziala mi jednak, ze oczekuje dostawy i ze mam ja przyjac.

Figis przyjrzel sie jej, mruzac oczy i obracajac w rece paczuszke, jakby sie zastanawial, czy moze to zrobic.

-Nic o tym nie wiem. Wyche... - Urwal, jakby to imie bylo ostrzezeniem. - Ten, kto mnie poslal, kazal mi to oddac tylko twojej pani. Powiedzial tez, ze oberwie mi uszy, jezeli nie postapie tak, jak mi kazal. Wyche... Jacoba boi sie go i sa inni, ktorzy przychodza, moze po rozkazy. - Wyszczeryl zeby w szerokim usmiechu. - Zdaje sie, ze poczul do mnie sympatie. Juz nie musze taszczyz brudnych garow! - Podszedl blizej do Willadene. - Duzo sie dowiedzialem, tylko sluchajac tego, co sie kolo mnie mowi. Ksiaze wcale nie jest taki bezpieczny, jak myslis, paradujac niczym kogut na podworku i pokazujac wszystkim swoja corke. Wielu ma ochote utrzec mu nosa, o tak! - Przelozyl paczuszke do drugiej reki i strzelil palcami. - Wiesz, co sie teraz mowi? Ze mlody pan Barbric wpadl w oko Jej Wysokosci Mahart. Tanczyla z nim na balu ostatniej nocy, a potem juz nie brala udzialu w tancach. Poslubi go i moze duzo sie wokol zmieni. A co do mnie, bede gotow wziac w tym udzial, przyrzekam ci to. No, dobrze, wez - mam inne wazne sprawy do zalatwienia...

Wepchnal jej pakieczek do reki i odszedl, probujac nasladowac glosne kroki straznika grodzkiego, ale mu sie to nie udalo.

Willadene nie patrzyla, jak odchodzil, gdyz wpatrywala sie w paczuszke. Wyczuwala w niej zlo - wprawdzie ukryte, ale na pewno tam bylo. Nie zapomniala pulapki, w ktorej wiele dni temu znalazla Halwice i czlowieka kanclerza. Czy to bylo takze cos zlego, co mialo sie znalezc wsrod towarow Halwice i zrobic jej krzywde?

Nasaczony olejem jedwab wydal sie jej sluzowaty i zapagnela jak najszybciej sie go

pozbyc. Nie zamierzała jednak umieścić przesyłki w sklepie. Kto wie - może ona nawet być źródłem jakiegoś zakażenia.

Szybko wyszła do ogrodu, zatrzymując się tylko po to, by wyrwać nieco czosnku. Określiła jego łodygami kryjącą zło paczuszkę i położyła ją w pustym miejscu, gdzie co rano wysypywały popiół, a potem przykryła doniczką, wciskając głęboko w ziemię.

Tego dnia miała więcej do roboty niż zwykle i nieprzerwany potok klientów. Przychodziły gospodynie domowe szukające przypraw, zadzierające nos służebne i damy do towarzystwa z zamku, które chciały kupić kosmetyki, jakby wczorajszy bal do cna wyczerpał ich zapasy.

Niektórzy pytali o Halwicę, ale Willadene zauważyła, że nikt nie podał w wątpliwość wyjaśnienia nieobecności zielarki, którego im udzieliła. Przez cały czas pamiętała o ukrytej pod doniczką groźnej przesyłce, ale nie przyszedł żaden strażnik, który chciałby dokonać rewizji. Dlatego odprezyla się powoli. Halwice będzie wiedziała, co zrobić; dziewczyna chciała tylko, żeby jej pani już wróciła.

Zielarka przyszła dopiero po zmroku. Nie niosła już sakwy na ramieniu, twarz miała blada i zmęczona. Nie była też sama. Towarzyszący jej mężczyzna wyglądał jak gwardzista, może nawet podoficer, ale miał na sobie stroj o stonowanych kolorach, jaki zwykle nosili kupcy.

Willadene pospiesznie podgrzała wodę w kotle i przygotowała ziołową herbatę, która dodawała sił Halwice. Przez cały ten czas czuła na sobie wzrok swojej pani. Gwardzista stał nieruchomo przy drzwiach, jakby pełnił wartę na zamku.

-To, co miało przyjść... - Zielarka mówiła tak powoli, jakby samo wypowiedzianie słów sprawiało jej trudność.

Willadene znieruchomiała z czajniczką w dłoni. Na pewno nie wolno jej opowiedzieć o tym, co się stało, w obecności obcego człowieka. Szybko wybrała odpowiednie słowa.

-Przybyło i zostało zasadzone - oznajmiła, patrząc prosto w zmęczone oczy Halwice - tak jak sobie życzyłaś, w specjalnej, posypanej popiołem ziemi.

Dziewczynie wydało się, że w glebi oczu zielarki zapłonęła jakaś iskierka. Halwice skinęła głową, jak gdyby wszystko dobrze rozumiała. Wzięła oburącz kubek z herbatą, jakby była zbyt słaba, by trzymać go w jednej ręce.

-A teraz... mamy mało czasu. Weź czystą bieliznę i drugą suknię. I trzecią księgę z prawej na półce. Nie mogę dłużej przebywać poza sklepem, wiedz jednak, że pokładam w tobie pełne zaufanie.

Pamiętaj o swoim darze i posługuj się nim zawsze. Ten, którym musisz się zająć, jest ciężko ranny, ale nie umarł. Przeżyje, jeśli w ogóle ktoś może to sprawić z pomocą Jasnej

Gwiazdy. Pojdiesz z tym gwardzista... - Skinieniem głowy wskazała na mezczyzne, który dotad sie nie odezwal. - Badz mu posluszna, gdyz jego zadaniem jest zaprowadzic cie bezpiecznie do celu. Pozostawilam dla ciebie instrukcje przy tym, który teraz tam jest. Niewykluczone, iz do jutra sprawy przybiora taki obrot, ze znow bede mogla sie z toba zobaczyc. To prawdziwy obowiazek, moje dziecko, i moze jestes za mloda, zeby mu podolac, ale nie mam wyboru.

Kompletnie oszolomiona Willadene pospiesznie zebrała w wezelek swój skromny dobytek. Kiedy po raz ostatni spojrzala na Halwice, ta stala przy drzwiach, patrzac, jak ida przez jej ogrod.

8

Mahart z powrotem polozyla sie na poduszkach szerokiego loza i napiela palce u nog. Slonce rzucalo na nia snopy swiatla przez szpare w ciezkich zaslonach, nie chcialo jej sie jednak zmienic tej leniwej pozy. A przeciez od jakiegos czasu slyszala ciche kroki przybywajacych i odchodzacych osob, ktorych nie widziala w swym oslonietym kotarami lozu. Kiedy wracala mysla do ostatnich wydarzen, wydawalo sie jej, ze nie dwadziescia, ale kilkakrotnie wiecej dni zmiescilo sie miedzy jej pierwszym balem a tym, co dopiero malo nastapic. Za kazdym razem, gdy probowala odgrzebac jakies zywe wspomnienie, natychmiast przywodzilo ono za soba wiele innych.

Jezeli wczorajszy dzien to przyklad tego, czego beda od niej wymagac w przyszosci, watpila, czy dorosla do tego zadania. Wtedy z jej zamglonych wspomnien wylonily sie dwie twarze. Vazul - czego naprawde od niej chcial?

Dobrze wiedziala, ze jej prywatne spotkania z kanclerzem byly czymś w rodzaju lekcji. Wprawdzie Vazul nie rozwinal szerzej zadnego tematu w swych opowiesciach o sprawach zwiazanych z dworem ksiazecym, ale dawal do zrozumienia - chyba celowo, pomyslala Mahart, zaciskajac wargi - ze kryja sie w nich ponure glebie i pulapki, ktorych nalezy unikac.

Powinien byl ja ostrzec przed Jej Wysokoscia Saylana, a nie zrobil tego, poza kilkoma lakonicznymi komentarzami. Mahart od dziecka wiedziala o istnieniu przepasci miedzy tamta dama i jej ojcem. Skrzywila sie. Tak, zatanczyla pierwszy taniec z Barbrikiem. Nie mial, jak sie obawiala, dwoch lewych nog, ale czasami, podczas wykonywania majestatycznych figur tanecznych, sprawial wrazenie, ze jest nieszczesliwy. A jego reki - Mahart szybko wytarla swoja o falde koldry- nieprzyjemnie goracej i miekkiej, nikt by nie uscinal z radoscia. Przypomniala sobie, ze widziala, jak Vazul ja obserwuje, gdy obrocila sie, stapajac drobnymi kroczkami w kolejnej figurze. Poczatkowo pragnela, by kanclerz byl z nia bardziej szczery, a potem doszla do wniosku, iz lepiej sie stalo, ze nie wyjawil swoich zamiarow. Przynajmniej na razie.

Pomyslala teraz o drugiej postaci, która pamietala tak wyraznie: kobiecie wsrod rajcow miejskich, tak majestatycznej jak dama dworu - zielarce Halwice. Mahart nie odwazyla sie

wezwać jej do zamku, by dowiedzieć się czegoś więcej o niej samej i o jej wyrobach, chociaż uważała, że robiąc to, postąpiłaby rozsądnie. A jednak...

Ksiezniczka usiadła, odsunęła koldre i wsadziła reke między kotary, w wąski otwór, przez który wpadało słońce. Na razie nie miała pojęcia, jak wielką może mieć władzę - kogo mogłaby wysłać z jakimś poleceniem lub od kogo zająć takiej lub innej usługi. Była jednak pewna, że prędzej czy później spotka Halwicę.

Widok jej palców na brzegu kotary uznano za sygnał, gdyż przedkto ją rozsunęto i ksiezniczka ujrzała coś, do czego nie przywykła - grupkę zwróconych ku niej dworaków, jakby to ona miała nimi dyrygować w tym dniu.

Julia stała i trzymała odsunięte kotary, jednocześnie składając coś w rodzaju ukłonu. Mahart dostrzegła tam też Zute; w złotej sukni (był to jej ulubiony kolor) stanowiła jasną plamę na tle pociemniałej ze starości komnaty. Za nią stały dwie szlachetnie urodzone nieudacznice, które towarzyszyły ksiezniczce wtedy, kiedy po raz pierwszy wzięła udział w dworskiej ceremonii. Nudziła się z nimi jak mops i tylko sugestia Vazula, iż ich obecność w jej otoczeniu może mieć jakiś cel sprawiła, że nadal witała je co rano sztucznym uśmiechem, który nakładała jak maskę po odsłonięciu łóża.

-Życze wam pięknego dnia i błogosławieństwa Jasnej Gwiazdy - wygłosiła ceremonialne powitanie, przyzwalając im w ten sposób na wypełnianie nałożonych na nie obowiązków.

Panie Famina i Geuverir, robiąc dużo szumu, zaprowadziły ją za parawan otaczający wannę i złapały koszulę nocną, którą im rzuciła. Julia jak zawsze stała z wielkim ręcznikiem kąpielowym i czekała, aż Mahart włoży majtki i halke.

W komnacie ksiezniczki scierało się teraz wiele zapachów: resztki woni kadzidła, które paliło się w nocy, ziół rozpuszczonych w wodzie i czystej bielizny.

Słyszała szeptał Faminy i Geuverir, ale zauważyła, że Zuta jak zwykle trzyma się z dala od tej dwójki. Mogła się domyślać, o czym cichutko rozmawiają. Wprawdzie nie były przyjaciółkami, gdy przydzielono je do służby Mahart, ale szybko się zaprzyjaźniły, głównie z powodu wspólnych zainteresowań, czyli mężczyzn. Ksiezniczka dobrze wiedziała, że obie, zareczone, jak kazał zwyczaj, w dzieciństwie, czekały niecierpliwie, aż staną się paniami własnych domów i że czasami to oczekiwanie bardzo je irytowało. Mahart zapytała Zute, dlaczego jeszcze nie wyszły za mąż, gdyż w ten sposób mogłaby się ich pozbyć. Zuta wzruszyła ramionami i oświadczyła, że w przypadku pani Faminy chodzi o posag - ojciec jej przyszłego małżonka pragnął dodać do swoich włości pewien skrawek ziemi wraz z przybyciem synowej. Natomiast w sprawie pani Geuverir nadal prowadzono rozmowy.

Tego ranka jednak obie damy nie rozmawiały o mężczyznach. O duchach!

Podsluchane kilka słów tak zaintrygowało Mahart, że przywołała ją do siebie, gdy Julia czesała i układała jej włosy.

Ksiezniczka dobrze wiedziala, ze sa czesci zamku, gdzie powietrze zdaje sie otulac ludzi w zlowieszczy sposob, jakby chcialo ich udusic. Istnialo nieprzeliczone mnostwo opowiesci o tym lub innym zdymisjonowanym wysokim urzedniku lub damie dworu, ktorzych podobno widziano, jak chodzili w nocy po jednym z zamkowych korytarzy. Zazwyczaj byly to osoby, pozbawione zycia za przeciwstawianie sie woli ksiecia.

Jednakze nowe zjawy najwidoczniej mialy cos wspolnego ze swiatlem dnia i chociaz Mahart uslyszala te historie z trzeciej reki, istnialy dwa jej warianty, podobne do siebie. Bal trwal do switu. Ksiezniczka byla wtedy tak spiaca, ze pragnela tylko polozyc sie do loza, ale inni mieli w zylach wiecej krwi nocnych markow - albo z powodu flirtow musieli szukac bardziej ustronnych zakamarkow. I stad te opowiesci...

-To Czarna Wieza, Wasza Wysokosc. - Glos pani Geuverir zadrzal lekko. - Zawsze mowiono, ze jest przekleta, odkad szalony ksiazce Rotonbric powiesil sie tam na sznurze od kotary.

-Tak - wtracila sie do rozmowy pani Famina. - Pani Horsetha na wlasne oczy widziala to cos w bieli kroczone korytarzem. Gwardzista Kylow rzucil temu czemus wyzwanie i to cos zniknelo w scianie.

Mahart rozchylila usta w lekkim usmiechu.

-O ile pamietam, pani Horsetha ma meza i nie jest nim gwardzista.

Pani Famina zaczerwienila sie, a nie nalezala do kobiet, ktorym rumieniec dodaje urody.

-Byli zgrzani, Wasza Wysokosc, i wyszli na kruzganek, zeby odetchnac swiezym powietrzem. Ale to prawda, pani Horsetha po powrocie cala tak sie trzesla, ze gwardzista Kylow musial ja podtrzymywac. A potem zemdlala, kiedy pan Margrave opowiedzial, co on sam zobaczyl.

-To znaczy co? - Mahart spojrzala w zwierciadlo, ktore Julta trzymala w pogotowiu, by ksiezniczka mogla obejrzec swoje wlosy z tylu przed przypieciem do nich spadajacego na ramiona welonu. Ten nowy szczegol stroju dodatkowo komplikowal jej zycie.

-No coz... - Pani Famina zachichotala i z kolei to pani Geuverir sie zarumienila, gdy jej bardziej rozmowna towarzyszka podjela opowiesc: - Wszyscy duzo wypili, chyba to rozumiesz, Wasza Wysokosc...

-...i pan Margrave poszukal jakiegos ustronnego miejsca - dokonczyla niecierpliwie Mahart. - Ale dlaczego w tej stronie...?- Teraz na jej policzki wyplynal rumieniec. Wiedziala, ze mezczyzni nie zawsze sa wymagajacy w takich sprawach. - No wiec, co on takiego zobaczyl?

-Dwie ogromne, czarne postacie, Wasza Wysokosc. Wychynely z mroku, jakby wyciagniete

z tamtego swiata, a potem poszly tym kruzgankiem. Rozblysko zielonkawe swiatlo, swiatlo smierci... - Teraz pania Famine bawil jej wlasny strach. - I one rowniez weszly w sciane!

-Przypuszczam, ze w koncu przybyli gwardzisci Jego Ksiazecej Mosci - skomentowala Mahart. - I co znalezli?

-Nic. - Pani Famina zamilkla, jakby brala glebszy oddech, by podkreslic znaczenie swojej opowiesci. - Nic, tylko drzwi, ktore zostaly zamkniete i opieczetowane wtedy, gdy wyniesiono przez nie cialo szalonego ksiecia Rotonbrica.

Mahart dotknela palcem matowej buteleczki. Nie wierze w duchy, powiedziala sobie stanowczo. Byla jednak pewna, ze znajdzie wystarczajaco duzo powodow, zeby nie udac sie do Czarnej Wiezy, jesli kiedykolwiek ktos ja tam zaprosi, i bedzie mogla dokonac wyboru. Nie, zdecydowala. Tchnienie Lilii to zbyt wytworne perfumy, by uzywac ich poza uroczystosciami panstwowymi. Zamiast tego odetkala sloiczek z kremem, wciagnela w nozdrza bijacy z niego orzezwiajacy zapach, po czym delikatnie dotknela palcami skory za uszami i wzdluz szyi. Duchy w zamku? - zapytala sama siebie. Co na to powie Vazul?

Jacoba bardzo rzadko pozwalala Willadene opuszczac karczme, a w sklepie Halwice dziewczyna miala tak duzo do roboty, ze nie znala tej czesci Kronengredu. Halwice nie dostarczala sama swoich wyrobow - klienci przychodzili do niej. A poniewaz pochodzili z roznych kregow mieszkancow stolicy ksiestwa, Willadene slyszala nazwy ulic, siedzib szlchetnych rodow i rozne inne, nie miala jednak pojecia, gdzie sie one znajduja.

Trzymala sie blisko milczacego gwardzisty, zwlaszcza ze wpadli na powracajacych do domow ostatnich uczestnikow wczorajszej zabawy, lepiej lub gorzej trzymajacych sie na nogach. Gwardzista przycisnal Willadene lokciem do sciany, a sam zajal pozycje miedzy nia i przechodzacych mieszczanami. Dziewczyna naciagnela kaptur na glowe tak nisko, ze ledwie przelotnie widziala zewnetrzny swiat.

Ulice i aleje, ktorymi szli, zdawaly sie ciagnac w nieskonczonosc. Po zapadnieciu zmroku, zgodnie z prawem, tylko zawieszone nad drzwiami lampy rozlewaly wokol niewielkie kregi swiatla miedzy domami. Gwardzista dostosowal swoje wielkie kroki do jej wolniejszego tempa i dwukrotnie chwycil ja za ramie, chroniac przed potknieciem - prawie tak, jakby widzial w ciemnosci.

Nad nimi majaczyl w mroku zamek i zblizali sie do niego coraz bardziej. Oswietlone okna w wyzszych partiach starej budowli ciagnely sie niemal wzdluz calej jej dlugosci, a u podnoza wzniesienia, na ktorym stala, widac bylo swiatla i krzatajacych sie, ludzi.

Jej przewodnik skrecil nagle w alejke tak waska, ze zastanowila sie, czy nie muska on szerokimi ramionami scian po obu stronach.

Teraz trudniej bylo isc, gdyz to tu, to tam staly pojemniki ze smieciami, trzymane z dala od oczu przechodniow z glownych ulic. Przed takim wlasnie pojemnikiem, prawie na koncu

alejki, gwardzista zatrzymał się tak nagle, że Willadene omal na niego nie wpadła.

W blasku ognia zapalniczki dostrzegła przelotnie wielką beczkę, tak szeroką, że zadała sobie pytanie, czy ktokolwiek mógłby ją poruszyć. A przecież beczka ta przetoczyła się na bok, gdy tylko przewodnik położył na niej rękę.

Willadene widziała jedynie kamienną ścianę, ale on wcale tam nie patrzył, tylko tupnął w kamienny chodnik w miejscu, gdzie przedtem stała beczka. Trzykrotnie uderzył ciężkim butem w bruk. Później gwardzista cofnął się, pociągając za sobą dziewczynę. Nie rozległ się żaden dźwięk, a mimo to kamienny kwadrat opuścił się, pozostawiając czarny otwór. Mężczyzna przemówił po raz pierwszy.

-Tu jest drabina, dziewczyno. Zejdź szybko na dół.

Wyglądało jednak na to, że nie musi ryzykować życia, schodząc w ciemnościach, ponieważ nagle pojawiło się słabe światło i Willadene zobaczyła drabinę. Choć przeszkadzała jej fałdzista oponcza i sakwa przewieszona przez ramię, posłuchała rozkazu.

W dole ujrzała więcej światła. Rozjaśniało ono bardzo mały odcinek korytarza, który zaatakował jej nos odorem stechliżny i ziemi. Kiedy oboje stali na wewnętrznych stopniach, gwardzista podniósł czekającą zapaloną latarnię i zwałowo ruszył do przodu. Willadene usłyszała stłumiony stuk i zrozumiała, że to drzwi zamknęły się za nimi.

Szli po schodach naprawdę długo. Dziewczyna mocno trzymała się wyżłobionego w ścianie rowka z prawej, który zapewne miał zapewniać bezpieczeństwo idącym, choć ona sama wcale nie była o tym przekonana.

Przeszli trzy kondygnacje schodów - każda kończyła się szerokim podestem. Na dwóch podestach umieszczono latarnie, ale trzeci wydawał się dziwny. Po pierwsze, był znacznie wezszy, miał nierówne boki, a po drugie - odłamki kamieni leżały na kamiennej podłodze, jakby dopiero niedawno je odłupano.

Schody prowadzące w górę były znacznie wezsze i trzewiki Willadene wzbijały tumany kurzu, tak że zaczęła kaszleć, podobnie jak jej towarzysz. Dotarli do czwartego podestu, który okazał się tak mały, że ich ciała się zetknęły, gdy się na nim znaleźli. Gwardzista podniósł piasek i isniący metal zabłysnął w bladym świetle latarni: przewodnik Willadene zastukał rekojescią sztyletu w ścianę.

Willadene poczuła won świeżej oliwy i domyśliła się, że w ten sposób otwarto jakieś dawno zamknięte przejście. Później oslepił ją błysk światła. Trzymający rękę na ramieniu dziewczyny gwardzista popchnął ją do przodu, sam zaś pozostał tam, gdzie stał. Usłyszała szcęknięcie zamka, zanim zdołała rozejrzeć się wokół.

Trzymała teraz głowę wysoko, gdyż nos dostarczał jej wielu informacji. Ponad odorem zgnilizny i kurzu w od dawna nie używanym miejscu wyczuwała won balsamów i innych

dobrze sobie znanych medykamentów. Docieraly tez do niej mniej przyjemne zapachy, typowe dla kazdego zamknietego pomieszczenia, w którym znajdował się ktoś chory.

Najpierw skupila uwage na mezczyznie, który wstal z krzesla, by stanac przed nia. Nie powital jej, tylko zmierzyl ja spojrzeniem od stop do glowy i z powrotem. A przez cały ten czas glaskal i poklepywal jedna reka zwierzatko o czarnym futerku, owinięte wokół jego szyi ponad wspaniale haftowana szata jak dodatkowy kołnierz.

Willadene poznala go na pierwszy rzut oka i choc nogi drzaly jej lekko od dlugiej wspinaczki, zmusila sie do uklonu.

-Wielmożny panie kanclerzu...

-Halwice poreczyła za ciebie - odezwał się nagle kanclerz. - Mówi, że umiesz wykonywać jej rozkazy i milczec.

Willadene nie wiedziała, co ma odpowiedzieć, ale ucieszyła się, że zielarka tak wysoko ją ceni.

-Będiesz musiała pielegnować chorego i to najlepiej, jak umiesz. - Odwrócił się, przywołując ją kiwnięciem palca.

Ujrzała loże podobne do olbrzymiej jaskini, okolone kotarami przypominającymi najciemniejsze nocne chmury. Ale to nie wokół tego gigantycznego łoża ustawiono rzad lamp, lecz przy składanym łożku, takim samym, na jakim spała u Halwice. Znajdowało się ono nisko, tuż nad podłogą, i łatwiej było doń dotrzeć. Na łożku spoczywał jakiś mężczyzna. Od czasu do czasu reka leżacego niecierpliwie szarpała koc. W zwróconej ku dziewczynie twarzy oczy były zamknięte, jakby chory spał.

Nicolas! W jaką pułapkę wpadł tym razem? - zapytała się w duchu. Sprawiał wrażenie wyjątkowo pechowego młodzieńca.

-Tam. - Kanclerz znow zwrócił na siebie całą uwagę dziewczyny, wskazując na stolik: leżało na nim kilka arkuszy znacznie cięszszego papieru niż ten, którego zwykle używała Halwice. Pokrywały je jednak równe rzędy pisma zielarki. - To rozkazy dla ciebie... - zawiesił głos i ponownie zmierzyl wzrokiem dziewczynę. - Gdyby odzyskał przytomność i mógł mówić - dostojnik znow podszedł do ściany i odsłonił sznur dzwonka - użyjesz tego natychmiast. Rozumiesz?

Willadene skinęła głową. Przez ostatnie kilka chwil coś rozpraszało jej uwagę. Wyczuła wtedy nowy zapach, słaby, trudny do rozróżnienia wśród tylu innych, ale w jakiś sposób zdała sobie sprawę, że jest ważny. Przeniosła wzrok z oczu kanclerza na jego żywy futrzany kołnierz i napotkała spojrzenie innej pary oczu...

Nie wyczuła zła w tym stworzeniu - krzącace po miescie opowieści o nierozłącznej

towarzyszce Vazula klamaly. Lecz zwierzatko to bylo czymś wiecej niz zwyklym ulubieciem. Gdy poczula jego zapach, zdala sobie sprawe, ze nigdy go nie zapomni.

-Rozumiesz, co do ciebie mowie?! - warknal zniecierpliwiony dostojnik. Dziewczyna uswiadomila sobie, ze nie odpowiedziala dostatecznie szybko.

-Tak, wielmozny panie. Jezeli on - skinieniem glowy wskazala na spiacego niespokojnie rannego mezczyzna - ocknie sie i przemowi, wtedy mam pociagnac za ten sznur. - Wiedziala, ze mowi glupawo, jak prawdziwa pomywaczka, ale to nie mialo znaczenia. Niech kanclerz myśli, ze jest niezbyt rozgarnieta, a wtedy nie uzna jej za niebezpieczna dla siebie.

-Tutaj zas... - Teraz podszedl do drzwi. Kopnal czubkiem buta w ich najnizej polozona czesc, ktora otwarla sie pod tym ciosem. - Woda, jadlo, w ten sposob mozna dostarczyc wszystko, co konieczne. Kiedy bedziesz czegos potrzebowac, zostaw kartke na tej tacy. W przeciwleglym rogu komnaty jest olej do lamp, wystarczy na dlugo. A teraz odwroc sie plecami i naciagnij kaptur na twarz!

Wydal polecenie tak rozkazujacym tonem, ze Willadene posluchala natychmiast. Nie byla zaskoczona, gdy odwrociwszy sie zobaczyla, ze w komnacie oprócz niej przebywa tylko ranny mezczyzna, choc nie dostrzegla zadnego wyjscia, gdyz stala miedzy miejscem, w ktorym przed chwila znajdowal sie kanclerz, a zaopatrzonymi w klapę drzwiami.

Powiesila oponcze wraz z sakwa na rzezbionym jak tron krzesle, ktorego aksamitne poduszki wyblakly i mialy teraz matowoszara barwe. Oczywiscie, najpierw musi sie zajac Nicolasem, chociaz nie watpila, ze Halwice nigdy by go nie opuscila, gdyby nadal grozilo mu prawdziwe niebezpieczenstwo.

W dotyku jego cialo bylo zbyt cieple, ale ranom zawsze towarzyszy goraczka. Na podlodze obok lozka staly trzy butelki z przymocowanymi drutem lyzkami-dozownikami. Willadene obejrzala je po kolei, rozpoznajac od razu ich zawartosc i zastosowanie.

Ostroznie zsunela koc z rannego, zeby przyrzec sie bandazom spowijajacym prawe ramie i spora czesc klatki piersiowej Nicolasa. Jeszcze nie musi ich zmieniac. Czula zapach srodka nasennego, ktorego uzyla Halwice. W takim razie musi zrobic dwie rzeczy. Po pierwsze, przeczytac instrukcje, pozostawione przez jej pania. Rzeczywiscie, znala dzialanie lekow w buteleczkach oprócz jednego lub dwoch zastosowan, przy ktorych jeszcze nie pomagala Halwice. W komnacie palila sie lampa godzinowa i kiedy poziom oleju dotrze do odpowiedniej kreski, Willadene ma obudzic swojego podopiecznego i dac mu lyzke jednego z tych lekarstw.

Upewniwszy sie, ze zrozumiala polecenia, dziewczyna postanowila obejrzec swoje wiezienie. Bo przeciez byla tu wiezniarka majaca spelnic zadanie, ktore nalozyla na nia jej pani.

Willadene wziela do reki jedna z mniejszych lamp i okrazyla pokoj, poczatkowo trzymajac

sie blisko scian. Dwie sciany byly zakrzywione, uznala wiec, ze komnata znajduje sie w jakiejś wiezy. Niegdys byly w niej dlugie, waskie okna, ale zostaly zamurowane i wiele pokolen pajakow rozwiesilo w poprzek nich swoje sieci. Meble, swego czasu bardzo piekne, zapewne dorownujace tym, ktore zdobily komnaty ksiecia, zmatowialy od kurzu i widac w nich bylo dziury po komikach.

Obeszla komnate pewna, ze kazde wejście do niej musi byc tajemne i ze przyprawdzono ja tu w taki sam sposob. Nadal niezadowolona z rezultatow, okrazyla swoje wiezienie po raz drugi, goraczkowo wytezajac zdolnosci, ktore zdaniem Halwice byly jej szczegolnym darem od losu. Ze wszystkich sil starala sie odkryc jakis odor zła, podobny do tego, ktory napelnial sklep zielarki przy jej pierwszym spotkaniu z Nicolasem i ktory zawsze otaczal Wyche'a i jego kompanow. Nie znalazla jednak nic oprócz zapachu ziol leczniczych.

Willadene byla pewna, ze Halwice nigdy by nie uzyla swojej wiedzy w sluzbie zła. Zdawala tez sobie sprawe - poniewaz uwaznie obserwowala Halwice i Nicolasa podczas jego kilku wizyt w sklepie - ze laczy ich przyjazn, a przynajmniej cos w rodzaju sympatii.

Gdy uslyszala pukanie do drzwi, podeszla w pore, by ujrzec, ze klapa na dole podniosla sie i ze w otwor wsunieto tace z jedzeniem. Jednak zanim zdazyla sie nachylic, zeby podniesc tace i chocby przelotnie dojrzec tego, kto ja dostarczyl, klapa ponownie opadla, uderzyla w tace i wepchnela ja dalej w glab komnaty.

Stalo na niej kilka przykrytych pokrywkami srebrnych talerzy, jakie mial kazdy szlachcic, i stosik zwinietych serwetek, wprawdzie pozolklych ze starosci, ale czystych. Willadene postawila tace na podnozku w niewielkiej odleglosci od swego podopiecznego i usiadla obok na podlodze, krzyzujac nogi. Moze silny zapach jedzenia, ktory rozlal sie po komnacie, obudzil Nicolasa. Odwrocil bowiem glowe i utkwil w dziewczynie spojrzenie, twarde jak zawsze.

Nie dostrzegla w jego oczach goraczki i uznala, ze dobrze wie, kto obok niego siedzi.

-Zupa... - Jedna reka wziala miske z zupa, z ktorej zdjela pokrywke, a druga siegnela po lyzke o ozdobnym trzonku.

Nicolas zmarszczyl brwi i powoli odwrocil glowe, najwyrazniej omiatajac wzrokiem otoczenie.

-Gdzie...? - wykrztusil cichym, ochrypłym glosem. Willadene potrzasnela przeczaco glowa.

-Nie wiem. Gdzies w zamku, ale przyprawdzono mnie tu tajemnym przejściem i nic wiecej nie moge ci powiedziec. Na rozkaz mojej pani! - zakonczyla wyzywajacym tonem, gdyz Nicolas spochmurnial jeszcze bardziej.

Przypomniala sobie instrukcje kanclerza: musi wezwac pomoc, gdyby Nicolas odzyskal przytomnosc. Tak, ale widziala, ze jej podopieczny walczy, by znow nie pograzyc sie w

niepamięci i że potrzebuje sił do tej walki. Może dać mu jeden z pozostawionych przez Halwicę napojów? Lek ten będzie jednak działał tylko przez jakiś czas, a jedzenie na pewno doda sił rannemu mężczyźnie. Przysunęła się więc bliżej i zanurzyła łyżkę w wonnym rosolu.

-Jedź! - starała się mówić takim samym rozkazującym tonem jak Halwice. Mimo to zdumiała się w duchu, gdy Nicolas otworzył usta i mogła wsunąć w nie łyżkę. Po przelknięciu zawartości pięciu łyżek stanowczo zacisnął wargi.

-Vazul... - otworzył je tylko po to, by wypowiedzieć to słowo.

Willadene podeszła do sznura od dzwonka i pociągnęła go energicznie, po czym wróciła do pacjenta. Tym razem wzięła jedną ze stojących na podłodze butelek i nalala poł łyżki lekarstwa.

-Ono dodaje sił. - Podsunęła łyżkę do uparcie zacisniętych ust mężczyzny. Nie podziękował jej wzrokiem, pozwolił jednak wlać w siebie płyn.

-Ssssaaa... - Na szczęście Nicolas przelknął ostatnie krople medykamentu, zanim syknienie zaskoczyło dziewczynę.

Przez komnatę, w jaśniejszym świetle niż to płonące przy składanym łóżku, pojawiło się zwierzątko kanclerza. Willadene pierwszy raz widziała je samo. Skuliło się, tak że przednia część jego ciała znalazła się ponad zniszczonymi przez czas dywanami na podłodze. Trzymało wysoko głowę, zdając się weszyc w poszukiwaniu jakiegoś niebezpiecznego zapachu. Widząc to, dziewczyna poszła w jego ślady. Wyczuła mnóstwo woni, ale większość była znajoma i nieszkodliwa.

Skupiła całą uwagę na dziwnym stworzonku, dlatego drgnęła z zaskoczenia, gdy Vazul wychynął znikąd i stanął w pełnym świetle. Bogato zdobiona, strojna szata, która zazwyczaj nosił, zniknęła i miał na sobie zwykle, nie wywierające takiego wrażenia, ciemnoszare odzienie - jednym słowem, ubrany był jak kupiec przy pracy.

-Nicolas? - Nie zwrócił uwagi na Willadene, która pośpiesznie usunęła mu się z drogi, gdy podszedł i ukląkł przy składanym łóżku.

Na ściągniętej twarzy rannego pojawił się lekki uśmiech, a oczy już nie przeszywały spojrzeniem jak obnazone miecze.

-We własnej osobie, panie kanclerzu - odpowiedział wyraźnie, ale prawie szeptem. - I tym razem mnie nie dostali...

Vazul łagodnym ruchem, do jakiego, zdaniem Willadene, nie był zdolny taki nieugięty, pełen rezerwy człowiek, podniósł lekko rannego i podtrzymał jednym ramieniem, druga ręka szukając na łóżku poduszki.

-Ssssaaa... - Jego ulubienica skoczyła na łozko i wsunęła wąską głowkę pod bezwładną rękę Nicholasa.

-Tak - powiedział Vazul bez emocji. - Nadal żyjesz, by brać udział w grze, chłopcze. Ale szczęście nie sprzyja nikomu bez końca. Znaleźliśmy cię w tajnym przejściu...

-Przynajmniej nie w jakimś ciemnym zaułku... - Może młodszy mężczyzna próbował się zasmiać, lecz z jego ust wydobył się tylko dźwięk podobny do krakania. - To miejscy bandyci mnie zranili. Czekali na mnie.

-Ach, taaak! - Kanclerz niemal syknął jak jego ulubienica. - Ale jakie wieści przynosisz? - Wydawało się, że w tej chwili odłożył na bok jeden temat, by skoncentrować się na innym.

-Dla nas jak najlepsze. Książę Lorien niecierpliwie pragnie walki - nigdy bowiem nie interesowało go polowanie... na zwierzęta.

Otrzymał przewodnika i pewne informacje. Z wyrazu twojej twarzy, wielmożny panie, wnoszę, iż jeszcze nie dotarły do ciebie żadne nowiny, ale przysięgam, że są w drodze. Nie sądzę, żeby książę Lorien, kiedy na swój sposób dostał prztyczka w nos, powstrzymał jakieś granice. To pustkowie i łatwo przez nie przejść z królestwa, gdzie straż nie stoi na głównych drogach.

Vazul uśmiechnął się nieco sztucznie, jakby niełatwo mu było zmienić wyraz twarzy.

-Jego Książęca Mość będzie bardzo zadowolony - skomentował. - A ten książę Lorien, co możesz o nim powiedzieć?

-Jest młody, porywczy i potrzebuje zajęcia.

Nicolas mówił coraz słabszym głosem. Willadene szybko zerknęła na lampę godzinową i odważyła się wtrącić do rozmowy.

-Wielmożny panie, muszę dać mu napój leczniczy. Sam widzisz, jak traci siły...

Kroplisty pot zwilżył ciemne loki nad czołem rannego mężczyzny.

-Dobrze się spisales... - powiedział Vazul takim tonem, jakby nie usłyszał słów Willadene, choć była pewna, że do niego dotarły. Kanclerz pogładził lekko ręką bandaż na ciele Nicolasa. Jego ulubienica wzięła to za sygnał, wskoczyła na ramię swego pana i przyłgnęła do jego barku.

-Myśle... - teraz Vazul odwrócił się w stronę Willadene - że pozostawiam cię w dobrych rekach. Halwice jest zakładniczką za te dziewczyny.

-Chciałbym... - Nicolas próbował się poruszyć, podnieść lekko. To Vazul popchnął go z

powrotem na posłanie.

-Wracaj do zdrowia, Nietoperzu. Twoje loty na pewno jeszcze się nie skończyły. Daj mu ten napój, dziewczyno, i dopilnuj, żeby zasnął.

Willadene właśnie stała przy stole i nalewała lekarstwo. Poczula tylko lekki prąd powietrza, a gdy się odwróciła, kanclerza już nie było.

Nicolas z nieszczęśliwą miną przyjrzał się temu, co przyniosła.

-Jak długo będę tu leżał? - Głos mu zadrzał, jakby z trudem wypowiedział te słowa.

Willadene przytknęła mu do ust małego kubeczek.

-Tak długo, jak moja pani uzna to za stosowne.

To ona jednak miała ostatnie słowo, gdyż oczy Nicolasa już się zamykały.

9

Na długo przed pierwszym porannym dzwonem, kiedy noc nadal władła czterema bramami Kronengredu, jacyś podróżnicy kierowali się w stronę północnych wrot i na pewno nie byli to zwykli kupcy ani galopujący konno posłancy. Tych dwóch mężczyzn prowadziło między sobą konia, lecz żaden go nie dosiadał. Wierzchowiec kroczył ze zwieszoną głową i pot zastygł na jego chudych bokach. Na prawo od wyraźnie wyczerpanego zwierzęcia włożył się mężczyzna w kolczudze i hełmie strażnika granicznego; na rękawie okrywającym ramię, w którym zwykle trzymał wodze, widac było zakrwawioną oznakę. Uczepiwszy się teraz leku siodła, ponaglił konia do dalszego marszu.

Jego towarzysz był w znacznie gorszym stanie; opuścił głowę tak nisko, że podbródkiem niemal dotykał piersi. Dół twarzy pokrywała maska z zaschniętej krwi i z trudem wciągał powietrze przez zmiądzony nos. Zamiast kolczugi miał na sobie kaftan z utwardzonej w wodzie morskiej skóry, nie nosił też ani miecza, który od czasu do czasu uderzał o udo jego towarzysza, ani żadnej innej broni. Rozczochrane włosy drugiego wędrowca stały się białoszare od kurzu i dwukrotnie tylko kon, do którego przywiązane były jego ręce, utrzymał go na nogach, gdy się potknął.

-Hej, tam, przy bramie! - wychrypiał strażnik graniczny, zdołał jednak zwrócić na siebie uwagę. W gorze z jakiejś belki zwisała płonąca latarnia, by lepiej oświetlić podróżnych.

-Kto idzie?

-Vacher z oddziału Gorskich Sokół z jencem.

Z góry dobiegło jakieś mamrotanie i strażnik musiał trochę poczekać. Jeniec na pewno by

upadł w tym czasie na kolana, gdyby nie opierał się o konia. Potem usłyszeli słowa:

-Tak, to na pewno Vacher, służyłem z nim na drodze do Burges. Wpuść go, głupcze, nie widzisz, że ledwo żyje?

Nie otworzyli wielkiej bramy, ale w bocznym wejściu pojawiło się światło. Noż przeciał wieży jenca, który osunął się twarzą do ziemi, a strażnikowi, który go pojmał, wsunęto butelkę do ręki.

Dwóch innych żołnierzy z latarniami zeszło przed bramę; jeden z nich nosił na helmie ukosną belkę podoficera.

-Co my tu mamy? - przeszedł od razu do rzeczy, czubkiem buta szturchając leżące na ziemi ciało.

Strażnik graniczny przestał pic.

-Ten tam to ktoś, kogo kapitan obejrzy z zadowoleniem. Napastnik...

Dwaj żołnierze ze stojącej przed bramą małej grupy warkneli, a jeden posunął się tak daleko, że do połowy wyciągnął miecz z pochwy.

-Napastnik - mówił dalej Vacher - który może wiedzieć coś, czym powinien się podzielić z uczciwymi ludźmi. Na przykład, dlaczego ja, Samnel i Jas wpadliśmy w pułapkę, jakby jego kompani zostali poinformowani, że przybywamy. Sokolnik mógł wysłać tylko mnie, bo wiedział, że byłem lesnym strażnikiem granicznym u pana Gerorigiusa, zanim umarł, miałem więc najwięcej szans na dotarcie do miasta. I zrobiłem to razem z nim.

Nagle zachwiał się i sam by upadł, gdyby nie podtrzymał go stojący obok żołnierz.

-Zaprowadźcie go do środka - rozkazał podoficer - i postawcie na nogi. Dopilnujcie, żeby ten drugi również doszedł do siebie. - Jeszcze raz kopnął nieruchome ciało. - Ide do kapitana, mam nadzieję, że wrócił z patrolu. Minionej nocy wiele się działo w mieście i specjalnie nas wezwano.

Posłuchali rozkazów, jak przystało na dobrze wycwiczonych żołnierzy. Ale tak ich to pochłonoło, że nie zauważyli cienia leżącego na brzuchu na ziemi, który ramieniem osłaniał twarz. Kiedy jeden z żołnierzy chwycił jenca za czuprynę i podniósł mu głowę, a drugi zbliżył latarnię do jego zakrwawionej twarzy, mięśnie cienia napięły się jak postronki. Nadal jednak tkwił w tym samym miejscu, gdzie się położył na odgłos kroków, aż wszyscy przeszli przez boczne wejście - i pozostał jeszcze przez kilka chwil, licząc oddechy.

Kiedy ukrywający się mężczyzna poruszył się w końcu, przeczołgał się z powrotem wzdłuż muru na odległość kilku kroków, a potem chyłkiem - na lokciach i kolanach - podpełzał pod jakiś wóz. Słyszał chrapanie śpiącego na wozie wiesniaka, który wyrzekł się bardziej

wygodnego posłania, by jako pierwszy przyjechać na targ wczesnym rankiem.

Cien nie potrzebował tradycyjnej bramy, żeby przedostać się do miasta. Za wozem wstał i niepostrzeżenie oddalił się od muru. Poprzedni władcy Kronengredu już dawno temu przezornie oczyszczili tę przestrzeń ze wszystkiego, co mogło służyć za kryjówkę. A przecież tajemniczy przybysz bez przeszkód dotarł do ogromnego, gnijącego pnia wielkości wieżyczki. Potem rozległ się odgłos drapania i mężczyzna zniknął.

Pierwszy dzwon przekazał swoje codzienne posłanie, kiedy nieznajomy, którego szczupłe ciało pokrywały polatane lachmany, znowu się ukazał - tym razem nie za murami, lecz w jakiejś izbie, jakby był tak chudy, że mógł się przecisnąć przez szczeliny między starymi deskami podłogi.

-Hobbert - przepity głos wypowiedział na powitanie tylko jego imię. - Co cię znowu wyciągnęło z twojej nory?

Przybysz pochylał się tak nisko, jakby bardzo uroczyście pozdrawiał samego księcia Uttobrica.

-Mam nowiny, Wyche.

-To znaczy?

-Właśnie przybył jeden z Gorskich Sokolów. I miał ze sobą Ranny'ego, przyprowadził go przywiązanego do siodła.

-Jeśli to zrobił, to tamten duren nadal żył i... - skomentował olbrzymi mężczyzna.

Hobbert podszedł trochę bliżej. Raz nawet osmielił się zerknąć na wysoki kufel stojący w zasięgu ręki drugiego mężczyzny.

-To znaczy, że on coś wie...

Pokryta popekanymi zylkami twarz Wyche'a zamieniła się w złośliwą maskę.

-To, co człowiek wie, może sprawić, że wpadnie w tarapaty, Hobbercie. Tak jak to... - Wskazał na dużego karalucha, który nierozsądnie próbował przebiec przez blat stołu za dnia, i z siłą walnął w niego kuflem.

-Ja tam nic nie wiem - wybelkotał Hobbert pośpiesznie. - Przybyłem tylko, aby ci powiedzieć, panie Wyche.

Tamten prychnął.

-Zawsze klamales od chwili przyścia na świat, Hobbercie. Ale prędzej czy później - gorzącym spojrzeniem zmierzył niższego mężczyznę od stop do głowy i z powrotem -

uregulujesz rachunki. Mimo to tym razem wykorzystales te odrobine oleju, który chlupocze w twojej pustej glowie. - Jego szeroki uśmiech był niemal tak samo zlosliwy jak grymas, który wcześniej wykrzywil mu twarz.

-Idz do kuchni i powiedz tej cholерnej Jacobie, ze chce, abys jak najszybciej napelnil brzuch.

Hobbert zniknal, tym razem normalnie, przez drzwi. Krzeslo, choc duze, zaskrzypialo, gdy Wyche zmienil pozycje. Teraz ani sie nie usmiechal, ani nie marszczyl brwi.

Trzeba miec prawdziwego pecha, zeby zostac wplatanym w spiski wielmozow, pomyslal. Jesli jednak jakies miasto wpadnie w rece czlowieka gotowego poderznac gardlo swemu sasiadowi, oznacza to dla niego bogate lupy, podczas gdy on sam, nie przelewajac swojej krwi, bedzie zbieral plony.

Pojmanie Ranny'ego sugerowalo, ze wielkie niebezpieczenstwo moze zagrozic tym, ktorzy popierali - tymczasowo - te sama opcje co on. Ale w kazdym miescie tak starym jak Kronengred w murach kryje sie wiele tajemnic i mozna na zawsze uciszyc czlowieka, zanim zacznie sypac.

Tak. Pociagnal nastepny dlugi lyk z kufila. Przekazanie dalej dostarczonej przez Hobberta informacji moze obecnie okazac sie korzystne. Postukal grubymi, obrzmialymi palcami w poplamiony blat stolu. W jaki sposob - i dla kogo - nad tym trzeba sie zastanowic.

Kiedy Willadene ogladala komnate, w ktorej lezal Nicolas i w ktorej, jak sie wydawalo, zostala na razie uwieziona, natknela sie na jakis kufer. Moze jego zawartosc byla kiedys wiele warta, bo kryl ceremonialne szaty. Powital ja czysty zapach cedru, gdy zdolala podniesc ciezkie wieko, ale ubrania, zbyt dlugo tam lezace, wysliznely sie i rozdarly w jej rekach. Wyjela ich jednak dostatecznie duzo, by zrobic z nich leze niezbyt daleko od swego pacjenta.

Wedle obliczen Halwice ostatnia dawka napoju powinna zapewnic mu kilka godzin snu. Zglodniala dziewczyna skonczyla reszte podanego na tacy jadla - bulki nadziewane mielonym miesem, oczywiscie zimne, ale mimo to sycace. I napila sie nieco wody z dzbanka. Butelke wina, ktora tez podano, odsunela na bok.

Przez jakis czas siedziala na zaimprovizowanym poslaniu i obserwowala Nicolasa. Ranny spal spokojnie, a pod lekkim dotknieciem jego skora nie wydawala sie juz tak goraca. Napoje lecznicze Halwice dobrze dzialaly, pod warunkiem ze na czas dotarla do pacjenta.

Jednak teraz nie interesowal jej Nicolas pacjent, lecz Nicolas mezczyzna. Nie wiedziala, czy dobrze potrafi okreslic jego wiek, ale czula, ze nie moze byc duzo od niej starszy. Sposob zas, w jaki traktowali go zarowno Halwice, jak i kanclerz, wskazywal, ze zna wiele tajemnic, o ktorych istnieniu dziewczyna wiedziala, ale ktorych wcale nie miala ochoty poznac. Gdyby Halwice chciala powierzyc jej jakis sekret, na pewno by go wyjawila, a Willadene dotrzymalaby tajemnicy.

Oczywiście, co do tego nie miała żadnych wątpliwości, Nicolas był szpiegiem - oczami i uszami kanclerza, a tym samym księcia. Tylko człowiek o mocnych nerwach i błyskotliwej inteligencji mógł grać te role nawet przez krótki czas.

Zastanowiła się, czy nadal żywi wobec niej podejrzenia, jak na początku ich znajomości. Ona...

Leżąc na posłaniu z wyszywanymi metalowymi niciami szat dziewczyna zeszywniała i gwałtownym ruchem odwróciła głowę w stronę drzwi. Były dobrze zamknięte, z wyjątkiem klapy na dole, przez którą wsunięto do komnaty tacę zjadłem.

Ta kłapa - przyjrzała się jej uważnie i tak ostrożnie, jak to tylko możliwe w słabym blasku lamp. Chyba otwór, który zasłaniała, nie jest dostatecznie duży, by mógł przezeń precyzyjnie się człowiek.

Odruchowo zasłoniła reka nos. Poczula tak ohydny smród, że omal się nie zakrztusiła. Za drzwiami było coś bardzo niebezpiecznego.

Tak, ma noż u pasa, ale niewiele nim zdziała przeciw zdeterminowanemu zbrojcy, a w jakiś sposób była pewna, że ten, kto znajdował się na zewnątrz, przyszedł, by zabić.

Nie miała czasu na zgaszenie lamp. Każdy człowiek, kłęcząc lub pochylając się, mógł zajrzeć przez otwór w dole drzwi i upewnić się, że zdobywcza jest w środku.

Nie nosiła też sakwy z medykamentami, z którą nie rozstawiała się Halwice, ale zauważyła teraz - na tacy z pustymi miskami - młynek z pieprzem. Zapewne podano go z jadłem jako rzecz całkiem zrozumiałą.

Rzuciła się ku niemu i chwyciła oburącz tę najżałosniejszą brzoję. Wyczuła - z pomocą swego niezawodnego nosa - że czekający na zewnątrz człowiek się nie poruszył. Starła się oddychać płytko, nie wciągając do płuc duszącego, wstępnego smrodu.

Odkreciła szybko pokrywke młynka z pieprzem. Zrobiła to gwałtownie, lecz w zupełnej ciszy, choć obawiała się, że zgrzyt może ją wydać.

A potem...

Ktoś podnosił kłape! Willadene przybrała pozycję, którą uznała za najlepszą, i czekała...

Na szczęście, pomimo światła lamp, składane łóżko Nicolasa znajdowało się poza zasięgiem wzroku kogos, kto próbowałby ich szpiegować. Ten nieznaną wrog musiałby niezle się nagimnastykować, żeby zobaczyć, kto tam leży.

Jakaś reka pojawiła się w otworze w dole drzwi, wprawiając Willadene w zdumienie. Spodziewała się męskiej pięści; zamiast tego ujrzała zadbaną dłoń kobiety, a pojedynczy

pierscien z czerwonym kamieniem zalśnił w blasku lamp.

Potem ukazało się ramie w jedwabnym rękawie o barwie rubinu, bark i masa włosów, z których pośpiesznie zdjęto jakieś ozdobne nakrycie głowy, gdyż faliste pasma zasłaniały twarz.

Włosy nieznanego kobiety nie były jednak przeszkodą dla tego, co trzymała Willadene. Wybrała najlepszy moment i zaatakowała. Zaciśniętą drugą ręką nos, wydmuchnęła grubą warstwę pieprzu ukrytego we wnętrzu dłoni prosto do celu.

W odpowiedzi usłyszała prawdziwą eksplozję kichania, tak gwałtowną, że musiała zranic pechowy nos. Nieznajoma kobieta cofnęła się raptownie. Kłapa w drzwiach wróciła na dawne miejsce. A mimo to rozległa się nowa seria jeszcze bardziej gwałtownych kichnięć, potem zaś stłumiony okrzyk bólu. Może trochę pieprzu dotarło również do oczu intruza.

Skulona przy drzwiach, nadal czuła ten wstretny odor. Pomimo cierpienia nieznana napastniczka po drugiej stronie drzwi wcale nie zamierzała się wycofać.

-Co mam zrobić...?

Słowa były wprawdzie niewyraźne, ale Willadene je rozumiała. Odwróciła się w stronę wyrka.

Jej podopieczny miał teraz otwarte oczy i marszczył brwi. Dziewczyna podpełzła do niego na łokciach i kolanach i stanowczym ruchem zasłoniła mu usta ręką, jednocześnie skinieniem głowy wskazując na drzwi.

Z zewnątrz nadal docierały przytłumione dźwięki. Nicolas najwidoczniej rozumiał ostrzeżenie dziewczyny, która cofnęła rękę, muskając palcami jego nieogolona szczękę. Położyła się obok niego na podłodze i zbliżyła usta do jego ucha.

-Ktoś jest za drzwiami, próbował wpełznąć przez klapy w drzwiach...

Nicolas otworzył szerzej oczy i bardzo cicho zapytał:

-Kto?

Willadene pokręciła głową. To na pewno nie pora na opowieść o jej niezwykłym talencie. Wiedziała tylko, że od kobiety za drzwiami bije taki sam odor jak ten, od którego dostawała mdłości, kiedy Wyche torturował ją swymi zalotami, a nieznajoma na pewno nie włożyła się po karczmach.

Gdyby Willadene miała do dyspozycji całe bogactwo produktów, jakie znajdowały się w sklepie Halwice, i trochę czasu, może znalazłaby jakiś sposób obrony. Teraz jednak obawiała się, że kobieta, która przyszła tu potajemnie, wezwie pomoc i wywazy drzwi.

Pod wpływem nagłego impulsu Willadene zdjęła z szyi amulet, który własnoręcznie sporządziła. Ona sama przynajmniej może się poruszać, ale Nicolas jest całkowicie bezbronna i nie da rady stawiać czoła takiemu atakowi. A może jednak? Przecież w swoim małym woreczku, uszytym dla bezpieczeństwa podwójnym ściąganiem zaledwie dwa tygodnie temu, zawarła coś, co według bardzo starego przepisu miało chronić przed złem.

Nawet Halwice przyznała kiedyś, że Dawny Lud z odległej przeszłości wiedział o mocy roślin znacznie więcej od współczesnych zielarzy. Wiele przepisów utrzymywano w tajemnicy i te sekrety umarły razem z tymi, którzy je znali. Gdy Halwice przekonała się, że Willadene ciekawie zagląda do najstarszych ksiąg, jakie miała, zachęcała dziewczynę do dalszych poszukiwań.

Władca Serc nie był jedynym żywym darem natury, na którego cudownych właściwościach poznał się świat. Podnosząc głowę Nicolasa, który patrzył na nią ze zdumieniem, włożyła mu na szyję swój amulet.

Kiedy to zrobiła, niemal natychmiast zgięła się wzdłuż bólu, który przeszywał jej brzuch, poczuła w ustach gorzki żółć. Nieznosny smród otoczył ją, owinał się wokół niej jak koc. Nicolas patrzył na nią najpierw ze zdumieniem, a potem z niepokojem i zaniepokojeniem. Później z trudem podniósł rękę i wskazał w stronę drzwi.

Światło lamp ledwie tam docierało, a przecież ujrzała zielonkawa, jarząca się linie w poprzek podłogi, okalająca dno ruchomej klapy w dole drzwi. I było to coś więcej niż światło.

Zaciskając teraz mocno rękę nos, Willadene na czworakach poprzelała po pozostawione przez Halwice leki. Mogła polegać teraz tylko na jednym z nich. Może właśnie z powodu jej wrodzonego talentu ten atak stał się dla niej taki potworny.

Nie zwracała uwagi na kołyszącą się łyżkę-miarkę, gdy zacisnęła wolną rękę na butelce z lekarstwem. Nie odważyła się jednak wypić za wiele, gdyż mogłoby jej zaszkodzić.

Pociągnęła długi łyk. Mięśnie miała napięte jak struny. Wydawało się jej, że kładzie rozżarzone węgle na języku i starała się zapanować nad odruchem, który zmusiłby ją do wyplucia płynu. Nie zwracała już uwagi na nic oprócz swojego bólu i mdłości, a przecież to, co przybyło wraz z zielonkawym blaskiem, zdawało się wywierać żadnego wpływu na Nicolasa. Znajdowało się teraz poza klapy w dole drzwi, przybrało postać weza, jakby było bardziej materialne niż światło. Jeszcze raz Willadene wysiłkiem woli ruszyła do przodu, przyciskając mocno usta ręką; miała wrażenie, jakby sama wylała się niczym gład po podłodze komnaty.

Pozostała jej tylko jedna szansa i wykorzystała ją jak najlepiej...

Świecąca zielona linia uniosła swój przedni koniec i zakolysała się do przodu i do tyłu, jakby miała oczy i szukała zdobyczy. Willadene już nie mogła wytrzymać. Nachyliła się najbliżej, jak mogła, do wysłannika Ciemności, wypluła wszystko, co miała w ustach - i trafiła!

Wygladalo to tak, jakby cisnela plonaca pochodnie na zielonego weza. Skrecal sie, obracal, wil jak schwytyany w plwocine, szamotal dziko, a potem zniknal.

Dziewczyna skulila sie. Usta miala odretwiale, ale do jej udreczonego nosa docieraly tylko nieszkodliwe zapachy, informujace o tym, co tu sie stalo. Przemozny odor zla ulotnil sie i juz nie zatruwal powietrza. Willadene w duchu podziekowala Jasnej Gwiezdzie za zbawienna mysl, ze lekarstwo sporzadzone przez Halwice do walki z gangrena okaze sie rowniez wrogiem wyslannika Ciemnosci.

Nasluchiwala. Z zewnatrz nie docieralo juz kichanie. Ucieczka ohydneho poslanca zla upewnila ja, ze tak wlasnie bylo.

Drzac i nadal czujac mdlosci, zatesknila za jednym z kojacych napojow Halwice. Skulila sie, wtulila twarz w kolana i objela je mocno ramionami. Czeka ja praca, przeciez pokoj chorego trzeba utrzymywac w czystosci. Ale w tej chwili jest zbyt oslabiona, zeby sie poruszyc. Ledwie uslyszala za soba glos Nicolasa.

-Pani, czym bylo to, co sie tu pojawilo?

W jego glosie nie zabrzmiala juz znajoma ostra nuta.

Willadene z wysilkiem odwrocila glowe, by moc go widziec. Wsparl sie na lokciu i patrzyl na nia, jakby byla nocnym straszidlem, ktore ma zmusic dzieci do lepszego zachowania.

Choc zaschlo jej w gardle, zdolala wydac rozkaz.

-Poloz... sie... chcesz... znow... rozerwac... rany?

Mowila bardzo powoli, lecz znalazla w sobie dostatecznie duzo sily, by zastawic podnozkami klape w drzwiach; wyczerpala w ten sposob wszystkie zasoby energii. Osunela sie potem na zaimprovizowana zapore, dyszac ciezko.

Powinna dotrzec do miejsca na podlodze, gdzie tak niedawno wilo sie zlo - ale zanim go dotknie, to na wypadek, gdyby cos tam pozostal, musi odzyskac swoja bron.

Ledwie zywa podpelzla do Nicolasa.

-Amulet - wykrztusila po chwili odpoczynku. - Oddaj... Nicolas juz polozyl reke na sznurku amuletu. Chociaz nie mogl podniesc zbyt wysoko glowy, jakos sie z tym uporal i w koncu przedmiot ten znow znalazl sie w dloniach dziewczyny.

-Co ty zrobilas? - Na pewno byl teraz bardziej zwawy niz kiedykolwiek od chwili jej przybycia do ukrytej komnaty. Miala wrazenie, ze patrzac na jej walke, odzyskiwal zdrowie.

-Przeciwno nam wyslano uosobienie zla. - Zwilzyla woda serwetke i przetarla nia twarz.

Odretwienie w ustach zniknelo i czula tylko bol. - Halwice zostawila cos, co pozwolilo mi sie z tym uporac.

Na pewno byl to zabojca, pomyslala z lekkim rozbawieniem. Teraz, kiedy ohydny smrod zniknal, czula sie dziwnie roztargniona, jakby obejrzala wlasnie wystep kuglarzy, z ktorego nalezy sie smiac.

-A co wyplulas na tego stwora?

Wyplulas na tego stwora, powtorzyla w mysli Willadene, to bardzo dworne okreslenie jej dzialan.

-Nie wiem, co to bylo. - Dopiero teraz zdecydowala sie pociagnac lyk z pozostawionej przez Halwice butelki. - Mysle jednak, ze dawka napoju sporzadzonego przez moja pania polozyla mu kres. Kto posiada rownie przewrotna, niebezpieczna wiedze, by przywolac takiego stwora?

-Vazul, wezwij go, pani. Musi sie dowiedziec, co sie tu stalo. Willadene, ciagle jeszcze zaszokowana, pozwolila sobie na lekki usmiech.

-Lepiej przyniesmy tu szmate i wiadro...

Odkryla, ze moze wstac oparta o krzeslo. Pchajac je przed soba, ponownie skierowala sie w strone sznura od dzwonka.

-I to wszystko - powiedzial Vazul. - Tamten typ mial zablokowany umysl.

Ksiazek poruszył się w krzesle.

-Kto włada takimi mocami oprócz Gwiazdy? Na pewno żadna z siostr nie skompromitowałyby w taki sposób swoich wierzeń. Jesteś tego pewny?

-Tak pewny jak tego, że na własne oczy widziałem człowieka, który wyzwał ducha, gdy zadano mu pytanie - odparł kanclerz.

-W takim razie - ksiądz potarł ręką podbródek i wbił przenikliwe spojrzenie w swego sługę - to coś przekracza nasze rozumienie. Co powiedziała ksieni?

-Rzuciła kryształ tej nocy, Wasza Książeczka Mosć. Pamiętaj jednak, że służebnice Gwiazdy nie słuchają żadnego pana. Trzymają się z daleka od naszych światowych sporów. Przypuszczam, że wstrząsnęła nią wiadomość o lesnym rozbojniku, który władał mocą nieusankcjonowaną przez jej zakon.

-Ufam, że jest dostatecznie wstrząsnęta, aby poszukać jakiegos sensownego wyjaśnienia - rzekł ksiądz sucho. - I że jak je odnajdzie, zechce się nim z nami podzielić. Nietoperz...

-Znaleźliśmy go w porze, Wasza Książeczka Mosca. Ale czy wkrótce będzie mógł wykonać inne zadanie, to zupełnie inna sprawa. Halwice zapewnia, że już nic mu nie grozi.

-Ta jej uczennica...

-Tak jak rozkazałeś, Wasza Książeczka Mosca. Może przypuszczać, że jest w zamku, ale to wszystko, co wie, oprócz tego zna tylko polecenia swojej pani. Chciałbym wrócić do innych wieści, które przyniósł nam ten strażnik graniczny. Wychodzi na to, że Nietoperz odniósł sukces, choć okupił go cierpieniem.

-Nie dowiedzieliśmy się tylko jednego: kto opuścił miasto i kogo Czerwony Wilk może uznać za swego pana? - odparł Uttobric.

-Jeszcze go nie uznaje. To był wspaniały nocny atak. Nic dziwnego, że nazywają księcia Loriena mistrzem sztuki wojennej. I dlatego teraz, Wasza Książeczka Mosca, możemy przejść do następnej partii naszej gry.

-Nie będzie żadnej gry - odrzekł kwaśno książę - jeżeli nasz wysłannik i jego eskorta mogą po drodze wpasć w zasadzkę.

-Strażnik graniczny mówi, że północna droga ma być strzeżona. Sokołnik odwołuje większość swoich sił, pozostawiając tylko nieliczną osłonę, aby to osiągnąć. A on, tak jak książę Lorien, zna się na swoim rzemiośle. Mam tutaj - pomiędzy fałd szaty wydobyl zawieszona na lancuszkę pieczęć - oficjalna pieczęć Kronenu. Na pewno wraz z twoim listem gratulacyjnym, zapraszającym do naszego państwa, który odda mu nasz posel, zwróci uwagę księcia Loriena. Subtelna sugestia, że chętnie posłuchalbys rady tego młodzieńca, to prawdziwie mistrzowskie posunięcie z twojej strony, Wasza Książeczka Mosca. Uttobric unosił brew.

-No cóż, raz na jakiś czas i mnie również przychodzi do głowy jakaś dobra myśl, prawda, Vazulu? A jeśli Lorien zaakceptuje nasze zaproszenie, by uczcić jego zwycięstwo...

-Kiedy zaakceptuje - gładko wszedł mu w słowa Vazul - wyprawimy ucztę, turniej i oczywiście dworski bal. Książę Lorien lubi takie rozrywki. Przyjmie go Jej Wysokość Mahart i w twoim imieniu ofiaruje mu diadem zwycięzcy, diadem Jasnej Gwiazdy.

Zirytowany władca Kronenu wydał wargi.

-Jeszcze jeden bal!

-Przecież Wasza Książeczka Mosca dobrze wie, że Jej Wysokość Mahart jest w rozkwicie młodości i że wyjątkowo ładnie wygląda. Oczywiście, są piękniejsze od niej panny, ale ona ma wrodzony wdzięk, który wyróżnia ją w każdym towarzystwie, nawet jeśli nic nie wiadomo o jej pozycji społecznej. Poza tym bale to odpowiednie miejsce spotkań dla dam i ich przyszłych konkurentów.

Usmiechal sie, lecz usmiech znikl z jego warg, gdy Ssssaa wpadla jak pocisk - wydawalo sie, ze zeskoczyla z pewnej wysokosci i przebyla spory dystans.

Okrecila sie wokol ramienia kanclerza i syczala mu otwarcie do ucha, jakby skladala meldunek.

Vazul zerwal sie na rowne nogi, a ksiaze podniosl na niego wzrok z zaskoczeniem.

-Sa klopoty w Czarnej Wiezy! Nie - wyciagnal reke, by powstrzymac ksiecia, który chcial szarpnac za sznurek malego dzwonka, by szybko wezwac pomoc. - Chcesz zaalarmowac caly zamek, panie? Pojde tajnym przejsciem, jak zwykle.

Zniknal za parawanem dzielacym komnate na dwie czesci. Uttobric zaczal obgryzac paznokcie, oczami wyobrazni widzac wszelkie nieszczescia, ktore moga na niego spasc.

10

Mahart zrobila dwa sciegi w grubym plotnie, ktore mialo stanowic czesc nakrycia przeznaczonego na nowy oltarz - obiecala je bowiem klasztorowi Gwiazdy w podziemie za uznanie jej za oficjalna patronke - a potem rzucila na stol szorstki material. Dzisiaj palce ksiezniczki po prostu nie chcialy sluchac jej rozkazow, a w tej chwili jej myśli bladziły z dala od tej sumiennej pracy. Pani Famina poderwala sie ze stolka. -Czego Wasza Wysokosc sobie zyczy"? - spytala szybko. Mahart patrzyla na nia przez chwile. Tak, bylo cos, czego bardzo pragnela, ale watpila, czy Famina moze jej tego dostarczyc - to znaczy nowych informacji. Zuta poszla zamowic wiecej przynoszacego spokojny sen kadzidla i jeszcze nie wrocila, a na pewno zadna z tych ciamajd na nic sie nie przyda. Mozliwe, ze... Spochmurniala, nie zdajac sobie sprawy, iz Famina moze wyraz jej twarzy wziac do siebie.

Dotad w swoim krotkim zyciu miala bardzo malo tajemnic, a wiekszosc z nich tak niewinnych, ze nawet sama o nich dlugo nie pamietala. Oprocz Zuty dzielila je tylko z Julta, w minionych dniach, kiedy byla zapomniana wiezniarka swego ojca.

Od tej pory jej zycie zatoczylo pelny krag od spokoju do uczestnictwa w zyciu dworu. W rzadkich chwilach, gdy byly same, wypowiedaly opinie - w wiekszosci nieprzychylnie - o nowym towarzystwie, w ktorym sie znalazly. Teraz jednak chciala o czymś pomyslec sama, zanim podzieli sie tym nawet z Zuta.

-Wasza Wysokosc... - wyjakala Famina i ksiezniczka zdala sobie sprawe, iz ta niezgrabna dziewczyna boi sie, ze w jakis sposob obrazila swoja nowa pania.

-Nic sie nie stalo, Famino - udala ziewniecie Mahart. - Mysle, ze powietrze w komnacie jest ciezkie i duszne. Przejdziemy sie po ogrodzie rozanym?

Ogrod rozany, pomyslala niechetnie; splachetek ziemi miedzy dwoma ponurymi murami porosniety wybujalymi krzakami roz. Czuwal nad nimi ogrodnik, który bardzo obawial sie o

ich przezycie. Czy moze sie rownac z rozleglymi lakami z jej snow, z ich bogactwem kwiatow? A w ostatnim snie prawie na pewno byl tam jeszcze ktos - nie watpila, ze widziala jakis cien.

-Oczywiscie, Wasza Wysokosc. - Obie dworki wstaly, gotowe isc za nia w odleglosci zwyczajowych dwoch krokow, jak nakazywala etykieta. W ten sposob jej wlasne, wypowiedziane niedbale slowa skazaly ja na pobyt na otwartej przestrzeni, jesli istnialo cos takiego we wnetrzu zamkowych murow.

Idac po schodach i przechodzac przez drzwi w dole, przyjrzała sie otaczajacym ja scianom z nowym zainteresowaniem. Tak, snila ostatniej nocy - i znow czekala na takie sny. Obudzilo ja jednak cos, czego nie rozumiala, ale to na pewno nie byl sen!

Dzieki lekturze ksiag z wielkiej biblioteki - mimo ze nikt jej do tego nie zachecal i nia nie kierowal - wiele nauczyla sie o przeszlosci i wiedziala, ze zamek jest centralnym osrodkiem sil zbrojnych czuwajacych nad bezpieczenstwem kupcow. Dla niej od dzieciinstwa byl schronieniem, nie zawsze jednak wygodnym.

Pomyslala, ze jego mury sa bardzo grube. Grube na tyle, by ukryc - co? Owinela sie ciasniej szalem, gdy przebiegl ja zimny dreszcz. Co z licznymi legendarnymi opowiesciami, ktore przeczytala? Na pewno nie o tym zamku, ale o innych, w ktorych scianach byly sekretne przejscia.

Wieza, gdzie mieszkala, stanowila tak wazna czesc jej zycia, iz Mahart nigdy nie przyszlo do glowy, ze otaczajace ja mury moga byc czyms wiecej niz tym, co widziala i czego dotykala. Tylko co z odglosami w jej sypialni? Pamietala je tak dobrze, jakby uslyszala dopiero przed chwila. Na pewno nie wydawaly ich biegajace szczury ani inne szkodniki. Dzieki srodkom dostarczonym przez zielarke Halwice i czujnosci calego korpusu kotow zamek byl od nich wolny.

Przysieglaby jednak na Gwiazde, ze slyszala dzwieki w scianach okalajacych prawie jedna czwarta jej komnaty. Byly na tyle glosne, ze zerwala sie z loza z nocna lampa w dloni i obesla podejrzone kamienne mury, ale ucichly tak szybko, ze nie potrafila ich z niczym skojarzyc.

Teraz zas, stojac w ogrodzie rozanym, odwrocila sie powoli wokolo nie po to, by spojrzec na kilka pomarszczonych kwiatow, lecz na sam zamek. Czarna Wieza! Znajdowala sie w poblizu ogrodu, z dala od jej wlasnych komnat. Ludzie unikali tej czesci zamku przez tyle lat, ze wydawalo sie, iz prawie o niej zapomniano.

Duchy? Potrzasnela przeczaco glowa w odpowiedzi na te mysl. W ostatnich kilku dniach nie slyszala nowych opowiesci o duchach.

Ale ze wszystkich sil zapragnela dokladnie przyjrzec sie czesci murow swojej komnaty w najsilniejszym swietle - po odsunieciu wszystkich ciezkich kotar w oknach i umieszczeniu

zapalonych lamp w odpowiednich miejscach. Jednak takie postępowanie na pewno daloby powod do wielu pytań, na które nie znalazła odpowiedzi.

Nadal stała, patrząc w zamysleniu na Czarna Wieżę, kiedy Zuta nadeszła pospiesznie ścieżką, mijając dwie inne dworki. Te spochmurniały i odsunęły na bok swoje suknie. Na dworze Mahart na pewno nie istniały żadne wieże przyjaźni.

-Wasza Wysokość... - Zuta musiała urwać na chwilę, żeby złapać oddech. - Posel Jego Księżęcej Mości wyjechał z zamku z zaproszeniem dla księcia Loriena. Mówi się, że książe Lorien przybędzie tu za kilka dni!

Mahart zagryzła wargi. Minęło dużo czasu od dnia, gdy Kronengred witał bohatera wojny, kogos, kto miał wszelkie możliwe walory - odniósł wielkie zwycięstwo, pochodził z wysokiego rodu, wieść niosła, że jest urodziwy i że ma całą resztę zalet przypisywanych legendarnemu księciu. Przypomniła też sobie słowo po słowie, grymas po grymasie, opinie jej ojca o tym wydarzeniu.

Ona, Mahart, miała tak spodobać się księciu Lorienowi, by zechciał się z nią ożenić i w ten sposób stać się narzędziem jej ojca. Księżniczka nie miała najmniejszego pojęcia, jak czegoś takiego dokonać. Domyslała się jednak, że jeśli zawiedzie pokładane w niej nadzieje, jej życie będzie jeszcze gorsze niż przedtem.

-Wasza Wysokość... - Zuta zbliżyła się do Mahart - są pewne sposoby...

-Zaklecia? - spytała sucho Mahart. - Nie jesteśmy bohaterkami jakiejś starożytnej legendy.

-Wyroby Halwice, Wasza Wysokość. Będzie bal zwycięstwa i masz ofiarować księciu diadem Gwiazdy, prawda?

W tym kamiennym zamczysku pogłoski rozchodzą się błyskawicznie, pomyślała Mahart.

-Tak - odparła.

-W takim razie, Wasza Wysokość, poslij po ziółkę Halwice. Istnieje wiele ingrediencji wykonanych z serc i korzeni kwiatów, które mogą pomóc kobiecie. Jesteś za młoda, żeby dużo wiedzieć o takich sprawach, ale ja widziałam damy w średnim wieku, które przynajmniej na jeden wieczór zamieniały się w niedawno przybyłe na dwór panny. Ty nie potrzebujesz takich kremów i fałszywych uroków, są jednak inne sposoby, by sprawić, że jakiś mężczyzna cię zauważy i zainteresuje się tobą.

Mahart również o tym wiedziała. Kochała pachnidła dla nich samych i dla reakcji, jakie w niej wywoływały. Te piękne sny... Nigdy jednak nie próbowała użyć żadnego jako przynęty. Możliwe, że tym razem będzie do tego zmuszona.

-Możesz wezwąć te ziółki? - spytała księżniczka. - Słyszałam, że opuszcza ona swój

sklep tylko w wypadku groźnej choroby lub wielkiego nieszczęścia. Na pewno nie uzna wyrobu nowych perfum za coś takiego. Widziałam ją w klasztorze; wygląda na szlachetnie urodzona, w niczym nie przypomina służącej.

-Wasza Wysokość... - Pani Geuverir, powłócząc nogami, podeszła bliżej. Ma bystre uszy, pomyślała szybko Mahart, i gotowa jest się nimi posłużyć; trzeba będzie na nią uważać.

-Wasza Wysokość, ona była w zamku dziś rano. Mówią, że kanclerz niedomaga i że książę chciał, by właśnie ona postawiła diagnozę.

To prawda. Vazul po raz pierwszy nie uczestniczył w jej spotkaniu z ojcem ostatniej nocy. I jego nieobecność stanowiła wielką zmianę w tym zwyczaju.

-I nadal tu jest? - Mahart zwróciła się do Zuty, próbując dać do zrozumienia pani Geuverir, że zajmuje niższą pozycję od jej zaufanej dworki, przynajmniej w tym towarzystwie.

-Dowiem się, Wasza Wysokość. I jeśli nie zajmuje się kanclerzem, przyprowadzę ją tutaj - szybko obiecała Zuta.

-Co to było? - Im dłużej mówił Nicolas, tym silniejszy stawał się jego głos.

Willadene, wstrząsnięta zarówno pojedynkiem z czystym złem, jak i napojem Halwice, z trudem podniosła głowę.

-Nie wiem nic oprócz tego, że było to widoczne gołym okiem zło, które miało coś w rodzaju ciała. Nigdy o czymś takim nie słyszałam, znalazłam tylko kilka aluzji w najstarszych księgach Halwice.

-Ssssaaa... - Coś ciepłego otarło się o jej ramię. Podniosła oczy i ujrzała kanclerza, rozglądającego się wokół z nieskrywanym zdumieniem. Szybko odwrócił wzrok od miejsca tej dziwnej bitwy.

Zwierzatko zwinęło się w kłębek wokół szyi Willadene, tracając główką podbródek dziewczyny; jego syk nie był :groźba, lecz miał uspokoić rozstrojone nerwy.

-Co tu przyszło? - Vazul omal nie wyszczerzył zębów jak pies. - Czarne zło...

Willadene nadal wstrząsały dreszcze. Z trudem wydobywając z siebie słowo po słowie, opowiedziała o wszystkim, co się stało, kiedy podniesiono klapy w drzwiach, o swoim ataku za pomocą jedynej dostępnej broni, i co potem nastąpiło.

Vazul podniósł butelkę, która wskazała, i zbliżył do stojącej obok lampy.

-A co to jest?

-Lekarstwo, które oczyszcza rany i nie dopuszcza do gangreny... - odparła mimowolnie.

-Bardzo skutecznie rozprawilo sie z tym stworem, przyslanym nie wiadomo przez kogo - stwierdzil Nicolas.

Kanclerz znow popatrzył na plwocine na podlodze. Wstret malowal sie na jego szczuplej twarzy. Willadene mimo woli zarumienila sie ze wstydu. Potem Vazul zwrocil sie do niej:

-Twoja pani...

-Wielmożny panie kanclerzu... - Dziewczyna nie czula sie juz taka roztargniona; miala wrazenie, ze cieple cialo zwierzatka przytulonego teraz do jej policzka przywraca jej sily jak kordial, ktorego spory lyk wypila. - Niedawno wstapilam na sluzbe do pani Halwice i jestem poczatkujaca uczennica w jej zawodzie. Nie umiem wyjasnic, co tu sie stalo, sam musisz ja o to zapytac. Chociaz...

-Chociaz... - ponaglil ja, gdy nic wiecej nie powiedziala.

-W tych scianach naprawde kryje sie zlo. Ono zyje... i poluje! - Nie wiedziala, dlaczego jest o tym tak gleboko przekonana.

Kiedy pojawil sie kanclerz, czula sie zbyt slaba, aby wstac; kulila sie i odchylala do tylu glowe, zeby go widziec.

-Halwice...

Ledwie zdazyl wymowic to imie, gdy Willadene odwrocila glowe. Pomimo miejscowych wyziewow wyczula ten znajomy zapach. I miala racje. Poza zasiegiem swiatla lamp nieoczekiwanie pojawila sie ciemniejsza wyrwa w mroku i osoba, ktora schylila sie, aby wejsc przez tajemne drzwi, rzeczywiscie okazala sie zielarka Halwice. Zatrzymala sie jednak, gdy doszla do lamp i uniosla glowe, rozdymajac nozdrza.

W zachowaniu Halwice bylo cos takiego, iz wszyscy obecni milczeli, jakby wiedzieli, ze nie wolno jej przeszkadzac. Willadene widziala, jak zielarka wciaga w nozdrza wszystkie zapachy, ktore mogly sie czaic w komnacie, rozpoznaje je i gotowa jest sie z nimi rozprawic.

Nie zwracajac uwagi na Vazula, ktory przestapil z nogi na noge, jakby irytowal sie, ze zielarka go ignoruje, przemowila do Willadene:

-Dobrze sie spisalas.

Tylko trzy slowa, a przeciez dziewczyna poczula sie tak, jakby wlozono jej na szyje lancuch zaslugi. Dopiero teraz Halwice znalazla czas dla kanclerza.

-Sekret dostatecznie znany, by sprowokowac atak, to powazne ostrzezenie, wielmożny panie kanclerzu. Trzeba zabrac stad Nicolasa, i to natychmiast!

Vazul uparcie zacisnął usta.

-Dokąd?

-Zastanów się, panie. Mówi się, że znasz tajne przejścia równie dobrze jak Nietoperz... - Po raz pierwszy spojrzała na Nicolasa z uśmiechem, na który on odpowiedział tym samym. Willadene zastanowiła zmianę wyrazu jego twarzy - uśmiech stał z niej kilka lat oraz głębsze ślady cierpienia.

-Jest przecież golebniak - zauważył Nicolas. Teraz, gdy zwrócił się bezpośrednio do kanclerza, w jego głosie dało się wyczuć niemal złosliwą nutę.

Początkowo wydawało się, że kanclerz z miejsca odmówi, ale potem wzruszył ramionami.

-Może masz rację, jeśli zdołamy cię przenieść. Da się tam dotrzeć przez dach, wraz z karmą dla gołębi. I będziesz go tam pielęgnować - powiedział do Halwice.

Nie można by nazwać tego rozkazem, jak gdyby nawet on nie osmielił się rozkazywać zielarce. Ta jednak skinęła głową. A potem zwróciła się do Willadene:

-Znowu musisz zająć się sklepem. Oprócz tego dziś rano widziano mnie na zamkowym dziedzińcu. Dlatego niech się mówi, że mam pacjenta wysokiej rangi, może... - powiedziała z półuśmiechem do Vazula - ...nawet ciebie. A może wymyślisz jeszcze jakiś inny powód mojej bytności na zamku. Potrafisz znaleźć wyjście z każdej sytuacji, wielmożny panie. Pozostawiam to tobie.

-A teraz, moje dziecko... - Nie zwracając już dłużej uwagi na Vazula, jakby, skoro już niepotrzebny, rzeczywiście zniknął, ponownie przemówiła do Willadene: - Kiedy wrócisz do sklepu, pociągnij długi łyk mikstury z butelki o barwie bursztynu, stojącej na najwyższej półce drugiej szafki. Nie jedz nic aż do wieczora. Ale jak zwykle bądź w sklepie. Wezwano mnie, żebym zajęła się jakąś wysoko postawioną osobą, nie wiesz kim. Podatek dla dzielniccy jest w szufladzie z pieniędzmi, w sakiewce. Dasz go strażnikowi sędziego, dopilnuj wszakże, by dał ci pokwitowanie, tak jak mnie. I... - Nagle nachyliła się do przodu, garbiąc się nieco, i lekko dotknęła czubka nosa dziewczyny. - I zawsze wierz swemu talentowi.

Ssssaaa zsunęła się z ramion Willadene i wdrapała na ramię swego pana. Dziewczyna przyłożyła dłoń do szyi, nadal ciepłej, gdyż rozgrzało ją ciało zwierzątka. Gotowa była wstać i wykonać polecenia Halwice. Im wcześniej opuści te skalane ziemie komnaty, tym lepiej.

Jednak gdy mijala Nicolasa, zawahała się, niezrecznie szukając odpowiednich słów. Zawsze w jego obecności czuła niepokój, choć nawet nie próbowała zrozumieć dlaczego.

-Niech Gwiazda będzie z tobą, panie - wypaliła.

Nicolas uśmiechnął się, tym razem do niej.

-I z toba, pani o wielu talentach.

-Tracimy czas - przerwał im Vazul. - Wezwę pomoc i zaniemiemy cię do gołębniaka. I poszukamy źródła tego! - Gwałtownym ruchem głowy wskazał na plamę na podłodze. - A ciębie, pani - popatrzył na Halwicę - na pewno zainteresują te poszukiwania.

Dni mijaly niepostrzeżenie dla Willadene. Po powrocie do sklepu i odesłaniu gwardzisty zastosowała się do instrukcji Halwicy, by przynieść ulgę swemu ciału, i położyła się na składanym łóżku. Zielarka zostawiła na drzwiach tabliczkę z napisem, że otrzymała wezwanie, a załóżki nadal były podniesione. Willadene nie zdawała sobie nawet sprawy, jak bardzo jest zmęczona, aż zmorzył ją sen. I dopiero ostatni wieczorny dzwonek zbudził ją ze snu tak głębokiego, że nic się jej nie sniło.

Zawstydzona, że nadużyła zaufania, jakie pokładała w niej Halwicy, spryskała twarz resztką wody z miski i usiłowała uporządkować myśli. Na pewno ktoś złożył zamówienie u Halwicy - zawsze tak było - i składano je poprzedniego dnia. Jeżeli ktoś przyszedł po zamówiony towar, trafił na zamknięty sklep i na pewno zjawi się rano. Musi sprawdzić, czy są na to przygotowane. No i, tak, jest jeszcze sprawa podatku.

Zrzuciła pogniecione i poplamione odzienie, w którym spała, umyła się i ponownie ubrała. Po rozpaleniu ognia przez chwilę lub dwie stała przed paleniskiem. Był tam rondel z kaszą, która mogła ugotować, żeby zjeść szybki i pożywny posiłek, ale nieprzyjemny skurcz żołądka odwiódł ją od tego zamiaru.

Kiedy jednak wyprostowała się, zdała sobie sprawę z jeszcze czegoś. Zawsze wiedziała i akceptowała to, że zarówno każdy człowiek, jak i zwierze ma swój osobisty zapach, który nie ma nic wspólnego z czystością ciała i odzieży, i jest znacznie bardziej subtelny, dzięki czemu można go zidentyfikować. Od pierwszego spotkania dobrze знаła i bez trudu rozpoznawała woni Halwicy. Była teraz pewna, że w razie potrzeby zdoła odnaleźć Nicolasa i Vazula, choć nie jest psem myśliwskim. A sklep Halwicy zawsze wypełniała mieszanina najrozniejszych woni. Willadene miała wrażenie, że wszystkie zapachy zielarni - miejscowe i przyniesione - unoszą się na różnych poziomach, jedne mocne i gęste, drugie zaś słabe, rozplywające się w powietrzu.

W kuchni Jacoby czuła się znacznie gorzej, gdyż przeważały w niej ohydne smrody. Willadene znowu usiadła na piętach i uniosła głowę, rozdymając nozdrza. Jeden po drugim weryfikowała otaczające ją zapachy - pozostałości gotowania, silniejsze od nich wonie ziół, w pobliżu składanego łóżka osobisty zapach Halwicy. Liczyła na palcach te, która mogła bez trudu zidentyfikować.

Było jednak coś jeszcze. Wstała. Skoro musi gdzieś zacząć, to najlepiej tam, gdzie nie ma zbyt wielu przemieszanych ze sobą woni. Podeszła do tylnych drzwi. Były zamknięte i założone sztabą, a jedyna lampa, która przyniosła ze sobą, dawała mało światła. Nie zauważyła, żeby ktoś manipulował przy drzwiach.

A jednak instynkt jej nie mylił. Na Gwiazde, gotowa była przysiąc, że w tylnej izbie przebywał ktos, kogo nigdy nie spotkała. Na zaproszenie Halwice? Nic o tym nie wiedziała. Niepokoj kazał jej znów wziąć lampę do ręki i wrócić do sklepu.

Na ladzie leżały rzędem zamówione towary w różnych pojemnikach. Większość była taka jak zwykle - przyprawy dla piekarza (który wyrabiał również słodczyce na zamówienie); korzenie; oddzielne paczuszki dla starej pani Lorki, tesciowej sędziego, której w zimne dni i noce bardzo dokuczaly stare kosc; syrop na kaszel; dwie galki aromatyczne w pozlaczanych siateczkach (które Willadene zrobiła na początku tygodnia) - te otrzymaja od zalotnikow damy ich serc.

Ostatni był upleciony z wonnych paproci koszyk z raczka owinięta srebrzystymi wstawkami. Stał na boku - przeznaczony był dla mieszkancow zamku, a nie mieszczan. Tym razem miała go otrzymać Jej Wysokosc Mahart, na pisemne zamówienie.

Willadene obejrzała dokładnie każdy z czekajacych towarow i nie znalazła nic niepokojacego: wszystkie były tym, czym miały być. W koncu zajęła się koszykiem. Znalazła w nim pachnacy fiołkami plyn do mycia wlosow i krem do rak, a po nich drewniana szkatulka do przechowywania nocnego kadzidla. Wyryty na wieczku symbol był bardzo starozytny, a scianki skrzyneczki tak ciemne, jakby używano jej wielokrotnie.

Dziewczyna delikatnie podniosła wieczko. Plynacy ze szkatulki zapach nie był natretny, gdyż działał tylko wtedy, gdy kadzidłem posypano węgle zarzace się w przenosnym piecyku. Zbliżyła jednak kasetkę do nosa i mocniej scisnęła ją w dłoniach.

W przeszłości już trzykrotnie uważnie obserwowała Halwice wytwarzajaca znajoma mieszankę dla Jej Wysokosci Mahart. Willadene mogłaby bez trudu wymienić każdy składnik tego kadzidla. Dzisiaj jednak wyczuwała jakąś zmianę. Z wyboru Halwice? Na rozkaz księżniczki?

Zbyt dobrze pamiętała to, czemu musiała stawic czoło w Czarnej Wieży i czego nie umiała sobie wytłumaczyć. Halwice nie miała czasu na wyjaśnienia; Willadene była jednak głęboko przekonana, iż zielarka nigdy nie zadawała się z czymś takim jak tamten waz z zielonego światła.

Powoli zamknęła wieczko. Za nią, na czwartej półce, znajdowała się bliźniacza szkatulka. Pamiętała też dobrze przepis na kadzidło dla księżniczki. Może to, że Willadene się wtraca, zirytuje zielarkę, ale...

Dziewczyna odmierzyła odpowiednią ilość proszków, dodała kilka kropli z dwóch wysokich butelek i suche jak wior paski skorki z owocow z innej butli stojacej na samym koncu polki. Zmieszała to wszystko bardzo dokładnie i kiedy skończyła, jej wyrob przypominał wysuszona glinę. Pokruszył się jednak na kawalki, gdy napelniła nim pusta skrzyneczke szczypta po szczypcie. Oddychając nieco szybciej z przejęcia, Willadene postawiła ją obok

tej, która wyjechała z koszyka. Na pewno nie różniła się wyglądem. I musi wierzyć, że postąpiła słusznie. Prędko ponownie zapakowała koszyk z obawy, iż mogłaby zmienić zdanie.

O dziwo, kiedy umieściła pierwszą szkatułkę na niższej półce, wsuwając ją jak najgłębiej, poczuła taką wielką ulgę, jakby Halwice stała w izbie, obserwując ją, i dała znak, że dobrze zrobiła.

Jeżeli ma otworzyć sklep wraz z drugim dzwonem, musi teraz odpocząć. Nie wie, kiedy zielarka wróci z zamku. Wyglądało na to, że Willadene będzie musiała zajmować się sklepem dłużej niż tylko przez jeden dzień. A jest naprawdę zmęczona. Kiedy położyła odzież na stole i wśliznęła się do swojego łóżka, podniosła amulet do nosa, by unieszkodliwić w ten sposób wszystkie zapachy, które przeszkadzałyby jej zasnąć. On też wydawał się słabym wonią innego człowieka. Przypominała sobie Nicolasa. Wazul wydawał się bardzo pewny, że zagwarantuje mu dobrą ochronę, natomiast Halwice została, gdyż miała dopilnować, by przeniesiono go do nowej kryjówki. A co jeśli miecz lub noż odbierze mu życie? I dlaczego? Zrozumiała, że Nicolas potajemnie służy kanclerzowi. Ale... Oczywiście zamknęły się jej same i zasnęła.

Rano obudził ją pierwszy dzwon. Najpierw spojrzała na łóżko Halwice z nadzieją, że zobaczy zielarkę w pościeli. Niestety, było gładko zasłane. Poczuła wilczy głód, który stawał się coraz większy, kiedy się myła i ubierała. Wczorajsze mdłości zniknęły.

Kasza smażyła się w rondlu i Willadene zorientowała się, że powtarza starą rymówkę z któregoś ze starożytnych zielników:

Dobre dla dorosłych

I dobre dla dzieci.

Niech im wszystkim zawsze

Jasna Gwiazda świeci.

Powtórzyła ostatni wiersz, przełożyła smażoną kaszę na talerz i sięgnęła po syrop z jagód, by dodać jej smaku. Po spożyciu tego solidnego posiłku uznała, że jej brzuch nie ma powodów do dalszego protestu. Następnie zajęła się pracami domowymi przed drugim dzwonem i zaczęła się zastanawiać, co przyniesie jej ten nowy dzień.

Kiedy opuściła załóżkę i otworzyła drzwi, dreczył ją niepokój. Halwice nie pozostawiła na łupkowej tabliczce żadnego z prostych poleceń, które dziewczyna umiała wykonać. Nie mogła też pielęgnować ogrodu z obawy, że jakiś klient nie zastanie jej w sklepie.

Jednakże już po kilku chwilach była bardzo zajęta. Przyszła pierwsza klientka. Willadene wymieniła pozdrowienia ze służącą piekarza - ślady maki na okrągłym policzku dziewczyny świadczyły o jej zawodzie.

Realie przyniosła nowiny, którymi pragnęła się podzielić.

-On pojmał Czerwonego Wilka, zabił go jak niedźnego owada! - zarechotała. - A teraz książe zaprosił go do Kronengredu na uroczystość dziękczynną. Niech Gwiazda ma nas w swojej opiece! Mistrz ze wszystkich sił stara się wymyślić nowe słodczyce, ponieważ brakuje tłumy i zabawy...

Nadal gadała, kiedy po zamówiony towar przyszedł pomocnik doktora Kempa, młodzieniec o poważnej twarzy. Dodał kilka makabrycznych szczegółów, które rzekomo przekazał mu pełniący wartę przy bramie strażnik grodzki, o poszyciu wysłanym za pozostałymi przy życiu gorskimi rozbojnikami.

I tak mijał ranek. Willadene uważała, że większość nowin, które usłyszała, ma niewiele wspólnego z prawdą. Tylko dwie wydawały się pewne. Książę Lorien przeprowadził swoich ludzi przez granice Kronenu i zdobył najsilniejszą twierdzę rozbojników, a teraz - jako zwycięzca - został zaproszony do Kronengredu. Pismo w tej sprawie przyniósł mu wysłannik Uttobrica.

W końcu odebrano wszystkie zamówienia, chociaż od czasu do czasu sklep ponownie napelniał się klientami, którzy chcieli zasięgnąć najnowszych informacji. Szczególnie często wypytywano panią Lowfard, ponieważ jej brat należał do oddziału strażników pilnujących bram miasta. A ponieważ nie powiedziała wiele, jej nieliczne wypowiedzi zrodziły różne koncepcje.

Pozostał tylko koszyk przeznaczony dla Jej Wysokości Mahart. Kreda Willadene zgrzytnęła na lupkowej tabliczce, kiedy wreszcie została sama. Ale nie na długo, gdyż do sklepu wszedł bunczucznie paz z zamkową odznaką.

-Jej Wysokość Mahart czeka na swój koszyk. - Paz oparł się o ladę i obejrzał swoje paznokcie, jakby ich wygląd był ważniejszy od powierzonego mu zadania. - Niecierpliwi się... - Podniósł oczy na Willadene z chytrym uśmiechem. - Z pomocą pewnych napojów masz zrobić prawdziwą piekność ze szkieletu powleczonego skora, w każdym razie tak się mówi.

-Koszyk twojej pani stoi tutaj.

Po całym dniu krzataniny denerwowała ją jego bezczelność. Paz rzucił na ladę małą sakiewkę wyszywaną jedwabiem i sięgnął po koszyk, przesadnie wachając jego zawartość, gdy przysunął go do siebie.

-Twoja pani będzie miała mnóstwo pracy. - Willadene zauważyła, że z namysłem przyjrzał się towarom w koszyku. - Przecież książę Lorien przybywa na wielki bal i w ogóle. Wielkie wydarzenia czekają nas wszystkich - ciągnął.

-Tak mówiła większość klientów - odparła Willadene. - Zlecono ci jeszcze jakieś inne

zadanie?

Chciała się pozbyć tego zadziornego chłopaka, strojnego w kaftan z herbem swego rodu i najwyraźniej zbyt pewnego siebie. Dzień bardzo jej się dłużył i była już zmęczona. Słuchała go tylko dlatego, że przybył z zamku. Może nawet rozmawiał z Halwice, miał do przekazania jakieś przesłanie od zielarki i drażnił się z jej uczennicą dla psoty?

-Tak, pani Zuta poleciła mi przy okazji przynieść szkatułkę z kremem. Chociaż jest wysoko postawiona i potężna, na razie jeszcze nie wysłała nikogo na posyłki dla siebie.

Zuta - pierwsza dama dworu Jej Wysokości Mahart. Willadene słyszała dostatecznie dużo plotek, by znać przynajmniej jej imię. Ale na ladzie na żadnym z przygotowanych na zamówienie wyrobów Halwice nie widniało imię tej dworki.

-Moja pani nie zostawiła takiego zamówienia - odrzekła.

-Może o nim zapomniała. - Paz wzruszył ramionami. - O ile wiem, twoja pani ma teraz wiele trosk. Leczy samego Vazula. Kanclerza powaliła zimnica.

Willadene zdawała sobie sprawę, że ten zuchwały młokos obserwuje ją uważnie, choć pozornie utkwilił spojrzenie półprzymkniętych oczu w kobiałce dla księżniczki.

-Moja panią wezwano wczoraj, gdyż jej umiejętności były potrzebne - odpowiedziała spokojnie. - Nie wiem jednak do kogo. Jeśli kanclerz choruje, oby Gwiazda szybko przywróciła mu zdrowie.

Paz parsknął śmiechem.

-Och, wcześniej czy później na pewno znowu będzie kroczył wśród nas dumnie z tym swoim diabelskim stworkiem wokół szyi. Może powinien na niego uważać, bo kiedyś zacisnie mięśnie i udusi go. - Podniósł koszyk. - Mam zatem powiedzieć pani Zucie, że nic nie wiadomo o jej zamówieniu. A może ty coś wiesz?

-Nie ma go tutaj - odrzekła dziewczyna. - Moja pani na pewno przygotowuje, co trzeba, zaraz po powrocie.

Chłopak znowu zachichotał.

-Teraz połowa dam z zamkowych wież będzie przysyłała swoje własne zamówienia. Chociaż sędząc po ich wyglądzie, potrzebowałyby samego Władcy Serc, żeby osiągnąć to, czego pragną - legalnie poślubionego królewicza w swych łóżkach. Im bliższy będzie dzień przybycia naszego bohatera, tym więcej pracy czeka twoja pani.

Otwarcie drwił, gdy wziął wreszcie koszyk i wyszedł. Willadene zdawała sobie sprawę, że w jego drwinach kryło się zdziwienie. Po przybyciu księcia Loriena na pewno wzrosną

obrotu w handlu luksusowymi towarami. Zamówione zostaną nowe suknie, starsze odesłane do odświeżenia nowymi haftami i koronkami, klientki wykupią mnóstwo ziół i wonności ze sklepu Halwice.

Władca Serc, wciąż miała w pamięci te nazwy. Odszukała stary zielnik i doczytała do końca opowieść o tym niezwykłym kwiecie. Gdyby taka roślina naprawdę istniała, na pewno ludzie by na nią natrafili w ciągu wieków, które upłynęły od jej odkrycia. Może cała ta historia w istocie jest zaszyfrowaną opowieścią o jakimś amulecie i tajemnica w niej zawarta już dawno zaginęła?

Zielnik otworzył się niemal sam na stronie, nad którą biegała się tyle razy. Pismo na niej było nie tylko niewyraźne i wyblakłe, lecz w dodatku nieznanemu autorowi użył terminów tak starych, że dziewczyna musiała szukać ich znaczenia w innych księgach, a niektórych dotąd nie przetłumaczyła.

Przesuwała palcem wzdłuż brzegu najważniejszej stronicy, kiedy dokonała nowego odkrycia - że ta pergaminowa karta jest grubsza od poprzedniej i następnej. Willadene właśnie przysunęła bliżej stojącą na polce lampę i zamierzała zapalić drugą, kiedy drzwi sklepu znowu się otworzyły.

Tęgo smrodu nigdy nie zapomni! Dziewczyna wsunęła księgę pod łade i odwróciła się w stronę Figisa. Wydawało się, że znowu awansował w zewnętrznym świecie, choć wciąż załatywał dawnymi kuchennymi zapachami. Tak jak ostatnim razem nosił porządniejsze ubranie, zamiast niegdysiejszych lachmanów, ale wcale nie było czyste, gdyż plamy po piwie szpeciły kaftan. Grzywe rozczochranych włosów częściowo przyszczyżono, a na górnej wardze młodzika Willadene dostrzegła kilka włosów, o które dbał lepiej niż o resztę swojej osoby.

Zatrzymał się w drzwiach z rękami na biodrach; jedna ręka wyraźnie wskazywała na ukryty w pochwie brzeszczot, który bardziej przypominał krótki miecz niż zwykły nóż do jedzenia, jakie nosili wszyscy mężczyźni wolnego stanu. W takim razie... Figis zakończył służbę w karczmie. Jacoba zbilaby go na kwasne jabłko, gdyby odważył się pokazać z nożem tam, gdzie ona rządziła.

Wciągał głęboko powietrze do płuc, wszac, a potem wykrzywił usta, jakby chciał splunąć, ale się nie odważył.

-Pana Wyche'a boli brzuch - oświadczył. - Chce na to jakieś lekarstwo. Gdzie jest twoja pani, dziewczyno?

-Zajmuje się ciężko chorym pacjentem - odpowiedziała Willadene, jak robiła to przez cały ten dzień. - A co do choroby pana Wyche'a...

Nie odwróciła się do Figisa całkowicie plecami, jak może tego pragnął, ale szybko wyjęła z szuflady jeden z pakietów, jakie zielarka zawsze trzymała w pogotowiu.

-Kosztuje dwa miedziaki - powiedziała, kładąc lekarstwo na ładzie.

Chciała pozbyć się go ze sklepu. Wyczuwała bowiem ślady smrodu zła, który zawsze bił od tłustego cielska Wyche'a. Wprawdzie w przeszłości Figis był zawzięty i okrutny z natury, ale teraz jakos się zmienił.

Chłopak położył miedziaki na ładzie i chwycił paczuszkę.

-Twoja pani posiada głęboką wiedzę tajemną - uśmiechnął się szeroko, ukazując złamany ząb. - Miej nadzieję dziewczyno, że to jej nie zabije.

Willadene nie dowiedziała się, co się kryło za tą dwuznaczną groźbą, gdyż wieczorny dzwonek zadzwieczał nad ich głowami, wprawiając w drżenie ściany sklepu. Figis wyglądał na zaskoczonego i szybko zniknął w mroku. Willadene po opuszczeniu załuzji sięgnęła po ukryty pod ładą zielnik i zamknęła drzwi na sztabe. Z księgi pod pachą poszła na zaplecze, starając się zapanować nad niepokojem, który ogarnął ją po słowach Figisa.

11

Nie tylko Mahart miała spać głębokim snem tej nocy i zapamiętać to, co jej się przysniło. Może to bogactwo zapachów otaczających ją przez cały dzień zaprowadziło Willadene do jej własnego, głęboko ukrytego, całkowicie prywatnego zakątka. Miała wrażenie, że tej nocy jest on tak prawdziwy jak ona sama: czuła bowiem pod rękami miękki mech i słaby wietrzyk muskający jej ciało. Leżała wyciągnięta jak na swoim łóżku, lecz twarzą do ziemi, na skraju jakiegoś zamkniętego przez skały uskoku. Choć była to noc, dziewczyna widziała wszystko tak wyraźnie, jakby miała kocie oczy - i jeszcze wyraźniej wyczuwała piękny zapach. Szczelina, z której wystawała jej głowa, była wąska; nie chciało jej się wierzyć, że zdołała się jakos do niej wcisnąć. Jeszcze niżej rozlewał się słaby blask i kiedy utkwiała w nim oczy, wydało się jej, że staje się on znacznie mocniejszy.

Błede światło tli się daleko w dole, stwierdził jakiś fragment jazni Willadene, i uwierzyła w to, gdyż tylko dzięki dziwnie wyostrzonemu wzrokowi mogła dostrzec kwiat na wysokiej, prostej łodydze otoczonej rozłożonymi jak wachlarz liśćmi. Nie miał jednolitego koloru, choć wydawał się błądzący niczym księżycowa poświata, gdyż słabiutkie, wielobarwne cienie falowały na jego płatkach. Kształtem przypominał lilie, które tak starannie namalowano w księgach Halwice, a jego serce ukrywały złożone w pak płatki.

To serce niezwykłego kwiatu... Nawet z dużej odległości między dnem szczeliny a skalną grzędą do nozdrzy Willadene dotarł zapach tak upajający, iż mogłaby uwierzyć, że Gwiazda pobłogosławiła ją kwiatem, jakie czekają w przyszłym życiu na ludzi dobrej woli.

Najchętniej leżałaby tam, zapominając o czasie. Jednak wbrew woli dziewczyny jej ciało zebrало się w sobie i wyprostowało, aż stwierdziła, że siedzi i widzi szczelinę z cudownym kwiatem tylko jako ciemną linię; nie dostrzegła już jego słabej poświaty, choć nadal miała wyostrzony wzrok. Później wydało się jej, iż jakas moc odwróciła ją łagodnie, tak że ujrzała

stos zwalonych kamiennych blokow porosnietych pnaczkami, porozrywanych przez drzewa. Nie, to byly olbrzymie paprocie! Zrozumiala, ze miala widzenie, wizje, o jakich slyszala - ze zobaczyla cos, co wydarzy sie w przyszlosci.

Mahart w swojej komnacie w wiezy rowniez myslala o innym swiecie. Otrzymala nowa porcje niezwyklego kadzidla i czula, ze koniecznie musi tam dotrzec tej wlasnie nocy. Nic o tym nie powiedziala ani Zucie, ani Julcie, udajac, ze bardzo chce jej sie spac. Kiedy jednak drzwi komnaty sie zamknely i swiecila tylko jedna nocna lampa, ksiezniczka wysliznela sie z wielkiego loza.

Przez chwile stala, wpatrujac sie w zapamietany odcinek sciany. Za dnia miala dziwne uczucie, ze nie powinna mowic nikomu o tym, co tam uslyszala - albo wydawalo sie jej, ze slyszy. Teraz jednak nie przejmowala sie dziwacznymi odglosami z ukrytych w scianach korytarzy. Postawila przenosny piecyk obok swego loza i wsykala na wegla kilka lyzek kawalacego sie proszku ze szkatulki przyslanej ze sklepu Halwice. Proszek zapalil sie szybko i Mahart siedziala przez moment na brzegu loza, przygladajac sie klebom wonnego dymu, zanim skulila sie w poscieli i z determinacja zamknela oczy.

Czas nie gral zadnej roli w jej snach. Nigdy nie wiedziala, ile uplynelo chwil lub godzin, zanim stanela na ukwieconej lace. Tak, stanela, gdyz tej nocy w pelni zdawala sobie sprawe, ze ma cialo; nie musiala nawet sie dotknac, by sie o tym przekonac. Jednoczesnie wszystkie kolory wydawaly sie jej jasniesze, jaskrawsze, choc nie czula ciepla slonca, ktore przeciez musialo plynac gdzies po niebie nad jej glowa.

Slyszala ptasie piesni, a wokol niej lataly tak wspaniale ubarwione motyle, jakich nigdy nie widziala, zupełnie inne od kilku wyblaklych, skrzydlatych stworzen, dostrzeganych czasami w ponurym zamkowym ogrodzie rozanym.

Nie interesowaly jej jednak kwiaty, ptaki czy motyle, ktore uczynily ten sen prawdziwszym od innych. Nie, chodzilo o to, iz miala pewnosc, ze nie jest juz sama. Kiedy jednak szybko obrocila sie wokolo, nie zobaczyla nikogo, tylko zaglabienie na skraju laki, gdzie kepa drzew wyrastala z kwietnego dywanu.

Podniosla rece do gory i machnela nimi w powietrzu z nadzieja, ze dotknie tego, czego nie mogla zobaczyc. Na oslep szukala kogos, kto rowniez przybyl na lajce z jej snu.

Wygladalo to tak, jakby pragnela czegos, czego nie umiala nazwac - moze cieplego uczucia, ktorego nigdy dotad nie zaznala? Mahart nie wiedziala, co to takiego. A przeciez z czasem znajdzie to, czego szuka, przysiegla sobie w najglebszym zakamarku swojej jazni - zdeterminowana, ze nic jej nie zmusi do zaprzestania poszukiwan. I w tej samej chwili, kiedy sformulowala to pragnienie, laka ze snu zniknela.

Początkowo była zdezorientowana, jak zwykle, gdy nagle obudzimy się ze snu, i rozejrzała się wokół w mroku. Znajdowała się w swojej sypialni w wieży. Walnęła piściami w koldre.

Nie! Nie! Zostala zabrana stamtad w taki sposob... Chociaz nie plakala od wielu lat, kiedy po raz pierwszy odkryla, iz nikogo nie obchodzi, ze cos sprawia jej bol, teraz poczula lzy splywajace po policzkach.

W tej wlasnie chwili znow rozlegl sie ten sam dzwiek, ktory wyrwal jaz najslodszege ze snow. Gwaltownie odwrocila glowe ku scianie. Najpierw uslyszala szelest, a potem ostry szczek, jakby metal uderzyl o kamien. A przeciez nie widziala nic oprócz trzech wyploviałych, tkanych w kwiaty kwadratowych gobelinow, ktore otaczaly ja przez cale zycie, odkad tylko mogla siegnac pamiecia.

Gobeliny nie pokrywaly calej sciany. Miedzy nimi ciemniala rzezbiona boazeria. Mahart wsliznela sie w obszyty futrem szlafrok i wsunela stopy w kapcie. Pozniej zapalila jedna ze swiecacych mocniej lamp i podeszla do podejrzonej sciany.

Odsunela ramieniem wiszacy posrodku gobelin, tlumiac kichniecie, gdyz otoczyl ja tuman kurzu, i przylozyla ucho do tego pasa boazerii. Nie, nie mylila sie. Po raz drugi uslyszala, choc znacznie slabszy, zgrzyt metalu o kamien.

O dziwo, zamiast strachu ogarnal ja gniew. Jezeli ktos chodzil po korytarzach ukrytych w scianach jej sypialni, czy w przeszlosci szpiegowano ja przez jakies tajemne otwory? Spochmurniala. Na te mysl jej gniew zamienil sie we wscieklosc.

Mahart zblizyla lampe do pociemnialej ze starosci boazerii. Wyrzezbiono w niej proste wzory: winorosl biegla brzegiem drewnianej plyty, a srodek zdobil pek kwiatow. Teraz jednak, gdy tak wpatrywala sie w boazerie, uznala, ze bardziej przypomina ona cos w rodzaju drzwi niz ozdobe kamiennego muru.

Przypomniala sobie przeczytane legendy, ktore tak ja oczarowaly, i zaczela metodycznie naciskac kazdy lisc winorosli, do ktorego mogla dosiegnac, uderzac mocno w kwiaty. Jesli jest tu gdzies ukryte wejście do tajemnych korytarzy, musi je odkryc dla wlasnego bezpieczenstwa.

Fragment boazerii uparcie pozostawal nieruchomy. Ksiezniczka postawila lampe na stojacym najblizej kufrze i zaczela wsuwac paznokcie pod brzeg samej plyty. Po zlamaniu drugiego paznokcia zrozumiala, ze nie tedy droga. Wziela nozyczki z toaletki, probujac wcisnac ich ostre konce we wszystkie mozliwe szczeliny.

Owladnal nia upor - dowie sie, co sie kryje za plyta. Dziabnela nozycami trzykrotnie, zanim przyszedl jej do glowy inny pomysl. Tym razem wziela z toaletki sloik z pachnacym kremem.

Nie do konca rozumiala, do czego jej sie moze przydac krem, ale przypomniala sobie wzmianki o zamkach i zawiasach, otwierajacych sie po naoliwieniu. Stopniowo przesuwała czubek nozyc wzdluz brzegu drewnianej plynicy i musiala porzadnie wyciagnac rece, by siegnac do linii, ktora pojawila sie w gorze. Pozniej jeszcze raz uzyla ostrego zakonczenia nozyc na prawym skraju boazerii. Omal nie wydalala triumfalnego okrzyku, kiedy cos

niechętnie ustąpiło pod naciskiem. Lecz zamiast dalej próbować, księżniczka z nożycami w dłoni podeszła do drzwi komnaty. Wprawdzie Julta nigdy nie wchodziła do sypialni swojej pani bez wezwania, ale zawsze istniała możliwość, że nie zamknięte drzwi mogą ją zdradzić - dlatego zasunęła zasuwkę.

Gdy po raz drugi przesunęła nożycami po widocznej teraz wyraźnie szczelinie, otworzyła ją jeszcze szerzej. Na wysokości ramienia Mahart nożyce uderzyły w jakąś zapórę, zaczęła więc nimi krecić, pchać, dziabac. Jednak chyba tylko przez przypadek otworzyła ten starożytny zamek. Nożyce nieoczekiwanie zagłębiły się, więc energicznie pociągnęła je ku sobie.

Wtedy rozległ się tak głośny dźwięk, że omal się nie skuliła, ale ani się nie cofnęła, ani nie poniechała prób otwarcia sekretnych drzwi. Ostry zgrzyt zakończył się trzaskaniem. Płyta otworzyła się i uderzyła księżniczkę, odrzucając ją w stronę loża. Dysząc ciężko, Mahart wpatrzyła się w to, co odkryła.

W ścianie rzeczywiście znalazł się otwór, może nie tak duży jak normalne drzwi do tej komnaty, ale na pewno pełnił tę samą rolę. Drżała teraz lekko z podniecenia i niepokoju przed nieznanym.

Z lampą w jednej i nożycami w drugiej ręce zmusiła się, by zajrzeć do ciemnej dziury. Za tajemnymi drzwiami ciągnął się bardzo wąski korytarz. Nawet w słabym świetle lampy widziała, że podłoga pokrywa grubą warstwą kurzu. Lecz coś poruszyło, przemieściło ten kurz, a z nierównego muru w gorze zwisała porwana pajęczyna. Mahart zagłębiła głowę i ramiona w mrocznym otworze i ujrzała, że chociaż korytarz biegnie wzdłuż wewnętrznej ściany jej sypialni, niedaleko od niego jakieś schody prowadzą w górę. Wroczyła do komnaty i usiadła na brzegu loża, by się zastanowić.

Ostrożność nakazywała jej wezwać najbliższego gwardzistę i zadać dokładnego przeszukania odkrytego przez nią sekretnego przejścia. Ale co, jeśli przypadkiem natknęła się na jedną z tajemnic jej ojca? A jeżeli wcale nie jest mu tak obojętna, jak sądziła, i rozkazał, by ktoś czuwał nad nią z tego korytarza?

Uważał ją za narzędzie, z pomocą którego zamierzał umocnić swoją władzę, i księżniczka dobrze o tym wiedziała. Z drugiej jednak strony, Vazul, który podczas spotkania z Mahart określoną drogą uzupełniał jej wiedzę o intrygach dworskich, dał jej wyraźnie do zrozumienia, iż jej ojciec sądzi, że wielmożę tylko go tolerują i że w każdej chwili mogą się zbuntować.

Nie mogła sobie wyobrazić pani Saylany śledzącej ją z takiego tajemnego przejścia w ścianie. Bez wątpliwości miała ona jednak, tak jak Vazul, własnych szpiegów, którzy donosili jej o wszystkim.

Mahart szybko powziela decyzję. Jeśli zewsząd otaczają ją jakieś tajemnice, będzie miała kilka własnych sekretów. Może nawet okaza się jej tak potrzebne, jak miecz i tarcza gwardzistę; nie zamierzała na razie dzielić się nimi z kimkolwiek.

Predko zdjela z siebie nocny stroj, zamiast tego wlozyla bryczesy, ktore zwykle nosila pod spodnica- spodniami, gruba koszule - gdyz powietrze w tajemnym korytarzu bylo zimne - i pikowany kaftan myśliwski.

Nie umiala sie poslugiwac zadna bronia oprócz noza, wybrala wiec najdluzszy i najbardziej smiercionosny noz myśliwski i nawet nie probowala schowac go do pochwy. Po raz drugi podeszla do drzwi sypialni, sprawdzila, czy sa zamkniete na zasuwke, i wcisnela w nia dodatkowo dluga szpilke ze stolika do robotek.

Wziela najwieksza lampe z wygodnym uchwytem i zapalila ja, upewniwszy sie najpierw, czy w srodku jest olej. Z lampą i nozem w dloniach zapuscila sie w nieznane.

Mogla pojsc w lewo lub w prawo. Szybko wybrala prawa strone i schody, ktore widziala w poblizu. Tumany kurzu wzbily sie spod jej nog i raz mignelo jej swiatlo z prawa - wtedy szybko przylozyla oko do otworu, ktorego istnienia sie domyslila.

Swiatlo bylo bardzo slabe, ale ujrzala dwa skladane lozka. Jedno bylo puste i nieuzywane, a na drugim, skulona, spala Julta! W ten sposob Mahart zorientowala sie, ze dotarla na drugie pietro swojej wiezy. Schody jednak prowadzily wyzej i poszla nimi, starajac sie stapac i oddychac jak najciszej. Zatrzymala sie prawie w pol kroku. Uslyszala nad soba jakies dzwieki. Na pewno byly to glosy, ale tak stlumione, ze nie mogla rozroznic slow. Wytezywszy sluch, starala sie cos zrozumiec. Nie udalo jej sie to, nie widziala tez swiatla w gorze... Ktokolwiek tam czekal, nie znajdowal sie na schodach, ktorymi szla.

Mahart wziela gleboki oddech. Moze latwo sie wycofac. Nie watpila, ze zdola ukryc wszelkie slady tej nocnej wyprawy. Ale nie potrafila zrezygnowac z tego, zeby sie dowiedziec, kim sa ci nocni wedrowcy.

Pokonala trzy stopnie do gory. Teraz rozmowa stala sie glosniejsza, lecz docierala z prawa, na pewno zza sciany, ktora co jakis czas ksiezniczka muskala ramieniem. Jeszcze raz dostrzegla oswietlony otwor do zagladania i zaniechala ostroznosci.

W tej komnacie bylo wiecej swiatla. Zapewne pelnila role magazynu wypelnionego skrzyniami i kuframi; odsunieto je na bok, by przygotowac miejsce na podlodze - ktora nie byla zakurzona. Dwie skrzynie, ustawione jedna na drugiej, tarasowaly normalne drzwi. Najwidoczniej ludzie znajdujacy sie w tej komnacie przychodzili i wychodzili przez ukryte wejście.

I na pewno ktos uzytkowal to pomieszczenie. Pewna liczbe lamp podkreconych tak, by dawaly jak najwiecej swiatla, ustawiono w dosc regularnych odstepach wokol zamiecionego miejsca na podlodze. Srodek zajmowalo grube poslanie ulozone z wyblaklych i nawet podartych kolder. Lezal na nim jakis mezczyzna.

W poblizu jego glowy, na wieku skrzyni, stala cala bateria butelek i jeden lub dwa sloiki, z ktorych wiekszosc byla otwarta. Kleczaca u boku nieznajomego mezczyzny kobieta

najwidoczniej, jak przypuszczała Mahart, opatrywała mu rane. Pomagał jej w tym nie kto inny jak sam Vazul, który podnosił i przewracał ciało mężczyzny zgodnie z jej poleceniami.

Uzdrowicielka przywiązała ostatni bandaż i usiadła na piętach. Mahart po raz pierwszy ujrzała ją wyraźnie - to była Halwice! A Vazul, którego miała leczyć, sam pielęgnował innego mężczyznę pod jej kierunkiem.

-Skonczyłaś wreszcie z rozszarpywaniem mnie na strzepy, pani? I jaki jest twój werdykt... Kiedy Nietoperz znowu będzie mógł polecieć?

-Sam masz dość zdrowego rozsądku, by odpowiedzieć sobie na to pytanie, młodzieńcze - odpowiedziała swemu pacjentowi. - Przenosząc cię tutaj, pogorszyliśmy trochę twój stan. Zajmiesz się swoimi sprawami, kiedy Gwiazda przywróci ci zdrowie.

Leżący na posłaniu ranny odwrócił głowę. Mahart była pewna, że nigdy dotąd nie widziała tej twarzy, częściowo zasłoniętej ciemnym, kilkudniowym zarostem. A przecież nieznajomy leżał w samym sercu zamku i pielęgnowała go nie tylko Halwice, lecz także osobiście kanclerz Vazul. Jest młody, pomyślała, i niebrzydki, choć zaniedbany.

Oczywiście, nie знаła wszystkich sług swego ojca - tylko tych, których kiedyś zobaczyła - a leżący w zagraconej komnacie mężczyzna mógł być nawet nieznany jej dworzaniem.

Tylko dlaczego ukryto go tutaj, w pomieszczeniu na samym szczycie wieży, w której zawsze mieszkali księżniczki? Nie mogła uwierzyć, że nawet Vazul sprowadziłby go tutaj potajemnie bez wiedzy jej ojca.

Halwice odwróciła głowę i rozglądała się, aż natrafiła wzrokiem na otwór, przez który podglądała ich Mahart. Po wyrazie jej twarzy dziewczyna natychmiast się zorientowała, że została zauważona. Zanim zdążyła wstać, gdyż dotychczas kulila się przy otworze, zielarka szybko zrobiła dwa kroki i dotarła do przeciwległej ściany.

Rozległ się głośny szcęk i pływina, o którą opierała się Mahart, odsunęła się tak nagle, że dziewczyna straciła równowagę i runęła do przodu. Halwice chwyciła ją w locie.

Ssssaaa... Zwierzątko Vazula uniosło głowę z poscieli na zaimprovizowanym posłaniu, gdzie leżało, przyglądając się księżniczce błyszczącymi jak klejnoty oczkami.

-Wasza Wysokość... - To kanclerz pierwszy odzyskał mowę. - Jak... - zaczął, a potem się zawahał. Mierzył ją teraz przenikliwym spojrzeniem jak wtedy, gdy podczas rozmów z nią sekretnie zwracał jej uwagę na pulapki zastawiane na dworze.

Halwice puściła ramię Mahart, która natychmiast się wyprostowała. Nie wątpiła, że przypadkiem natknęła się na jakąś tajemnicę, ale na pewno nie zrobiła nic złego i nie pozwoli, by traktowano ją jak skradająca się nocą złodziejke.

-Znalazłam ten korytarz... - Niewyraźnym gestem wskazała na otwór w ścianie -
...ponieważ usłyszałam stąd jakieś odgłosy.

Zaskoczył ją skutek, jaki te słowa wywarły na kanclerzu i zielarce. Równie dobrze mogłaby powiedzieć, że skierowało ją tu jakieś widmo.

-Odgłosy w ścianie? - Vazul pierwszy przerwał krótkie milczenie. - Jakie to były dźwięki, Wasza Wysokość?

-Przypominały ocieranie czegoś o ścianę, a dzisiejszej nocy szczerk, jaki wydaje stal, uderzając o kamień.

-Mówisz o dzisiejszej nocy - wtraciła Halwice. - To znaczy, że już wcześniej coś takiego słyszałaś? Tak głośnego, że cię obudziło... ? - Szybko ukryła zaskoczenie, ale Mahart zdążyła je zauważyć.

-I metal uderzający o kamień...

To przemówił kanclerz. Teraz, gdy księżniczka widziała go wyraźnie, uswiadomiła sobie, że ma on u pasa tylko zwykły nóż i że musiałby niezle się nagimnastykować, żeby uderzyć nim o kamienny mur.

-Tajemnica przestaje być tajemnicą? - Mezczyzna, którego tak niedawno opatrywało tamtych dwoje, unosił się na posłaniu i utkwilił bystre szare oczy w księżniczkę. - Czy uciekniemy teraz chyłkiem do innej nory?

-Pani... - Vazul spojrzał na Halwice - co twoje umiejętności mogą nam podpowiedzieć?

-Nie tak wiele, jak byśmy tego chcieli. Na pewno mam talent, ale nie taki, jakim jest dobry wech.

-Zrób, co potrafisz - polecił Vazul. Nie był to rozkazujący ton, raczej wydawało się, że zwraca się do równej sobie stanem osoby zaangażowanej w to samo przedsięwzięcie.

Halwice precyzyjnie przemieściła się obok Mahart, pochyliła się i weszła do tajemnego korytarza. Wszyscy obecni w komnacie znieruchomieli. Sądząc po docierających odgłosach, wydawało się, że zielarka zeszła w dół o jeden lub dwa stopnie, a potem weszła dwa stopnie wyżej na schody, które musiały prowadzić na dach.

-Ssssaaa!

Ulubienica Vazula przemknęła obok księżniczki i zatrzymała się w sekretnych drzwiach. Unosząc wysoko wąską główkę osadzona na długiej szyjce, zwróciła ją pod niemożliwym dla człowieka kątem.

Później Halwice wróciła i zwierzątko odeszło na bok, dając jej wolną drogę.

-No więc? - spytał Vazul.

-Tak, tam były inne osoby, przynajmniej dwie - powiedziała z widoczną niechęcią zielarka. - Nie umiem jednak ich wywieszyć. Tylko... - urwała, a potem mówiła dalej monotonicznym głosem - ...tylko Willadene mogłaby wyczuć ich zapach. Jak już ci mówiłam, kanclerzu, ktoś tak utalentowany rodzi się raz na sto lat. Wielu potrafi rozróżnić odrębne zapachy za jednym razem, ale jak wiesz, ona jest w stanie wyczuć z daleka odor zła.

-Umie też dobrze walczyć młynkiem do pieprzu - dodał ranny ze śmiechem, choć głos drżał mu lekko. - Tylko co miałyby zrobić? Ustawić rzędami wszystkich dworzaków i służby i wywieszyć winnych? Słyszałem dawne opowieści, że w ten sposób polowano na czarownice, ale to było przed wiekami.

-Nie... - odparła powoli Halwice. - Musimy jednak uwzględnić w naszych planach na przyszłość wydarzenia, które miały miejsce dzisiejszej nocy. Wasza Wysokość - teraz zwróciła się bezpośrednio do Mahart - w przeszłości wysłała do mnie wiele zamówień. Teraz czekają nas różne uroczystości i zabawy. A gdybyś poprosiła Jego Księżęca Mosca, żebym to ja dostarczała ci wszelkie dostępne wonności i perfumy? Wtedy wyśle do ciebie Willadene z zamówioną przesyłką i będziesz mogła przyjąć ją na swój dwór jako eksperta w tej materii, przynajmniej na jakiś czas. O ile znam Jej Wysokość Saylane, pierwsza zauważy taki dodatek do swoich dworów i bardzo będzie chciała się dowiedzieć, jakie nowe towary oferuje. Jeśli jednak wyrazisz zgodę, muszę ci ostrzec, Wasza Wysokość. Już kilkakrotnie dobierano się do moich wyrobów i tylko dzięki czujności Willadene usunęłam zagrożenie. Zielarstwo to bardzo starożytna wiedza i ma również swoją ciemną stronę - może zarówno zabijać, jak i leczyć. Jeżeli zgodzisz się na ten plan, chciałabym ci doradzić, żebyś nie ruszała żadnej z tych mieszanek, których Willadene nie uzna za nieszkodliwe.

Vazul skinął głową. Ssssaaa znowu wdrapała się na jego kołnierz. Na twarzy kanclerza malowało się głębokie skupienie.

-Wydaje się, że twoja propozycja, pani, jest dla nas najlepszym rozwiązaniem. Wasza Wysokość?

-Tak, zgadzam się, ale nie podobają mi się korytarze i schody w ścianach, przez które można łatwo dotrzeć do moich komnat.

Jeżeli sama Halwice poleca te dziewczyny, Mahart gotowa była jej zaufać i uwierzyć w przypisywane jej moce. Poczuli się jednak narazona na coś, czego nie umiała nazwać po imieniu, kiedy pomyślała o pływaniu, która otworzyła pod wpływem nagłego impulsu. Denerwowało ją, że w ścianach, uważanych przez nią dotychczas za bezpieczne, kryją się tajemnice większe niż przypuszczała.

-Możemy to naprawić, Wasza Wysokość. - Vazul skinął głową. - Znamy sekretne zamki

tych drzwi. Dlatego nie musisz się niczego obawiać. Już prawie rano. Kiedy twoja pokojowa przyjdzie cię obudzić, znajdzie list, a w nim wiadomość, że podczas gdy ty będziesz jadł śniadanie z Jego Księżca Moscia, do twojej sypialni przyjdą robotnicy. Zainstalują dla ciebie specjalną nową komodę, ponieważ z konieczności musi się powiększyć twoja garderoba. Komoda ta całkowicie zabarykaduje tajemne wejście, tak że potrzeba będzie całej brygady robotników, by znowu je otworzyć. Najpierw jednak otynkują ściany.

Spojrzał na młodzieńca leżącego u jego stóp. - Tobie również musimy zapewnić bezpieczeństwo. Ponieważ tajemnica tego przejścia znana jest poza naszym kręgiem, umieścimy cię tam, gdzie nikt cię przypadkowo nie odkryje - w moich własnych komnatach. Będę bowiem udawał, że niedomagam przez dzień lub dwa, aż ponownie staniesz na nogi. Wasza Wysokość, czy zechciałabyś wrócić do swojej sypialni...

Mahart poczuła się urażona. Mówił do niej tak, jakby była dzieckiem, któremu kazał grzecznie się zachowywać. Wygląda jednak na to, że nie mam nic więcej do roboty w grze, w którą gra Vazul, pomyślała. I z zaskoczeniem przypomniała sobie, że musi ukryć ślady swojej własnej działalności. Skinawszy głową na znak zgody, jeszcze raz precyzyjnie się przez tajemne drzwi i wróciła do swojej komnaty, gdzie pośpiesznie zajęła się tym, co trzeba było zrobić.

Willadene obudziła się, ale później odniosła wrażenie, że zapach z niezwykłego snu przetrwał jej poranne prace, nawet otwarcie sklepu. Halwice pozostawiła na lupkowej tabliczce kilka zamówień na proste leki, których zapasy mogły się wyczerpać. Dziewczyna sporządziła je na jakiś czas przed tym, zanim drugi dzwonek zadzwieczał nad miastem. Pragnęła jednak, by zielarka powróciła jak najprędzej. Przecież wie tak mało i klienci zaczęli zadawać pytania, jeżeli zobaczą w sklepie tylko ją samą. Była pewna, że część nie będzie miała zaufania do jej umiejętności, a z pewnością nie zaufają jej lekarze.

Zaden z lekarzy jednak nie rozpoczął tego dnia od zniszczeń. Willadene wykonała już większość zamówień i przygotowała trzy proste leki, kiedy nagle usłyszała ruch przed sklepem. Chwilę później do środka wszedł młody mężczyzna w paradnym stroju wielmoży w towarzystwie dwóch innych młodzieńców, choć nie tak jasnowo odzianych.

Rozejrzeli się wokół pogardliwie. Jeden z nich pociągnął za spleciony z lodu warkocz, powachał go, skrzywił się i rzucił na podłogę, gdzie jego towarzysz na niego nadeptnął. Przywódca tej trojki oparł się o łade i zanim Willadene zdołała zrobić unik, ujął jej podbródek dwoma palcami i podniósł jej głowę. Na jego grubych wargach igrał szyderczy uśmiech, gdy na nią patrzył.

-Gdzie jest ta stara czarownica, dziewczko? - wybelkotal i choć było dość wcześnie, już był od niego zapach wina oraz słaba won czegoś innego - Ciemności - co ją przeraziło.

-Zielarka Halwice - odsunęła się, tak że puścił jej podbródek - została wezwana do zamku. Czym mogę wam służyć?

Młody wielmoża wyszczerzył zęby w złym uśmiechu, a jego towarzysze zrobili to samo.

-Gdybys nie była brudna dziewczka służebna, moglibysmy ci przelecieć raz czy dwa - wycodził.

-Takie gadanie, wielmożny Barbricu, do niczego ci nie doprowadzi - skomentował jeden z jego towarzyszy.

-Racja - odparł Barbric. Willadene nigdy dotąd go nie widziała, ale słyszała dostatecznie dużo o jego hulankach, złościwości i złym traktowaniu ludzi z plebsu, by zrozumieć z rozpaczą, z kim ma teraz do czynienia. - Podobno twoja pani dobrze zna Władce Serc.

Willadene zebrala całą odwagę.

-Wielmożny panie, to tylko starodawna opowieść. Żaden zielarz ani nie widział, ani nie słyszał o tej roślinie przez ponad trzysta lat.

Barbric podniósł rękę i zanim dziewczyna zdążyła się uchylić, spoliczkował ją tak mocno, że wpadła na zastawioną szafami ścianę; ból szarpał jej policzek.

-Powiedz swojej pani- czarownicy, co chce dostać, i lepiej, żeby o tym pamiętała. A to na dowód, że nie dam się wyprowadzić w pole... - Skinal nagle głowa i jego dwaj towarzysze zmiotli z witryny sklepowej piękne buteleczki, z których każda była innego rodzaju, i rozbili je na podłodze. Zapach wonności, które się z nich wylały, był tak silny, że kreciło się w głowie. Barbric i jego przyjaciele wyszli ze sklepu, deptając rozbite szkło.

12

Willadene przyjrzała się zniszczonym kosztownym towarom na podłodze. Czula mdłości. Przyłożyła rękę do piekącego policzka i zdała sobie sprawę, że nie ma po co wzywać strażników sędziego. Ta trojka na pewno ujdzie sprawiedliwości, prędzej wyrosną im skrzydła i odleca. Żaden kupiec nie może złożyć skargi na syna Jej Wysokości Saylany. Tak, bywały przedtem wypadki, że pijani młodzi wielmoże pastwili się nad kupcami, ale sprawę tuszował po cichu jakiś odpowiedzialny członek ich Domu, załatwiając wszystko z poszkodowanym poza trybunałem grodzkim. Willadene była pewna, że za to zniszczenie nie będzie rekompensaty. Poszła powoli na zaplecze po miotłę i kosz i wróciła do pracy. Większe odłamki szkła podniosła, tu przesuwając palcami po skrzydle bezgłowego labedzia, tam zaś oburzając się na widok popekanych płatków. Zamiecenie podłogi zabrało jej trochę czasu. Przynajmniej nie przeszkadzali w tym klienci. Początkowo ją to ucieszyło, a potem zdała sobie sprawę, że mieszkańcy sąsiednich domów i kupcy na pewno rozpoznali tych wandalów i nie chcieli mieć nic wspólnego z ich ofiarą. Bezpieczniej było odwrócić wzrok, gdy jakiś członek Wielkiego Domu pastwił się nad człowiekiem z ludu.

Willadene zamiotła podłogę po raz trzeci, próbując wydobyć najmniejsze odłamki szkła, kiedy wreszcie jakaś postać zasłoniła wejście. Dziewczyna szybko podniosła oczy.

Stala tam Halwice w grubej podrozsnej oponczy z pekata torba lekow. Widac bylo, ze juz zauwazyła koszyk napelniony do polowy odlamkami szkla i porcelany, i puste polki w witrynie.

Willadene poczula sie winna, choc wiedziala, ze w zaden sposob nie mogla ochronic tych cennych towarow.

-Przynies mokra szmate - polecila Halwice tak spokojnie, jakby byla przyzwyczajona do podobnych katastrof. - Poloz ja na deskach i lekko przycisnij. W ten sposob wydobedziesz czesc odlamkow, ale uwazaj na rece. Komu zawdzieczamy ten atak i dlaczego?

Zdjela oponcze i postawila sakwe na ladzie. Willadene tymczasem poszla na zaplecze po szmate, ktora zanurzyla w wiadrze z woda i wykrecila. Odpowiedziala na pytanie Halwice dopiero po powrocie.

-Jasnie wielmoznemu panu Barbricowi, pani. Dobrze dymilo mu sie z czuba i mial dwoch towarzyszy. Mysle, ze to tez wielmoze.

-Podejdz tu, moje dziecko. - Halwice zacisnela palce wokol podbrodka Willadene i zwrocila jej twarz ku swiatlu.

-Czy to on pozostawil ten slad na twoim policzku? - zapytala. - Czego szukal?

-Pani, mowil o Wladcy Serc. A kiedy odparlam, ze to tylko legenda, on...

-Szuka tego? - Halwice spochmurniala, ale Willadene wiedziala, ze nie na nia sie gniewa. - On lub ta, ktora go poslala, staja sie coraz zuchwalsi, dlatego ze urosli w sile, a moze maja teraz malo czasu?

Willadene nie umiala odpowiedziec na pytania, poniewaz ich nie rozumiala. Nie puszczac jej, zielarka siegnela po stojacy na pobliskiej polce garnuszek i zebami podniosla pokrywke. Pozniej zanurzyla gleboko palec w gestej galarecie i pomazala nia policzek Willadene. Dziewczyna skulila sie z bolu, choc dotkniecie bylo lekkie; Halwice podtrzymywala jej glowe, az skonczyla zabieg.

-Dobrze, ze cie tu nie bedzie! - powiedziala gwaltownie. - Odloz te szmate z odlamkami szkla i chodz...

Willadene szybko posluchala i rownie predko poszla za Halwice do sasiedniej izby.

-Siadaj i sluchaj uwaznie - rozkazala zielarka. - Jest cos, co tylko ty mozesz zrobic.

Uklekla przed dluga skrzynia. Zaczela wyciagac z niej posciel i stroje znacznie jaskrawsze niz te, ktore dotad nosila w obecności Willadene - prawie tak, jakby byla to garderoba jakiejś damy. Podczas poszukiwan mowila i Willadene podswiadomie przysunela blizej

stolek, na którym siedziała, by lepiej słyszeć.

-Twój talent jest naprawdę potrzebny, dziewczyno, i może mieć wielkie znaczenie. Na pewno jest dość kłopotów do zważenia, takich, z jakimi już się zetknęłaś w tamtych wieżach gorzących nad miastem. Księżka ma swoje tajemnice. Jedną z nich niedawno widziałas w osobie tego, który dobrze mu służył i omal przez to nie zginął.

-Nicolas? - zapytała dziewczyna, gdy zielarka urwała na chwilę.

-Nicolas - potwierdziła Halwice - i powinniśmy podziękować Gwieździe, że został znaleziony na czas. Ale to inna sprawa. Księżka potrzebuje ochrony nowego rodzaju dla Jej Wysokości Mahart. Może jej grozić straszne niebezpieczeństwo, które tylko ktoś z takim talentem jak twój potrafi wywieszyć. Jego Księżka z Moskwy chce, żebyś na jakiś czas przyłączyła się do dworu jego córki. Wszystkim, którzy będą cie o to pytać, odpowiesz, że przynosisz nowe wyroby i że musisz nie tylko nauczyć jej dwórki, jak ich używać, lecz także dopasować perfumy do sukien szykowanych na przyjazd księcia Loriena, na wielki bal zwycięstwa i inne uroczystości. Masz dostateczną wiedzę, by sprostać tym zadaniom. Jeśli to będzie możliwe, postaraj się zdobyć zaufanie Jej Wysokości, choćby w niewielkim stopniu. Ale jedno jest najważniejsze: musisz zawsze być w pogotowiu, by stwierdzić z pomocą swego talentu, czy nie zbliża się do niej jakieś zło - po pierwsze dlatego, że jest córką swego ojca i wielką damą, a po drugie - że ona naprawdę kroczy Droga Jasnej Gwiazdy i jak sądzę, w przyszłości przyniesie wiele dobrego naszemu krajowi i jego mieszkańcom.

Willadene przypomniała sobie weza z zielonego światła, poszukała po omacku swego amuletu i odniosła wrażenie, iż Halwice czyta w jej myślach.

-Otrzymaś wszelką możliwą ochronę, nie tylko dla siebie, ale i dla niej. A przede wszystkim odkryj zapach nie tylko pachnidła, które lubi, ale również jej własny, żeby poznać ją tak, jak pozwala ci na to twój talent. Teraz zaś...

Wyciągnęła z samego dna skrzyni jakiś płaski worek. Położyła na łożu, rozwiązała i zaczęła z niego wyciągać zwinięty materiał w różnych odcieniach zieleni, od barwy roślin do koloru liści drzew. Ze skrzyni rozszedł się zapach lawendy i drzewa sandalowego, które Willadene знаła jako cenny towar importowany.

Biała materiału po rozwinięciu okazała się nareczem ubrań. Najjasniejsze, o miękkich fałdach, były dwie koszule. Potem dwie spodnice o nieco ciemniejszym odcieniu i, na samym końcu, dwie suknie, na pozór bez żadnych ozdób. Kiedy jednak Halwice podniosła najbliższą, Willadene ujrzała błysk ciemnej purpury i srebra nieco pociemniałego ze starości... Wysoko, po lewej stronie wianuska, wyszyto wieniec z fiołków przeplatanych srebrnymi liśćmi.

Osoba wzrostu Halwice nie mogła nosić tych szat, zresztą spodnice nie zapięłyby się wokół jej talii. Zielarka potrząsnęła każdą sztuką odzieży, rozprostowując ją, i przyglądała się

uwaznie, jakby szukala ukrytej wady, a nastepnie powiedziala:

-W dawnych czasach, kiedy bylo nas wiecej, czlonkowie i czlonkinie naszej gildii mieli wlasne szaty na spotkania i dni swiateczne. Teraz... - wzruszyła ramionami - pozostalam tylko ja. Po co mialabym sama jedna nosic stroj cechowy? Wkladalam te suknie, kiedy bylam uczennica, a ty dobrze bedziesz sie w nich prezentowac na zamku, tak by nikt nie szydzil z twojego wygladu.

-To dla mnie? - Willadene wyciagnela reke, ale nie dotknela palcem sukni, ktora Halwice nadal trzymala.

-Dla ciebie, zebys noszac ja, byla z siebie dumna. To - przysunela blizej stanik, zeby dziewczyna mogla zobaczyc wieniec z fiolkow - posluzy ci jako herb rodu i nikt nie bedzie mogl powiedziec, ze jestes intruzem. A teraz zobaczmy, czy dobrze na tobie lezy.

Halwice nie tylko kazala Willadene przymierzyc caly ten bogaty stroj, lecz takze wziela igle z nitka i dokonala drobnych poprawek w roznych miejscach, az w koncu suknie wygladaly jak przyniesione prosto od krawcowej. Prace przerwaly im wolania ze sklepu. Willadene slyszala zza kotary, jak zielarka zrecznie wyjasnia kilku klientom, iz zniszczenia w sklepie to dzieło pijakow. Wszyscy zgodzili sie, ze trzeba cos zrobic, by nie dopuscic do podobnych wybrykow. W podtekscie tych rozmow wyczuwalo sie jednak przekonanie, ze ksiaze nie ma dosc sil, zeby wymusic przestrzezenie prawa nawet w Kronengredzie.

Halwice polecila Willadene podlozyc ostatni brzeg sukni. Na szczescie szorstka skora na rekach dziewczyny po conocnym smarowaniu kremem dostatecznie zmiekla, by nie postrzepic delikatnej tkaniny. Potem zielarka przyniosla ze stojacej dosc daleko szafy sakwe podobna do tej, ktora zabierala, gdy wzywano ja do chorego, ale wieksza.

Otworzyla ja, ukazujac wiele kieszonek w srodku, a w kazdej umiescila jakis sloiczek, pakiecik z natluszczonej skory lub buteleczka o grubych sciankach. Mowila w czasie tej pracy i Willadene sluchala jej uwaznie, gdyz wszystko to bylo przeznaczone dla pani Mahart i powinno sie jej spodobac.

Za pierwszym niemal ukryty byl drugi rzad kieszonek i Halwice wlozyla w nie lekarstwa na drobne dolegliwosci - bole glowy, bezsenosc, malarie i tym podobne. Na zapasowe ubranie czekala osobna przegroda.

Willadene juz dobrze znala i sama sprzedawala takie leki. Halwice wlasnie siegala po pakiet suszonych lisci, kiedy omal nie zrzucila ze stolu jakiejś ksiegi. Przyjrzała się jej uwaznie, a potem rzucila ostre spojrzenie na dziewczynę.

-Szukalas...? - Nie bylo to oskarzenie, ale raczej pytanie.

-Tak, pani. To opowiesc o Wladcy Serc. Tyle sie o nim mowi, ze chcialam dowiedziec sie czegos wiecej.

-Jakież piękne snujemy marzenia, gdy jesteśmy młodzi, moje dziecko - uśmiechnęła się Halwice. - Myślę, iż każda zielarka, odkąd opowiedziano te historie, żywi w sercu słabą nadzieję, że może, z pomocą Gwiazdy, to właśnie ona znowu odnajdzie ten skarb. Weź to ze sobą... Niewykluczone, iż znajdziesz w tej księdze coś, co zainteresuje Jej Wysokość Mahart. Mówi się, że ona lubi księgi i że spędziła wiele godzin na lekturze.

Ku uldze Willadene, która obawiała się, że dostanie bęty za wścibstwo, położyła te starożytną księgę na dnie sakwy.

Tym razem Willadene weszła do zamku otwarcie, nie kryjąc się w nocnym mroku. Jeden ze starszych paziów w pełnym umundurowaniu przyszedł, by ją eskortować, ale nie oddał jej swojej sakwy do niesienia, bo wiedziała, że Halwice tak by nie postąpiła. Krocząc w nowym stroju cechowym, bo za taki uważała suknię darowaną przez zielarkę, uniosła z godnością głowę, a jej oczy błyszczały dumą. Zaufanie, jakie pokładała w niej Halwice, nie było tak namacalne jak zielona suknię, ale ta ostatnia dodała dziewczynie wiary w siebie i czyniła ją lepiej przygotowaną do tego, co musi zrobić.

Kiedy jednak Willadene wspięła się na górę zamkową i weszła przez boczne wejście, które otworzył przed nią eskortujący ją paź, obudziły się w niej wspomnienia i ostrożnie rozejrzała się wokół, szukając wzrokiem wieży z ponurych opowieści. Wyglądało na to, że idą w tym właśnie kierunku, więc dziewczyna mocniej ścisnęła w ręku sakwę.

Tak się zapatrzyła w to, co się przed nią znajdowało, że nie widziała mijających ją osób, nie zauważyła też ich spojrzeń i nie usłyszała szeptów.

Nie szli do Czarnej Wieży; skierowano ją do innej, połączonej murem z tym złowrogim miejscem, ale zbudowanej z mniejszych kamieni. Szeroko otwarte okna wpuszczały do środka słońce i powietrze, a gołębie siadały i wlatywały z dachu. Ta wieża była pełna życia, podczas gdy jej sąsiadka przypominała palec ponuro wskazujący w górę.

Willadene wprowadzono do położonego niżej pomieszczenia, w którym krzątała się służba a potem schodami do znacznie bardziej bogato wyposażonej i spokojniejszej komnaty. Rozlewał się w niej zapach oczyszczającego powietrza mieszanki, takiej jak te, które sama przygotowywała, i słychać było dość nieumiejętną grę na harfie.

Oslepiające promienie słońca wpadały tu przez szeroko otwarte okna i oświetlały jedną ścianę komnaty. Przestrzeń między oknami zawieszono wstęgami o jaskrawych barwach, tu i tam związanymi w kształcie kwiatów.

Grając na harfie dziewczyna pomyliła się, gdy Willadene weszła, a trzy inne obecne w komnacie panny skupiły całą uwagę na nowoprzybyłej.

Willadene zgięła się w głębokim ukłonie, którego nauczyła ją Halwice, obawiając się, że straci równowagę, gdyż ciężka sakwa ciążyła jej nieco z jednej strony. Zielarka nauczyła ją, że powinna czekać, aż Jej Wysokość Mahart odezwie się pierwsza.

-Jestes uczennica zielarki Halwice? - zapytala panna siedzaca blisko kregu slonecznego swiatla, ktore zdawalo sie obsypywac zlotymi iskierkami jej wlosy, choc byly ciasno zaplecione w warkocze i zwiniete nad uszami. Polyskiwaly w nich ozdobione drogimi klejnotami glowki szpil przytrzymujacych te fryzure.

-Tak, Wasza Wysokosc. - Na szczescie odpowiedziala bez paniki w glosie. - Jestem Willadene, na uslugi Waszej Wysokosci.

Jej Wysokosc Mahart na pewno nie byla tak olsniewajaco piekna jak inna panna siedzaca na stolku blisko niej, przewyzszala jednak uroda dwie pozostale. Jedna z nich, wysoka jak tyczka, miala skwaszona mine, druga zas doslownie wylewala sie z ciasnej sukni, a zle nalozony puder nie przyslaniat pryszcz na jej podbrodku.

-Mozesz usiasc. - Jej Wysokosc skinieniem reki przywolala Willadene do swego krzesla i wskazala na lezaca w poblizu na podlodze gruba poduszke.

Willadene mimo zmieszania ponownie zlozyla gleboki uklon i usiadla, najwytworniej jak umiala, na wskazanym miejscu.

-Wyroby twojej pani od dawna sprawialy mi wiele radosci - mowila dalej Jej Wysokosc. - Pani Famino i pani Geuverir - zwracala sie teraz do dwoch pozostalych dam, z ktorych jedna, ta otyla, odlozyla na bok harfe - obiecalysmy klasztorowi Gwiazdy nowy obrus na oltarz przed przybyciem ksiecia Loriena. Na pewno uda sie tam, by podziekowac za zwyciestwo. Poniewaz wasza zrecznosc we wladaniu igla rzeczywiscie godna jest pochwal, zechciejcie sie tym zajac.

Gestem wskazala na druga strone komnaty, gdzie znajdowal sie naciagniety i przymocowany do specjalnej ramy kwadratowy plat pieknej srebrzystej tkaniny. Obie damy zgiely sie w przesadnym uklonie, co pozwolilo Willadene przypuszczac, ze niezbyt lubia swoja pania i odwrotnie. Tymczasem Mahart juz polecila skinieniem reki swojej trzeciej towarzyszce, by przysunela blizej stolek, na ktorym siedziala.

-A teraz... - Ksiezniczka byla naprawde podekscytowana, jak dziecko przed stosem zabawek, z ktorych musi wybrac jedna. - Co nowego zrobila Halwice dzieki swemu bajecznemu kunsztowi?

Willadene podniosla klape sakwy. Czula sie teraz bardziej swobodnie, gdyz znala wyroby, ktore przyniosla, i wiedziala, do czego sluza.

Z pierwszej kieszonki wyjela okragly dzwonek z matowego, opalizujacego szkla, tak maly, ze bez trudu zmiescil sie w jej dloni. Przekrecila go szybko i rozpadl sie na dwie czesci. Z jednej strony znajdowala sie jasnorozowa pasta, z drugiej zas biały jak lilia krem.

-W naszych stronach jeszcze nie nadeszla pora kwitnienia kwiatow, Wasza Wysokosc. Ale znajomi kupcy sprowadzaja dla mojej pani surowce z innych krajow. Ten... - podsunela

niedaleko bliżej różowa polowka - pochodzi z dalekiego południa, to suszone płatki tak pachną. Używa się go wtedy, gdy słońce świeci tak mocno, że mogłoby poparzyć skórę. Tym drugim kremem można smarować się na noc, żeby twarz i ręce były gładkie i bez wyprysków...

W ten sposób przedstawiła rezultaty pracy Halwice, która mieszała i robiła maseczki i napary z różnych składników. Wyjaśniała przy każdym, do czego służy i jak go należy używać. Wreszcie wyjęła z sakwy ostatnią buteleczkę w kształcie małego, otwartego wachlarza. Był to jeden ze skarbów ocalałych podczas brutalnego ataku w sklepie.

-To - podniosła buteleczkę do góry - działa tak... - Kiedy nacisnęła małe wieczko z perłą w środku, trysnęła spod niego mgiełka rozpylonej cieczy.

W przeciwieństwie do kosmetyków o silniejszych zapachach z innych słoiczek i buteleczek, które dotychczas pokazała, te perfumy pachniały znacznie słabiej. Sama Willadene nie potrafiła zidentyfikować ich składników, choć mogła odróżnić jeden od drugiego.

Jej Wysokość Mahart odetchnęła głęboko.

-To! Coż to może być? Kwiaty... - przymknęła oczy - i pola... wiejący wiatr... - Wydawało się, że poza swymi towarzyszkami, poza ścianami komnaty widzi jakieś tylko sobie znane miejsce.

-To aksamitne pnacze, Wasza Wysokość. Pochodzi z morza i Halwice mówi, że są to resztki z dostawy, którą przysłano jej półtora roku temu. To pnacze kwitnie, ale tylko raz na trzy lata, i kwiaty należy zbierać o świcie, zanim nocna rosa wyschnie na płatkach. Wasza Wysokość, do wycisnienia kilku kropli potrzeba pełnego wozu samych kwiatów.

Mahart żywo wzięła od niej buteleczkę. Choć zachwycała się wszystkim, co pokazała jej Willadene, najbardziej podekscytowały ją te perfumy. A przecież dama dworu, która wraz z nią okazała zainteresowanie poprzednimi wyrobami, oglądając je uważnie, gdy Mahart podawała je po kolei, spojrzała z lekkim zdziwieniem na to, co teraz trzymała jej pani.

-Ten zapach jest bardzo słaby. Inne wonie w komnacie szybko by go przytłumiły, Wasza Wysokość - skomentowała ze swobodą osoby, która księżniczka darzyła co najmniej sympatią, jeśli nie przyjaźnią.

-Tak sądzisz? - Mahart wyglądała na bardzo zaskoczona. - Ale... - Trzymała buteleczkę w dłoni w taki sposób, jakby ciepło jej ciała mogło wydobyć jeszcze więcej zapachu, który tak jej się podobał. - Ale ja uważam... - Potrząsnęła głową z determinacją. - Nie mogę się z tobą zgodzić, Zuto. Zielarko - nie, ty nazywasz się Willadene, prawda? Czy możesz mi powiedzieć coś więcej o tych perfumach?

-Nic ponad to, co powiedziała mi moja pani: że kwiaty aksamitnego pnacza dobrze się łączą

z innymi składnikami i pachnidłami. Tylko tyle pozostało w jej sklepie...

Mahart spojrzała na buteleczkę niemal marzycielsko. Ale Zuta podsunęła nieco bliżej swój zydęł.

-Istnieją inne perfumy, jeszcze rzadsze od tych. - W jej głosie zabrzmiało zniecierpliwienie. - Co słyszałaś o Władcy Serc?

W komnacie zapadło dziwne milczenie, jakby Zuta podniosła głos tak, że zwróciła również uwagę dworaków wyszywających obrus.

-Władcy Serc? - Mahart wybuchnęła śmiechem. - To przecież tylko legenda... - Potem nagle rzuciła Willadene ostre spojrzenie. - Tak, to na pewno legenda - powtórzyła, a ton jej głosu wskazywał, że w pełni zgadza się z tym twierdzeniem.

Dziewczyna zawahała się.

-Wasza Wysokość, to, co wiem o zawodzie, który moja pani opanowała tak dobrze, jest owocem nieustannej nauki. I zawsze jedno z niej wynika - że w każdej wielokrotnie powtarzanej opowieści kryje się zdziwienie prawdy. Ale...

Dotknęła stopą sakwy, z której wyjęła wyroby Halwice, i przypomniała sobie księgę zabraną na zamek. Nie widziała jednak powodu, żeby podzielić się z Jej Wysokością zawartą w niej opowieścią.

-...ale każdy, kto wykonuje ten zawód, bardzo pragnie znaleźć nowy skarb, przetworzyć go i przedstawić całemu światu. Legende o Władcy Serc mogło zrodzić takie właśnie pragnienie.

Pani Zuta poruszyła się lekko.

-Podobno ten kwiat znajdował się na wielkim ołtarzu w klasztorze w Ibarkuanie, kiedy barbarzyńcy z północy wtargnęli tam dawno temu. Dla nich Władca Serc nic nie znaczył i mogli po prostu go rozdeptać.

-Istnieje wiele wariantów tej opowieści - zgodziła się z nią Willadene. - Dlatego teraz dla nas Władca Serc jest czymś nieosiągalnym i zawsze będzie go szukać ci, którzy pragną posiąść głębszą wiedzę.

Ksiezniczka podniosła na wysokość podbrodka ręce z buteleczką w kształcie wachlarza. Wygląda teraz tak, pomyślała Willadene, jakby marzyła. Ale kiedy Mahart przemówiła, widac było, że dobrze wie, o czym rozmawiały jej dworka i uczennica zielarki.

-Czy ktoś zawiadnałby czyjś sercem z pomocą czegoś tak ulotnego jak zapach? - Wydawało się, że myśli głośno. - Ale... - spojrzała na Willadene, jakby na moment

zapomniała o jej obecności - ...to, co przysłała nam zielarka Halwice, to prawdziwy skarb, większy od pozostałych. - Nadal trzymając w dłoniach buteleczkę, powiedziała do swojej damy dworu: - Zuto, bądź tak dobra i wezwij Julte, gdyż chciałabym, żeby zabrała wszystkie te skarby do mojej ubieralni, a ty - uśmiechnęła się do Willadene - w odpowiednim czasie wyjaśnisz nam, jak należy ich używać.

Willadene pośpiesznie włożyła szkatułki, buteleczki i słoiczki na swoje miejsce w sakwie. A więc wykonała większą część zleconego jej zadania. Rzeczywiście, należy teraz, przynajmniej na jakiś czas, do dworu Jej Wysokości, tak jak pragnęła tego Halwice.

Kiedy wyciągnęła reke po wachlarzową buteleczkę, Mahart pokreśliła przecząco głową.

-Nie, tej jeszcze nie. Chce zatrzymać ją przy sobie. - Ostrożnie przyłożyła czubek palca do perłowego guziczka na korku i odetchnęła głęboko, gdy mgielka, która wytrysnęła z buteleczki, pokryła wilgocią suknie wokół jej szyi. - Powiedz mi - ciągnęła - jak zbieracie zioła, Willadene? Czy poza murami Kronengredu rośnie wiele kwiatów i roślin, które są wam potrzebne?

-Nie umiem na to odpowiedzieć, Wasza Wysokość. Jeszcze nie nadeszła pora kwitnienia kwiatów, a ja jestem z moją panią dopiero od niedawna. Nie wiem, jak je zbiera w szczytowym okresie kwitnienia. Za sklepem jest ogród zielny, ale rosną tam tylko rośliny lecznicze i przyprawy. A kiedy widziałam panią Halwice wytwarzającą perfumy - wskazała na ostatnie, które pakowała do sakwy - zawsze używała do tego własnych surowców. Jedne są suszone, odrywane od łodyg i mielone dopiero wtedy, gdy są potrzebne. Drugie przechowuje się w olejkach, jeszcze inne docierają w postaci pakietów proszku. Ale jak wyglądają na polach, kiedy rosną, widziałam tylko na obrazkach w księgach mojej pani. Nigdy nie byłam za murami Kronengredu.

-Ze mną jest tak samo - odrzekła Mahart. - Powiedz mi, czy zawsze byłaś uczennicą pani Halwice? Wiem, że często wiedza o ziołach przekazywana jest w rodzinie z pokolenia na pokolenie. Czy w twoim przypadku też tak się rzeczy mają?

Wydawało się, że naprawdę ciekawi ją przeszłość Willadene. Może będzie lepiej dla wszystkich zainteresowanych, jeżeli od razu przekaze szczegóły, jakie w razie potrzeby można łatwo sprawdzić, pomyślała dziewczyna.

-Nie, nie jestem krewną pani Halwice, chociaż znalazła ona moją matkę, która była położna w czwartej dzielnicy. Nawet kiedy byłam jeszcze małą, słyszałam o jej napojach leczniczych i o uzdrawiających mocach. Ale to było przed atakiem zarazy...

-Tak, zarazy - skinęła głową Mahart. - Ta straszna choroba zmieniła życie wielu ludzi na gorsze. Czy z tobą też tak było?

Willadene wygładziła materiał najpiękniejszej sukni, jaką kiedykolwiek nosiła, i pomyślała, jak niedawno chodziła odziana w lachmany.

-Stalam sie jedna z bezdomnych sierot. Moim ojcem byl Hakroine, zastepca dowodcy Pierwszego Oddzialu Zwiadu Strazy Granicznej. Przebywal poza miastem. Moja matka pielegnowala chorych, az sama zmarla na zaraze. Wtedy powiedziano mi, ze rozbojnicy zabili mojego ojca i ze nie mam zadnych krewnych. Dlatego przyprawdzono mnie do sedziego grodzkiego, by wyznaczyl mi opiekuna. - Urwala, bo chciala wymigac sie od dalszej relacji na ten temat.

-A on wyznaczyl ci pania Halwice? Willadene pokrecila glowa.

-Było nas zbyt wiele i sędzia miał za dużo roboty. Oddawał dzieci temu, kto pierwszy zechciał wziąć je na służbę. Ja zostałam pomywaczką u mojej dalekiej kuzynki Jacoby z Karczmy Wędrowców.

Zamilkła. Jak księżniczka mogłaby zrozumieć takiego człowieka jak Jacoba lub wyobrazić sobie ohydny nurek, jaka jest jej karczma?

Opuszcza wzrok na swoją rękę i na sakwę, którą właśnie zapakowała. Co ona tu robi? Czy dawna pomywaczka Jacoby może rozmawiać z Jej Wysokością Mahart tak, jakby były sąsiadkami? Nabrała jednak odwagi na widok torby z kosmetykami i lekami. Tak było kiedyś, ale teraz jej sytuacja jest zupełnie inna. Halwice wzięła ją na uczennicę i ufa jej na tyle, że wysłała ją na dwór ze skomplikowaną misją.

-Ale cieszysz się łaskami Halwice i jesteś teraz jej prawą ręką - mówiła dalej Mahart. - Twoja sytuacja polepszyła się. Tak samo jak moja - dokończyła ciszej.

-Wasza Wysokość... - Pani Zuta stanęła za krzesłem księżniczki. - Julta czeka, by zaprowadzić te dziewczyny do jej izby i wprowadzić w obowiązki - powiedziała chłodno. Willadene zauważyła chmurną twarz dworki. Na pewno nie spodobała się jej swobodna rozmowa uczennicy zielarki z księżniczką. Ale przecież Willadene tylko odpowiedziała na pytania Mahart.

Wstała z poduszki i znowu złożyła ukłon. Zuta może się chmurzyć i okazywać niechęć, za to księżniczka się śmiecha i kiedy to robi, wydaje się znacznie atrakcyjniejsza niż stojąca za nią ciemnowłosa piękność.

-Nadal będziesz mi opowiadać o zielarstwie - oświadczyła Mahart. - Nie mogę zadać, by robiła to twoja pani, zwłaszcza kiedy kanclerz potrzebuje jej cennych umiejętności. Potrafisz mi jednak wyjaśnić pewne sprawy, co z pewnością stanie się czymś w rodzaju nauki.

Willadene dowiedziała się, że ma zamieszkać z Jultą. Postawiła swoją sakwę z ubraniami obok drugiego wąskiego łóżka w prawie pozbawionej mebli izbie, choć w oknie były zasłony i ręcznie tkany chodnik leżał na podłodze między posłaniami. Nad jednym z łóżek zawieszono polkę, a na niej urządzono zaimprovizowaną kapliczkę z małym, błyszczącym symbolem Gwiazdy; kapłanki sprzedawały te symbole, żeby zebrać pieniądze na jałmużnę.

Julta wskazała Willadene miskę i dzbanek na małym stojącym z boku stoliku i drogo do wygodki na zewnątrz. A potem - Willadene nadal niosła torbę z kosmetykami - zeszły do położonej tuż pod ich izbą komnaty, która była sypialnią Mahart.

Panował w niej bałagan. Choć zakryto płachtami łóżko księżniczki, by chronić drogie kotary, i postąpiono tak z większością mebli, powietrze przesycił zatechły zapach i wisiał w nim kurz. Rozlegały się też takie dźwięki, jakich Willadene nigdy by nie oczekiwała w apartamentach Jej Wysokości Mahart.

Dwaj mężczyźni pracowali przy przeciwległej ścianie, z której zdjęto gobeliny, i pokrywali grubą warstwą tynku pociemniała ze starości boazerie; kurz drapał w nosie tak, że dziewczyna kichnęła.

-Twoja pani już nigdy nie przeziebi się od tych przeciągów. - Starszy murarz rozsmarował kielnią następną grudę tynku. - Utrzymanie tego starego zamczyska wymaga dużo pracy. Uwważ, co robisz, niezdaro, ta młoda dziewczka nie chce sobie poplamic sukienki, prawda, panienko?

Willadene ostrożnie uchyliła się, gdy pomocnik murarza zamachnął się zbyt szeroko. Przybycie dwóch kobiet rozproszyło jego uwagę i zaczerwienił się jak burak, kiedy Willadene spojrzała w jego stronę, po czym szybko sięgnął do wiadra po następną porcję tynku.

-Aleście tu nabrudzili, Jonasie! - prychnęła Julta. - Bedziemy musiały sprzątać przez siedem dni. Pani - teraz zwróciła się bezpośrednio do Willadene - na razie włoż tylko swoją torbę do tej szafy. Żaden murarz-niezdara nie przewróci jej, kiedy tam ją schowasz.

Willadene wykonała polecenie. Na pewno w tym zamieszaniu nie ma mowy o rozpakowaniu jej towarów. A potem, gdy włożyła już sakwę do wskazanej przez Julte ciemnej szafy, wyprostowała się powoli.

Zło! Początkowo myślała, że ten smród wypływa z szafy. Ale nie, jego źródło znajdowało się gdzieś poza nią. Odwróciła się, by zamknąć drzwi szafy, i przy okazji szybko powiodła wzrokiem po komnacie.

Komnata - nie, ohydny odor docierał... Spojrzała pytająco na Julte, jakby czekała na dalsze rozkazy. Ale dobrze wiedziała, skąd się bierze ten fetor. Podobnie jak zło Ignelo do Figisa z Karczmy Wedrowców, tak samo kryło się pod potem i zapachem pomocnika murarza. A przecież nie miał on w sobie nic, co by przypominało chytrość i przewrotność, jaka zawsze okazywał Figis.

13

Ten odor zła nie był tak mocny i mdlący jak smród, który zaatakował jej zmysły, gdy przebywała w Czarnej Wieży. Willadene nie mogła też uwierzyć, że murarz Jonas ma coś wspólnego z nieznaną niewiastą, która zesłała na nich zło w postaci świecącego weza. Jego ręka nie była podobna do kobiecej, nie przypominał też z wyglądu osoby, która częściowo widziała przez otwór w dole drzwi. Jednak nie może się mylić.-Poloż tynk gładko, chłopcze... - Starszy robotnik cofnął się lekko w bok, gdy zauważył, że Julta i Willadene nadal obserwują ich pracę.

Zdając sobie sprawę, że zbyt szybki lub podświadomy ruch mógłby ją zdradzić, Willadene udawała zainteresowanie.

-Czy wszystkie sciany zostana tak otynkowane? - zapytala. - Jeszcze daleko do Wielkiego Zimna, macie wiec dosc czasu...

Meczyczna rozesmial sie szeroko, ukazujac poczerniale pienki zebow.

-Wszystkie sciany, panienko? Do tego potrzebna by byla cala armia murarzy. Nie, latamy to tu, to tam, tak jak zawsze sami robilismy i nasi ojcowie przed nami. Na jakis czas to wystarcza.

Udalo sie jej zrobic dwa kroki w strone kubla z tynkiem. Gotowa byla przysiac, ze bijace z niego zapachy, choc nieprzyjemne, nie mialy nic wspolnego z tym, czego szukala. Nie, slaby odor zla naplywal od mlodego mezczyzny. Ale co moze zrobic? Zdemaskowac go tu i teraz? Jakie ma dowody? Nic to jej nie da, wrecz przeciwnie, zdradzi tajemnice, ktorych przysiegla dochowac.

Zanim zdolala powziac jakas decyzje, sytuacja wymknela sie jej spod kontroli, gdy mistrz murarski wyslal swego pomocnika po wiecej wapna. Kiedy Jonas ja mijal, nie spojrzal w jej strone, ale przeszedl ociezale, pozornie wpatrujac sie tylko w pusty kubel, który trzymal w wielkich rekach.

-Tfu! - Julta wyplula gesta sline przesycona wszechobecnym bialym pylem. - Zostan tu dluzej, dziewczyno, a ten pyl tak cie upudruje, ze twoja wlasna pani cie nie pozna.

Dlatego Willadene wyszla w slad za pokoj owa ksiezniczki z zabalaganionej komnaty. Halwice powiedziala jej, jak w razie potrzeby moze sie z nia skomunikowac. Kiedy zadzwoni miejski dzwon, wykorzysta te mozliwosc, jesli znajdzie chocby cien dowodu.

Julta nie wygladala na zaskoczona, gdy Willadene zapytala, jak dojsc do komnat wielmoznego pana kanclerza, ktorego miala pielegnowac Halwice. Poniewaz Jej Wysokosc Mahart odprawila ja, Willadene mogla wedrowac swobodnie po wiezy i udac sie do komnaty, ktora zamierzala odszukac.

Wysluchala uwaznie wyczerpujacych objasnien co do drogi do apartamentow Vazula. Miala nadzieje, ze dobrze zapamietala slowa Julty.

-Zbliza sie poludnie - zakonczyla pokojowa. - Jezeli chcesz cos zjesc, zrob to teraz. Potem mozesz poszukac swojej pani, gdyz Jej Wysokosc wyraznie nie kazala ci wracac.

Willadene nie mogla skonczyc kaszy tego ranka, gdyz denerwowala sie zadaniem, ktore na nia czekalo. Pusty zoladek zachecal, by posluchala Julty, zeszla wiec za nia dwa pietra nizej po schodach, przemierzyla korytarz i dotarla do pomieszczenia, w ktorym panowal glosny gwar i zamieszanie.

Dziewczyna wywnioskowala, ze cala zamkowa sluzba nie jada razem. Wyzsi ranga sludzy, ktorzy mieli bezposrednio do czynienia z ksieciem lub z ktoras z wielmoznym pan z jego

rodu, posilali sie przy wlasnym rozkladanym stole ustawionym w jednym koncu pomieszczenia. Wlasnie tam Julta ruchem reki skierowala Willadene, przedstawiajac ja niedbale jednemu z lokajow i heroldowi, ktorzy przesuneli sie na dlugiej lawie tak, zeby nowo przybyle mogly tam usiasc. Gwar jest tak glosny, ze chyba mozna porozumiewac sie tylko krzykiem, pomyslala Willadene, przyzwyczajona do cichej zielarni. Dorownywal zgielkowi, od jakiego bolaly uszy wszystkich tych, ktorzy obslugiwali podroznych w karczmie Jacoby, gdy przybyla akurat na posilek jakas wielka karawana kupiecka.

Z kilku zaslyszanych slow, ktore zdolala rozroznic, Willadene zorientowala sie, ze temat rozmow byl jeden - przybycie ksiecia Loriena i jego gwardzistow. Wszyscy siedzacy przy tym samym stole sludzy na pewno glosno zgadzali sie co do wplywu takiej wizyty na Kronengred.

Brzegiem lyzki przebila skorke placka z miesem i z zadowoleniem wciagnela zapach w nozdrza. To nie nieswieze mieso czy wczorajsze warzywa. Jedzenie okazalo sie dobre, a porcje duze, choc gdy pociagnela lyczek piwa z kufila, zdala sobie sprawe, ze jest dla niej za mocne i zbyt gorzkie.

-Mowia, ze on wlasnorecznie powalil Czerwonego Wilka! - oswiadczył lokaj. - Slyszalem, jak sierzant Henicus powiedzial, ze ksiaze Lorien jest podobny do swego dziadka, starego krola Wansala - nie kreca sie na dworze i nie stroi dla dam dworu!

Ksiazecy herold chrzaknal, a potem przelknel sline, zeby mowic wyrazniej:

-Podobno na krolewskim dworze sa tacy, ktorym nie podoba sie zolnierka. Ksiazce Ranald, nastepca tronu, rusza w pole tylko na wiosenne manewry...

-A i one - wtracil lokaj - przewaznie sa tylko gra, jak twierdzil jeden taki, ktory wlasnie wrocil z ostatnia karawana. Nie ma rozbojnikow, na ktorych mogliby polowac.

-Obysmy my mogli powiedziec to samo. Za czasow ksiecia Wubrica bylo zupełnie inaczej.

-Tak - przerwal mu inny glos z drugiej strony stolu. Willadene zerknela predko, aby zidentyfikowac mowiacego, i skromnie spuscila oczy, wytezajac jednoczesnie sluch we wszechobecnym gwarze.

-Tak - powtorzyl ten sam mezczyzna. - Nasz zmarly ksiazce dzielnie walczyl mieczem i wlochnia za swoich czasow. Czy jacys rozbojnicy maja teraz odwage wabic statki kupieckie na skaly wzdluz Wybrzeza Poludniowego?

Byl mlodszy od lokaja i herolda, smukly i ciemnowlosy, i poruszal sie dziwnie powoli, jak przekonala sie Willadene, obrzucajac go szybko zaciekawionymi spojrzzeniami. Pozniej popatrzył na nia i omal nie zakrztusila sie kawalkiem slodkiego ciasta, w ktory wlasnie wbila zeby.

Chociaz mial na sobie stonowany, rdzawobrazowy stroj skryby, a nawet plame atramentu na rece, w ktorej trzymal lyzke, to byl - ale jak to mozliwe? - Nicolas!

Halwice na pewno doskonale zna sie na leczeniu, lecz przywrocenie ciezko rannemu pacjentowi pozornie zdrowego wygladu to wiecej, niz Willadene mogla zaakceptowac. Zauwazyla jednak, ze Nicolas trzyma sztywno gorna polowe ciala i ze je powoli, jakby podniesienie pelnej lyzki lub kawalka chleba do ust wymagalo wysilku.

Udawal, ze jej nie poznaje, i uznala to za ostrzezenie. Jednakze siedzacy naprzeciwko niego dwaj sludzy zle przyjeli jego komentarz o zmarlym wladcy.

-Wyrazasz sie zbyt otwarcie jak na urzednika pana Vazula - skomentowal herold i Willadene zauwazyla, ze obserwuje on czujnie Nicolasa.

-A to rzeczywiscie interesujaca uwaga. - Nicolas poruszył sie lekko na lawie, jakby chcial usiasc wygodniej, ale nie mogl. - Na pewno tamci rozbojnicy nie przynosili korzysci Kronenowi, podobnie jak Czerwony Wilk, od ktorego tak przezornie uwolnil nas ksiaze Lorien.

-Wycofano polowe oddzialow strazy przybrzeznej. Co one teraz robia? Patroluja ulice w poblizu portu szukajac - czego? - szczurow ze statkow butwiejacych na kotwicach? Z poludnia przysly meldunki, ze znow widziano tam zapalone przez piratow ogniska - powiedzial kwasno herold.

-Och, ale mozliwe, ze nasz ksiaze juz ma gotowa odpowiedz na to pytanie - Nicolas usmiechnal sie szeroko. - Po rozbiciu bandy rozbojnikow moze ksiaze Lorien zechce zmienic pole walki i przeciwnikow.

Lokaj spochmurnial, a herold poczerwienial.

-Dobrowolnie pozbawilismy sie ochrony, a teraz stalismy sie zalezni od pomocy cudzoziemcow. I dlaczego? Jakie niebezpieczenstwo kryje sie w Kronengredzie? Czego ksiaze obawia sie tak bardzo, ze sciagnal wszystkie sily do stolicy? W miescie mowi sie, ze... Pan Vazul powinien o tym wiedziec, przeciez pochodzi z rodu kupieckiego. Zyjemy z handlu, a nasz ksiaze...

Zawahal sie, zas Nicolas, nadal z usmiechem, lecz w sposob, ktory nie spodobal sie Willadene, spytal:

-A nasz ksiaze robi wszystko, co moze dla Kronengredu, tak jak przysial podczas koronacji. Mowicie o szczurach na statkach, przyjaciele. Mozna je znalezc rowniez gdzie indziej. Kto wie, jakie wabiace statki na skaly ogniska zapalono i gdzie?

Teraz wyraznie podpuszczal herolda i Willadene nie wiedziala dlaczego. Na pewno jest czlowiekiem Vazula, a tym samym księcia, ale jego komentarze mozna by uznac za ukryta

krytyke ich obu. Czy probuje uzyskac nielojalne odpowiedzi?

Wlasnie wstawal w sposob wskazujacy, ze zamierza w dogodnej chwili opuscic to towarzystwo. Tylko Willadene dostrzegla oznaki swiadczace o tym, iz Nicolas calym wysilkiem woli kontroluje swoje cialo. Instynkt uzdrowicielki nakazywal jej podejsc do niego i upewnic sie, ze jego szalency postepok nie otworzyl rany. Pamietala jednak o swoim zadaniu i koniecznosci dochowania tajemnicy, pozostala wiec na miejscu, choc stracila apetyt. Odprowadzila Nicolasa spojrzaniem.

-To prowokator. - Herold przygladal mu sie, mruzac oczy. - Mowie wam, ze ostatnio za duzo gada sie po katach i probuje wciagnac uczciwych ludzi do spisku. Przynajmniej wiemy, ze ksiaze Lorien nie uczestniczy w tych grach.

Teraz on wstal, ale Willadene zauwazyla szyderczy usmieszek na otylej twarzy lokaja, kiedy ten patrzyl, jak odchodzi jego niedawny wspolbiesiadnik. Instynktownie odwolala sie do swojego talentu. Nie wiedziala, co naprawde kryje sie w slowach, ktore przed chwila uslyszala, domyslala sie jednak, ze maja podwojne znaczenie.

Lokaj zwrocil sie do Julty, jakby pokojowa ksiezniczki dopiero co sie dosiadla. Obral starannie jablko, pokroil na cztery czesci i dwornie podal jedna Julcie na koncu noza.

-Twoja pani przygotowuje sie na powitanie bohatera? - spytal zartobliwym tonem.

Julta udala, ze nie zauwazyla poczestunku; wstala nagle i Willadene z zadowoleniem zrobila to samo.

-Tak jak twoja - dworka rozesmiala sie niewesolo i odeszla. Kiedy Willadene dolaczyla do niej, Julta powiedziala niechetnie, jakby nie chciala sie dzielic ta wiadomoscia, ale uznala, ze powinna: - To sluga Jej Wysokosci Saylany - niedawno przybyl do niej z domu pana Brutaina. - Usmiechnela sie krzywo. - Ta jasnie wielmozna pani lubi krzepkich mezczyzn noszacych jej liberie.

Jezeli Julta sadzila, ze pozbyla sie lokaja, bardzo sie pomylila. Odlozyl noz i jablko i dogonil ja. Szedl tak blisko, ze Willadene, idaca z drugiej strony swojej przewodniczki, slyszala kazde slowo, ktore wypowiedzial.

-Jestesmy drażliwi, moja droga? Sa tu tacy, ktorzy rzadzili, zanim twoja pani przyszla na swiat. Lepiej uwazaj, jak sie zachowujesz...

-I ty tez, fagasie! - warknela Julta.

Lokaj nadal sie usmiechal od ucha do ucha.

-Masz kocie pazurki! - parsknal. - Bylabys calkiem urodziwa, gdybys sie tak nie chmurzyla. Sprobuj kiedys tego nie robic.

Julta zrobiła duży krok do przodu i pociągnęła Willadene za sobą.

-Powinnas pójść wtedy...

Ignorując służę Saylany, skinieniem głowy wskazała na inne drzwi niż te, przez które weszły.

Kiedy jednak Willadene zwróciła się w tę stronę, zadowolona, że wreszcie się uwolniła od irytującego lokaja, uswiadomiła sobie, iż nie ucieknie od niego tak łatwo. Ten natręt zostawił bowiem Julte i zbliżył się do niej.

-Slicznotka z ciebie, Julta powinna się od ciebie uczyć. Dokąd teraz chcesz pójść? Słyszelismy, że na jakiś czas zamieszkałaś u Jej Wysokości Mahart... To nie jest droga do jej komnat.

-Ona nie należy do dworu księżniczki - wtraciła szybko Julta. - Jej pani przebywa tutaj i musi się z nią zobaczyć.

-Tak. Nasz zjadliwy Vazul zachorował. Na pewno ugryzł go ten wezowaty stwor, z którym się nie rozstaje - wycedził lokaj. - To świetnie, panienko, ponieważ idziemy w tę samą stronę. Pojść z tobą, żebyś nie zabłądziła w labiryncie korytarzy tego starego zamczyska. Willadene nie wiedziała, jak odrzucić taką propozycję. Julta naprawdę szeptem i dziewczynie wydawało się, że pokojowa gniewa się zarówno na nią, jak i na natrętnego lokaja. Zanim jednak zdolała coś powiedzieć, Julta, szeleszcząc suknią, zamasztyłym ruchem odwróciła się i odeszła. Willadene bała się zwrócić na siebie uwagę, próbując za nią iść, zwłaszcza że poinformowano ją, iż komnaty Vazula znajdują się w przeciwnym kierunku.

-Wielmożny pan kanclerz, o którym można by powiedzieć, że wykuto go ze stali, nigdy dotąd nie chorował. - Lokaj chwycił dziewczynę za ramię i popychał ją do przodu. - A teraz zaniemógł tak bardzo, że sprowadził twoją panią, prawda?

-Nie wiem, jak się czuje - odpowiedziała i jakimś cudem uwolniła się z jego uścisku.

-Nikt nie będzie się martwił, jeśli poleży jakiś czas! - prychnął lokaj. - On mówi jak Jemu, a od tego jego wezowatego stworu ciarki człowieka przechodzą. Podobno przybyłaś, żeby zrobić prawdziwą piękność z Jej Wysokości Mahart - zmienił temat i dziewczyna wyczuła, że ma w tym jakiś cel. - Oczywiście, każdy mężczyzna stwierdzi, że Jej Wysokość Saylana na pewno przewyższa ją urodą...

Wydawało się, że w jakiś sposób próbuje przeniknąć jej myśli. A przecież nie wyczuła w nim smrodu zła.

-Nie widziałam twojej jasnej wielmożnej pani Saylany - odparła.

-Ale ona chciałaby cię zobaczyć.

Tym razem Willadene miała się na baczności i uchyliła się, gdy ponownie spróbował złapać ją za ramię. Czy chciał zawlec ją na spotkanie ze swoją groźną panią?

-Ja słucham rozkazów zielarki Halwice. - Starła się powiedzieć to w tak afektowany sposób, aby uwierzył, że ma do czynienia ze zwykłą służącą. - Jeżeli Jej Wysokość Saylana chce mnie widzieć - w co wątpię, ponieważ jestem tylko uczennicą i moja pani na pewno lepiej by potrafiła odpowiedzieć na jej pytania - to pani Halwice może mnie do niej posłać.

-Jesteś ciemna dziewczyna - odrzekł. - Mogłabyś zdobyć łaski kogoś znacznie potężniejszego. Lepiej pomyśl o tym, dziewczyno. Nikt nigdy do niczego nie doszedł, odwracając się plecami, gdy nadarza się sprzyjająca okoliczność. Jej Wysokość Saylana byłaby lepszą klientką dla waszych towarów i nawet twoja płaskogęba pani zgodziłaby się ze mną.

W jego głosie zabrzmiała złość, jakby ponosił porażkę tam, gdzie się jej wcale nie spodziewał. Na pewno ich spotkanie przy stole w jadalni musiało być przypadkowe. Ale czy ten nowy lokaj z dworu Jej Wysokości Saylany usłyszał jakieś wyolbrzymione plotki o tym, co Willadene ma do zaoferowania, i postanowił przypodobać się swojej pani, przyprawdzając ją do niej?

-Zawsze idę tam, dokąd mnie posłano - oświadczyła. - A teraz udaję się do mojej pani.

-Jeśli o mnie chodzi, to możesz pójść nawet na Szubienice Grubbera! - warknął i odwrócił się, ale powoli. Willadene domysliła się, iż lokaj ruszy za nią, by się upewnić, że istotnie idzie do komnat wielmożnego kanclerza. Teraz jednak musi zastosować się do wskazówek, których udzieliła jej Julta.

Niebawem przekonała się, że miała słuszną rację: siedział za nią, aż w końcu zniknął w innym korytarzu, chociaż nie była pewna, czy nadal nie idzie jej śladem.

Tutaj stali na straży inni lokaje i możliwe, że sługa Saylany nie chciał, by go zobaczyli. Willadene pocięła drzwi, a potem powiedziała do wysokiego mężczyzny w liberii, który tkwił przy trzecim wejściu:

-Moja pani jest zielarka Halwice. Chce mnie widzieć.

Lokaj zdawał się patrzeć ponad nią, ale zrobił krok w prawo, tak że znalazł się bezpośrednio przed drzwiami, i zapukał cicho trzy razy.

-Imię? - zapytał i szybko mu je powiedziała, gdy ujrzała, że drzwi się lekko uchyliły. Chwile później wpuszczono ją do środka.

Zamiast leżeć w lożu, kanclerz siedział na krześle niemal tak ozdobnym jak tron, z którego wydawano wyroki. Naprzeciw niego, na znacznie mniej pretensjonalnym siedzisku, ułożył się Nicolas, a z boku Halwice właśnie szukała czegoś w swojej sakwie z medykamentami.

Willadene uswiadomila sobie, ze Nicolas starasie trzymac prosto w obecności swego mentora i ze wszystko to podkopuje sily, jakie mu jeszcze pozostaly. Halwice szybko podeszla do mego z kubkiem w dloni. ? Nie zwracajac uwagi na Vazula, stanela nad Nicolasem i rozkazala:

-Wypij to do ostatniej kropli!

Sadzac po zapachu, nalala mu silnego leku wzmacniajacego. Willadene nie miala pojecia, dlaczego w takim stanie poszedl do jadalni dla sluzby. I wygladalo na to, ze nikt jej tego nie wyjasni, gdyz Halwice wlasnie na niej skupila teraz uwage i zapytala ja:

-Czego sie dowiedzialas? Czy Jej Wysokosc Mahart przyjela cie bez pytania?

-Tak, zaakceptowala mnie, pani, i bardzo jej sie spodobalo to, co przynioslam. A czego sie dowiedzialam... - Zrozumiala, ze ma mowic otwarcie w tym towarzystwie. - Zaprowadzono mnie do jej komnaty z tym, co przynioslam, ale tam byli robotnicy, ktorzy tynkowali sciane. Od jednego z nich bil smrod zla, niezbyt silny, ale ten murarz w jakis sposob zadawal sie z Ciemnoscia.

Nicolas odwrocil sie i zpatrzyl w nia, Vazul zas pochyлил sie do przodu w krzesle. Halwice nie okazala zaskoczenia, jakby spodziewala sie takiej wiadomosci. Okrecone wokol nadgarstka kanclerza czarne zwierzatko utkwilo w dziewczynie zolte oczka.

-Ach, taak... - syknal Vazul, jakby nasladowal swoja nieodlaczna towarzyszke. Po czym zwrocil sie do Halwice:

-Czy mozna w jakis sposob zbadac te sciane, by sie przekonac, ze manipulowano tym, co mialo chronic?

-Moze kaplanka Gwiazdy umialaby tego dokonac, ale wymagaloby to dlugiej ceremonii, ktorej nie daloby sie ukryc.

Kanclerz mial taka mine, jakby zul cos gorzkiego.

-Ach, taak... - znów syknal. - A tego nie mozemy zrobic, jeszcze nie. Jonas... - blyskawicznie skupil uwage na Nicolasie.

Przez chwile w komnacie panowalo milczenie, po czym mlodszy mezczyzna odpowiedzial tak, jakby czytal ze spisu mieszkancow zamku.

-Jonas to ten wysoki, o wlosach koloru masla, sprawiajacy wrazenie, ze jeszcze nie jest dobrze wyszkolony? - skierowal te pytania do Willadene.

-Tak, jest wysoki i jasnowlosy, i jego zwierzchnik zdawal sie nadzorowac jego prace, jakby to bylo konieczne - odparla natychmiast.

-Jonas, drugi syn Wilbara, z majątku pana Vantola, który był...

-...rozbojnikiem schwytanym dwa lata temu! Tak! - odrzekł niecierpliwie Vazul. - Jeśli dobrze pamiętam, majątek ten opustoszał, gdyż zarówno właściciel, jak i jego syn nie żyją, i nie ma dziedzica w prostej linii. Pozostałych wiesniaków i sługi wziął pod swoją opiekę pan Nemunt.

-Jonas przybył do Kronengredu w ubiegłym roku wraz z rekrutami - ciągnął Nicolas, jakby kanclerz mu nie przerwał. - Sedzia Laprin przydzielił go na ucznia kamieniarzowi Valorowi, gdy ten prosił o pomocnika. Ostatnio reperował balkon nad dziedzińcem, na który wychodzą komnaty Jej Wysokości Saylany.

-Na Gwiazde, chłopcze, czy ty znasz historię każdego człowieka mieszkającego pod tym dachem? - skomentował Vazul. Wydawało się, że podane przez Nicolasa gruntowne informacje rzeczywiście sprawiły mu przyjemność.

-Obserwacja nowo przybyłych to nic trudnego, kanclerzu - Nicolas wzruszył ramionami. - Jest jeszcze coś. - Teraz ponownie zwrócił głowę w stronę Willadene. - Przyszłaś z Julią do wspólnego stołu. Czy wydało ci się, że starannie wybrała miejsce, czy też zajęła pierwsze wolne?

-Powiedziałabym, że to ostatnie.

-Był tam lokaj noszący nową oznakę...

Dziewczyna kiwnęła głową.

-On służy Jej Wysokości Saylanie.

Znow na krótko zapadło milczenie, a potem Vazul zaczął wypytywać Willadene.

-Odnosił się przyjaźnie do Julii?

-Po odejściu pana Nicolasa... - Nie była całkiem pewna, jak ma się zwracać do bladego młodzieńca, który teraz jeszcze bardziej zagłębił się w swoim krześle. - ...usiłował być miły dla Julii. Ona zaś nie chciała mieć z nim nic wspólnego. A potem... - Szybko powtórzyła treść swojej rozmowy z lokajem Saylany do chwili, gdy wreszcie zdołała się go pozbyć.

-To Ringglen, również z Vantolu - powiedział Nicolas. - Ale czy nie wyczułaś w nim tego samego zła?

-Nie. Pani - przemówiła teraz do Halwice - czy można przenieść zło w jakimś przedmiocie albo czy musi ono być częścią osobistego zapachu człowieka?

-To dobra myśl, młoda panno. - Vazul nachylił się do przodu. - Chcesz powiedzieć, że ten

Jonas mogl przyniesc do komnat Jej Wysokosci Mahart cos ohydneho, co moglo sie okazac bardzo niebezpieczne?

Willadene myslala o szkatulce, ktora zamienila w sklepie, kiedy odparla:

-Wielmozny panie kanclerzu, juz raz podstawiono zamiast towaru mojej pani cos, czego sama nie wykonala, chociaz nie zwietrzyłam w nim zla. Ale zmiana w recepturze kazdego napoju moze wyrzadzic zlo, choc sama w sobie nie jest zlem. - Szybko opowiedziala o znalezieniu szkatulki z kadzidlem dla ksiezniczki.

Halwice odetchnela gleboko i niezwykle u niej rumieniec zabarwily jej blade policzki.

-Nigdy nie zmienilam tego przepisu, odkad Jej Wysokosc Mahart dala znac, ze pomaga jej zasnac. Zeby cos zmienic, ktos musial wejsc do sklepu... A przeciez wszystko w nim zostalo poblogoslawione w imieniu Gwiazdy - sciany, okna i drzwi - na polecenie samej ksieni, kiedy po raz pierwszy zostalam mistrzynia i czlonkinia gildii. Wielmozny panie kanclerzu, mozemy miec do czynienia z jakimis strasznym niebezpieczenstwem, grozniejszym niz przypuszczalismy!

Kanclerz gryzl wargi, a Nicolas znow wyprostowal sie w krzesle, az Halwice chwycila go za ramie i przytrzymala tak mocno, jakby byl malym, wiercacym sie chlopcem.

Ssssaaa zareagowala z niemal piorunujaca szybkościa. Odwinela sie z nadgarstka Vazula, wyciagnela jak cieciwa luku i zeskoczyla z kolan kanclerza na podloge. W jednej chwili przemknela przez gruby dywan, wbila grozne pazury w szeroka suknie Willadene i skoczyla jej na ramie. O dziwo, Vazul skinal glowa.

-Tak, mamy cos w rodzaju broni do walki z niewidzialnym zlem. Dziewczyno, czy mozesz zaniec Ssssaaa do komnat Jej Wysokosci Mahart tak, zeby nikt jej nie zobaczyl? Potem pozwol jej wedrowac do woli. Jezeli ukryto tam cos, co moze zaszkodzic Jej Wysokosci, Ssssaaa na pewno to znajdzie. Robila to dla mnie juz wiele razy. To wlasnie dlatego - usmiechnal sie ponuro - zdolalem zachowac tak dlugo zarowno moj urzad, jak i zycie.

Halwice podniosla odrzucony na bok szal i zarzucila go na ramiona Willadene, calkowicie zaslaniajac lezace na nich zwierzatko.

-Niech Gwiazda zesle ci szczescie, pani.

Dziewczyne zaskoczyla zacheta Nicolasa.

Kanclerz jednak dal jej ostrzezenie zamiast zyczen szczescia.

-Gdyby jakis sluga Jej Wysokosci Saylany znow zwrocil sie do ciebie... - Wydawalo sie, ze nie wie, co powiedziec.

Willadene osmielila sie sformulowac odpowiedz, jakiej w takim wypadku zamierzala udzielic:

-Wykonuje rozkazy pani Halwice - oswiadczyla. - Tak odpowiem i dodam, ze wyslano mnie do Jej Wysokosci Mahart i ze to jej mam sluzyc.

-Wlasnie tak - usmiechnela sie Halwice. - Moze takie awanse dostarcza nam wiecej informacji. Chodzi o to... - mowila teraz takim tonem jak wtedy, gdy wydawala polecenia. - ...ze w tych murach kryje sie cos, co czesciowo ma zwiazek z nasza wiedza, na pewno jest niebezpieczne i stanowi czesc zla, ktorego nie umiem wykryc. Wyczuwam tylko jego nature. Musimy najpierw sie dowiedziec, co to takiego, zanim wystapimy przeciw niemu. A teraz ustalmy, co kazde z nas powinno zrobic. Ty, Nicolasio, wrocisz do loza i mozesz byc pewny, ze nigdy juz nie zostawie zadnego srodka wzmacniajacego w zasiegu twojej reki. Nie przypuszczalam, ze mozesz postapic tak glupio. A ja, Willadene, musze wrocic do miasta. Jesli czegos sie dowiesz... - Spojrzala pytajaco na Vazula.

-Dowie sie tego z pomoca Ssssaaa, ktora mnie o tym powiadomi - odparl spokojnie kanclerz. Ciepłe futerko Ssssaaa otarło się o kark i policzek Willadene, jakby zwierzątko zapewniało ją, że tak właśnie będzie.

14

Liczne zamkowe korytarze i przedpokoje byly rownie zagmatwane jak uliczki Kronengredu i Willadene starala sie zapamietac powrotna droge do wiezy Jej Wysokosci Mahart. Niepokoila sie jednak, ze lokaj pani Saylany znow moze za nia isc. W dodatku byla pewna, ze dwukrotnie w jakis sposob skrecila w zla strone. W tych dolnych korytarzach nie bylo lokajow stojacych niczym posagi przy drzwiach. Uznala to za znak, ze opuscila czesc zamku zamieszkana przez wielmozow i wysokich urzednikow. Ulegla jednak rozpaczy, gdy zabladzila do jakiejs tkalni, gdzie kilka sluzebnic pilnie pracowalo przy krosnach, i zdolala cofnac sie w cien, zanim ktoras z nich ja zauwazyla.

Opierajac sie o sciane w najciemniejszym zakamarku, jaki zdolala znalezc, nie poddala sie panice i usilowala zmusic pamiec do posluszenstwa. Wiedziala, ze nikt nie powinien znalezc jej bladzacej bez celu po zamku.

Ciepłe ciało wokół szyi Willadene poruszyło się, spod szala wynurzyła się spiczasta głowka i spoczęła na jej nadgarstku. Dziewczyna podniosła skraj danego przez Halwice okrycia i spojrzała w małe, pozornie pozbawione zrenic oczka. Jej wargi wymowily bezglosnie:

-Ty wiesz!

Byla tego tak pewna, jakby uslyszala odpowiedz zwierzatka. Smialo pogladzila jego jedwabiste futerko wskazujacym palcem drugiej reki.

-Do wiezy Jej Wysokosci Mahart - powiedziala w mysli.

Głowka Ssssaaa poruszyła się pod jej lekkim dotknięciem. Dziewczyna zauważyła, że zwierzątko spogląda w położony z lewej strony korytarz. Było w nim ciemno jak o zmierzchu, gdyż na jego ścianach umieszczono tylko dwie lampy, a i te migotały, choć najłżejszy powiew nie poruszał powietrza. Ale Willadene, choć mogłoby to komus wydac się niezrozumiale, zaakceptowała tę dziwną przewodniczkę.

Zobaczyła drzwi po obu stronach korytarza, wszystkie jednak były zamknięte i nosek zwierzątka wskazywał dalej. To znaczy do...

Willadene zatrzymała się tak nagle, że omal nie straciła równowagi i usłyszała cichy, gniewny syk Ssssaaa. Zło - odwieczne zło - dziewczynie zemdlilo na myśl, że gdzieś w pobliżu w mroku znajduje się jakaś sadzawka lub zbiornik, z którego coś się wylania, ociekając szlamem wiekowej nienawisci i bólu, i rozkoszuje się tym wszystkim.

Ten mdlący smród płynął z drzwi po prawej stronie. Ssssaaa podniosła wyżej głowę i przeniosła spojrzenie z dziewczyny na drzwi. Chyba stworzonko, które w dobrej wierze zaakceptowała jako sprzymierzenca, nie zachęca jej, by tam poszła?

Dopiero teraz wyczuła drugi zapach, tym razem z fizycznego, a nie duchowego świata. Poznała go - pochodził z zewnątrz. Halwice otrzymała jedną przesyłkę z tym składnikiem i w istocie była tylko pośredniczką, gdyż zamówiła go wcześniej - dostawa do Kronengredu zajęła pół roku - Jej Wysokość Saylana.

Willadene usłyszała teraz dźwięki, bardzo ciche, gdyż drzwi były grube. Dźwięki te unosiły się i opadały w pewnym rytmie, jakby ktoś recytował chrapliwym, zachrypniętym głosem jakieś rytualne formuły.

Dłużej nie mogła tego zniesć. Czula, że zło unosi się wokół niej, by ją pochłonąć, jakby wpadła do kloaki pełnej kleistych ścieków, które przylgną do niej i ściagną ją w dół.

Jedną ręką odnalazła po omacku swój amulet i szybko przyłożyła go do nosa, choć jego zapach tylko w niewielkim stopniu zahamował to wsysanie. Na Jasną Gwiazdę - na Gwiazdę...

Uniosła do góry głowę i usiłowała wyobrazić sobie Gwiazdę, świecącą i jasną, czystą i oczyszczającą, jak widziała ją w klasztorze. Mając przed oczami wyobraźni ten obraz, z trudem zrobiła jeden krok, a potem drugi. Ciepło rozchodziło się od ciała Ssssaaa i dodawało blasku wyimaginowanej Gwiazdzie. A potem w jakiś sposób znalazły się w końcu korytarza. Willadene czula się tak zmęczona, jakby przemierzyła bez odpoczynku większość miejskich uliczek.

Ledwie zauważała, że zwierzątko kieruje ją w tę lub w tamtą stronę, aż wreszcie dotarła do przedpokoju, który rozpoznała, i stamtąd wróciła do wieży książniczki. Nie miała pojęcia, na jaką ohyde się natknęła, ale wiedziała, że nie pochodzi ona z tego świata.

Znow mijala stojacych przed drzwiami lokajow i doszla do pietra, gdzie po raz pierwszy spotkala Mahart i jej maly dwor. Teraz jednak musi odnalezc sypialnie ksiezniczki pietro wyzej. Drzwi komnaty byly lekko uchylone i z wnetrza nie dobiegaly zadne odglosy. Willadene nie wyczula tez zapachu zadnego z mezczyzn, ktorzy tu wczesniej pracowali. Podjeto probe uporządkowania sypialni Mahart - choc swiezo otynkowanej sciany nie zasloniete gobelinem. Podeszla do niej, zsuwajac szal z ramion i wyciagnela do przodu reke, na ktorej spoczywala teraz glowka Ssssaaa.

Tak daleko, jak mogla siegnac wzrokiem, wszystkie slady kielni byly jednakowe. Ssssaaa wysunela glowke do przodu i zakolysala nia lekko na boki. Willadene wycelowala jej smuklym cialkiem jak wlocznia w te powierzchnie, zaczynajac jak najwyzej - Ssssaaa zdolala z jej pomoca siegnac prawie do sufitu - i zaczela przesuwac nia tam i z powrotem.

Mimo tych wysilkow dziewczyna nie zdolala jednak wyczuc nic oprócz zapachow charakterystycznych dla niedawno wyremontowanego pomieszczenia. Nic nie wskazywalo na obecność zła. A przecież Willadene czula, że Ssssaaa jest niezadowolona. W syku zwierzątka brzmiała nuta frustracji, jakby coś je zbiło z tropu. Obie dokładnie zbadały podejrzaną ścianę od sufitu aż do podłogi. Uczennica Halwice nie odkryła jednak obecności zła, podobnie jak ulubienica Vazula.

Wreszcie dziewczyna usiadła na podłodze i z konsternacją popatrzyła na tynk. Mogła tylko przypuszczać, że się pomyliła i że to Jonas nosił w sobie skazę zła, a nie materiał, którego tu użyto.

Ssssaaa odwinęła się z nadgarstka Willadene, zeskoczyła na podłogę i pobiegła wzdłuż boazerii w dół ściany. Nagle zatrzymała się i pokreciła głowę. Już nie wpatrywała się w ścianę, tylko pomknęła długimi skokami do szafy, do której Willadene wstawiła swoją sakwę.

Dziewczyna natychmiast ją dogoniła. Wprawdzie nie przyniosła nic szkodliwego do tej komnaty, ale kto wie, co od tej pory dodano lub wyjęto z torby, która tu pozostawiła?

Błyskawicznie chwyciła sakwę i otworzyła ją. Ssssaaa stanęła na tylnych łapkach, ciągnąc przednimi skraj płociennego worka. Willadene najpierw chwyciła buteleczkę z kremem; drżącymi lekko rękami odkreciła wieczko. Wszystko wskazywało, że zarówno zawartość, jak i sam zbiorniczek, który wcześniej pokazała Mahart, są nietknięte - matowa kula rozwarła się, odsłaniając dwie porcje różnych kremów.

Nos szybko upewnił ją, że wszystko jest w porządku. W szklanej kuli nie było nic więcej ani mniej niż powinno. Cała jej uwaga skupiła się teraz na zachowaniu Ssssaaa. Zwierzątko nie usiłowało dotknąć żadnego z towarów tkwiących w przegrodkach wypchanej torby. Zamiast tego wsunęło jedną trzecią swego długiego ciała do sakwy i szarpało pazurami jej dno.

Willadene szybko wsadziła reke do torby, szukając po omacku wśród ubrań. Ciepłe futerko

Ssssaaa znow niemal owinelo sie wokol jej reki. Potem dziewczyna chwycila cos i wyszarpnela ksiege, ktora Halwice wlozyla tam po namysle.

W momencie, gdy ksiega znalazla sie w reku Willadene, Ssssaaa znow zwinela sie w klebek na podlodze, choc nie odrywala swiecacych jak drogie kamienie oczek od dziewczyny. Willadene kichnela, gdyz starozytna skorzana okladka rozpadala sie w proch przy kazdym ruchu jej palcow.

Trzymajac ksiege jak najostrozniej, dziewczyna zaczela szukac swego niezwyklego znaleziska - stronicy grubszej od pozostalych. Czy byly to dwie zlaczone ze soba karty? A moze nawet trzy? W kazdym razie przyglnely do siebie tak mocno, ze nie mogla ich rozdzielic ani paznokciami, ani nozem, ktory nosila u pasa.

W minionych latach tak wiele brzegow pergaminowych kart tej ksiegi odpadlo, iz Willadene obawiala sie, ze moze zniszczyc wlasnie to, czego szuka. Nagle dlugi, czerwony jezyczek oblizal brzeg zagadkowej stronicy.

A potem zrobil to po raz drugi, na sekunde przedtem, zanim Willadene zdolala odsunac ksiege na bezpieczna odleglosc. Dostrzegla teraz lekka zmiane barwy w miejscu, gdzie jezyczek Ssssaaa dotknal pergaminu, choc wilgotny slad nie siegal daleko.

Willadene jeszcze raz sprobowała rozdzielic strony nozem, ktory zawsze ostrzyla, gdyz spelнял wiele funkcji - siekal, obcinal lodygi, skrobал korzenie i tym podobne.

Czubek noza znajdował sie moze w polowie strony, gdy nagle sie zaglebil, i kiedy dziewczyna niezwykle ostroznie przesunela nim tam i z powrotem, stary, sztywny pergamin niechetnie ulegl stalowemu ostrzu. Okazalo sie, ze rzeczywiscie zlepiono wiecej niz jedna karte. Ale srodkowa stronice gladko rozcieto na pol, by ukryc tam cienkie skrawki pergaminu.

Dobrze zachowaly sie w ukryciu, gdyz znaki na nich byly ciemniejsze niz pismo na dwoch sasiednich stronach. Jednak nie byla to receptura, jak sie spodziewala Willadene, lecz serie nieregularnych linii nie ulozonych w zadnym porzadku, to tu, to tam przerywane kropkami lub krzyzykami, powiekszajacymi ogolny nieład. Moze byl to jakis kod, ktory Halwice potrafilaby rozszyfrowac, ale nic nie znaczyl dla jej uczennicy.

Willadene pogrzebala szybko w jednej z przegrodek sakwy i wyjela z niej kwadratowy kawalek miekkiej cienkiej gazy. Zawinela w nia znalezisko, ktore dalo sie podwojnie zgiac, i ukryla w staniku. Znalazla wiec cos, czego sie nie spodziewala, nadal jednak nie przeszukala calej komnaty. Ssssaaa chyba byla tego samego zdania, gdyz wspiala sie na podwyzszenie, na którym stalo ogromne loze, i biegla teraz po poscieli, pod nakryciem majacym ja chronic przed kurzem i pylem.

Willadene rowniez weszla na podest. Dzieki ruchowi pod plachta oslaniajaca loze ksiezniczki odgadla, gdzie jest jej towarzyszka. Ssssaaa skierowala sie w strone wysokiego wezglowia

i teraz wzgorek, jaki tworzylo jej ciało, znajdował się na srodku jednej z poduszek.

Dziewczyna odrzuciła narzute i spojrzala w bystre oczka zwierzatka. Ssssaaa przeniosła wzrok z Willadene na poduszke i z powrotem. Poduszki - o czym dziewczyna dobrze wiedziała - wypychano często ziołami mającymi zapewnić nieprzerwany sen lub usunąć ból głowy czy zęba. Powachala wskazana przez Ssssaaa poduszke.

Tak, znajdowało się w niej coś więcej niż miękkie pierze. I ziele, które zweszyła w poduszce księżniczki, na pewno nie powinno się w niej znaleźć.

O ile wiedziała, nie była to ani trująca, ani niebezpieczna substancja. Starannie oddestylowany wywar z tej rośliny podawano niespokojnym i gorączkującym dzieciom. Willadene nie miała jednak żadnych wątpliwości, że Jej Wysokość Mahart nigdy nie zamówiła tego leku u Halwice, a zielarka nigdy by go jej nie poleciła.

Willadene wyniosła poduszke na srodek łóża i uważnie ją obejrzała. Pod pięknie haftowaną powłoczka kryły się póra niemal tak miękkie jak puch. Już po chwili znalazła brzeg poduszki, który ktoś niedawno zastębnował. Rozciela nożem dostatecznie dużo tych szwów, by zanurzyć reke w poszewce. Ssssaaa jednak ją wyprzedziła i wysunęła główkę z rozcięcia: kilka piórek zawadiacko zdobiło jej długi pyszczek, w którym trzymała jakąś paczuszkę.

Willadene szybko wyjęła z sakiewki u pasa pudeleczek z przyborami do szycia i zaszyła rozcięcie w poduszce przed zbadaniem pakieciku. Nikt nie powinien jej zaskoczyć na łóżku Mahart z rozciętą poduszką w dłoni.

Później podniosła mały, miękki zwoj znaleziony w powłoczce. Miał wielkość i kształt jej palca wskazującego. Było to zwykle białe płótno, ale dostrzegła na nim ledwie widoczne kreski, jakby ślady póra lekko zanurzonego w atramencie. A przecież, gdy zwążyła pakiecik w dłoni i kilkakrotnie wciągnęła powietrze w nozdrza, by zidentyfikować jego zawartość, nie wyczuła słabej woni zła, której się spodziewała. Tylko same zioła. Ale Halwice to osadzi, a nie ona. Wiedziała tylko jedno: że chociaż z pomocą swego talentu i Ssssaaa nie znalazła tutaj zła, nie zamierza pozostawić swojej sakwy z lekami w tej szafie, ponieważ ktoś mógłby je zatruć. Jakże łatwo byłoby wprowadzić jeden z pół tuzina niebezpiecznych składników - a Halwice bez wątpliwości znalazła ich z tuzin lub więcej - do kremu już zaakceptowanego przez Jej Wysokość Mahart. Są przecież substancje, które poparzyłyby jej skórę lub gorzej - nawet spowodowały jej śmierć!

Ssssaaa opuściła łóże księżniczki jednym tak długim skokiem, że wylądowała na nadal przykrytej płótnem ławie przy toalecie. Zanurkowała pod drugą szeroką narzute, która osłonięte zwierciadło i blat toaletki. Willadene zeskoczyła z łóża i odwążyła się odsunąć płachtę.

Ujrzała całą baterię wspaniałych buteleczek i słoiczek, a wszystkim nadano taki kształt, by

jeszcze lepiej wyeksponować ich zawartość. Niektóre rozpoznała, gdyż widziała ich odpowiedniki w sklepie Halwice. Tak, to większość z nich zmiażdżyły buty Barbrica i jego kompanów. Nie dostrzegła jednak buteleczki w kształcie rozy. Zamiast niej na widocznym miejscu stał flakonik wyglądający jak mocno zwiazany snop paproci.

Z flakonika rozlewał się zapach paproci. Była to odmiana pochodząca z lasów polnocy, warta więcej niż jej waga w złocie, gdyby zważono ją na jakiejś bardzo czulej wadze. Willadene wiedziała, że Halwice nie otrzymała dostawy tego składnika od kilku miesięcy, odkąd na tamtym terenie rozpanoszyli się rozbojnicy. Może teraz, kiedy książe Lorien pokonał Czerwonego Wilka, będą miały szansę pozyskania takiego rarytasu.

Ostrożnie podniosła buteleczkę. Była pełna perfum i to, sądząc po zapachu, świeżych. Obracając ją powoli w dłoni, szukała jakiegoś identyfikującego znaku. Tak, był tam herb Jej Wysokości Saylany. Podarunek urodzinowy? Bez wątpliwości i naprawdę kosztowny, a Mahart dotychczas nie zechciała go otworzyć. Willadene odstawiała perfumy na miejsce.

Ssssaaa stanęła na tylnych łapkach, kierując noskiem w stronę buteleczki w kształcie snopu paproci. Kiedy syknęła, Willadene znów tam spojrzała. Podarunek Saylany tylko wyglądał jak cenny i piękny skarb; zwestrychała w nim jedynie zapach paproci i teraz naprawdę się zaniepokoiła. Tak głęboko uwierzyła w swój talent, że może stała się zbyt pewna siebie. Chyba tylko Halwice jest w stanie rozwiązać tę zagadkę.

Nie osmieliła się jednak wziąć ze sobą niebezpiecznego flakonika. Zbyt rzucił się w oczy wśród innych buteleczek i słoiczek, a księżniczka natychmiast zauważyła jego brak. Jakikolwiek wyjaśnienia mogą pokrzyżować plany, w realizacji których brała teraz udział.

Patrząc na flakonik z perfumami o zapachu paproci, niechętnie pokręciła głową. Wyglądało na to, że i zwierzątko Vazula przestało się nim interesować, gdyż zeskoczyło na podłogę. I choć kierowało się ku najbliższej ścianie, ta go nie zainteresowała; skoczyło jeszcze raz, uczepiło się kotary i wspięło po niej do otwartego okna.

Zanim Willadene zdążyła zareagować, Ssssaaa przesliznęła się przez okno i zniknęła. Kiedy dziewczyna dotarła do tego miejsca i stanęła na stolku, by lepiej widzieć, zwierzątko nigdzie nie było.

Tylko jakiś szelest przyciągnął uwagę Willadene tak bardzo, że wychyliła się z okna, żeby zobaczyć, co znajduje się w dole. Chociaż nigdzie indziej pnące rośliny nie pokrywały zamkowych murów, w tym miejscu roślina wyjątkowo odporna na mrozy bluszcz o grubych łodygach, na których mimo zimowych wiatrów to tu, to tam zielone kitki pozostawały przez cały rok. Widziała tam też płatki martwych, suchych liści i właśnie między nimi Ssssaaa przedarła się do pewnego miejsca po lewej stronie, skąd w jednym długim, zadziwiającym skoku znalazła się na dachu poniżej.

Willadene w żaden sposób nie mogła przywołać jej z powrotem. Im wcześniej zabierze

swoja sakwe z lekami z szafy i wyjdzie z sypialni Jej Wysokosci Mahart, tym lepiej. Los sprzyjal jej tego dnia tak bardzo - gdyz dotad nie wrocila ani Julta, ani zaden z robotnikow - ze nie mogla wiecej oden oczekiwac.

Dziewczyna przewiesila torbe przez ramie i wyszla spokojnie, wyrzawszy najpierw przez przymkniecie drzwi na korytarz. Poniewaz ksiezniczka nie wezwala jej, tylko polecila pojsc z Jultado izby, w ktorej miala zamieszkać, moze tam odpoczac.

Na brzegu drugiego waskiego lozka w pokoju nad sypialnia Mahart lezala zwinieta posciel, wiec Willadene przygotowala je do spania, po czym rozwinela i odlozyla na bok druga suknie i bielizne podarowana przez Halwice.

Ssssaaa bez watpienia zna zamek znacznie lepiej niz wiekszosc jego obecnych mieszkancow. Willadene podejrzewala nawet, ze zwierzatko wykonuje misje zleczone mu przez Vazula, ale w jaki sposob kanclerz sie z nim porozumiewa?

Zapewne jej nagle odejście oznaczalo, ze odkryla to, co jej kazano, i wrocila z wieścia do swego pana. Co to moglo być? Dziewczyna usiadla na poslaniu i mala kapliczka Gwiazdy przykula jej spojrzenie. Lecz zamiast uczucia odnowy duchowej, jakie zawsze przynosil jej ten widok, w jednej chwili dostala mdlosci i zawrotow glowy jak wtedy, gdy mijala drzwi, z ktorych buchal tak silny smrod zla.

Uslyszala dostatecznie duzo plotek i rozmow, by zdawac sobie sprawe, ze ksiaze nie siedzi zbyt pewnie na tronie - ale jaka sila mu zagraza? W miescie szeptano o prawach Jej Wysokosci Saylany, miala przeciez syna. Jednak rzady Barbrica na pewno nie przynioslyby nic dobrego Kronenowi.

Gruba okladka starej ksiegi, ktora przyniosla na zamek, wpila sie jej w bok, gdy oparla sie o sakwe. Przypomniawszy sobie o odkryciu Ssssaaa, Willadene wyjela z ukrycia te bardzo cienkie paski pergaminu. Rzeczywiscie, byly stare, w to nie watpila, ale ich brzegi nie kruszyly sie tak, jak na innych stronicach; sprawialy wrazenie wykonanych z bardzo wytrzymałej skory, ktora nie obawia sie niszczycielskiej mocy czasu.

Z najwieksza ostroznoscia przesunela po nich palcami. Mialy strukture bardzo rozniaca sie od wszystkich kart pergaminowych, z jakimi sie dotad zetknela. Przesiadla sie na lozku na miejsce, gdzie przez okno wpadalo swiatlo, i zblizyla jeden z dwoch waskich paskow do najsilniejszego snopu promieni slonecznych.

Nie, nie pomylila sie - to nie jest pergamin! Zauwazyla bowiem ledwie widoczne zylki, takie jak na lisciu. Ale zaden lisc nie mogl przetrwac tyle czasu!

W silnym blasku slonca widziala, ze znaki te jedynie przypominaja zarysy zylek. Na pewno nie mogla to być jakas receptura; nawet najdawniejsi zielarze uzywali znakow tworzacych symbole lub slowa. Natomiast linie na obu paskach zdawaly sie zwijac i pelzac, jakby ktos leniwie zabawial sie bez celu piorem lub pedzelkiem. Oczywiscie Halwice musi to zobaczyc,

ale Willadene nie może znow się z nią spotkać w tak krótkim czasie, nie wywołując komentarzy na dworze.

Znow bardzo starannie zawinęła swoje znalezisko i właśnie chowała je do stanika, kiedy do izby weszła Julta, nie zadając sobie trudu, żeby zapukać. Musiała wszakże być pewna, że zostanie w niej Willadene, gdyż powiedziała od razu:

-Jej Wysokość Mahart chce, żebyś przyniosła swoje towary. Jej Wysokość Saylana też o nie wypytuje. Och, czy to twoja sakwa? Przecież ona była w szafie w sypialni... - Julta zmarszczyła brwi.

-Wiele z tych buteleczek łatwo się tłucze. Po namyśle uznałam, że lepiej będzie, jeśli ja stamtąd zabiorę, gdyż pracują tam robotnicy - odparła Willadene.

Pokojowa skinęła głową.

-Na pewno nie obchodzi ich krem do rąk, ale czasami bywają ciekawscy. A wszyscy wiedzą, że wyroby twojej pani warte są wiele sztuk srebra. Weź je teraz, ale...

Stała z piściami na biodrach naprzeciw Willadene, jakby chciała, by ta ostatnia zaprzeczyła temu, co zamierzała powiedzieć.

-Rozumiem, że to, co masz tutaj, jest przeznaczone dla Jej Wysokości Mahart. Jasnie wielmożna pani Saylana czasami bardzo nalega, kiedy czegoś pragnie.

-Oczywiście to wszystko, co znajduje się w mojej sakwie - Willadene przewiesiła torbę przez ramię - należy do Jej Wysokości, jasnie wielmożnej pani Mahart. Moja pani sama to wybrała z myślą o sobie.

Wystarczy, że będzie się tego trzymała. Uczennica przede wszystkim słucha rozkazów tej członkini gildii, której przysięgła służyć. To chyba niemożliwe, żeby Jej Wysokość Saylana wbrew wszelkim obyczajom próbowała wziąć dla siebie coś z tego, co niosła Willadene.

Julta przyprowadziła ją z powrotem do komnaty, gdzie po raz pierwszy spotkała Mahart. Teraz jednak w tym pomieszczeniu panował tak wielki tłok, że wyglądało jak sala tronowa. Ozdobne krzesło stało obok tego, na którym nieco sztywno siedziała Mahart. Choć twarz miała spokojna, przymknęła lekko oczy, jakby nie chciała widzieć większości otaczających ją osób. Podłoga komnaty była tak zastawiona stolkami i poduszkami dla dworaków, nawet pod ścianami, iż Willadene pomyślała, że chyba nie uda się jej przejść przez ten tłum bez potrącenia nieumyślnie jakiejś damy lub nadeptania na czyjś rozłożony szeroko suknie. Tak, na pewno będzie to prawdziwe ćwiczenie zrecznosciowe.

Siedząca na drugim krześle kobieta zdawała się dominować nad zgromadzeniem, podobnie jak jej jaskrawo ubrane i malowniczo ustawione damy dworu tak przycmiewały swiętą Mahart, jakby ta ostatnia prawie nie istniała.

Jej Wysokosc Saylana wydawala sie wysoka nawet wtedy, gdy siedziala. Willadene zerknela na nia i pomyslala, ze moze ona wywierac duze wrazenie nawet bez szat i klejnotow, ktorych blask dzielila ze swymi dworkami. Miala ciemne wlosy splecione w warkocz okrecony wokol dumnie uniesionej glowy, jakby to byla korona. I rzeczywiscie mozna by tak nazwac te fryzure z powodu wpietych we wlosy wielu ozdobionych drogimi kamieniami szpil.

Z ciemnymi wlosami kontrastowala twarz podobna do pieknej maski z kosci sloniowej; czerwienily sie w niej tylko pelne wargi. Nad oczami brwi unosily sie ukosnie ku skroniom, co zdaniem Willadene nie bylo dzielem natury. Same oczy mialy ksztalt migdalow i matka Barbrica uzyla wszelkich sztuczek kosmetycznych, by sprawialy wrazenie tajemniczych.

Wybrane przez nia perfumy rozsiewaly subtelny zapach; Willadene od razu rozpozнала te won podniecajaca zmysly. Zapach ten mial dzialac podobnie jak suknia Saylany - choc niewiele odslaniala, widz na pewno dostrzeze kazda kraglosc ciala jej wlascicielki.

Suknia miala dziwny, szary odcien, lecz na szwach i zagieciach to tu, to tam przebijala ciemna czerwien. Szeroki naszyjnik z rubinow, bardziej pasujacy do sali balowej niz na co dzien, okalal smukla szyje wynioslej pieknosci. Czas okazal sie dla niej laskawy - a pomagaly mu sekrety dobrze znane Halwice - wydawalo sie bowiem niemozliwe, ze to Saylana jest matka draba, ktory wtargnal do zielarni.

Saylana bawila sie wachlarzem, skladajac go i rozkladajac, gdy Willadene szla ku niej w odpowiedzi na skiniecie Mahart. Wydawalo sie, ze matka Barbrica nie interesuje uczennica zielarki, a tylko to, co z soba przyniosla. Ale Willadene juz wyczula znajomy smrod - nie tak silny i mdlacy jak ten, ktory zweszyla wczesniej tego samego dnia, lecz rownie slaby jak u Jonasa. Willadene odniosla wrazenie, ze wszyscy oni - zarowno Jej Wysokosc Saylana, jak i tamten robotnik - otarli sie o cos zlego, co pozostawilo na nich skaze.

15

Willadene jeszcze raz rozpakowala sakwe i wyjmowala po kolei kazdy wyrob, by pokazac go Saylanie tak jak przedtem Mahart. Na ustach matki Barbrica blakal sie usmiech rozbawienia, jakby patrzyla na dzieci bawiace sie w wymyslona przez siebie gre. Dziewczyna slyszala jednak szelest sukni dam dworu, gdy prezentowala poszczegolne specyfiki i zachwalala ich zalety. Saylana nie probowala siegnac po zaden z licznych napojow, a bil od niej jej wlasny pizmowy zapach tak silny, ze nikly przy nim znacznie slabsze, wiosenne wonie, ktore Halwice wybrala dla Mahart. - To naprawde piekny pokaz, ksiezniczko. - Saylana machnela leniwie wachlarzem, jakby chciala przegnac rywalizujace z jej wlasnym zapachem wonie. - Powinnas przycmic najpiekniejsze z pieknych, drogie dziecko, jesli te wszystkie kosmetyki podzialaja tak, jak nam tu obiecano.

Willadene zauwazyla, ze na twarz Mahart wyplynely ciemne rumience. W slowach Saylany kryla sie uszczypliwosc, przekonanie, ze zadne srodki nie zamienia corki Uttobrica w

basniowa pieknosc.

-Jestem bardzo zadowolona - odrzekla ksiezniczka spokojnie. - Zielarka Halwice od lat przysyla mi swoje najlepsze wyroby; te na pewno tez dobrze mi posluzą. Jesli zas chodzi o najpiekniejsze z pieknych, droga kuzynko, zbyt nisko sie cenisz - spojrz sama w zwierciadlo i przekonaj sie o tym.

Saylana usmiechnela sie szerzej.

-Dziecko, masz tak niewielkie doswiadczenie w dziedzinie dworskich podstepow i intryg. Zadna kobieta nie dzieli sie z druga sekretami swoich zabiegow toaletowych. Mozesz byc jednak pewna, ze Jego Wysokosc dopilnuje, aby jego corka prezentowala sie jak najlepiej. Wielka szkoda... - z trzaskiem zlozyla wachlarz - ...ze w starozytnych opowiesciach, ktore slyszalysmy w dzieciinstwie, nie ma nawet zdzbla prawdy i ze nie mozna ukladac sie z potezniejszymi od nas mocami o to, czego najbardziej potrzebujemy w danej chwili. Dziewczyno - skupila teraz uwage na Willadene - poniewaz wyglada na to, ze na pewien czas wstapilas na sluzbe do jasnie wielmoznej pani Mahart, daj jej z siebie wszystko, na co cie stac.

Willadene miala nadzieje, ze ani wyraz twarzy, ani odruchowe drgnienie nie zdradzily jej przed wszystkowidzacyimi oczami Saylany. Wraz z tymi ostatnimi slowami od matki Barbrica naplynela bowiem fala znajomego dziewczynie smrodu, ktory smagnal ja jak biczem. Zastanowila sie, czy Saylana wyslala go swiadomie, czy mimowolnie. W kazdym razie byla to skaza zla - slabo wyczuwalna, ale Willadene nie pomyllilaby jej z niczym innym.

-Dziekujemy ci, kuzynko - Saylana ponownie zwrocila sie do Mahart. - Moze kiedy ten sezon zabaw i uroczystosci przeminie, Halwice zechce podzielic sie swoimi wyrobami z innymi.

Wstala, a jej damy dworu wyraznie czekaly na ten sygnal, gdyz i one zaraz sie podniosly, a potem zgiely w uklonie.

-Wyswiadczylas mi przysluge, moja droga, i zaspokoilas w ten sposob moja ciekawosc - mowila dalej Saylana - poniewaz ta uczennica zielarki tak powaznie bierze swoja przysiege, ze nie mogla znalezc dla mnie czasu. Jest tu jednak nowa i nie wie, jak nalezy sie zachowac na dworze. W kazdym razie, oby sluzyla ci najlepiej, jak umie...

-Bedzie tak sluzyc! - odrzekla ostro Mahart, jakby dzgajac slowami. - I ciesze sie, iz jestes zadowolona, Saylano, bo przeciez wszyscy wiedza, ze po mistrzowsku znasz sie na wszystkich ceremoniach dworskich i na etykiecie.

Ksiezniczka nie odprowadzila starszej kobiety do drzwi. Teraz to ona jest najwazniejsza dama na dworze i widac bylo, ze chce, zeby wszyscy o tym wiedzieli.

Po odejsciu Saylany i jej licznych dworek Mahart spochmurniala. Machnieciami reki

odprawila swoje dwie damy dworu, ktorzych najwidoczniej nie darzyła sympatia. Z cienia poza jej krzesłem wyszła Zuta. Odziana w zolta suknie - lubila bowiem wszystkie odcienie zolcieni - Zuta moglaby tak jak Saylana olsniewac pieknoscia i zmyslowoscia, i bardzo sie roznila od znacznie spokojniejszej, mniej rzucajacej sie w oczy, a przeciez urodziwej Mahart.

-Wasza Wysokosc, ona wpadla w gniew...

Mahart nagle usmiechnela sie szeroko jak dziecko.

-A czy Saylana kiedykolwiek sie nie zloscila, gdy tylko znalazla sie w moim towarzystwie? Na sam moj widok czuje gorycz w ustach. A wiec... - spojrzala teraz na Willadene - ...chciala sie z toba spotkac, odkad tu przybylas?

Willadene szybko opowiedziala o lokaju Saylany. Nie dodala jednak, iz uwaza, ze szedl za nia, az dotarla do komnat kanclerza.

-Dlatego przyszla prosto do mnie - Mahart skinela glowa. - Uczennico Halwice, ktorego z twoich napojow i perfum moze sie lekac Saylana?

-Nie umiem ci powiedziec, Wasza Wysokosc, jesli ona rzeczywiscie czegos sie obawia. Przeciez wszystko, co przynioslam, to dzieło Halwice, a zielarka nie zadaje sie z Ciemnoscia.

-Saylana jest bardzo piekna - wtracila pani Zuta. - Uwaza cie za znacznie brzydsza od siebie, Wasza Wysokosc.

Mahart znow usmiechnela sie szeroko.

-W walce nie zawsze uzywa sie taktyki i broni znanych juz wrogowi. Dobrze wiem, ze Jej Wysokosc Saylana zamierza zwrocic na siebie uwage ksiecia Loriena. I jej wyglad moze to ulatwic...

Zuta wygladala na zaklopotana.

-Ale...

-Posluchaj. - Wydawalo sie, ze Mahart zapomniala o obecności Willadene, poniewaz zaczela mowic tak szybko, jakby sie obawiala, ze ktos jej przerwie, zanim dojdzie do sedna sprawy. - Pan kanclerz ma zespol doswiadczonych wywiadowcow i co najmniej jeden z jego ludzi z pozytkiem spedzil troche czasu na dworze krola Hawknera. Ksiazke Lorien nie jest kobieciarzem. Och, trafil do loza tej lub innej niewiasty, jak to robia mezczyzni, ale trzyma sie z daleka od zabaw dworskich i maskarad. Interesuja go tylko manewry, polowania lub nawet takie wyczyny, jak wspinaczka na gore Grog. Zrobil to dwa lata temu i dotarl tam, gdzie dotad nie postala ludzka stopa.

Oswoił trzy dzikie koty i od czasu do czasu zabiera jednego ze sobą, tak jak Vazul swoją Ssssaaa. Poluje też z gorskimi sokolami. Wytepił większość wilczych stad w lasach pomocy, tak że mieszkańcy terenów przygranicznych już się ich nie boją. O bicie serca przygotowuje go świeżo wykuty brzoźczot lub piękny wierzchowiec z jego własnej hodowli. Dla takiego mężczyzny kobieta jest zabawką, a czasami przeszkodą. Istnieje jednak sposób na wzbudzenie w nim zainteresowania. Może się to udać nawet kobiecie, która nie jest w stanie rywalizować z koniem, psem i mieczem. Mówi się, że lubi on słuchać bardów, zwłaszcza opowieści o zaginionych skarbach, dziwnych potworach i tym podobnych. Ci, którzy znają takie historie, są mile widziani w jego pałacu i dokładnie wypytywani o pochodzenie ballad.

Zuta sprawiała teraz wrażenie całkowicie zdezorientowanej.

-Ale dlaczego?

Mahart rozesmiała się szczerze.

-Bo myślę, że na swój sposób jest marzycielem. Nie zrywa więc dojrzałego owocu, który sam spadłby mu do ręki, lecz woli wdrapać się na cienkie gałęzie na szczycie drzewa, których nikt inny nie dosięgnie. W takim razie trzeba dać mu coś, czego bardzo pragnie: marzenie oparte na powszechnie znanej baśni, ale obecnie niedosięgnięte.

-Władce Serc! - powiedziała Willadene bez namysłu. Mahart zerknęła na nią z zaskoczeniem. A potem skinęła twierdząco głową. - Władce Serc - powtórzyła dziewczyna.

-Nie wiem jednak, jak osiągniesz swój cel za pomocą tej starożytnej legendy, Wasza Wysokość - zaprotestowała Zuta.

-Ja też na razie nie jestem całkiem pewna, w jaki sposób. Pożyjemy, zobaczymy, gdy nadejdzie ta chwila.

Czas płynął, lecz Willadene nie wiedziała, czy sprzyjał ich planom, czy swoim własnym. Nie otrzymała żadnego posłania ani od Halwice, ani od kanclerza, była jednak pewna, że Ssssaaa wróciła bezpiecznie i złożyła meldunek na swój sposób. W międzyczasie spędzała kilka godzin dziennie z główną krawcową i zamkowym złotnikiem. Mahart jako ostatnia instancja oceniała rezultaty ich pracy. Willadene szybko zrozumiała, że księżniczka nie lubi zbyt strojnych sukien i większości klejnotów, do noszenia których ją naklaniano. Oczywiście szczytowym osiągnięciem miała być suknia na bal zwycięstwa, kiedy Mahart laskawie włoży na głowę Loriena przysługujący zwycięzcy diadem Gwiazdy i jeśli los tak zechce, jednocześnie skupi na sobie jego uwagę, choćby tylko przelotnie.

Piątego dnia dwórki ubrały księżniczkę, uczesały jej włosy i lekko posmarowały kremem twarz, żeby mogła stać obok swego ojca w wielkiej bramie zamkowej i powitać młodego zwycięzcę.

Caly Kronengred szalal, poslancy przybywali najpierw co godzinie, a potem co pol godziny z wieściami o ksieciu Lorienie. Uroczystosci urodzinowe ksiezniczki zbladly w porownaniu z dzisiejszym swietem.

Mahart usiadla na lozu bardzo wczesnie tego ranka. Przetarla oczy, a potem zadrzala. Ostatniej nocy nie snila o obsypanych kwieciami lakach, mimo ze polozyla sie wczesnie, aby sie wyspac przed ciezkim dniem, jaki ja czekal. Chociaz wiele sie nauczyla w ostatnich miesiacach, odkad ojciec wyciagnal ja z ukrycia na swiatlo dzienne, nie przybylo jej wiary w siebie. Och, w rozmowach z Zuta nie okazywala niepewnosci. Jednak, choc spotkala sie prywatnie z Pierwszym Bardem, zdolala obmyslic tylko bardzo mgliste plany. Wiedziala jedno - nie bedzie kokietowac Loriena i przygotowuje sie na wszelkie ewentalnosci.

Po "wyzdrowieniu" z tajemniczej choroby Vazul odwiedzil ja raz i przyprowadzil ze soba tego samego rannego mlodzienca, ktorego widziala w polozonej wyzej komnacie w swojej wiezy. W swietle dnia, juz znacznie zdrowszy, wygladal mlodziej niz przedtem, ale nie brakowalo mu pewnosci siebie. To on na rozkaz Vazula niemal przez caly czas prowadzil rozmowe z Mahart i opowiadal jej o ksieciu Lorienie.

Wczesniej kanclerz zapoznal ja z tymi nielicznymi szczegolami, ktore wypaplala Zucie i uczenicy zielarki. Teraz zas uslyszala tak wnikliwa i wszechstronna analize charakteru ksiecia, jakiej mogl dokonac tylko jego przyjaciel z lat dziecinnych lub brat po mieczu. Ten Nicolas opisywal kazda ceche charakteru Loriena i robil to tak obrazowo, iz Mahart chwilami miala wrazenie, ze byla obecna przy danej scenie. Lorien nie mial oficjalnej kochanki, jak kazal zwyczaj dworski; co wiecej, mowiono, ze raz po raz oganial sie od niewiast jak od gadatliwych kwok, ktorzych lepiej unikac.

Tak samo jak Mahart lubil jednak starozytne legendy i opowiesci, przede wszystkim o bitwach i bohaterach, a oprócz tego zagadkowe historie o podrozach i odkryciach. Przed dwoma laty rzeczywiście wspial sie na gore Grog, tracac w drodze dwoch towarzyszy, ktorzy zmarli z niejasnych powodow. Zrobil to, poniewaz w swojej bibliotece znalazl opowiesc o jakimś starozytnym wielmozy, ktory dokonal podobnego wyczynu. Magnat ten zdobyl wówczas wielka wiedze, co pomoglo mu kontrolowac jego krolestwo az do smierci.

Lorien nie siegal po zaden tron. Pogardzal swymi trzema bracmi z powodu zycia, jakie prowadzili na dworze, ale nie zrobil nic, zeby zaszkodzic nastepcy tronu. Raczej szukal towarzystwa podroznikow, zamorskich najemnikow i od czasu do czasu, ku zaskoczeniu wszystkich, pewnego starszawego uczonego. W jednej chwili mogl jednak odlozyc ksiege i siegnac po miecz.

-Jest w nim dwoch ludzi - powiedzial Vazul, gdy Nicolas przerwal opowiesc, zeby zaczerpnac powietrza. - Jezeli ich polaczy, stanie sie naprawde potezny. Wasza Wysokosc, pamietaj o tym, co interesuje go najbardziej, ale nie rozmawiaj z nim o sprawach, ktorzych sama dobrze nie znasz. Raczej pozwol mu mowic i uwaznie sluchaj, gdyz dobry sluchacz lub sluchaczka liczy sie w kazdym towarzystwie. Mam sluchac, przypomniała sobie teraz w

perłowym blasku poranka. Każda rozmowa między nimi podczas tej wielkiej uroczystości będzie się toczyć wedle wszelkich wymagań etykiety dworskiej. Księżniczka nie miała pojęcia, jak stworzyć sytuację, w której będzie mogła słuchać księcia Loriena.

Później w drzwiach sypialni pojawiła się Julta, a za nią uczennica zielarki. Pokojowa nadzorowała ustawienie dużego parawanu i wanny za nią. Kiedy Willadene podeszła z całą baterią mydeł i kosmetyków, Mahart przemówiła pod wpływem nagłego impulsu.

-Nigdy nie próbowałam płynu do płukania włosów o zapachu paproci. Tak trudno go otrzymać, że może jest najlepszy na taką okazję.

Willadene podniosła buteleczkę w kształcie snopu paproci i instynktownie przysunęła ją do nosa. Zapach na pewno był prawdziwy i wiedziała, że nikt inny - może oprócz Saylany - nie użyje go dzisiaj. Skinęła głową i podała buteleczkę Julcie.

Ta zaczęła wycierać skórę i włosy Mahart, które Julta najpierw wytarła kilkoma ręcznikami, a potem czesała tak długo, aż prawie wyschły.

-Myślę, że nie trzeba nic więcej - powiedziała Mahart, gdy skończyły i siedziała w koronkowej koszuli i sztywnej halce, jedząc śniadanie, które przyniesiono do jej komnaty. To jedyny poranek, kiedy nie musiała towarzyszyć ojcu w książęcej jadalni.

-Tak, Wasza Wysokość - zgodziła się z nią Willadene. Zapach paproci przyłgwał też do jej rąk. - Jeszcze tylko trochę kremu pod oczy, niech wydają się bardziej błyszczące...

Mahart rozesmiała się i zlizwała krople miodu z dolnej wargi.

-Och, wymaluj mnie tak pięknie jak Saylane, ale ja nią nie jestem. Pamiętaj o tym. - Po tych słowach spowiadała.

Upłynęło sporo czasu. Wielokrotnie odwracano klepsydry, zanim Willadene mogła opuścić komnatę, gdzie szelest pięknych tkanin i zapachy mnóstwa cennych perfum i pachnidel sprawiały, że wydawało się jej, iż otacza ją tłum wyfiokowanych dam. Choć Saylana się nie pojawiła, przyszły jej dwie dworki, by się przyjrzeć przygotowaniom i jak powiedziała Zuta, wtykać nos w cudze sprawy. Oficjalnie miały podarować Mahart koronkową chusteczkę, którą nosiło się u pasa. I, oczywiście, przekazać najlepsze życzenia swojej pani z tej radosnej okazji.

Suknia Mahart była ciemnoniebieska, przypominała barwę wieczorne niebo. I nie tylko podkreślała smukłość księżniczki, lecz także piękno jej gładkiej skóry. Mahart pozwoliła jedynie musnąć swoje usta - Willadene w pełni pochwalała tę wstrzemięzliwość - kazała też zapleszczyć sobie włosy w warkocze, jakby była młodsza o kilka lat. Jednakże w jej kasztanowate warkocze wpleciono ostrożnie srebrne lancuszki z kamieniami księżycowymi; miała tiarę i naszyjnik z tych samych kamieni - to było wszystko. Innych klejnotów nie włożyła.

Willadene domyslała się, że Jej Wysokość Mahart celowo wybrała taki kolor sukni i takie ozdoby, by kontrastować z Saylaną, która lubiła obwieszac się klejnotami. I patrząc krytycznie na Mahart, gdy dwie niższe ranga służebne pod sokolim wzrokiem Julty poprawiały ceremonialną niebieską suknię, uświadomiła sobie, że księżniczka dokonała trafnego wyboru, pojawiając się w stroju, który można by nazwać skromnym.

Panie Famina i Geuverir podniosły koniec ciężkiego trenu, przybrały wyniosłe miny i zaczęły odgrywać przydzieloną im rolę w dworskim widowisku.

Willadene nadzorowała makijaz. Zapach paproci na pewno był mocny i trwały, ale nie wiadomo dlaczego, gdy bez przerwy czuła go przez ostatnie godziny, przestał jej się podobać. Przynajmniej jednak nie musiała już wachac pizma, którego won lubiły inne dworki Mahart.

Dziewczyna ułożyła już własne plany na ten poranek. Oczywiście nie mogła liczyć na dobre miejsce, skąd widziałaby przybycie młodego zwycięzcy. Poprzedniego dnia zauważyła pewne okno w wieży. Stamtąd, stojąc na stolku i pochylając się do przodu, obejrzałaby z wysokości, okiem ptaka, ceremonialne powitanie przed główną bramą zamkową.

Teraz wymknęła się szybko z nadzieją, że nikt inny nie wpadł na ten sam pomysł, by znaleźć swój punkt obserwacyjny. Musiała bardzo się wychylić, żeby zobaczyć klebiący się tłum kolorowo ubranych prostych ludzi, i drgnęła, kiedy trzeba z całej siły zadeli w trąby. Wtedy czyjaś ręka chwyciła ją z tyłu za pasek.

-Spokojnie, pani... - Nawet gdyby nie usłyszała tego głosu, bez trudu by rozpoznała, kto za nią stoi. Jak zwykle zapach nasunął jej odpowiednie imię, ale obejrzała się za siebie.

-Jest tu dość miejsca dla dwojga, panie Nicolasie - powiedziała pod wpływem nagłego impulsu. Nie umiałaby nawet sobie wytłumaczyć, dlaczego czuje się tak swobodnie w jego towarzystwie.

-Madra z ciebie kobieta - zachichotał Nicolas i zaraz znalazł się obok niej. Poruszał się zreźnie i zdziwiła ją szybkość, z jaką zagoiła się jego głęboka rana, która widziała na własne oczy, gdy pomagała ją bandazować. Dostrzegła bladłość pod jego opalenizną, ale oprócz tego nie znalazła żadnych śladów niedomagania.

Stał teraz obok niej, lecz nie cofnął ręki z jej paska. Wcale jej to nie przeszkadzało, wiedziała bowiem, że nie zamierza się spoufalić, lecz ją przytrzymuje, by nie wypadła.

-"Książę przybywa..." - zacytował początek starej ballady. Rzeczywiście, tłum się rozstąpił lub rozdzielił go książęcy gwardzisci, dając drogę jeźdźcowi. Za nim podązał paradnym krokiem orszak mężczyzn, którzy mogli być tylko doskonale wycwiczonymi żołnierzami.

Książę Lorien miał na sobie kolczugę, na którą narzucił kaftan w jaskrawe wzory. Zawiesił hełm przed sobą na leku siodła i jechał z gołą głową. Willadene dobrze widziała z góry tylko

ciemne, kędzierzawe włosy młodego zwycięzcy, ale Nicolas, jak gdyby czytając w jej myślach, rzekł:

-Jest dostatecznie urodziwy, pani. To prawdziwy książę, który może wpasć w oko każdej damie, jak również zdobyć jej serce.

W jego głosie zabrzmiało coś, co zwróciło uwagę Willadene.

-Ty nie widzisz go takim jak ci w dole? - Wskazała ręką na wiwatujący tłum.

-Nie - odpowiedział. - Nie będę przekomarzał się z tobą, pani, mówiąc zagadkami. Chodzi o to, że nikt nie potrafi odgadnąć, co on naprawdę myśli. W wielu dziedzinach przewyższa innych, jest takim wojownikiem, jakiego w Kronen nie widziano od pokoleń; cieszy się bezgraniczną lojalnością i oddaniem swoich zwolenników.

-A mimo to - nalegała, wyciągając wnioski nie z jego słów, lecz z tonu - znajdujesz w nim jakieś wady.

Nicolas zmarszczył brwi. Wypowiedział jakieś zdanie, które do niej nie dotarło, więc przysunął się bliżej. Teraz jego oddech muskał jej policzki i usłyszała między głosnymi wiwatami:

-Nie tyle wady, co sekrety. Widziałem go w bitwie z rozbojnikami. Jako przedstawiciel naszego księcia i potomek wysokiego rodu dzieliłem z nim racje polowe przy tym samym ognisku. Rozmawialiśmy o dawnej wiedzy. Lubi ją i jest to jedna z dziwnych cech jego charakteru. Myślę jednak, że prawdziwy Lorien przebywa w ukryciu i że jeszcze nikt go nie widział.

-Podobno książę chce wydać za niego Jej Wysokość Mahart - powiedziała Willadene i na moment zrobiło jej się zimno koło serca. Na książęcym dworze nie ma miejsca na szczerosc (w istocie nawet zdziwiła ją nagła otwartość Nicolasa), ale Mahart - a już dość dobrze ją poznała - zasługuje na kogoś lepszego od mężczyzny, który kryje przed światem swoje prawdziwe ja.

-Panny z wysokich rodów nie mogą wybierać sobie mężów - skomentował Nicolas. A potem, jakby chciał szybko zmienić temat rozmowy, druga ręka wskazał na tęczową plamę z tyłu i na prawo od księcia Uttobrica. Uttobric siedł teraz do przodu i jak zwykle wydawało się, że się przebrał w czyjs paradny strój, a Mahart o dwa zwyczajowe kroki za nim. - Tam - ciagnał Nicolas, nie okazując odrobiny szacunku dla orszaku prawowitego władcy - stoi tak zwana ozdoba naszego dworu - pan Barbric i jego kompani. Zwróć uwagę na ich kolczugi i miecze! - szydził otwarcie. - Gdyby te tchorzliwe psy choć trochę przypominały starego księcia, już dawno byśmy się pozbyli Czerwonego Wilka i jego naśladowców, nie czekając na obcego królewicza. Ci tam mają własne sposoby walki i nigdy nie walczą czysto.

Willadene przypomniała sobie tamten poranek w sklepie Halwice: potłuczone szkło na podłodze i otwarte grozby.

-Nasz książe to prawdziwy władca - odparła powoli. - A i kanclerz Vazul jest człowiekiem o silnej woli.

-Nie można zbudować twierdzy na ruchomych piaskach, gotowych pochłonąć budulec - powiedział zmęczonym głosem. - Wiesz, że w zamku rozwija się zgnilizna? - Uderzył dłoń w kamienną polkę. - Twoja pani uważa, że coś takiego nigdy dotąd się nie zdarzyło. Może sama zaraza pozostawiła jakieś ohydne nasienie, które miało zakiełkować w późniejszych czasach? A słyszałaś opowieści o starej niance Jej Wysokości Saylany? Saylana dała jej mieszkanie i opiekuje się nią. Willadene pokręciła głową.

-Julia nigdy nie plotkuje, ale pani Zuta ciągle przynosi nowiny księżniczce Mahart. Nigdy o kimś takim nie wspomniała.

-Pani Zuta... - powtórzył Nicolas. - A teraz spojrz tam, widzisz tego młodzieniaszka w fioletowo-niebieskim stroju, trzeciego na prawo od Barbrica?

Willadene odnalazła tę osobę z pewnym trudem. Znacznie bardziej obchodziło ją to, co mówił Nicolas, niż przewlekła ceremonia w dole.

-To pan Hulfric. Zapamiętaj to imię. Pochodzi z książęcego rodu, ale nie ma żadnych nadziei na tron. Ostatnio zainteresował się twoją Zuta, gdy ta dwoiła się i troiła w poszukiwaniu plotek. Od czasu do czasu na pewno jest kompanem Barbrica od kielicha, a przecież nie został najważniejszym z jego towarzyszy. Obserwuj Zute, jeśli możesz, pani. Ach, właśnie uroczyste witają Lorienę. Mam nadzieję, iż wszyscy mistrzowie ceremonii czują ulgę, że wszystko poszło tak dobrze.

Zaczął się odsuwać od kamiennej polki, kiedy Willadene chwyciła go za rękaw.

-Robisz wiele aluzji, ale nic nie mówisz otwarcie - powiedziała ponuro. - Właściwie po co mnie odszukales?

-Pani, zaliczasz się teraz do najbliższych towarzyszek naszej księżniczki. Pamiętam też pewną noc, kiedy na moich oczach pokonałaś coś, co nie powinno istnieć w naszym świecie. Pod tym dachem przebywa bardzo mało osób, którym naprawdę można zaufać, i myślę, że ty jesteś jedną z nich. Strzeż swojej pani - wszyscy znają plany księcia i opozycja aż kipi ze złości. Musimy być gotowi, kiedy nastąpi wybuch.

Wpatrywał się w jej oczy, jakby wbijał w nie ostrza sztyletów. Tak, brał udział w tajemnych grach o władzę, a przecież ufala mu Halwice, której Willadene bezgranicznie zawierzyła.

Skinęła twierdząc głową. Nicolas wysliznął się i odszedł tak niepostrzeżenie, jakby zniknął w ścianie. Przez sekundy lub dwie czuła się bardzo samotna.

Teraz odbedzie się uroczysta uczta. Po niej Mahart wróci do swoich komnat, by rozpocząć długie przygotowania do balu, który potrwa cała noc. Willadene przypominała sobie, że księżniczka musi w ciągu jednego dnia uczestniczyć w dwóch takich ceremoniach, a potem tańczyć w nocy na balu. Dobrze się stało, że taki los nie przypadł mi w udziale, pomyślała z radością.

Mahart wyciągnęła się na łożu i zamknęła oczy. Bolały ją stopy i plecy i wydawało się jej, że od rana postarzała się o wiele lat. Już nigdy nie użyje tego pachnącego paprociami płynu! Przynajmniej pozwolili jej na krótki odpoczynek, o ile coś takiego w ogóle jest możliwe - przecież przez cały czas musiała się uśmiechać i uważnie słuchać wypowiedzi księcia Loriena (nie usłyszała od niego nic poza zwykłymi banalami podczas uczy, która zdawała się ciągnąć bez końca), zanim pojawi się w całej swej okazałości na balu.

Teraz pragnęła tylko zasnąć, czując zapach cudownego kadzidła Halwice, i obudzić się na kwitnącej łące ze snów. Pokreciła głowę, starając się ułożyć ją wygodniej na poduszce. Dobrze, że nie ma już we włosach sznurow mlecznobiałych kamieni.

Pomyślała o księciu, którego gościli. Czy ktoś kiedykolwiek nazwał go po prostu Lorieniem? Tak, uśmiechał się, ale nigdy oczami. Mówił, lecz wypowiadał tylko zdawkowe, poprawne komentarze, wtracając od czasu do czasu komplement, który na pewno nie był szczery.

Tak, jest przystojny i w stroju wojownika w interesujący sposób odróżnia się od dworskich fircyków. I chociaż siedziała obok niego przy wysokim stole, znacznie uważniej przysłuchiwała się słowom jej ojca. Utobric co jakiś czas wybuchał potokiem słów, jakby przypominał sobie, że musi rozmawiać z gościem.

Oczywiście ojciec zadał szereg pytań o atak na twierdzę Czerwonego Wilka. Mahart wydało się jednak, że Lorien odpowiadał na nie ogólnikowo, nie wdając się w szczegóły. Przyznał, że wzięli pewną liczbę jenców, których w swoim czasie, kilka dni temu, wydali gwardzistom gospodarza. I właśnie to ostatnie stwierdzenie sprawiło, że jej ojciec zamyslił się głębiej niż zwykle.

Vazula ceremonialnie przedstawiła go królewiczowi, ale potem kanclerz trzymał się z daleka i nie pojawiał się przy Utobricu jako jego opoka i doradca. Mahart jednak nie wątpiła, że kanclerz i książę Kronenu niejednokrotnie przecwiczyli tę scenę, powtarzając wiele z tych pytań, które teraz zadawał jej ojciec.

Ponieważ nie mogła nic dodać do rozmowy o mieczach i czynach wojennych, musiała ograniczyć się do słuchania. Po jakimś czasie odkryła pewną prawidłowość w pytaniach ojca. Chociaż pozornie cieszył się z upadku i śmierci Czerwonego Wilka, niezwykle interesował się też ludźmi pojmanymi w siedzibie tego rozbojnika - nigdy jednak nie zapytał o nich otwarcie.

Wreszcie wszystko się skończyło. Mahart nie smakowało tłuste jedło, a towarzystwo uznała

za frustrujące. Tylko jedno wydarzenie utkwilo ksiezniczce gleboko w pamieci: Jej Wysokosc Saylana - siedzaca o trzy miejsca dalej - nie spuszczala oka z Loriena, a moze z nich dwojga. Chociaz kosmetyki pozornie przywrocily mlodosc Saylanie, jest chyba za stara dla krolewiczka z sasiedniego panstwa.

Ale kto wie?

W przeszlosci zawierano dziwniejsze malzenstwa. Jezeli jakis wielmoza, chcac wprowadzic w zycie swoj plan, zenil sie z dziewczyna niemal tak mloda, ze moglaby byc j ego wnuczka - czy kokietka rownie doswiadczona jak Saylana nie umialaby zainteresowac soba ksiecia Loriena, ktory przeciez nie jest z nikim zwiazany? Jakim ciosem byloby dla wladcy Kronenu, gdyby jego zaprzysiegla nieprzyjaciolka przeciagnela na swoja strone sprzymierzenca, ktorego zamierzal pozyskac! Pokrzyzowaloby mu to wszak zawile plany.

Mahart wpila palce w miemka kolderke. Odeslala je wszystkie - Zute, Julte i uczennice Halwice. Ale ta wolnosc potrwa krotko. Czy ksiaze Uttobric rzeczywiscie uwierzyl, ze jego corka bedzie mogla skutecznie rywalizowac z Saylana, gdyby ta zechciala zastawic sidla podczas balu?

Kim jestem? Tak, ksiezniczka, ktora skonczyla osiemnascie lat i do niedawna byla utrzymywana jak we snie, z dala od prawdziwego swiata, pomyslala. Nic nie wiedziala o intrygach ukrytych we wnetrzu innych intryg, jakie knuli dworzanie jej ojca. Dla niej te wszystkie gierki w wiekszosci przypadkow byly tylko niepotrzebna strata czasu. W starych ksiegach wszystko dzialo sie w duzo bardziej ekscytujacy sposob. Ksiezniczki czesto nawet chwytaly za bron i staczaly bitwy w obronie swoich praw. Wyobrazila sobie, ze stawia czolo ksieciu Lorienowi z mieczem w dloni i nagle zachichotala.

Nie, jestem Mahart i jako Mahart zamierzam zrobic wszystko, co mozliwe - dla mnie samej! Niech ksiaze Lorien plasa po sali balowej (chociaz nie mogla sobie wyobrazic tej sztywnej postaci w tanecznym korowodzie); ja bede patrzec i jak mi kazano, sluchac.

Naciagnela ciasniej kolderke na ramiona. Postarala sie zapomniec o obolalym cielem i nie snula juz nowych planow, ktore moglyby przeszkadzac jej w zasnieciu. Wreszcie pograzyla sie we snie.

Ujrzala nie laki, za ktorymi tesknila, lecz gigantyczne paprocie, ktorych wierzcholki zwijaly sie wysoko nad jej glowa. Otaczal ja zielony mrok, miotal nia wilgotny wiatr, chociaz byla pewna, ze jej prawdziwe ciało nie znajdowalo sie w tym dziwnym miejscu. Dzialala tam natomiast nieznaną sila, ktora popychala ja, bezwolna, niezdolna do oporu, i im dalej zaglabiala sie w ten nieprzenikniony mrok, tym gesciej rosly wokół niej paprocie, jakby te olbrzymie rosliny staraly sie rozerwac ja na kawalki i pochlonac.

Mahart wielokrotnie miala koszmarne sny. Kiedy byla mlodsza, przerazajace cienie ozywaly i scigaly ja w ciemnych korytarzach. Jednakze ten byl inny - wydawal sie tak realny, ze

ksiezniczka zeszywniala ze strachu.

Otoczajace ja paprocie na chwile albo sie rozwarly, albo zniknely i wtedy ujrzala jakas stara twarz - tak pobruzdzona zmarszczkami, ze nawet oczy i usta ginely w ich glebinie. Ale te roziskrzone oczy spojrzaly na nia tak zlosliwe, iz wydalo sie jej, ze zadaly mocny cios.

Za tym zniekształconym przez upływ czasu potworem znajdował się jeszcze ktos. Widziała jednak tylko słup mgły, chociaż zauważyła w nim ciemniejsze jadro. Lecz to para złych oczu wiewiała ją w niewidzialnej sieci. Dwie szponiaste dłonie osadzone na wykrzywionych, koscistych ramionach podniosły się, wskazały na...

-Wasza Wysokosc! - Mahart uslyszala krzyk tak glosny, ze las paproci rozplynal sie w nicosc, a wraz z nim monstrum, ktore zastapilo j ej droge.

Otworzyla oczy i zdala sobie sprawe, ze siedzi na lozu i dyszy ciezko, jakby biegla zamkowymi korytarzami, ogarnieta dzikim przerazeniem.

Reka Zuty spoczywala na jej ramieniu, a Julta stala w nogach loza razem z uczennica zielarki Halwice.

-Nic ci nie jest, Wasza Wysokosc? - zapytala Zuta.

Serce Mahart powoli wrocilo do wlasciwego rytmu. Ksiezniczka wziala gleboki oddech.

-To byl sen! - rzucila wyzywajacym tonem jak ktos, kto nie ulega zadnym sennym majakom.

16

Jestes zbyt zmeczona, Wasza Wysokosc. - Zuta lagodnie popchnela Mahart z powrotem na poduszki. - Zielarko, masz jakis srodek wzmacniajacy? Jej Wysokosc ma malo czasu, poniewaz bal wkrótce się zacznie. Willadene poszła po swoja sakwe z medykamentami. Tak, wszyscy miewali koszarne sny, ale wydawalo sie jej, ze ksiezniczce przysnil sie straszniejszy koszar niz zwykle. Zapach paproci byl bardzo silny. Utrzymywal sie dluzej niz won jakiegokolwiek pachnidla, z ktorym dotad miala do czynienia. Zapragnela, zeby przyszla tu Halwice. Dreczylo ja bowiem przekonanie, ze jej wlasny talent zacmiewa cos znacznie oden potezniejszego. A przeciez nie wyczula smrodu zla.

Mahart prawdopodobnie byla tego samego zdania, bo gdy Willadene wrocila z kubeczkiem przyprawionego miodem napoju, ksiezniczka juz siedziala przed stolikiem, na ktorym stala taca z lekkim posilkiem.

Tej nocy podadza jeszcze jedna kolacje, ale tylko dla dworzan. Damy dworu sa zbyt zajete strojeniem sie, aby tracic czas najedzenie.

Mahart rozczesala palcami rozpuszczone wlosy.

-Willadene - zwróciła się po imieniu do uczennicy Halwice jak do zaufanej dworki. - Czy możesz w jakiś sposób usunąć ten zapach paproci? Chwilami mnie odurza. Jeżeli znów się wykapie - czy zdołasz pokryć go silniejszą wonią, a przynajmniej osłabić?

-Może spróbować, Wasza Wysokość. - Willadene usiłowała sobie przypomnieć, co Halwice zrobiłaby w takiej sytuacji. Zwykle jednak zapach, który miał zostać usunięty, był nieprzyjemny; nie miała też pewności, czy ta próba się powiedzie. Rozumiała, dlaczego Mahart pragnie się pozbyć tego zapachu; ja sama też przytłaczał.

Tak, tu konieczna jest kąpiel z dodatkiem pewnych kryształów. Maja jednak mało czasu. Na rozkaz Mahart Willadene zajęła się realizacją jeszcze bardziej skomplikowanego przedsięwzięcia niż rankiem tego dnia.

Zapach paproci zniknął, kiedy Willadene użyła mocnej wody z kwiatu pomarańczy zarówno do kąpieli, jak i do umycia włosów księżniczki. Wprawdzie były to tylko zwykłe perfumy, ale z fantazją dodała do nich pewnych zamorskich przypraw. Rezultat na pewno nie był taki, jakiego zazwyczaj pragnęły damy szykujące się do spędzenia milego wieczoru, lecz gdy skończyła, Mahart uściśnęła jej rękę.

-Możliwe, że pachnie jak pudding w Święto Środka Zimy - roześmiała się, ale markotna mina, z jaką się obudziła, zniknęła z jej twarzy. - Przypomniałam sobie jednak stare porzekadło, że droga do serca mężczyzny prowadzi przez żołądek. Mam nadzieję, że książe Lorien lubi ciasto z owocami!

-Wasza Wysokość, jesteś pewna, że... Może jest jakiś inny środek? Czego mogłabym jeszcze użyć, zielarko? - Zuta spochmurniała i patrzyła, jak Julta ubiera Mahart w cienką, przylegającą do ciała bieliznę, którą pokojowa ostrożnie wyjęła z szafy. Na szczęście szafy tej przedtem nie otwierano i wszystkie zgodziły się, że nie był od niej zapach paproci.

Julta zasznurowała na plecach Mahart suknie, zbyt strojna jak na gust księżniczki, ale taką zamówił dla niej książe Uttobric. Willadene obficie spryskała ją wodą z kwiatów pomarańczy; pomyślała, że Mahart źle wygląda w tym kolorze.

Księżniczce najlepiej było w chłodnych, delikatnych odcieniach. A te suknie uszyte ze sztywnego, złocistego brokatu, który ukrywał smukłe, młode ciało Mahart i sprawiał, że wydawała się niemal niezgrabna.

Ponieważ księżniczka nadal miała nieco wilgotne włosy, zczesano je do góry i ukryto pod siatką. Siatka ta była tak gęsto wysadzana drogimi kamieniami, że zacmiewała delikatne rysy twarzy, włosy zaś upodabniała do peruki.

Mahart miała przewodzić tancom, oczywiście wraz z księciem Lorienem, dobrze więc, że nie będzie musiała dodatkowo dzwigać trenu i zamykać sukni podłogi.

-Brrr! - Księżniczka stanęła przed podłużnym zwierciadłem, które Julta ustawiła pod

odpowiednim katem. - Wygladam jak lalka. Mysle, ze Saylana ucieszy sie na moj widok.

Wydawalo sie jednak, ze nie przywiazuje do tego szczegolnej wagi.

Wielka sala, przygotowana na te okazje, byla wysoka na trzy pietra. Na dwuch balkonach w gorze tloczyli sie sludzy najwyzszej rangi, ktorzy teraz nie mieli nic do roboty i dlatego pozwolono im przygladac sie widowisku w dole. Za ich szeregami klebil sie tlum mniej waznych sluzacych. Willadene miala nadzieje, ze zobaczy gdzies Halwice, wiedziala bowiem, ze skromna suknia zielarki bedzie bardziej niz zwykle rzucac sie w oczy wsrod tych wspanialych strojow. Nigdzie jej jednak nie ujrzala.

Z sukni i wlosow Willadene saczyl sie silny zapach wody pomaranczowej, ktorej na rozkaz Mahart uzyly jej dworki i sluzki. Dziewczyna zauwazyla, ze kiedy sie porusza, sasiedzi i sasiadki odsuwaja sie nieco, jakby uwazali jej towarzystwo za uciazliwe. Ale tak samo traktowali Julte, stojaca obok niej.

Pod pierwszym balkonem ulokowano muzykantow. Poniewaz ksiaze Uttobric nie przepadal za muzyka i nie trzymal grajkow na dworze, trzeba bylo szybko odszukac tych, ktorzy sluzyli jego poprzednikowi, i urzadzic pospieszna probe, a co z tego wyniknie, wktotce wszyscy sie przekonaja.

Na podium na pomocnym krancu tej dlugiej sali na tronie zasiadl juz ksiaze Uttobric, jakby zajmujac to wyeksponowane miejsce, mogl w jakis sposob przyspieszyc poczatek balu.

Mahart szla do drugiego wysokiego krzesla ustawionego stopien nizej od tronu jej ojca, a tuz za nia kroczyła Jej Wysokosc Saylana w zielonej jak morze sukni ozdobionej srebrzysta siateczka, w ktorej tkwily perly. Kosztowne naszyjniki z perel zdobily jej calkowicie odsloniete biale ramiona, wyplywajace z zasznurowanego ciasno stanika. Sznury perel polyskiwaly tez w jej czarnych wlosach, podtrzymujac malenka tiare, zdumiewajaco podobna do korony ksiecia Uttobrica.

Za tronem ksiecia stal jego osobisty giermek, ktory wygladal wspaniale w ceremonialnym kaftanie z herbem wladcy Kronenu. Trzymal ostrocznie poduszke, na ktorej lezal srebrny diadem, tak zwieneczony i wysadzany diamentami, ze wydawal sie zacmiewac niemal wszystkie noszone w poblizu klejnoty.

Zagraly znow fanfary, tak glosno, ze az uszy pekaly. Ich dzwiek byl znacznie bardziej uciazliwy dla sluchu w tej zamknietej sali, niz przedtem na otwartej przestrzeni. Stojacy ponizej podium tlum dworzan i dworek szybko sie rozstapil i zafalowal, gdy wszyscy zlozyli gleboki uklon lub dyg przed samotna postacia, w ktora wpatrywaly sie wszystkie oczy.

Tym razem ksiaze Lorien nie mial na sobie rynsztunku wojennego, lecz w przeciwienstwie do zgromadzonych w sali mezczyzn nosil ciemnoszare, niemal czarne bryczesy. Kaftan tej samej barwy prawie zaslanial plaszcz rycerski tak wspaniale ozdobiony metalowymi nicmi i drogimi kamieniami, ze niemal oslepial tych, ktorzy patrzyli na stapajacego rownym krokiem

bohatera.

Książę Uttobric poruszył się w krzesle. Vazul postąpił do przodu, by zapowiedzieć przybycie królewicza. Willadene znajdowała się za daleko, aby odróżnić wyraz twarzy znajdujących się w dole osób, ale wyczuła, że władca Kronenu usiłuje pokonać w sobie nienawiść do widowisk, kiedy szybkim ruchem reki polecił giermkowi stanąć obok Maharta.

Księżniczka widziała twarze obecnych, ale bardziej interesowały ją ich myśli. Usłyszała, że Uttobric kichnął dwukrotnie i nie wątpiła, iż zrobi jej awanturę za to, że użyła zbyt mocnych pachnidła, których zapach był od niej.

Saylana uśmiechała się tak obojętnie jak zawsze. Uśmiech ten jednak kierowała teraz do księcia Loriena. Sama Mahart również nie odrywała od niego wzroku, gdy Vazul monotonnym głosem wychwalał jego wielkie zwycięstwo i dług wdzięczności, jaki zaciągnął u niego Kronen.

Bez kolczugi i żołnierskiego ekwipunku królewicz nie wydawał się tak nieprzenikniony jak na uczcie. Lecz Lorien-człowieka zacmiewał tylko trochę blask wspaniałego płaszcza - jakby i on nosił, nieco niezrecznie, pożyczone szaty.

-Kronen znalazł wielu bohaterów - powiedział Uttobric. - Mamy wielki zaszczyt powitać w tej godzinie nowego, największego ze wszystkich! Choć nie pochodzi on z naszego kraju, oczyszczył go z narastającego zła. Wszystko wskazuje na to, że sprawiła to łaska Jasnej Gwiazdy. I Kronen właśnie jemu ofiarowuje dar Gwiazdy.

Czekająca na tę wskazówkę Mahart wstała i oburącz uniosła z poduszki błyszczący diadem, który książę giermek trzymał w pogotowiu. Oczywiście Lorien nie ukleknie, gdyż nie jest wasalem władcy Kronenu. Stanął jednak na niższym stopniu podwyższenia, żeby księżniczka łatwiej mogła włożyć mu diadem na lekko pochyloną głowę. Teraz Mahart poczuła rozkoszny dreszczyk. To ona uhonoruje zwycięzce. Nie musi wywijać mieczem, lecz w znacznie bardziej osobisty sposób weźmie udział w tej ceremonii. Miała wrażenie, iż sztywne rekawy krepują jej ręce, kiedy podniosła je tak wysoko, że oparły się o zdobne drogimi kamieniami ramiona Loriena. Pochyliła się do przodu (chyba mogłoby trochę pomóc, pomyślała z irytacją) i zdolana złożyć honorowy pocałunek, muskając ustami policzek królewicza.

Lorien uśmiechnął się, ale nie wątpiła, że była to zwykła uprzejmość. Jego nozdrza drgnęły. Może zapach kwiatu pomarańczy działał na niego tak samo jak na jej ojca?

Królewicz wyciągnął ku niej rękę, a książę Uttobric dał znak muzykantom. Lekko oparła palce o ramię Loriena, który sprowadził ją z podium i poprowadził do korowodu, wokół przeznaczonej do tego przestrzeni. Bal został rozpoczęty.

Dla patrzącej z góry Willadene ten taneczny marsz wyglądał jak tęczowy krąg nakładających się na siebie kolorów. Skupiła uwagę głównie na księciu Lorieniu i na

ksiezniczce Mahart. Jak sie czula, spotkawszy kogos, z kim miala dzielic zycie na dobre i na zle?

Przynajmniej jest mlody i urodziwy i jego zolnierze sa z nim mocno zwiazani. Czy jednak bohater wojenny bedzie dobrym mezem? Mozliwe, ze tylko Jej Wysokosc Saylana potrafilaby na to odpowiedziec, gdyz w Kronenie krazylo dosc plotek o tym, jak ona i jej malzonek spedzali wolny czas w loznicy.

Tlum stojacych za nimi slug nizszej rangi naparl do przodu i Julta burknela ostrzegawczo, gdy ja popchnieto. Wielki korowod dobiegal konca i mialy sie zaczac tance. Lorien zgodnie z etykieta poprowadzil Mahart do pierwszego i uklonil sie gleboko, a ona odpowiedziala rownie glebokim dygiem.

Mozliwe, ze czeste cwiczenia z szermierki zapewniaja mezczyznie pelne wdzieku ruchy w tancu, pomyslala Mahart. Lorien nie plasal niezdarnie - czego sie raczej spodziewala, gdyz podobno mial unikac takich okazji na dworze swego ojca. I nadal zachowywal mily wyraz twarzy, skupiajac uwage na swojej partnerce w bardzo pochlebny dla niej sposob. Mahart stwierdzila, ze tancza ze soba niezwykle zgodnie i ze nigdy tak dobrze jej sie nie plasalo z zadnym mlodym wielmoza podczas nauki tanca. Poczula sie zaskoczona i nieco zawiedziona, gdy muzyka ucichla i falujacy szereg tancerzy znieruchomial.

Mahart oparla palce na nadgarstku Loriena, a on zaprowadzil ja z powrotem na podwyzszenie, gdzie niepostrzezenie pojawilo sie jeszcze jedno wysokie krzeslo, ustawione obok jej wlasnego. Ksiezniczka zarumienila sie lekko na te widoczna aluzje, ze laczo jej osobe z Lorieniem. Krolewicz jednak nie okazal zaskoczenia. Czy Lorien, ojciec i Vazul juz zaplanowali jej przyszlosc? Na te mysl ogarnal ja gniew tak gwaltowny, ze porownala go z bijacym od niej mocnym zapachem zamorskich korzeni.

Oszolomiona, probowala wymyslic jakies zdanie, od ktorego moglaby rozpoczac rozmowe. Swiaty jej i Loriena wydaly sie jej nagle tak rozne, ze nic nie przychodzilo jej do glowy, co tylko poglebilo frustracje. Tym bardziej ze Saylana zwrocila na milczacego towarzysza Mahart pewne siebie i wladcze spojrzenie. Oczywiscie, skoro ksiaze Uttobric nie tanczyl, teraz Lorien mial poprowadzic do tanca druga dame ksiestwa. Kiedy muzyka znow zagrała, wstal, uklonil sie Mahart i podszedl do Saylany, ktorej usmiech mial w sobie cale cieplo upalnego dnia w srodku lata.

Gdy ksiezniczka patrzyla, jak tych dwoje spotyka sie i rozchodzi w figurach dworskiego tanca, zauwazyla, ze Saylana bez trudu znalazla jakis temat rozmowy. I Lorien wyraźnie zwracal na nia uwage. Dwukrotnie usmiechnal sie szeroko, a raz nawet rozesmial glosno. Tak, Saylana dobrze umiala grac w te gre.

Mahart nagle stracila resztki pewnosci siebie. Zaakceptowala plany ojca dotyczace ewentualnego malzenstwa tak samo jak wszystkie inne rozkazy dotyczace jej postepowania. Az do tej nocy byla przekonana, ze kazdy konkurent to cos w rodzaju

marionetki, która zatoczy tak, jak jej zagrają Uttobric i Vazul. Lorien wydawał się jednak inny, chociaż o mężczyznach wiedziała tylko to, co usłyszała od Zury. Teraz na moment zwątpiła, czy te wszystkie plotki faktycznie mają coś wspólnego z prawdą.

Nagle odniosła wrażenie, że w wielkiej sali jest za gorąco i zapagnęła z niej wyjść, opuścić zgromadzone tam towarzystwo, znaleźć chwilę spokoju, żeby uporządkować zamęt panujący w głowie. Przede wszystkim jednak chciała posiadać odpowiednią wiedzę, żeby żaden niewłaściwy uczynek, wypływający z ignorancji, nie rozbawił tych, którzy jak od dawna to podejrzewała, tak naprawdę wcale jej nie lubili.

Willadene obserwowała taneczne kregi, ukłony i dygi, dotknięcia palców, i uznała, że dworski bal może wydawać się nudny, jeśli nie bierze się w nim udziału. Dreczył ją głód i czuła się zmęczona po próbach usunięcia z ciała i włosów Mahart niemiłego zapachu. To było dla niej nowe doświadczenie i bardzo chciałaby podyskutować o nim z Halwice.

Jeszcze raz przyjrzała się szeregowi sług wyższej rangi stojących na przodzie balkonu. Sądziła, że Halwice na pewno będzie wśród nich. Nie widziała jednak jej ciemnej sukni wśród połyskujących oznak z herbami rodów i jasnych połyskliwych strojów. Nawet Julta włożyła rdzawozłota suknie, zdjęła fartuch i ciasny czepiec; zamiast tego przepasała siwiejące włosy obszyta koronkami wstążka.

Mężczyzna w liberii lokaja przepchnął się do boku Julty i rozmawiał z nią, ale głosna muzyka zagłuszyła jego słowa. Willadene nie rozpoznała herbu, który nosił, co nie znaczyło, że nie może być starym przyjacielem Julty. Pokojowa księżniczki skinęła głową, a potem odwróciła się do Willadene.

-W jadalni dla służby trwa uczta. Moja przyjaciółka Jacham twierdzi, że warto się tam pofatygować, bo stół jest wysmienity. Pójdź z nami?

Dziewczyna potrząsnęła przecząco głową. Myśl o jadle wydawała się zachęcająca, ale była pewna, że Julta spodziewa się właśnie takiej odpowiedzi. Uznała, że się nie pomyliła, kiedy pokojowa księżniczki szybko przecisnęła się przez tłum razem ze swoim towarzyszem. Willadene nie chciała się narzucać tym dwojgu, może jednak pójść i zgubić się w tłumie innych sług, którzy tam podawali.

Gdy dotarła do drzwi jadalni, jej uwagę zwrócił zapach czegoś więcej niż tylko pieczonego mięsa i ostrych sosów. Usłyszała w pobliżu głosny chichot i ujrzała, że to śmieje się jedna ze służących niższej rangi - czepiec zawisł na wiazaniach na pulchnych ramionach, a głupia mina i krwistoczerwone rumieńce jej twarzy świadczyły, że już nadużyła mocnego piwa. Uczepiła się ramienia mężczyzny w stroju starszego stajennego, z szerokim uśmiechem patrzeć mu w oczy, i od czasu do czasu szturchając go pięścią w zębra. Ale...

To Figis! Co ten podejrzany mieszczanin tu robi? Kiedy Willadene widziała go po raz ostatni, na pewno nie wyglądał jak obdarty kuchcik, którego знаła. Teraz zaś był wystrojony niczym

sluga wysokiej rangi z dworu jakiegos wielmozy.

Polaskotal swoja towarzyszke pod podwojnym podbrodkiem, a potem pocalowal ja glosno, co sluzaca uznala najwyrazniej za dobra monete. Teraz, kiedy Willadene podeszla blizej, rozpozнала ja - byla to Hettel, przydzielona do komnat Jej Wysokosci Mahart sluzebna dziewczka, ktora zbierala brudna bielizne i pilnowala, zeby ja wyprano. Zazwyczaj sprawiala wrazenie spokojnego popychadla, podporzadkowanego zelaznej dyscyplinie jak wszyscy palacowi sludzy. Jej swobodne zachowanie nieco zaszokowalo Willadene. Zdumiala ja zwlaszcza obecność Figisa. Zanim jednak posluchala pierwszego impulsu i przepchnela sie przez tłum - chciala bowiem podejsc tak blisko, by uslyszec, o czym rozmawiaja - rozdzielila ich rozesmiana, rozspiewana gromada i tamta para zniknela.

Willadene uswiadomila sobie, ze trudno jej bedzie zrealizowac pierwotny plan i dotrzec do stolu. Nawet nie probowala znalezc wolnego miejsca na lawach - wszystkie byly zajete. Siegnela jednak reka ponad jakims lokajem, ktory skulil sie i cos nucil pod nosem, i chwycila placek z miesem oraz jablko.

Nigdzie nie widziala Julty i nie podobalo sie jej coraz bardziej swobodne zachowanie obecnych. Dlatego, zjedzeniem w reku, wrocila do swojej izby w wiezy. Woda z dzbana zastapila tumaniace umysl piwo. Jadla powoli, rozmyslajac na temat Hettel i Figisa. Jak ten ostatni zdolal sie wsliznac miedzy sluzbe palacowa? Juz samo to wydawalo sie niemozliwe - wszyscy oni byli bowiem synami i corkami lub krewnymi swoich poprzednikow i rzadko, jesli w ogole, dopuszczali kogos obcego do swego scislego grona.

Jeszcze bardziej dziwilo ja, ze ktos pokroju Figisa tak wysoko awansowal. Choc informacja ta wydaje sie banalna, powinna ja jakos przekazac albo swojej pani, albo kanclerzowi. Nie watpila, ze Halwice musi od czasu do czasu spedzic kilka godzin w swoim sklepie. Moze wiec sprobuj tam pojsc pod pozorem uzupelnienia zapasow kosmetykow i lekow? Takie rozwiazanie uznala za najlepsze. Czula sie bardzo zmeczona. Rozebrala sie powoli i wlozyla cienka nocna koszule. Na szczescie na jej lozku lezaly grube koce, bo juz wczesniej zauwazyla, ze lufcik w waskim oknie sie nie domyka. Bluszcz, ktory pietro nizej szczelnie pokrywal mur wokol komnaty ksiezniczki, znalazl nieco wyzej rownie dobre punkty zaczepienia na kamiennej scianie. Kiedy Willadene wyrzala przez okno, zauwazyla w nocnym mroku, ze splatana masa roslin rozciaga sie miedzy nia a malym balkonem Mahart.

Pozniej polozyla sie na lozku, siegnela reka po amulet i znajome dotkniecie uspokoilo ja na tyle, ze zamknela oczy i zasnela.

Obudzila sie w gestych ciemnosciach. Lampa, ktora zawsze palila sie przez cala noc, zgasla nie wiadomo dlaczego. Wyczula cos jeszcze, cieple cialko na szyi, uslyszala cichy syk. Otaczal ja - tak! - silny smrod zla.

-Julta?! - zawolala i z drugiego lozka odpowiedzialo jej glosne chrapanie. Przyciskajac mocno do siebie Ssssaaa, Willadene wysunela nogi spod kocow i palcami nog poszukala

po omacku kapci.

Teraz, kiedy jej oczy przyzwyczały się do mroku, dostrzegła majaczący w nim ledwie widoczny prostokąt okna. Kierując się nim jak drogowskazem, odeszła od łózka.

Trzymając się ściany, łatwo znalazła drogę do drzwi, choć raz bolesnie uderzyła się o stół. Ale drzwi się nie otworzyły, choć szarpała za klamkę. Wreszcie musiała się pogodzić z faktem, że ktoś ją zamknął z pomocą czegoś, czego nie rozumiała.

Podeszła do łózka Julii. Pokojowa księżniczki nawet się nie rozebrała, Willadene nigdy nie widziała jej w takim stanie: leżała jak wielka bryła, nie przykryta kocem.

Pijana czy nafaszerowana jakimś narkotykiem? W każdym razie nie zdoła jej pomóc. Willadene zlokalizowała teraz źródło tej aury zła pod stopami, jakby docierała z dołu, z komnaty Jej Wysokości Mahart!

Ssssaaa znowu syknęła jej do ucha i dziewczyna zdała sobie sprawę, że zwierzątko nalega, by podeszła do okna. Zadrzała z zimna w cienkiej koszuli, gdy weszła na stół i wyjrzała przez okno.

Noc była ciemna, bezkieszykowa, ale z zaniku w dole rozlewało się słabe światło, jakby jeszcze nie zgaszono wszystkich świecanych lamp i pochodni. Willadene wyciągnęła rękę, chwyciła najgrubszą lodygę bluszczu i pociągnęła z całej siły. Lodyga drgnęła, a potem znieruchomiała. Dziewczyna zrozumiała, że ta zaimprovizowana drabina prowadząca na balkon piętro niżej to jedyna droga do zaatakowanej przez zło komnaty Mahart.

Dobrze się stało, że musiała bardziej polegać na dotyku niż na wzroku, bo nigdy nie czuła się dobrze wysoko nad ziemią. Ssssaaa zsunęła się z jej ramienia w gestwinie bluszczu. Spodnice nie nadawały się do takiej wspinaczki. Willadene wróciła do łózka i po omacku odnalazła ukryty pod poduszką pasek, przy którym wisiały przybory codziennego użytku. Zapięła go starannie, a potem rozcięła nożem dolną część koszuli nocnej i owinęła oba pasy materiału wokół nóg.

Tak przygotowana otworzyła okno jak najszerzej i w jakiś sposób wygramoliła się na zewnątrz. Desperacko czepiała się bluszczu, usiłując znaleźć oparcie dla rąk i nóg. Uschnięte liście i ostre konce lodyg bardzo to utrudniały.

Znacznie bardziej przeraziła ją świadomość, że jakaś niebezpieczna zła moc czeka w dole. A kiedy Willadene dotknęła bosymi stopami lodowatych kamieni, ujrzała, że na balkon pada światło z komnaty Mahart. W sypialni księżniczki ktoś był!

Willadene nie usłyszała żadnych słów, ale zobaczyła co najmniej cztery ciemne cienie gorące nad szerokim łóżkiem. Jeden z nich odwrócił się nieoczekiwanie, tak że słabe światło lampy padło na jego twarz. Halwice! Z okrzykiem ulgi Willadene chwiejnym krokiem weszła do komnaty.

Nagle Halwice zrobiła coś, co tak zaskoczyło dziewczynę biegnącą w stronę swojej pani, że zatrzymała się w poł kroku. Zielarka bowiem po prostu wskazała palcem na stojący na toalecie kandelabr i cztery świece natychmiast zapaliły się jasnym płomieniem, lepiej oświetlając pomieszczenie.

Ujrzała Ssssaaa leżącą na ramieniu Vazula, ledwie osłoniętą, ponieważ szata zsunęła się, kiedy zwierzątko wspinało się na swoje zwyczajowe miejsce. Nie ulegało wątpliwości, że większość obecnych pośpiesznie zerwała się po nocy. Blask świec odbijał się od obnażonego krótkiego miecza w dłoni zamaskowanej postaci ubranej w czarny, obcisły strój, który czynił ją niemal niewidoczną.

To nagły, szybki ruch Nicolasa, gdyż dzięki swemu talentowi rozpoznała go w odzianym w czerni mężczyźnie, zwrócił jej uwagę na łoże - a raczej na jego szczatki!

Tam gdzie przedtem leżały gładko materac i pościel, teraz Willadene zobaczyła klebowisko z dziurą w środku, do której zwieszały się kotary łoża, jakby coś wessało je z dołu. Z otworu bił silny odor zła.

Halwice odeszła od pozostałej trojki stojącej obok łoża. Oparła ręce na ramionach Willadene.

-Długo z nią przebywałeś w ostatnich dniach. Znasz ją!

Willadene, drżąc i usiłując walczyć z mdłym smrodem, dobrze rozumiała słowa zielarki. Tak, doskonale pamięta osobisty zapach Maharta. Nawet zło nie mogło zetrzeć jego śladów z łoża księżniczki.

-Oto tropicielka, której można we wszystkim zaufać - oświadczyła zielarka.

Willadene ujrzała, że Nicolas zacisnął uparcie usta i zadała sobie w duchu pytanie, w jakim stopniu zgadza się on z rekomendacją Halwice. W międzyczasie Vazul glaskał swoje zwierzątko i mrużąc oczy przyglądał się dziewczynie. Nie wyczytała jednak w nich powątpiewania. Później w krąg światła weszła trzecia osoba, która przedtem stała w nogach łoża.

Książę Lorien - zapewne przed snem - zrzucił uroczysty strój, a teraz wpatrywał się w Willadene.

-Nic nie wiem o takich sprawach - powiedział szorstko, marszcząc brwi.

-Każdy ma swój własny talent, książę - odpowiedziała Halwice. - Ty masz talent do władania bronią i przewodzenia w boju. Lecz są wśród nas inni, którzy ci dorównują. Powiedz mi, dlaczego tu przyszedłeś?

Królewicz rozchmurzył się i rozejrzał wokół, jakby nagle zdał sobie sprawę, gdzie się

znajduje.

-Ja... byłem potrzebny... wezwano mnie... we śnie...

Halwice skinęła głową.

-Właśnie. Na każde pytanie jest odpowiedź. Tej nocy stało się coś złego, czego nawet my, znawcy Dawnych Praw, nie rozumiemy. Myślę, księżo, że ty również miałeś stać się ofiarą, ale ci, którzy grają w te gry, nadal są tylko amatorami. Uwalniają moce, których w pełni nie rozumieją. Nie uczyniłby tego żaden zdrowy na umyśle człowiek.

-Ja - ofiara! Czyja i dlaczego? - Twarz mu poczerwieniała. Zaciśnął ręce na słupie podtrzymującym baldachim łoża, jakby chciał go użyć jako broni.

Tym razem to Vazul udzielił mu odpowiedzi, ale okreśną drogą.

-Wasza Wysokość, gdyby rano twoi oficerowie stwierdzili, że zniknąłeś, i może znaleźli ślady świadczące, że grozi ci niebezpieczeństwo - co by wtedy zrobili?

-Rozebraliby Kronengred kamień po kamieniu - odrzekł po prostu.

-Właśnie. Ale stałoby się to po okresie rozpaczliwych poszukiwań, rozpetaniu nienawiści. Uwolniłeś nas od tego potwora Czerwonego Wilka. Za nim kryją się jednak inni, którzy nie chcą tu ciebie i twoich doskonale wycwiczonych żołnierzy. Posiałiby niezgodę i Kronen drogą by za to zapłacił swoją krwią. Nie wiemy, dlaczego ich plany nie powiodły się w pełni, ale nie ulega wątpliwości, że porwali Jej Wysokość Mahart.

Ssssaaa znów syknęła, a kanclerz szybko odwrócił się do Halwice.

-Czas jest naszym wrogiem, pani. Lepiej ruszajmy tropem porwaczy.

Halwice położyła ciepłą dłoń na ramieniu Willadene, dodając jej otuchy.

-Musimy się przygotować, nie możemy wyruszyć na poszukiwania bez tego, czego najbardziej potrzebujemy.

Gdy Nicolas to usłyszał, wykonał taki ruch, jakby zamierzał wskoczyć do dziury na środku łoża, ale Vazul powstrzymał go.

-Nie poluj bez swojego tropiciela.

Nicolas rzucił okiem na Willadene i choć nie widziała wyrazu jego zasloniętej maski twarzy, wyczuła, że ten rozkaz wcale mu się nie spodobał.

Halwice szybko zaprowadziła ją do jednej z wielkich szaf i szarpnięciem otworzyła drzwi tak, żeby posłużyły za parawan. Szukała wśród mnóstwa strojów, aż w końcu wyjęła spodnicę-

spodnie, jakich damy uzywaja do konnych przejazdok na wsi, z wygladu zupelnie nowa. Dodala tez inne czesci ubioru i kiedy Willadene je wlozyla (Halwice pomagala jej wiazac sznurowadla i tasiemki) zdala sobie sprawe, ze ten podrozny stroj znacznie mniej krepuje ruchy niz codzienne odzienie i ze jest tez bardziej ozdobny od wszystkiego, co dotad nosila. Halwice obciela nozyczkami odznaki z ramienia i piersi. Naszyte na nich perly i male kamienie szlachetne spadly na podloge. Nie skonczyla na tym, lecz zebrala w nieladzie narecze innych ubran, ktore wlozyla do jakiejjs torby.

Willadene nie osmielila sie zaprotestowac nawet wtedy, gdy Halwice chwycila ja za wlosy i obciela je na wysokosci ramion. Zielarka przez caly ten czas milczala, teraz jednak popchnela noga torbe z ubraniami.

-Naleza do ciebie - stwierdzila. - Sa tam specyfiki, ktore znasz - uzyj ich wtedy, gdy bedziesz musiala. Pamietaj wszakze, ze tylko twój nos moze pomoc Mahart i ostatecznie zapewnic bezpieczenstwo calemu Kronenowi.

17

Mahart oczywiscie snila, ale sen ten wydawal sie bardzo realny i przerazajacy. Nic bowiem nie widziala, a kiedy usilowala podniesc reke do osleplych nagle oczu, ta nie posluchala jej rozkazu. Nie byla tez sama, gdyz od czasu do czasu slyszala niewyraźne rozmowy, i na pewno nie znajdowala sie w swoim lozu - pamietala, ze wsliznela sie tam bardzo zmeczona, pragnac tylko snu. Wyczuwala rowniez jakis nieprzyjemny odor, a przynajmniej rozne, klocace sie ze soba zapachy. Resztki korzennej woni nadal do niej Ignely, choc powietrze przesycal kwaskowaty smrod zgnilizny i jeszcze cos, czego nie umialaby nazwac, lecz co przejmowalo ja dreszczem.

We snie znow pograzyla sie w gestym mroku. Nastepnym razem obudzil ja bol, jej plecy ocieraly sie o chropawy kamien. Nie panowala nad glosem tak samo jak nad oczami i rekami, byla wiezniej tych nieprzeniknionych ciemnosci. Kiedy jednak sprobowala uporządkowac docierajace do niej wzraszenia, tepy bol nad oczami znacznie sie nasilil.

Czy to, co wyczuwala, wisi w powietrzu?

Cialo jej nie sluchalo, byla calkowicie bezsilna i owladnala zimny strach. Ponownie uderzyla o cos - tym razem glowa, w ktorej juz i tak jej sie krecilo - i wpadla w mrok i niepamiec.

Z tego stanu wyrwal ja dzwiek i nowy zapach, ktory niegdys potrafila zidentyfikowac.

-Ty durniu! - warknal jakis glos i zaraz potem uslyszala plasniecie, a odpowiedzial mu ostry krzyk.

-Wasza Wysokosc, nie tutaj, bo ona... - Slowa przemknely i wysliznely sie z jej umyslu, zanim zdolala zrozumiec ich znaczenie.

-Trzymaj go, Jonasiu. - W jakim sposobie ten głos przeniknął do świadomości Mahart i zrozumiała, co powiedział. - Robisz to, po co zostałeś wysłany! - Znowu ten odgłos uderzenia i wrzask bólu. Rozumiesz? Jeżeli mamy coś uratować z tej spartaczonych nocnej pracy, musimy działać szybko. Ile czasu mamy, Madra Pani?

Czy jej palce dotknęły Mahart, chwyciły jej bezwładny nadgarstek. Zaczęła rozumieć, że nieznani wrogowie sądzą, że jest nieprzytomna. Musi więc taka udawać, zanim nie dowie się czegoś więcej.

-Jeszcze jeden wdech...

To nie był tamten ostry głos. Mahart niemal krzyknęła, kiedy ktoś chwycił ją za włosy i przechylił jej głowę pod takim kątem, że ból stał się silniejszy. Przycisnięto jej do ust i nosa zwinięta szmata, tak że mimo woli odetchnęła i natychmiast znalazła się w mroku niepamięci.

Tym razem mrok nie był pusty. Zaczęła wyczuwać, że coś się w nim porusza, choć nie ona sama. Wyteżyła słuch, aby uzyskać jakiegokolwiek informacji o tym, gdzie się znajduje i dlaczego.

Może w mieszance zapachów Ignacej do jej ciała i włosów po próbach usunięcia woni paproci przez uczennice Halwice było coś, co sprawiło, że niewoląca ją siła osłabła. Znowu czuła swoje ciało, dziwnie wolne bicie serca i płuc, które usiłowały złapać oddech. Nie wyczuwała już poruszających się w pobliżu istot. Czy to znaczy, że ją porzucono i że ma bezwolnie czekać na nieznany los? Czy to dlatego otacza ją normalna ciemność i nic jej nie przeszkadza?

Mimo tępego bólu głowy Mahart spróbowała zebrać nieliczne informacje, których dostarczały jej działające z trudem zmysły. Po jakimś czasie zaczęła lepiej oddychać, a jej serce było już normalnie.

Skoncentrowała się na palcu - najmniejszej części ciała, nad którą może zdoła odzyskać kontrolę. I - tak, poruszył się! Bardzo słabo, ale się poruszył. Dodało jej to odwagi do dalszej walki o panowanie nad swoim ciałem. W rezultacie cała ociekła potem, a ból głowy stał się tak nieznosny, że nie mogła już dłużej wytrzymać. Obawiając się, iż ponownie zapadnie w nicosc, szybko podsumowała wszystko to, czego się dowiedziała.

Chociaż może poruszać palcami, podniesienie rąk przekracza jej możliwości. Uznała, że nie oslepla, lecz zawiązano jej oczy. Ale jak się dostała w to miejsce ze swojego bezpiecznego łoża? Kto ją tu przyniósł?

Dobiegły do niej jakieś dźwięki, na pewno odgłos ciężkich kroków. Usłyszała też sapanie i wyczuła mocny odor piwa. Nigdy w życiu nie pragnęła tak bardzo mieć wrodzonego talentu, jaki z taką chęcią zademonstrowała jej Willadene, i moc tylko za pomocą powonienia badać otoczenie. Od posuwającego się ciężkim krokiem mężczyzny bił tak silny smród, że na

pewno by powalil cały oddział gwardzistów - odor starego tłuszczu, niemytego ciała... Jednak nieznajomy nie kierował się prosto do niej, jak się tego początkowo obawiała. Dotarło do niej coś w rodzaju skrzyknięcia, jakby opadł na krzesło, które ugięło się pod jego ciężarem.

Mężczyzna ten usiadł tylko po to, żeby zaraz się podnieść, gdy Mahart usłyszała kroki dwóch innych osób.

-Życze ci pięknego dnia, Madra Pani - wymamrotał gruby głos. Zamiast odpowiedzi do księżniczki zbliżyły się lekkie kroki. Znow wyczuła jakiś zapach, ale ten już знаła. Oczami wyobraźni ujrzała piękną buteleczkę w kształcie snopu paproci i kilka kropli tłustego, zielonkawego płynu wypływającego leniwie, gdy ją przechyliła. Paprocie! Wtedy tamta won ją zachwyciła, teraz jednak chwyciły ją mdłości.

Napłynął też inny zapach, ostry, nieprzyjemny - odor zgnilizny i ziemi, jakby był z jamy wykopanej w zamkowym ogrodzie. Przeszył ją ból, gdy ktoś uderzył ją w głowę.

-No, szczurzy wodzu - zakrakal ochryply kobiecy głos, jakby cieszył się z jakiegoś żartu - teraz ja masz. Co zamierzasz z nią zrobić?

-Panie - rozległ się trzeci głos w pewnej odległości od Mahart, która tym razem nie usłyszała niczych kroków. - Polowanie już się rozpoczęło! Ta po trzykroć przeklecia zielarka...

-Och, chłopcze, staraj się nie mówić źle o lepszych od ciebie. Ci, którzy tak czynią, często za to pokutują - powiedział znow ten skrzeczący głos. - Oznajmiam ci, szczurzy wodzu: ona otrzymała całą dawkę napoju, jaka może jej dać. Większa ilość spowoduje jej śmierć. A jeśli już o tym mowa, możliwe, że jej umysł umarł. Ta dziewczyna nie otrzymała odpowiedniego wykształcenia i nikt nie dał jej antidotum. Doradziłabym ci coś: jeśli chcesz, aby była posłuszna tym wyrzutom, którzy ci służą, lepiej zabierz ją stąd jak najprędzej.

-Z miasta - czwarta droga! - Zabrzmiało to jak rozkaz. - Weź Jonasa i Orthona i ruszajcie! Inaczej przez tydzień nie będziesz w stanie spać na plecach! Uderzenie Jej Wysokości nie było miłosnym klepnięciem, masz podbite oko, ale to nic w porównaniu z tym, co ci czeka, jeśli się nie ruszysz - i to zaraz!

Do Mahart dobiegły odgłosy zamieszania. Tak bardzo się bała, żeby wrogowie nie zauważyli, że odzyskała przytomność! Wyteżyła całą wolę, żeby wyglądać na nieprzytomną i nieruchomą. Po chwili księżniczka chwyciła czyjes ręce wielkie jak niedzwiedzie łapy. Podniosły ją i poczuła, że jej policzka dotyka jakas ostra metalowa krawędź, może kolczuga.

Zeszli na niższy poziom. Uderzyła bolesnie ręka o balustradę lub ogrodzenie. Omal nie krzyknęła, kiedy ktoś z przekleństwem chwycił te ręce i rzucił w poprzek jej ciała.

Znow miała wrażenie, że znajduje się w jakimś zamkniętym pomieszczeniu, może pod ziemią, potem zaś dodało jej otuchy słabe światło, które kołysało się przed nią w dół i w górę. Potrafi więc aż tyle zobaczyć, chociaż zawiązali jej oczy! Możliwe też, że słabło działanie płynu, którego użyli przeciwko niej.

Dwukrotnie rzucono ją na jakąś nierówną powierzchnię, co sprawiało jej ból. Słyszała też ciężki oddech niosącego ją mężczyzny. Potem przyłączył się do nich jeszcze jeden mężczyzna.

-Dokąd właściwie mamy ją zabrać? - zapytał, kiedy powtórzono mu rozkazy o usunięciu Mahart z dotychczasowego więzienia. - Nie wtracimy nikogo do Wieży Kruka, słyszałem to z ust naszego pana. Nie dorwalismy tego durnego księcia, a teraz w mieście wrze jak w ulu. Chętnie byśmy go załatwili nożem w brzuch i wrzucili tam, gdzie jego zabijaki znalazłyby go za dzień lub dwa. A ty przynosisz nam tą dziewczkę...

-Niewykluczone, iż nasz pan uważa, że mając ją w reku, będzie mógł pertraktować... - podsunął młodszy głos.

-Na pewno nie zamierza ukryć jej w podziemiu, gdzie niedawno byliśmy. Chcesz, żeby wbili twoją głowę na włócznię? Mielismy dobry plan, póki naszemu panu nie zachciało się wziąć udziału w intrygach wielmożów. Uważam, że powinniśmy się przycisnąć, poczekać i zobaczyć, co zrobią ci z góry.

-No to dokąd ją zabieramy? - Ten trzeci to musiał być mężczyzna, który przyniósł ją tutaj, gdyż jego głos zabrzmiał znacznie bliżej, jakby przykucnął niedaleko niej.

-Do Iszbi - i guzik mnie to obchodzi!

Ktos odetchnął głęboko. A potem wysoki głos zapytał:

-Powiesz naszemu panu, dokąd ją zabrales?

-Jasne jak słońce na niebie, tam nikt nie będzie jej szukać - oświadczył tamten. - Wystarczy tylko paru ludzi do pilnowania przejścia, przecież nikt o zdrowych zmysłach nie zapuścił się do tego labiryntu, odkąd zainstalowano zegar w Kronengredzie, a było to diabelnie dawno temu.

Ktos jeszcze raz podniósł Mahart. Iszbi - usiłowała sobie przypomnieć, co o tym wie, ale ból głowy nasilił się tak bardzo, że postanowiła wytrzymać wszystko, co przyniesie jej los.

Halwice obejrzała Willadene od stop do głowy. Dziewczyna właśnie chciała podnieść zapakowaną przez zielarkę torbę, kiedy przypomniła sobie o swoim amulecie i liściach z odległej przeszłości, które do niego przywiązała. Nadal nosiła je przy sobie, nie miała jednak dość czasu, by zapytać Halwice o to znalezisko, bo zielarka zamknęła szafę, i nic już nie przesłaniało widoku.

Na podłodze obok podwyższenia leżała kupa zdartej z łoża pościeli - w ten sposób odkryto dziurę w jego środku. Nicolas leżał tam na brzuchu, trzymając latarnie nad ciemnym otworem. Choć brząsk już zaczynał się wkradać do komnaty, potrzebowali więcej światła.

Vazul i księża Lorien również się do niego przyłączyli. Kanclerz, choć nadal mocno trzymał się słupa podtrzymującego baldachim, nachylił się niebezpiecznie do przodu, księża zaś kleczyli na podium z drugiej strony łoża i próbowali zajrzeć do tajemniczego otworu.

-Świeżo wycięty - oznajmił Nicolas. - Może przebili się tuż przed jej porwaniem. Na planach zamku nie ma takiego przejścia, kanclerzu.

-Nie ma o czym mówić - skomentował burkliwie Vazul. - No cóż, pani, czy twoja służka przyda się nam na coś w wykonaniu naszych planów? Pozwól jej się zbliżyć, Nicolasie.

Nicolas posłusznie odsunął się na bok i Willadene przyłączyła się do niego bardzo ostrożnie. Powinna przebiec przez ten wszechogarniający smród zła, żeby dotrzeć do znacznie trudniej uchwytnego osobistego zapachu księżniczki.

-Co ona robi? - zapytał Lorien, kiedy Willadene wyciągnęła nad dziurę szyję i ramiona. W blasku latarni ujrzała popekane belki i kamienne ściany.

-Szuka - odrzekła spokojnie Halwice. - Gwiazda obdarzyła ją największym talentem, z jakim kiedykolwiek się zetknęłam. Każdy z nas od urodzenia ma swój własny osobisty zapach. Nie ma on nic wspólnego z naszym materialnym ciałem, z jego stanem ani z odzieniem. Osoby, które mają ten wielki talent, potrafią wysledzić każdego znajomego człowieka, tak jak psy goncze, niezmordowanie idące tropem przez las.

Willadene usiłowała nie słyszeć ich rozmowy i nie dociekać jej treści, aby wyczuć tylko zapachy. Odnalazła pierwszą warstwę zła, a pod nią ślady silnej woni korzeni, za pomocą której Mahart usunęła zapach paproci. Później - jak pojedyncza nitka w tkaninie - odkryła to, co należało tylko do Mahart. Tak, księżniczka wtedy przechodziła.

Ale to dopiero początek. Nicolas zawiesił sobie latarnie na sznurze na szyi i nachylił się głębiej, by obejrzeć pierwszą roztrzaskaną belkę. A Willadene poszła w jego ślady, niezbyt chętnie, dlatego że musiała, bo takie było jej zadanie.

Latarnia oświetliła inny otwór pod belkami, których połowa została rozrabana. Nicolas, kolysząc latarnie, już zaglądał do kolejnej dziury. Kiedy ruszyli w głąb, obłok kurzu wzbił się w powietrze, ale Willadene nie osmieliła się zatkać nosa, by nie stracić cennego śladu, za którym muszą iść.

-Ach... - Latarnia znieruchomiała. Nicolas chwycił Willadene w pasie i zsunął w dół. - Wiec to o to chodzi! - Wydawało się, że niemal podziwia pracę tych, którzy wybili oba otwory. - Ale musieli mieć przewodnika... - dodał ponuro.

Ponownie chwycił latarnie i zatoczył nią krąg, by lepiej widzieć miejsce, w którym się znaleźli. Stali, jak zobaczyła Willadene, w innym tajemnym korytarzu; otaczały ich kupy gruzu, a w gorze widzieli światło docierające z komnaty księżniczki. Zorientowali się, że nie jest to normalne wejście do jednego z wewnętrznych tuneli, lecz że ktoś niedawno je wybił.

-Nikt nic nie słyszał... - Dziewczyna wyraziła głośno swoje zdumienie.

Nicolas podniósł odłamek gruzu i równie szybko odrzucił go z okrzykiem bólu. Nie widziała krwi na jego palcach. Mogła natomiast wyczuć... zapach paproci, ale razem z nim coś jeszcze, z czym nigdy dotąd się nie zetknęła. Chwyciła dłoń Nicolasa i przysunęła ją bliżej latarni. Na koniuszkach jego palców zauważyła czerwone plamy. Przeniósła wzrok na kupe potrzaskanych belek otaczających jej stopy. Nicolas szybko odszedł od tego stosu, pociągając ją za sobą.

-Co... - zaczęła, próbując się uwolnić, ale młodzieniec tylko mocniej ścisnął dłoń jej rękę.

Druga ręka sięgnęła do torby z ziołami i zdołała jakos wyjąć mały słoiczek, którego szukała.

-Myślę, że to coś pozera wszystko, co napotka - wyjaśniła. Nicolas stał nieruchomo, gdy smarowała mascią krwawe plamy na jego palcach. - W zeszłym roku do Halwice przybył pewien kapitan statku. U jednej ręki miał tylko trzy palce. Wyrzucone przez fale na pokład wodorosty zjadły mu część dłoni, pozeraly nawet sam statek. Kiedy marynarze chcieli wyrzucić je za burtę, ci, którzy dotknęli ich gołymi rękami, zostali okaleczeni. Nie sadzę, aby porywacze kuli w tym miejscu, bo na pewno by ich usłyszano. Bez wątplenia użyli jakiejś mikstury pozerającej drewno i kamień...

Nigdy o czymś takim nie słyszała, ale zawsze można dowiedzieć się czegoś nowego. Nicolas szybko skinał głową. W słabym świetle, w swoim czarnym stroju był ledwie widoczny, lecz Willadene bardzo wyraźnie wyczuwała jego obecność.

-To dlatego posciel zwiśla w głąb dziury! Ale dlaczego coś, co tak wszystko zżera, nie zabrało się też do niej?

-Możesz coś do tego snuć różne przypuszczenia, tak jak ja - odrzekła, przewieszając torbę przez ramię. - A teraz... - Zrobiła kilka kroków w mrok i podniosła głowę, odwołując się do swego talentu.

-Tedy. - Smród zła wisiał w tym korytarzu wraz z korzennym zapachem. Nie pozwoliła jednak, by rozpraszały jej uwagę. Szukała woni Mahart i odnalazła ją.

Nicolas zrownał się z Willadene. Wciąż trzymał latarnie, ale poprzesuwał jej osłony w taki sposób, że światło saczyło się bardzo wąskim strumieniem. Kolysał nią lekko w przód i w tył, żeby oświetlić jak największą przestrzeń. Widzieli jednak tylko kamienne ściany, takie same jak w innych korytarzach, nie ukrytych w zamkowych murach, którymi Willadene wedrowała otwarcie.

Spodziewała się, że Nicolas zacznie ją wypytywać o drogę, ale najwidoczniej, przynajmniej na razie, gotów był zaakceptować jej decyzje. Dopiero gdy dotarli do ostrego zakretu i ujrzeni odgaleziający się drugi korytarz, przystąpił do działania. Nachylił się, aby zbadać wzrokiem grubą warstwę kurzu. Dostrzegli wiele śladów, jakby w tym miejscu doszło do bojki. - Tam...? - Wskazał w bok.

Willadene przystanęła, zamknęła oczy i skoncentrowała całą energię na zmysle węchu. Odór zła zgestniał i z wielkim trudem przebiła się przezeń do nici przewodniej - zapachu Mahart.

-Nie.

Ubranie miało teraz tak grubo pokryte kurzem, że widziała go lepiej. Zrobił dwa kroki w bok i poświęcił latarnia w dół. Nawet z miejsca, gdzie stała, Willadene widziała naruszoną warstwę kurzu. Na pewno niedawno ktoś tu przechodził. Ale...

-Nie - powtórzyła i ruszyła dalej głównym korytarzem, który obniżał się ukośnie; wyczuła też wilgoć w powietrzu. Willadene domyślała się, że Nicolas się z nią nie zgadza, po chwili jednak poszedł jej śladem.

Nie było tu schodów, ale korytarz wyraźnie opadał. Później światło latarni wyłowilo oświetlony otwór w ścianie. Nicolas powiodł wąskim strumieniem świetlnym wokół nich. Willadene aż jęknęła na widok tego, co zobaczyła.

W kamiennym murze wykuto niszę, w której ledwie mieściło się to, co stało za zardzewiałymi pretami klatki. Kosci były niezwykle cienkie i delikatne, a cały szkielet tak krotki, iż Willadene zrozumiała, że lupem starożytnego zła padło jakieś dziecko.

-Athgard! - wystająca z zakurzonego czarnego rekawa reka Nicolasa wyglądała na tak białą jak kości przed nimi. - Więc tak skończył...

Athgard? Kim był ten Athgard? Willadene raz po raz przelykała i ślinę, usilnie starając się zobaczyć tylko szkielet na tle muru, a nie przelotną wizję tego, do kogo kiedyś należał.

-Minęło pięćset lat, może więcej... - Nicolas wskazał palcem na czaszkę, która odpadła od kregosłupa, potoczyła się do przodu i zatrzymała przy metalowych pretach. Czaszkę otaczał diadem z pociemniałego ze starości metalu. Z przedniej części diademowi wydłubano klejnoty, które niegdyś tam się znajdowały, pozostawiając jedynie metalowe oprawki, ledwie widoczne w bladym świetle latarni.

-Athgard syn Wisgarda. - Nicolas podniósł do góry dłoń, jakby pozdrawiał dawno zmarłego chłopca. - Więc w taki sposób wymarł rod Gardów. Spoczywaj w pokoju. - Wydawało się, że zwraca się bezpośrednio do szkieletu, wiedząc, że czarnoksiężnicy z Iszbi zostali pokonani wiele wieków temu, w krwawym boju, i wytepieni do ostatniego. - Pomóż nam pomysłnie zakończyć nasze poszukiwania, a wtedy ty, ostami z Gardów, odzyskasz

wolnosc i miejsce w blasku Gwiazdy.

-Iszbi... - Wszystko, co Willadene wiedziala o przeszlosci, zaczerpnela ze wzmianek w skromnym ksiegozbiorze Halwice, ktore glownie dotyczyly zielarstwa.

-Iszbi! - Zlosliwy grymas wykrzywil usta Nicolasa. - To wszystko z powodu krolewny Nony. Czarami wabila do siebie mezczyzn, jednego po drugim, zarowno wielmozow, jak i czlonkow ich dworow. Przywolala tez podobnych sobie czarnoksieznikow i zle czarownice. Zapomniano o Gwiezdzie i oddawano czesc innej mocy, ktora pila ludzka krew. Ostatniego księcia Gardu otruto przy wlasnym stole, jego nastepca zniknal, a ksiestwem rzadzila Krwawa Wiedzma, pani Nona. Nigdy jednak szala dobrego i zlego nie przechyla sie w jedna strone tak bardzo, by z czasem sie nie wyprostowala. To z tej samej polnocy przybyl Vulsaden, a z nim ci, ktorzy gleboko nienawidzili wierzen Nony. Pozniej Nona stracila wladze, bo wyznawcy Gwiazdy takze wezwali na pomoc potezniejsze moce. Z niebios przyszla taka odpowiedz, ze zadrzal caly kraj. Vulsaden zgromadzil tych, ktorzy ocaleli, i wszystkich wasali Nony pojmano i stracono. Nigdy jednak nie odnaleziono Krwawej Wiedzmy - ich pani. Wtedy Dom Denow rzadzil przez dwa pokolenia; ostatni ksiaze nie mial syna, a jego siostra poslubila wielmoze z rodu Bricow, dajac tym poczatek nowej dynastii.

Willadene szybko nakreslila znak Gwiazdy nad zalosnymi szczatkami, ktore odkryli w niszy.

-A przeciez walka ze zlem nadal trwa - powiedziala.

-Wlasnie. I teraz my rowniez w niej uczestniczymy. Czy przysiegiesz, pani, ze mamy tedy pojsc?

Dziewczyna calym wysilkiem woli odwrocila sie od uwiezionych w klatce kosci, starajac sie zapomniec o zbyt zywym obrazie, podsunietym jej przez wyobraznie.

-Tak, to tedy mamy pojsc.

Odniosla jednak wrazenie, ze smrod zla, jaki wczesniej tak bardzo ja nekal, oslabl nieco. Moze rzeczywiscie tak sie stalo, a moze sie do niego przyzwyczaila. Byla jednak pewna, ze nadal trzyma sie nici, ktora zaprowadzila ja az tak daleko, i ponownie skupila na niej cala swoja energie.

W drodze nie czekaly juz na nich zadne przykre niespodzianki, chociaz waski korytarz nadal sie obnizal. Kurz tez mniej dawal sie im we znaki, poniewaz wilgoc unosila siew powietrzu, lezal jednak tak gruba warstwa, ze tlumil ich kroki.

Raz lub dwa razy owionela ich fala innego smrodu, kiedy mijali szczeliny znajdujace sie w miejscach, gdzie kamienne mury stykaly sie z sufitem korytarza.

-Jestesmy pod miastem - szepnal Nicolas. - Ta droga prowadzi wzdluz wielkiej kloaki. Wez to... - podal jej latarnie, a dziewczyna chwycila ja mocno. Sygnal do pasa i wyjal z jakiejs

ukrytej kieszeni coś, co wyglądało jak bicz do konnej jazdy. Z biczem w jednej ręce i obnazonym nożem w drugiej znow ruszył do przodu.

-To pozeracze szlamu, chociaż przeważnie trzymają się rur kanalizacyjnych - wyjaśnił krótko.

Po kilku chwilach wskazał na zagłębienia w wilgotnym kurzu, które bez wątplenia były śladami jakiegoś stworzenia. Obok nich widniały odciski butów, potwierdzające słowa Willadene, że rzeczywiście idą świeżym tropem. Woda strumykami spływała po kamiennych murach, saczała się z wysoko umieszczonych otworów, powietrze przenikał wszechobecny smród. Potem rozległ się przeraźliwy pisk i Nicolas ramieniem przycisnął dziewczynę do przeciwległej ściany.

-Pani - rzekł spokojnym głosem żołnierza szykującego się do bitwy - czy masz w tej swojej zaczarowanej torbie coś, co może posłużyć do obrony? Tylko pośpiesz się, bo tutaj - zakończył ponuro, choć nie bez humoru - nie ma czasu na eksperymenty.

Willadene pośpiesznie przebiegła w myśli listę tego, co dała jej Halwice. Tak, jest tam pewien specyfik. Wtedy uznała go za niepotrzebny, ale teraz może podziałać. Postawiła latarnie na podłodze i szukała, aż znalazła odpowiednią kieszonkę i cienką, zatłuszczoną rękawicę, w którą był zawinięty ten niezwykły orez.

-Muszą być blisko. Nie pozwól, żeby cie dotknęło coś takiego. Piski stały się głośniejsze; dziewczyna dostrzegła teraz jakiś ruch w jednej ze szczelin w murze. Trzymając ostrożnie zaimprovizowaną broń w okrytej rękawiczką prawej dłoni, lewą uniosła latarnie i teraz rzeczywiście zobaczyła głowę stworza przeciskającego się przez wąski otwór.

Na moment pomyślała o Ssssaaa, bo to zwierze zdawało się mieć takie samo długie, gietkie ciało i krótkie łapy. Pozbawione jednak było wspaniałego, jedwabistego futerka i bil od niego smród rozkładu i zgnilizny, a jego sierść wypadła plackami, ukazując zielonkawą wrzodę na gołej skórze. Zeskoczyło z płaszczyzną na kamienną podłogę w pewnej odległości od nich. Nicolas spokojnie oczekiwał ataku. Bicz ze swistem przeciał powietrze, owinał się wokół ohydny stwor i przyciągnął go do miejsca, gdzie młodzieniec czekał z nożem w pogotowiu. Willadene uprzedziła jednak Nicolasa. Wzięła szczyptę proszku, z którym obchodziła się tak ostrożnie, podniosła rękę na wysokość ust i dmuchnęła z całej siły.

Powietrze napelniło się drobinami świecącymi jak iskry. Willadene wycelowwała najlepiej, jak umiała, a Nicolas na szczęście znajdował się w pewnej odległości od małego monstrum. Świecące drobiny opadły na pokrytą wrzodami skórę. Skrzekliwy, ogluszający wrzask napelnił korytarz. Nicolas potrząsnął biczem i wijący się, skrecający stwor, który teraz wyglądał jak ognisty, matowy zwoj, uderzył o ścianę, odbił się i znieruchomiał o krok od niej.

W gorze z otworu wysuwała się już inna głowa. Drugi potworek nie poruszał się tak szybko

jak jego poprzednik, lecz przycupnal, wyciagajac dluga szyje i rozgladajac sie wokolo. Jego pisk zamienil sie w skrzeczenie. Ale ten pozeracz szlamu nie zapuscil sie dalej. Nicolas przemowil do Willadene:

-Moge przeciagnac ten sznur przez to, co masz w rece?

-Tak, ale uwazaj.

Odsunela oslony latarni, by mogli lepiej widziec otoczenie w przypadku nastepnego ataku, i oswietlila reke w rekawicy.

Nicolas uwaznie przyrzal sie proszkowi lezacemu na dloni dziewczyny, po czym szybko i zrecznie, jak ktos, kto dobrze zna swoje narzedzie, przesunal bicz przez ten niewielki stozek. Podobnie jak drobiny tej niezwyklej broni zaiskrzyly sie w powietrzu, gdy wydmuchnela je Willadene, tak teraz bicz zalasnil ognistymi punkcikami na calej dlugosci.

Nicolas jednym skokiem znalazl sie z drugiej strony korytarza i zamachnal sie, celujac biczem w gore. Nie trafil tak dokladnie jak za pierwszym razem, ale bicz uderzyl w krecaca sie na wszystkie strony ohydna glowe i znow przerazliwy pisk przeszl powietrze. Male monstrum nie spadlo po ich stronie muru; znajdowalo sie dostatecznie gleboko w otworze, zeby sie wycofac. Rozlegly sie jeszcze dwa takie okropne wrzaski. Nicolas pilnowal w dole. Nastepna glowa juz sie nie pojawila.

Po dlugiej chwili mlodzieniec spojrzal na Willadene, trzymajac bicz w pewnej odleglosci od ciala. Chociaz wiekszosc drobin zniknela, to tu, to tam nadal drzalo kilka iskierek.

-Mysle, ze nie zaatakują nas ponownie - powiedzial. - Ten stwor, który sie cofnal, mogl zakazic swoich wspolplemiencow. Jak mam oczyszcic moj bicz?

Dziewczyna delikatnie schowala do torby woreczek z tym, co w nim pozostalo, po czym podniosla reke w rekawicy.

-Przesun przez to, tylko powoli.

Kiedy posluchal jej polecenia, na biczu nie pozostala ani jedna iskierka, choc nadal jarzyl sie na rekawicy. Nie chciala stracic tej broni, ale nie byla to odpowiednia pora i miejsce na dlugie czyszczenie, zeby rekawica nadawala sie do ponownego uzytku. Zdjela ja wiec delikatnie i rzucila na blotnista podloge, po czym gleboko wdeptala butem.

-Nadal tedy idziemy? - spytal Nicolas po kilku chwilach, gdy dotarli do dwojga ciemnych, zwieczonych hakiem drzwi na scianie przeciwleglej do tej, która wychodzila na kloake.

Willadene zatrzymala sie nagle. Z dalszych pomieszczen buchnela na nia ta sama mieszanina zapachow, jaka porazila ja w komnacie Mahart. W jej sklad na pewno wchodzila czysta, kuszaca won paproci - ale byl tez tam smrod zla. Wziela gleboki oddech, potem po

omacku odnalazła swój amulet i powachala go w nadziei, że rozjasni jej w głowie. Nic zapachu Mahart - nie, nie prowadziła wtedy. Coś innego jednak w jakiś sposób skorzystało z tego przejścia - coś do gruntu złego!

Jeszcze raz uniosła wysoko głowę, jakby chciała sięgnąć ponad warstwę tego smrodu. Tak, ma rację! Tutaj władza zła, ale księżniczka nadal znajduje się gdzieś z przodu.

Nie miała pojęcia, jak długo przebywali w tej plataninie ciemnych korytarzy. Zauważyła, że Nicolas wyjął z sakiewki u pasa mały metalowy krążek i zbliżył go do latarni, której światło znowu zawezwili do wąskiego strumienia.

-Jesteśmy bardzo blisko murów obronnych miasta - oznajmił spokojnie.

Tym razem tunel nie opadał; dotarli do schodów prowadzących w górę i piełi się ostrożnie, wytezając słuch. Doszli do małego podestu i stanęli przed jakimiś drzwiami. Nicolas w milczeniu odsunął zasuwkę. Przyłożył dłoń do framugi i z nożem w drugiej ręce uchylił drzwi.

Willadene chwyciła go za ramię i przyciągnęła do siebie. Szepnęła mu do ucha:

-To jest Karczma Wędrowców, a raczej należała do niej piwnica. Nigdy w życiu nie zdołam jej zapomnieć!

18

Mahart trzęsła się z zimna, a w ustach czuła taki smak, jakby ktoś napchał jej popiołu do gardła. Próbowwała zebrać siły, żeby choć podnieść palec. Niemal cała jej twarz zakrywała wilgotna, śliska, śmierdząca szmata. Odczuwała dokuczliwe pragnienie. Gdyby mogła, błagałaby o krople wody, ale nawet tego nie była w stanie uczynić. Ze wszystkich stron owiewał ją lodowaty wiatr.

Z pewnością znajdowała się na zewnątrz, poza labiryntem korytarzy, przez które ciągnięto ją jak worek.

Iszbi - on tak powiedział...

To słowo w jakiś sposób przeniknęło do jej umysłu mimo cierpienia.

-Przerzuc ją przez grzbiet jucznej kobyły i ruszajmy.

Podniesiono ją jednym szarpnięciem, a potem rzucono, twarzą w dół, na coś w rodzaju ramy. Ten manewr przysłużył jej się w pewien sposób. Zakrywająca dotąd twarz szmata zaczęła się o coś i zsunęła. Księżniczka znowu mogła patrzeć! Ci, którzy tak bezceremonialnie cisnęli ją na zwierze juczne, chyba tego nie zauważyli.

Od światła dziennego rozboleły ją oczy. Widziała tylko unosząca się i opadająca nogę

wiozacego ja konia. Pod kopytem nie bylo kocich lbow, a wiatr, ktory nadal owiewal jej cialo, przywiazane niczym tusza jelenia, nie niosl zapachow miasta. Na pewno znajdowali sie poza Kronengredem.

Uslyszala meskie glosy, ale nie rozrozniala slow i nie potrafila ich zrozumiec. Potem znowu pograzyla sie w gestym mroku.

Mahart drgnela, gdy chlusnieto jej woda w twarz. Zobaczyła poruszające się wokół niej zamazane postacie. Ktos uklakl, chwycil ja za splatane teraz wlosy, podniosl jej glowe i mocno przycisnal kubek do ust.

-Niech Grissand was porwie, glupcy! Ona chce ja zywa, nie martwa... Nie mozna sie ukladac z pustymi rekami! Owincie ja oponcza i przygotujcie troche gulaszu... Jezeli nie dotrze do Iszbi, wkrótce przekonacie sie, kto za to odpowie!

Pozwolil jej sie napic, a potem odsunal kubek, choc zaprotestowala slabym glosem. Ktos, kogo nie widziala, otulil ja faldzistym podroznym plaszczem i zdala sobie sprawe, ze jej koszula nocna jest teraz w strzepach. Oparli ja o cos, moze o siodlo i poniewaz woda dodala jej sil, widziala teraz lepiej porywaczy. Ten, ktory trzymal bukлак z woda, ponownie napelnil kubek i przytknal jej do ust.

-Pij malymi lyczkami, bo inaczej wroci ta sama droga rownie szybko, jak poplynela w dol - ostrzegl Mahart.

Chociaz nosil kolczuge pod pikowanym, skorzanym kaftanem i gladki jak miska helm, na pewno nie nalezal do gwardzistow, ktorych znala. Twarz tego mezczyzny porastala najezona, zoltawa broda, a nos nad grubymi wargami byl wklesly, jakby ktos mu go zlamal w jakiejs dawnej bojce. W jego oczach nie dostrzegla nawet cienia wspolczucia; blizna na policzku sciagala krzywo w dol jedna powieke. Obchodzil sie z ksiezniczka jak ze zwierzeciem, ktorym kazano mu sie zajac.

Bylo tu co najmniej trzech innych mezczyzn; chodzili tam i z powrotem po tymczasowym obozowisku. Nad ogniskiem grzal sie jakis garnek, slyszala tez tupot koni znajdujacych sie gdzies w poblizu.

-Wpadla ci w oko, Rufusie? Jest chuda jak szczapa. Ale nie kazdy z Dziesiatki moze powiedziec, ze sie przespal z jasnie wielmozna pania...

Nagle znowu zaschlo jej w ustach, utkwila wzrok w twarzy mezczyzny stojacego niedaleko od niej. Porywacz, ktory wyszedl z za niego, byl znacznie mlodszy i mial szczurza twarz o ostrych rysach. Nie nosil zbroi, tylko poplamiona i zabrudzona w podrozy niebiesko-srebrzysta liberie.

Mezczyzna, ktory napoil Mahart, bez slowa odstawil kubek i zrecznie walnal na odlew mlodzika. Ten krzyknal glosno z bolu i wscieklosci.

-Zamknij sie, smieciu! - stwierdzil zolnierz. - Gulasz gotowy, Jonasie?

Inny mlody mezczyzna zanurzyl w garnku mala miske i przyniosl ja napelniona do polowy. Przyjemnie pachnaca para napelnila powietrze i tak jak przedtem Mahart dreczylo pragnienie, tak teraz glod skrecil kiszki. Uswiadomila sobie, ze rece i ramiona znow sa jej posluszne. Jezeli przedtem byly zwiazane, ktos zdjal z nich wiezy, jesli zas cos innego ja krepowalo, zniknelo bez sladu.

Wyciagnela po miske drzace dlonie.

-Jest goracy - ostrzegl ja Zoltobrody. - Jedz powoli. - A potem zwrocil sie do pozostalych porywaczy, ktorzy zgromadzili sie przy ognisku i czekali na swoje porcje. - Posluchajcie mnie uwaznie. Otrzymalismy rozkazy. Chcecie o nich dyskutowac z nasza mocodawczynia?

Mlodzik, ktorego niedawno zdzielil piescia, mruknal:

-Ja slucham Wyche'a...

Zoltobrody rozesmial sie ochryple.

-Udam, ze tego nie slyszalem, i zaraz ci wszystko wytlumacze, poniewaz jestes niedoswiadczonym zoltodziobem. Twój Wyche moze udawac wazniaka w miescie, ale tylko dlatego, ze na razie jej to odpowiada. A przeciwstawic sie jej... - urwal, po czym mowil dalej: - Nie zyczylbym tego najgorszemu wrogowi! Otrzymalismy nastepujace rozkazy: zawiez te dziewczke do Iszbi i wydac ja straznikowi - ni mniej, ni wiecej. I lepiej, zeby zyla, kiedy tak sie stanie.

Wyjasnil swoim kompanom zlecone im zadanie i zwrocil sie do Mahart.

-Ona chce ciebie i to mi wystarczy. Utrzymasz sie na koniu? Jazda w charakterze ladunku nie nalezy do przyjemnych.

-Moge jechac. - Nie byla tego pewna, ale jesli w jakikolwiek sposob moze uniknac takiego losu, wytezy wszystkie sily. Zrobila pierwszy ruch, odsuwajac sie od siodla, i podparla sie rekami.

Swiat wokol niej zawirowal. Mahart zagryzla warge i czekala, az wszystko wroci do normy. Na pewno znajduje sie z dala od wszystkiego, co znala. Nad ta mala polanka strzelaly w gore jakies drzewa; czula, ze ludzie nie sa tu mile widziani.

Przyjrzala sie siedzacych przy ognisku mezczyznom. Bylo ich pieciu, lacznie z Zoltobrodym, ktory najwidoczniej nimi dowodzil. Rozpoznala teraz stroj najmlodszeo z nich - to liberia Saylany. Czy "Ona", o ktorej wciaz wspominal Zoltobrody, to Jej Wysokosc Saylana? Mahart wydawalo sie niemozliwe, zeby jej kuzynke, pomimo najdziwniejszych poglosek, cos laczylo z tymi wyrzutkami.

Iszbi - ta nazwa nie dawała jej spokoju... Czytała kiedyś o Iszbi...

Teraz czekają coś znacznie ważniejszego - podróż, która najwidoczniej musi odbyć. Nie może liczyć na nadzieję, że jeśli poprosi porywaczy, zwrócą jej wolność. Musi nauczyć się cierpliwości i czekać na jakies sprzyjające wydarzenie lub szansę.

Na szczęście porywacze przez jakiś czas jedli posiłek. Niestety, nie sprawiali wrażenia zbyt rozmownych i Mahart nie mogła liczyć na to, że pozna odpowiedzi na nurtujące ją pytania.

Kiedy byli gotowi do podróży, Zoltobrody polecił usunąć ramię na juki i zamiast niej umieścić derkę na grzbiecie konia, który stał ze zwieszoną głową. Sam wziął do ręki postronek, pociągając wierzchowca Mahart za sobą. Pozostali ruszyli za nim.

Mahart owinięła się oponczą najciasniej jak mogła, bo nie tylko chroniła ją ona przed zimnymi podmuchami wiatru, lecz także w istocie była teraz jej jedynym odzieniem.

Jechali równo, ale niezbyt szybko, i dwukrotnie się zatrzymali. Za każdym razem jeden z porywaczy skrecał w bok, by zbadać pień drzewa w poszukiwaniu jakiegoś znaku, gdyż najwidoczniej nie podróżowali żadnym utartym szlakiem.

W końcu okolica zaczęła się zmieniać. Było teraz mniej wysokich drzew, a więcej krzaków; musieli omijać większe kępy. Mahart zauważyła też grupy skal, w niczym nie przypominających kamieni z Kronengredu. Tamte były matowoszare, te zaś miały zielonkawy odcień i przecinały je szerokie pregi tego samego koloru, lecz nieco ciemniejsze.

Czasem skały, podobne do miniaturowych klifów, zamykały ich z obu stron. Ta bezludna okolica kipiała bujnym życiem - Mahart widziała podobne do jaszczurek stworzenia, które lgnęły do kamieni głową w dół i bacznie obserwowały jeźdźców podobnymi do paciorków oczkami, jakby w pełni zdawały sobie sprawę, że ludzie wtargnęli na ich terytorium. Ptaki nurkowały w powietrzu i ponownie wlatywały do góry, czasami tak zniżając się nad ziemią, jakby chciały usiąść na jakiejś skale. Nigdy jednak tego nie zrobiły.

Mahart była obolała od stop do głów. Porywacze zawiesili przy siodłach bukłaki z wodą i Zoltobrody od czasu do czasu pozwalał jej się napić ze swojego.

Zrobiło się ciemniej i księżniczka zrozumiała, że słońce wkrótce zajdzie, a mimo to porywacze nie zamierzali rozbić obozu. Ile czasu upłynęło, odkąd położyła się do swojego łoża w Kronengredzie? Nie miała pojęcia.

Wreszcie wawóz zaczął się zwezać, wysokie urwiste ściany zbliżały się do siebie coraz bardziej, aż w końcu utworzyły coś w rodzaju murów, między którymi mknęła gromadka jeźdźców. Natomiast w otaczających ich skalach dokonała się pewna zmiana. Ciemniejsze pregi nie były już gładkie, lecz pojawiły się w nich głębokie naciecia, jakby wryto tam jakies napisy. Potem wedrowcy dotarli do miejsca, gdzie ciemnozielona zyla była niemal tak szeroka jak skała, która przecinała, i Mahart zobaczyła, że nieznanne istoty rozumne

wyrzeźbiły w niej czyjas twarz.

Spojrzała w kobiece oblicze naturalnej wielkości, choć nie widziała włosów, które powinny je okalać. Nieznajoma niewiasta miała regularne rysy i była doskonale piękna, ale ta doskonałość... Księżniczka zadrzała. Słyszała, że uczennica Halwice potrafi zwerszyć zło, a teraz ona sama nie miała najmniejszych wątpliwości, że właśnie je widzi!

Za tą piękną, lecz złą twarzą dostrzegła jakiś ruch. W poprzek drogi stała odziana w kolczugę postać w bardzo dziwnym hełmie, całkowicie zasłaniającym twarz.

Złotobrody pociągnął za postronek, na którym prowadził konia Mahart, i zjechał na bok, żeby zwierze mogło go minąć.

-To właśnie ona - rzekł.

Postać w hełmie-masce wzięła od niego postronek. Nie odpowiedziała, tylko szarpnęła, zmuszając zwierzę do dalszej drogi. Nie przyłączył się do niej ani Złotobrody, ani żaden z jego kompanów. Iszbi - czy wreszcie dotarli do celu podróży? Mahart minęła wykute w skale niewiście lico; gdyby była wyższa, mogłaby się o nie otrzeć, i ciarki ją przeszły na tę myśl. Nie, to nie Saylana pochyla się nad drogą, która prowadzi gdzieś do przodu, ale ktoś znacznie od niej większy i potężniejszy.

Willadene kurczowo trzymała się Nicolasa. Wyteżala słuch w nadziei, że usłyszy jakiś dźwięk dobiegający z przeciwległej strony olbrzymiej piwnicy, gdzie znajdowały się schody prowadzące na wyższy poziom. Postawiona na beczulce u podnoża schodów latarnia była ostrzeżeniem, że albo ktoś tu jest, albo zamierza wkrótce wrócić.

Nicolas skrecił lekko w prawo tak, aby lepiej widzieć te schody. Poza docierającym z oddali odgłosem kapiącej wody nic nie słyszeli.

Nagle Willadene ponownie wyczuła zapach, który zaprowadził ją aż tutaj. Bardzo ostrożnie, żeby oddzielić go od innych, dwukrotnie wzięła głęboki oddech.

Tak, na pewno jest tu mocniejszy, jakby Mahart spędziła jakiś czas w tym miejscu. Tak, to możliwe, chyba że... Willadene odwróciła się od schodów i wpiła palce jak szpony w reke Nicolasa. Nie próbował się uwolnić, ale poszedł za nią - nie w stronę schodów i światła, lecz z powrotem do wielkich, mrocznych piwnic karczmy. Willadene nigdy dokładnie ich nie zbadała w dniach, kiedy często kazano jej przynosić jedną z zakurzonych butelek ustawionych na chwiejnych polkach.

Obeszła dwie takie sięgające sufitu polki. A potem światło latarni wyłowilo strzęp materiału, nadal dostatecznie biały, by łatwo można go było dostrzec w ciemności.

Nie musiała podnosić do nosa tego miękkiego w dotyku jedwabiu, żeby się dowiedzieć, że jest to skrawek bielizny Mahart - na pewno koszuli nocnej - z którego tak mocno bil jej

zapach.

Strzep koszuli ksiezniczki wystawal ze sciany, wygladajacej na masywna. Willadene ledwie widziala szczeline, z ktorej go wyciagnela. Nicolas znowu przesunal oslony w latarni, poslugujac sie waskim strumieniem swiatla jak mieczem, by nakreslic nim jakis wzor.

-Ssssaaa - syknal podobnie jak zwierzatko Vazula. - Trzymaj ja - o, tak... - Wepchnal latarnie do rak dziewczyny. Patrzyla, jak przesuwa szarymi od kurzu palcami tam i z powrotem po scianie - najpierw do gory, a potem w dol od miejsca, gdzie znalazla strzep materialu.

-Tutaj! - Willadene skupila sie w odpowiedzi na jego naglacy okrzyk i skierowala swiatlo latarni na koniec kamiennego bloku, ktory pozornie niczym nie roznil sie od innych. Nicolas trzymal teraz noz i zdolal wcisnac jego cienki koniuszek w ukkladajace sie w pewien wzor niewidoczne szczeliny. Waskie drzwi otwarly sie bezszelestnie, ukazujac nastepny ciemny korytarz, gdzie mrok jakby wchlonal swiatlo latarni. Nicolas odwrocil sie do Willadene.

-Tedy? - spytal.

Nie potrzebowała jedwabnej szmatki, choc wsunela ja do kaftana, aby zachowac slaby osobisty zapach Mahart. Kiwnela twierdzaco glowa w odpowiedzi na jego pytanie.

Nicolas mruzczal cos do siebie - z zaslyszanych kilku slow zorientowala sie, ze przeklina - nie wiedziala tylko, na co lub na kogo sie gniewa. Korytarz byl prosty i o dziwo, nie pokrywala go, tak jak pozostalych, gruba warstwa kurzu. Blask latarni przesunal sie po stosie gotowych do zapalenia pochodni, jakby czesto korzystano z tego podziemnego przejscia. Korytarz biegł prosto, chociaz dwukrotnie zauwazyli inne odgalezienia, lecz zapach Mahart nie prowadzil do zadnego z nich. Znalezi sie u wejscia do trzeciego korytarza, kiedy zobaczyli w oddali slabe swiatlo i uslyszeli zniekształcone przez odleglosc glosy.

Nicolas blyskawicznie wciagnal Willadene do bocznego tunelu. Zasunal ostatnia oslone latarni i skulili sie obok siebie. Czekali.

-Miasto trzesie sie od plotek - skomentowal jeden glos. - Mowie wam, zle sie stalo, ze ten ksiaze-rebajlo nie zostal schwytany. Ten diabelski pomiot Vazul w jakis sposob wciagnal go w te gre i to nie tak, jak to bylo zaplanowane.

W odpowiedzi rozlegl sie glosny rechot. Bylo tak jasno, ze Willadene widziala obu rozmowcow. To ta beka smierdzacej sloniny! Moze nie znala bardziej barwnych okreslen ich sytuacji, ktorych uzyl Nicolas, ale znalazla wlasne terminy na to, co budzilo w niej mdlosci.

Wyche ryczal na cale gardlo.

-Niech przetrzasna dokladnie miasto! - Splunal glosno na pobliska sciane. - Nie znajda tej dziewczki, a poniewaz nie wiedza, w czyje rece wpadla, nie beda przesadzali z

poszukiwaniami. Jej Wysokosc Saylana ma oko na ksiecia Loriena, na pewno zje go na kolacje, zanim ten sie zorientuje, co jest grane.

Willadene czula na policzku szybki oddech Nicolasa i zrozumiala, ze miota nim gniew.

-Zbyt dobrze znam Wyche'a! - zgrzytnal zębami.

-A to Iszbi... - zaczal kompan Wyche'a. W tej samej chwili grubasa opuscila wszelka jowialnosc. - Zamknij gebe, gadzino - powiedzial Wyche, a poniewaz w jego glosie nie zabrzmial gniew, slowa te wydaly sie jeszcze grozniejsze. - Nigdy o tym nie slyszales - zrozumiano?!

Mineli wejscie do bocznego tunelu, pozostawiajac tamtych dwoch w gestniejacym mroku. Willadene poczula, ze miesnie Nicolasa napiely sie jak struny, gdy uslyszal te dziwna nazwe.

-Iszbi? - zapytala, gdy wrocili do glownego korytarza.

-Jezeli chca ja tam zabrac...! - Nicolas tak przyspieszyl kroku, ze Willadene musiala biec, zeby za nim nadazyc, choc przewieszona przez ramie torba z kazda chwila wydawala sie jej coraz ciezsza. Czy kiedykolwiek wydostana sie z tego mroku i odpoczna chociaz na chwile?

Nie zobaczyli wiecej szczelin w scianie, ale nasluchiwali, czy nie dotrze do nich dzwiek wskazujacy na obecnosc innych wedrowcow. Nicolas bardzo sie spieszyl i Willadene, mimo ze wytezala wszystkie sily, zaczela zostawac w tyle. Nagle mlodzieniec cofnal sie o krok i objal dziewczynie w pasie, podtrzymujac ja. Niedlugo potem korytarz skrecil w prawo i ujrzeli przed soba plamy swiatla dziennego, a nie blask latarni lub pochodni.

Wyszli na zewnatrz w kepie krzakow, ktore Nicolas odgarnal na bok. Willadene odetchnela swiezym powietrzem. To dodalo jej nieco sil. Powiodla wokol spojrzeniem i ujrzala, ze znajduja sie w porosnietych bluszczem i krzakami ruinach jakiejs niewielkiej budowli.

Nicolas puscil dziewczynie. Choc bardzo pragnela isc dalej, osunela sie na ziemie i tylko torba uchronila ja przed calkowitym upadkiem. Jej towarzysz stal z rekami na biodrach, rozgladajac sie po .okolicy. Nagle gwaltownie skinal glowa.

-To jest ten od dawna poszukiwany podziemny korytarz! Posluchaj mnie teraz, pani - wbil w nia wladcze spojrzenie stalowo-szarych oczu - i powiedz mi prawde, czy Jej Wysokosc Mahart rzeczywiscie tedy przechodzila?

Po raz pierwszy Willadene nie wiedziala, co odpowiedziec. Napieralo na nia tak wiele zapachow, czesc zupełnie nowych, musi wiec odszukac won Mahart. Z nieszczesliwa mina wyjela strzep jedwabiu, powachala go, a potem usiadla z podniesiona glowa i zamknela oczy na dluga chwile. Powoli odwrocila glowe, choc nie podniosla powiek.

-Mysle, ze polozyli ja tutaj. Czuje tez konie...

-Jak mozna bylo przewidziec! - warknal. - Posluchaj mnie te raz: musze powiadomic pana kanclerza o tym, czego sie dowiedzielismy. Potrzebujemy tez zywnosci i koni. Nie pokazuj sie nikomu na oczy az do mojego powrotu. Mozesz to zrobic?

Skinela glowa. Zreszta w tej chwili nie moglaby poczolgac sie dalej nawet o krok. Zaszlo jej w gardle, ale ma niewielki zapas kordialu, ktory na krotko ugasi pragnienie.

Nicolas, podtrzymujac i ponaglajac Willadene, zaprowadzil ja z powrotem do miejsca, gdzie stykaly sie dwie zrujnowane sciany, a potem znow zaslonil je krzakami. Nastepnie zniknal szybko jak sokol i dziewczyna zostala sama.

Ksiazce Uttobric kulil sie w swoim wielkim krzesle. Na stole przed nim stal nietkniety kielich wina, a obok niego, talerz pelen pokruszonych, ale nieruszonych sucharow. Mial przed soba rozlozona mape Kronenu, nie patrzyl jednak na ostatnie naniesione kreda znaki, tylko na sciane, pod ktora stali na baczosc giermkowie- poslancy, gotowi w kazdej chwili wykonac jego rozkaz.

-Ksiazce... - Nie odwrocil glowy w strone mezczyzny, do ktorego sie zwrocil, lecz nadal spogladal przed siebie. - Zawiazano spisek. Intryga nie w pelni sie udala, bo nie zostales pojmany. Wprawdzie Mahart znajduje sie w ich rekach, ale mam nadzieje, ze oni...

Zawahal sie. Mlodszy mezczyzna zakonczyl za niego:

-...sprobuj ja uzyc jako zakladnika w pertraktacjach?

-W tym miescie jest sto, moze nawet tysiac miejsc - mowil monotonnym glosem ksiazce Uttobric - gdzie moga ja przetrzymywac, tak ze nikt nie zdola jej odnalezc...

-Ksiezniczki juz nie ma w miescie.

Obaj mezczyzni odwrocili glowy.

Vazul, ktoremu Ssssaaa syczala glosno do ucha, podszedl do stolu z drugiej strony i spojrzal w dol na mape. Jego chuda twarz sciagnela sie i poszarzala.

-Musimy polegac na siatce szpiegowskiej Nietoperza.

-A co wie Nietoperz? - spytal Uttobric.

-Na razie nic. Ale doniesiono mi jeszcze o czyms... Wasza Ksiazeca Mosc, Jej Wysokosc Saylana rowniez zniknela, a razem z nia nie tylko czesc jej dam dworu, lecz takze pani Zuta. Jezeli opuscily miasto, to nie w normalny sposob. I zielarka Halwice chcialaby z toba porozmawiac, panie...

-Chwytam sie kazdej wieści jak tonacy brzytwy, ty zas tymczasem zrob, co mozesz, w sprawie ucieczki tamtych kobiet. Niech zielarka tu przyjdzie.

Podobnie jak kanclerz postarzal sie przez te jedna noc, tak samo wyostrzyly sie rysy Halwice.

-Wasza Ksiazeca Mosc... - Nie zaczekala, az ja o to poprosza, ale sama zabrala glos. - ...i ty, ksiaze Lorienie. Musimy walczyć z czyms wiecej niz z zadza władzy jednej kobiety. Od dawna wiele na to wskazywalo, kiedy tu, w Kronenie, wyginal rod Gardow, i twoj własny lud stoczyl bitwe z gorskimi rozbojnikami... Pamietaasz Iszbi, ksiaze?

Lorien pochylil sie do przodu i oparl piesc na stole.

-To byli potomkowie demonow, pani. Ale w koncu ich zwyciezylismy.

-Czy rzeczywiscie? - odparla powoli. - A moze wrog tylko sie wycofal na pewien czas, zeby ponownie sie uzbroic i nabrac sil?

Ksiazec Lorienie, ci, ktorzy uprawiaja moj zawod, krocza waska sciezka miedzy Swiatlem i Ciemnoscia. W ciagu tych kilku minionych dni dowiedzialam sie, ze mamy do czynienia z mocami znacznie potezniejszymi od stali i posiadajacyimi wiedze o wiele wieksza od naszej. Mowie o Nonie...

-To tylko legenda... - Uttobric machnal reka, wywracajac kielich z winem, ktore zalalo mape.

-Iszbi! - Ksiazec Lorien przesunal piescia po mapie, rozmazujac po niej struge wina. - Moi przodkowie byli tam i choc inni zapomnieli, my nie zapomnimy tak dlugo, jak rodza sie nam synowie. To przeklecie...

-A moze to my jestesmy przekleci? - wtracila ostro Halwice. - Przez nieczysta moc, ktora kiedys tam rzadzila?

Lorien poderwal sie z krzesla.

-Jezeli za tym, co sie stalo, kryje sie to wieksze od wszystkich zlo, to, ksiaze panie, twoja sprawa jest rowniez moja. - Zawahal sie, po czym dodal cichym glosem, z ktorego zniknal gniew. - Oby Gwiazda miala w opiece twoja corke, ksiaze, jesli wpadla w niewole tych zlych mocy.

Uttobric ukryl twarz w dloniach; jego rece drzaly. Mahart... - Do niedawna byla dla niego tylko imieniem, irytujaca osobka, ktorej obecność musial tolerowac, niewiele dla niego znacząca. Gdzie jest teraz? Nie mial pojęcia, wiedzial tylko, ze wszystkie jego chytne plany wziely w leb, a nadzieje zawiodly i nic juz tego nie zmieni.

Usłyszał jakiś ruch, gdy do komnaty wszedł jeden z posłanców, ale to, co miał dostarczyć, podał kanclerzowi, nie zaś zrozpaczonemu księciu.

Vazul rozwinał niewielki skrawek papieru. Nie podniósł go jednak do własnych oczu, lecz przysunął do bystrych oczek Ssssaaa. Po sekundzie syk zwierzątka stał się tak głośny, że skupił uwagę wszystkich, nawet Uttobrica.

-Wywiezli ją z miasta. - Vazul miał taką minę, jakby tłumaczył na język ludzi syk Ssssaaa.

-Nietoperz donosi, pani - schylił lekko głowę w stronę Halwice - iż twoja uczennica twierdzi, że trop właśnie tam prowadzi. On sam gromadzi zapasy i wierzchowce, by ruszyć na ratunek księżniczce. Słyszeli rozmowę o Iszbi.

To ostatnie słowo odbiło się echem w komnacie, jakby było równie głośne jak któryś z miejskich dzwonów.

19

Silny zapach paproci przytłaczał Mahart, jakby ktoś przykrył ją stertą kocow. Nawet powietrze zdawało się Isnić zielonym blaskiem, gdy kon, stąpając ciężko, szedł za zakutą w zbroję postacią, która go prowadziła. Otoczony z dwóch stron urwiskiem szlak nagle się rozszerzył. Mahart początkowo uznała to miejsce za polkę skalną, a potem ujrzała jak we śnie, że jest to pierwszy z bardzo szerokich stopni. Wierzchowiec, który ją wiozł, mógł łatwo zejść po nich w dół, w zielony gaszcz. Na każdym stopniu głęboko wyłobiono jakiś symbol i strażnik-przewodnik Mahart prowadził konia tak, że zwierze przechodziło dokładnie przez sam środek znaku. Księżniczka widziała teraz, że zielona gestwina w dole to nie normalne drzewa i krzewy, lecz las olbrzymich paproci sięgających wysoko ponad jej głowę, choć jechała na koniu.

Nie wiał tu wiatr, nie słychać było śpiewu ptaków ani brzęczenia owadów. Kiedy dotarli do ostatniego szerokiego stopnia, tajemniczy strażnik, który ją tutaj przyprowadził, zszedł na bok. A gdy wierzchowiec Mahart zrownał się z nim, zamaskowany mężczyzna określił postronek wokół leku siodła. Nie podniósł głowy, by spojrzeć na księżniczkę. Zamiast tego stanął nieruchomo, natomiast kon Mahart powłokł się dalej prosto przed siebie.

To wszystko tak bardzo przypominało sen, iż księżniczka poczuła, że nie może zająć wyjaśnień ani zaprotestować. A mimo to w głębi duszy zdawała sobie sprawę, że zdążyła ku jakiemu wielkiemu niebezpieczeństwu, którego nawet nie potrafi sobie wyobrazić.

Początkowo sciana paproci sprawiała wrażenie, że jest tylko odstreczająca intruzów zaporą. Ale kiedy kon Mahart zbliżył się wolnym krokiem do tych olbrzymich, pierzastych roślin, paprocie rozstały się przed nimi, dając im przejście, choć powietrza nie poruszył żaden podmuch. To tu, to tam Mahart zaczęła dostrzegać dziwne wyrwy w gaszczu paproci - zrujnowana sciana, ostry róg ulicy. I mimo że wokół panowała głęboka cisza, słyszała głośny tetent swego wierzchowca, jakby jego kopyta uderzały w kamień, chociaż w dole

rozposcieral sie tylko zielony kobierzec mchu.

Mahart krzyknela. Jedna z drzewiastych paproci na prawo od niej odchyliła sie do tyłu i ksiezniczka tylko na moment z przerazeniem spojrzala w jakas twarz. Nie tak piekna jak wykute na scianie wawozu lico, lecz jakby niezdarnie wyrzezbiona w pokrytym kora pniu drzewa. Pozniej twarz ta zniknela tak nieoczekiwanie, jak sie pojawila.

Im bardziej jednak sie zaglebiali w zielona gestwine, tym wiecej pojawialo sie sladow pracy czyichs rak, pozostalosci bardzo starych budowli. Las paproci zaczal sie przerzedzac.

Wreszcie przebyli ostatni rzad pierzastych wachlarzy i znalezi sie na otwartej przestrzeni. Przed Mahart rozpostarla sie spokojna gladz jakiegos jeziora otoczona ruinami z zielonkawego, prazkowanego kamienia. Paprocie ustapily miejsca mchowi, ktory w jakis sposob przypominal pnacze, gdyz jego wici pelzly do przodu po kamieniach, ale na niewielka odleglosc. Wydawalo sie, ze nie podoba sie podpora, ktora musial zaakceptowac.

Na środku jeziora znajdowała się wielka kupa gruzów - może nawet pozostałości zamku, który upodobił się do skalnego rumowiska. Wtedy po raz pierwszy Mahart zauważyła jakiś ruch. Nieznane stworzenia wynurzyły się z wody i rozsyłając na wszystkie strony miniaturowe fale, śmigły między kamieniami. Poruszały się tak szybko, że nie mogła w tym dziwnym, podobnym do snu stanie, w jakim się znalazła, dobrze im się przyjrzeć. Odniosła jednak wrażenie, że mają cztery kończyny i szeroka, niekształtna, pozbawiona szyi głowę, osadzona bezpośrednio na ramionach. Barwa przypominały owe kamienie, dlatego kiedy znalazły się na brzegu i zatrzymały się wśród gruzów, zlewały się z otoczeniem i już nie mogła ich dojrzec.

Kon dowiozł ją do pozostałości wysuniętego w jezioro mola, a potem zatrzymał się i stał z pochyloną głową. Następnie wydał coś w rodzaju żalostnego sapnięcia i zaczął się trząść, jakby ciężar ciała Mahart odbierał mu siły.

Obolała, zeszywniała dziewczyna zsunęła się z grzbietu wierzchowca. Dostała tak silnych zawrotów głowy, że musiała przytrzymać się zaimprovizowanego siodła, aby nie upaść.

Kon westchnął głęboko po raz drugi i osunął się na kolana, odrzucając Mahart w bok. Uderzyła się boleśnie o jakąś ścianę i przywarła do niej.

Zwierzę leżało teraz na boku i dyszało coraz ciężiej. Księżniczka cofnęła się, nie wiedząc, co się z nim dzieje i czy ją też spotka taki sam los.

Kon opuścił głowę. Mahart zauważyła, że przestał oddychać. Wbiła paznokcie w niewielką skałę i odsunęła się od zwierzęcia; uznała je za martwe. Zaszło jej w ustach z pragnienia. Nie chciała jednak napić się wody, z której wynurzyły się tamte stworzenia.

Księżniczka oparła się jedną ręką o skałę i zrobiła krok do przodu, a potem drugi. Oddalala się od jeziora, choć zdawała sobie sprawę, że sama nie przedrze się przez las paproci.

-Światło Gwiazdy, Drogo Jasności... - Język miała tak wyschnięty, że z trudem wypowiadała te słowa. - Gwiazdo Łaski, Gwiazdo Podniebna... - Powoli wyrecytowała Pieśń Promieni. W tych czasach niewielu wierzyło w cuda, w namacalną pomoc w niebezpieczeństwie. Mahart nie wychowała się w klasztorze Gwiazdy i nawet nie znała dobrze żadnej z Wielkich Prosb. W tym miejscu jednak odnalazła i uczepiła się jednego wspomnienia - jasnego światła kryształu, z którym księżniczka powitała ją podczas pielgrzymki. - Gwiazdo... - wyjąkała ochryple.

Potknęła się o sięgający jej aż do kolan odcinek muru i upadła; uderzyła się tak boleśnie, że przez jakiś czas mogła tylko leżeć w tym miejscu. Kwiaty... kwiaty... i jakaś laka... i ktoś ma przyjść...

Wydało się jej, że mocny zapach paproci osłabł, a z pobliza jej głowy napłynęła inna, ostrzejsza i czystsza won. Spojrzała na rękę. Jej dłoń była czerwona i lepka, ale nie od krwi. Ten zapach sprawił, że podniosła ją do ust.

Lammanski owoc - i w dodatku dojrzały, choć jeszcze nie nadeszła jesień. Nie zadawała sobie żadnych pytań. Rozgarniała liście pnacza i wpychała jagody do ust, omal nie lykając ich w całości. Zaspokoila w ten sposób pierwszy głód i rozejrzała się wokół. Padając w jakiś sposób znalazła się w zapuszczonym ogrodzie. Potrząsnęła głową w oszłomieniu. Przecież to niemożliwe! Nawet ona, która nigdy nie stapała po polu uprawnym i nie oglądała zbiórki plonów, widziała, że otaczające ją pełne życia rośliny owocują jednocześnie, choć powinny je od tego dzielić całe miesiące.

Zyzna ziemia dostała się za jej polamane paznokcie, kiedy zaczęła w niej grzebać w poszukiwaniu długich, podobnych do straków korzeni salassa. Miażdżyła je zębami, aż sok strumykami sypwał jej po brodzie. Później zobaczyła w niewielkiej odległości rząd niskich krzewów, których galezie uginały się pod ciężarem dojrzałych złocistych plumfertów. Nawet jej ojciec nigdy nie uczestniczył w takiej uczcie!

Mahart dziwiła się coraz bardziej. Większość zgromadzonych tutaj w takiej ilości owoców zwykle przyciągnęłyby zarówno owady, jak i ptaki. Nie dostrzegła jednak ani jednych, ani drugich. Tuż za plumfertami ujrzała natomiast jeszcze wyższy mur i stamtąd biegł ja pewien dzwiek...

Poszła w tę stronę. Okrążając największe z drzew, zauważyła jakies zagłębienie w wysokiej, kamiennej wieżyczce. Wyglądało jak wąska jaskinia i światło dzienne pozornie nie docierało do jego wnętrza, a przecież nie było ono ciemne. Wysoko w ścianie nad środkiem tej szczeliny tkwił błyszczący kryształ.

Mahart osunęła się na kolana i po raz pierwszy padł na nią blady strach, poraziły ją wszystkie lęki i obawy. Wybuchnęła płaczem. Nigdy dobrowolnie nie pokazałaby wrogom łez, które teraz jak grad sypały się jej z oczu.

Z dolnego promienia kryształu woda sypwała strumykami, nie szerszym niż najmniejszy palec Mahart, do kamiennej misy. Później przelewała się przez jej brzegi, wsiąkała w ziemię i znikła, nie odpływając na powierzchnię.

Dziewczyna jakimś cudem dopięła do tej misy i pochyliła głowę przed wiszącym nad nią kryształem. Uwierzyła, że jest to siedziba zła, a przecież, jak nasienie w owocu, w jego wnętrzu kryło się dobro! Nie chciało jej się wierzyć, że te dwie moce istnieją obok siebie - mogła tylko to zaakceptować.

Nie zbruka wody w tym niewielkim kamiennym zbiorniku swoimi brudnymi rękami. Umyła je w wylewających się strugach, a później nabrała w nie wody i podniosła do ust. Napila się. Nie potrzebowała już słów - nie pasowały do tego miejsca - czuła tylko wszechogarniający spokój, jakby czyjeś miękkie ramiona objęły ją i przytuliły. Nigdy w życiu nie było jej tak dobrze.

Willadene zgarbiona oparła się o torbę i starała się nie myśleć o zaprawionej miodem

kaszy, o grubo posmarowanych masłem kromkach świeżego chleba - wszystko to wydawało się jej znacznie smaczniejsze niż resztki uczyty w zamku. Oszczędnie użyła kordialu, po prostu zwilżyła nim czubek palca i dotknęła go językiem. Wielokrotnie widziała, jak przywraca siły, ale teraz nie zaspokoił głodu, który szarpał jej wnętrzności.

Jedyna słoneczna plama padała na szczyt pagórka gruzów nieco dalej od kryjówki Willadene, musiało więc być już dobrze po południu. Od Mahart i jej porywaczy dzielił ich teraz wiele godzin drogi. Jeszcze raz podniosła do nosa strzep jedwabiu i skupiła na nim wole, szukając śladów właściwego zapachu.

Była jednak bardzo zmęczona i z trudem unosiła opadające powieki. Mimo to jednak starała się myśleć o tym, co powinna zrobić. Obudził ją tetent konski, który raczej wyczuła jako wibracje gruntu, niż usłyszała. Natychmiast wcisnęła się głębiej w krzaki i czekała.

Później dotarł do niej nie tylko odgłos drapania o ziemię i omszałe kamienie, lecz także znajomy syk. Krzak przed nią zakolysał się lekko, kiedy smukłe ciało przecisnęło się między ulistnionymi galeziami. Willadene spojrzała w dół i ujrzała zwierzątko Vazula, które stało na tylnych łapkach, sięgając przednimi najwyżej, jak mogło. - Ssssaaa... - Nie zauważyła żadnego innego poruszenia; kanclerz się nie pojawił. Jego pupilka skoczyła w stronę dziewczyny i niemal natychmiast owinięła się wokół jej szyi, przybierając swoją ulubioną pozycję, zupełnie jak na ramionach Vazula.

Willadene głaskała główkę Ssssaaa, która od czasu do czasu ocierała się o jej podbródek. Nagle wyraźnie zobaczyła w słońcu czarną postać - to mógł być tylko Nicolas.

Prowadził trzy konie, dwa osiodlane i trzeciego objuczonego para sakw. Willadene wyczołgała się z kryjówki i wstała. Zbyt długo siedziała tam skulona, dlatego teraz bolą ją wszystkie mięśnie.

Nicolas przywiązał wodze dwóch koni do stosów gruzu i zajął się trzecim: otworzył jedną z sakw, wyjął szorstką serwetkę, z której coś rozwinał; wyglądało to tak apetycznie, że Willadene oblizwała wargi.

Podał jej zawiniatko z burknieciem:

-Zjedz to!

Zauważyła, że omiata wzrokiem otoczenie i pomyślała, iż czyta w krajobrazie tak jak skryba w księdze.

Usiadła na kamiennym murku i zaczęła jeść, starając się nie lykac łapczywie. W zawiniatku znalazła też flakonik - jego zapach poinformował ją, że jest to jedna z ziółowych herbatek Halwice. Pociągnęła łyżeczkę.

Nicolas krzył po ich zaimprovizowanym obozowisku. Dwukrotnie przykleknał, żeby zbadac

wzrokiem pozornie naga polac gruntu. Kiedy wrocil do Willadene, mial ponury wyraz twarzy; przywykla do takiej miny od czasu ich pierwszego spotkania. Oblizala usta i ponownie zawiązala maly tobolek, w którym pozostala jedna trzecia jego pierwotnej zawartosci. Zdala sobie sprawe, ze za chwile jej wlasne slowa z kretelem pograza ja w oczach Nicolasa.

-Nie umiem jezdzic konno - powiedziala smialo i spojrzala czujnie na najblizej przywiazanego wierzchowca.

Nicolas spochmurnial jeszcze bardziej i mruknal cos pod nosem, ale nie zrozumiala co. Pozniej odpowiedzial tak, jakby tylko on mial nad nia nieograniczona wladze.

-Pojedziesz! Jest tu szlak, którym moze jechac ktos, kto potrafi tropic slady w lesie. Trzymaj sie leku siodla; podaj mi wodze. Bedzie to nam bardzo przeszkadzalo, ale pojedziemy.

Pomogl jej wsiasc na konia. Ogarnal ja niepokoju, omal nie zakrecilo sie jej w glowie - ziemia wydawala sie tak odlegla i twarda. Zdjal torbe z jej z ramienia i przywiazal za siodlem. Kon pod nia przestapil z nogi na noge; ze wszystkich sil starala sie zachowac rownowage. Posluchala jednak rozkazu i mocno chwycila lek siodla, niemal wbijajac w niego paznokcie.

Nicolas szedl pieszo. Trzymal wodze jej konia, który na szczescie mial chyba spokojne usposobienie i zaakceptowal ciezar na grzbiecie. Poniewaz mlody wywiadowca okrecil wodze swego wierzchowca wokol leku siodla, zwierze to zajelo drugie miejsce w szeregu, jakby bylo dobrze wycwiczone w podrozach tego rodzaju. Objuczony kuc kroczył na koncu.

Początkowo Willadene myslala tylko o tym, jak utrzymac sie na koniu, ale poniewaz dotad nie spadla, zaczela obserwowac Nicolasa. Co pewien czas opuszczal ja na moment. Bacznie spogladal na ziemie, krzaki lub pnie drzew, miedzy którymi kluczyl, idac sladami porywaczy ksiezniczki. Wreszcie powiedziala cicho:

-Jestes dobrym tropicielem.

W karczmie Jacoby slyszala o przewodnikach; musieli im zaufac kupcy, kiedy zbaczali z glownych szlakow.

-Czy czytasz w tym, co nas otacza, rownie biegle jak skryba w ksiedze? - powtorzyla glosno mysl, która wczesniej przyszla jej do glowy.

Ku jej zaskoczeniu i sekretnej uldze spojrzal na nia przez ramie i jego wargi wykrzywil wymuszony usmiech. Zrzucil czarna maske i dlatego w jakis dziwny sposob wydawal sie jej blizszy od wszystkich ludzi, których znala.

-Czytam, jak to nazywasz, w taki sposob... - Wskazal na przeorany czymś skrawek gruntu uslanego zeszluszczonymi lisciami. - To latwy trop, poniewaz niektorzy ze sciganych to mieszczychy i nie maja pojecia, jak zatrzec za soba slady. Widzisz te galaz przed nami?

Jakis glupiec ja zlamal, poniewaz przekrzywila mu czapke lub cos podobnego. Jest jednak wsrod nich ktos, kto umie podrozowac na otwartym terenie i to on im przewodzi.

W owej chwili Willadene nie umialaby powiedziec, czy kieruja sie na pomoc, czy na poludnie, na wschod, czy na zachod. Wiedziala tylko, ze Kronengred lezy na zachodzie i ze na pewno tam sie nie udaja.

-Dokad oni jada?

Nicolas znow sie zasepil.

-Na polnoc. Ale jesli sadza, ze ukryja sie w jakiejs norze Czerwonego Wilka, to sa skonczonymi durniami. Nasz dzielny ksiazke Lorien nie tylko oczyscil kwatere glowna tego zboja, lecz takze pozostawil wlasny oddzial, wraz z doswiadczonymi straznikami granicznymi, ktorzych nie odwolal nasz wladca, zeby wykurzyli kompanow Wilka ze wszystkich kryjowek. I ksiazke Lorien znow wyrusza w droge - na polnoc. Jego zwiadowcy rzeczywiscie sa dobrze wycwiczeni i doswiadczeni. Popatrz teraz, co ja robie.

Przykleknal w miejscu, gdzie kepa mocnej trawy wyrastala spomiedzy naziemnych korzeni bardzo wysokiego i starego drzewa. Delikatnie rozdzielil zdzbla i scial kilka z nich nozem. Trzymajac je ostroznie w dloni, druga reka pogladzil kepe trawy, ktora znow sie wyprostowala. Chociaz Willadene niewiele widziala z wyzyn siodla, przypuszczala jednak, ze doswiadczony tropiciel odnajdzie ten slad. Nicolas zwinal scieta zdzbla trawy, a potem siegnal tak wysoko, ze prawie musial stanac na palcach, by dotknac suchego ptasiego gniazda z ubieglego roku. Wplotl w nie swieza trawe - ale tylko z jednej strony, tak ze mala zielona plamka wskazywala kierunek, w ktorzym jechali. Pozniej odwrocil sie do Willadene.

-Udaje teraz rozbojnika, pani - powiedzial ze smiechem. - Takie umiejetnosci nie sa nam potrzebne, przynajmniej na razie. Przyjrzyj sie jednak uwaznie temu, co robie, bo moze nadejsc taki czas, kiedy sama bedziesz musiala jechac jakas droga i pozostawic swoje przeslanie.

O zmierzchu pozwolil jej odpoczac od jazdy; bardzo tego potrzebowala. Pomyslala o pewnym kremie, ktory przyniesie ulge jej pokaleczonej i obolalej skorze. Nicolas wybral miejsce na oboz w poblizu niewielkiego strumyka, a plusk wody rowniez uspokajal.

Tutaj burza powalila jedno z ogromnych drzew z kurczacego sie lasu; pociagnelo ono za soba kilka mniejszych. Wszystko to wygladalo jak niezdarnie uwite z boku traktu gniazdo jakiegos olbrzymiego ptaka. Nicolas sprytnie wycial w nim przejscie. Konie przywiazal w poblizu, wyjasniajac, ze zaalarmuja ich, jezeli cos bedzie sie do nich zblizalo.

Willadene chodzila tam i z powrotem, starajac sie rozprostowac zeszywniale, obolale miesnie. Zeszla nad strumyk, gdzie z radoscia znalazla spora polac dojrzewajacej rzezuchy. Przypomniala sobie jednak ostrzezenie Nicolasa i zastosowala w praktyce jego wskazowki. Nie wrywala roslin z korzeniami bez ladu i skladu, co pozostawiloby wyrazny slad, lecz

wybierala je w zapadajacym mroku tak, by pozostale zaslanialy powstala wsrod nich pusta przestrzen. Kiedy skonczyła, z zaskoczeniem ujrzała obok siebie Nicolasa. Oczy, które tak często spoglądały groźnie, teraz miały inny wyraz.

-Witaj na szlaku, pani - powiedział powoli.

20

Znaleźliśmy go tam, gdzie nam powiedziano, w Brazowej Bessie. - Dowódca oddziału kopnął wzmocnionym metalową skuwką butem leżącą u ich stóp postać. Człowiek jęknął, usiłując jeszcze bardziej się skulic. Książę Lorien spojrzał na ich zdobycz, krzywiąc pogardliwie wargi, ale kanclerz pochylił się do przodu w krzesle i zmierzył więźnia taksującym spojrzeniem. - Popatrz na mnie! - rozkazał nagle. Głowa ze skudłaconymi włosami podniosła się i chytre, wodniste zielonkawe oczy napotkały badawczy wzrok Vazula.

-Komu służysz? - Gdyby te słowa były biczem, smagnęłyby leżące na podłodze zrozpaczonego młodzika. - A może nosisz liberie, która ktoś wyrzucił?

-Gadaj, lotrze! - rozkazał dowódca oddziału. Chwycił więźnia za włosy ręką w grubej rekawicy i unosił jeszcze wyżej jego głowę, prawie podnosząc go z podłogi.

-Jestem... posłancem... - Widac było, że bardzo stara się nie ulec tym, w których mocy się znalazł.

Oficer potrzaskał nim gwałtownie. Młody mężczyzna wydał cichy okrzyk rozpaczki. Łzy popłynęły mu z oczu, złościąc rowki w brudzie pokrywającym policzki.

-Nie mamy czasu do stracenia - powiedział lodowatym tonem książę Lorien. - Istnieje wiele sposobów na przywrócenie komus pamięci i rozwiązanie języka. Słyszales, co powiedział kanclerz - czym jesteś posłancem?

-Jej...

-To znaczy czym?

-Jej Wysokosci Saylany. Posłała po Wyche'a, a ja byłem wtedy jego sługa. Powiedziała, że potrzebuje kogoś chytrego i przebiegłego...

Kiedy urwał, by przelknąć ślinę, rozległ się śmiech księcia Loriena.

-I w ten sposób pomogłeś zastawić pułapki... - ciągnął Vazul.

-Nosilem wieści do Wyche'a, to on posłał mnie do podziemnych korytarzy - wyszłochal więźniem. - I to ja miałem usunąć z drogi tę służebną dziewczkę. Przysięgam na Rogi Gratcha,

ze tylko wykonywałem rozkazy...

Książe Lorien, który przyglądał mu się, mrużąc oczy, zaatakował go z szybkością polującego kota.

-Wykonywałeś tylko rozkazy i Jej Wysokości Mahart już nie ma w mieście? Tak? W których rekach się teraz znajduje?

Wieżnien skulił się jeszcze bardziej, o ile to było możliwe, bo oficer nadal trzymał go za włosy.

-Mówili, że w Iszbi - szepnął.

-Dlaczego? - Teraz Vazul prowadził przesłuchanie. - Podaj nam prawdziwe fakty i możesz liczyć na szybką śmierć. Dochowaj tajemnicy, a przekonasz się, że opuścisz ten świat po długich, strasznych torturach.

-Kiedy nie wiem! - wrzasnął przerażony nie na żarty więziennik. - Otrzymałem rozkazy, nic więcej mi nie powiedziano.

-Iszbi - powtórzył powoli Lorien. - A dokąd się udała ta wielmożna pani, której służyłaś?

-Księżniczko, skąd mam wiedzieć? Ja, Jonas i Gorgor wynieśliśmy tę drugą wielmożną panią z miasta, jak nam kazano, i więziliśmy ją przy pomocnym trakcie, aż przyszły wieści, że mamy ją odesłać do Iszbi. Ale ja nie pojechałem z tymi, którzy ją zabrali.

Wrocilem tutaj. I czekałem, tak jak mi kazano, aż złapał mnie twój oddział.

-Myślałem, że schwytaliśmy tylko plotkę, kiedy mieliśmy nadzieję na pojmanie grubej ryby. Może dostarczy trochę informacji, panie kanclerzu, ale w niczym nie ułatwi nam poszukiwań. Tymczasem... - Dotychczas Lorien bawił się wąskim sztyletem, takim, jaki można wbijać w otwór w osłaniającym całą twarz hełmie, by trafić w oko. Teraz wsunął go z powrotem do kieszeni naszytej na pasie, u którego nosił miecz. - Pojźmy na pomoc. Już wysłałem tam zwiadowców i jeśli zostały jakieś ślady, na pewno je znajdą. Zresztą twój Nietoperz również odgrywa pewną rolę w tych poszukiwaniach. - Uśmiechnął się. - Panie kanclerzu, darzę go wielkim szacunkiem z powodu jego niezwykłych zdolności.

-Jego Wysokość Uttobric poprosił o audiencję w klasztorze Gwiazdy i niedawno właśnie tam się udał - powiedział Vazul. Ponieważ nie był w prostej linii następcą tronu i zdobył władzę dzięki wyrokowi losu, nie zna wielu spraw z przeszłości. Poszedł więc do świątyni, żeby ją poznać.

-To mądre posunięcie. - Książe Lorien pokiwał głową. - A tymczasem, Matthew, zabierz stąd to łajno i oddaj je ludziom pana kanclerza. Może jeszcze coś z niego wycisną.

Mimo jekow wieznia dwaj zolnierze Loriena na skinienie dloni swego dowodcy wywlekli nieszczesnika z komnaty.

Mahart popatrzyła na lachmany, które pozostały z jej koszuli nocnej. Ma wprowadzić koc, ale nadal znajduje się on na grzbiecie martwego konia poza strefą bezpieczeństwa. Nie zdołała jednak odnaleźć oponczy - swego jedyne go możliwego okrycia - a wraz z nadejściem nocy zaczęła wiać zimny wiatr, od którego spierzchnie jej podrapana, brudna skóra.

W takim razie muszę wziąć koc, postanowiła, starając się powściągnąć strach, jaki budziła w niej konieczność opuszczenia ogrodu. Wiedziała bowiem, że narazi się na nieznaną niebezpieczeństwo. W sercu Mahart nadal gościł łagodny spokój tego miejsca, ale czuła, że jakaś część jej umysłu ocknęła się z wywołanego narkotykiem snu i że znowu może myśleć i czuć normalnie.

Po raz drugi poszła do kamiennej misy i ponownie umyła twarz i ręce w spływającej z niej wodzie, a potem, nie czekając, aż lek ją powstrzyma, skierowała się do niższego odcinka muru, o który przedtem się potknęła.

Słońce już zaszło i zapadał zmierzch. Po przejściu przez murek usłyszała plusk w jeziorze. To na pewno stworzy z tamtej wyspy, a ona nie ma nawet zwykłego noża! Musi jednak odzyskać koc przed nadejściem nocy.

Podniosła z ziemi niewielki kamień. Był gładki i zaokrąglony, z nierównymi, poszarpanymi brzegami po obu końcach. Najwidoczniej stanowił niegdyś część większej rzeźby. Trzymając go w ręce, ruszyła przez splecione mech w stronę nabrzeża.

Nad jeziorem wydało się jej, że poświęta księżycowa - choć to ciało niebieskie nie świeciło w gorze - została uwieczniona w ruinach na wyspie. Poświęta ta miała jednak zielonkawy odcień, różniący się od krystalicznego blasku, jaki Mahart tak dobrze знаła. Zauważyła tam wielkie poruszenie. Stworzenia, które jeszcze trudniej było dostrzec w zielonkawym świetle, wskakiwały z pluskiem do wody, że aż burzyła się i kipiała.

Mahart zacisnęła zęby, ścisnęła oburącz ciężką, zaimprovizowaną maczugę i pospieszyła do konia. Po raz pierwszy obudziło się w niej nowe uczucie - litość. Wierzchołek ten był takim samym więźniem porwaczy, którzy ją tu przywieźli, jak ona sama, i choć nie wiedziała, co go zabiło, czuła zarówno gniew, jak i smutek.

Uklekła przy nieruchomym ciele, położyła kamienną maczugę w zasięgu ręki i pociągnęła za rzemienie, przypasując koc do grzbietu zwierzęcia. A potem - Mahart nie wiedziała, dlaczego to zrobiła - przesunęła się do przodu, położyła głowę konia na kolanach i przycisnęła dłonie do grubej skóry tuż nad jego przymkniętymi oczami.

Nigdy nie słyszała o żadnych uzdrowicielach mogących odegnąć śmierć ani o żadnym leku, który by przywrócił do życia martwą istotę. A jednak poczuła przypływ nowej siły, jakiej nigdy dotąd nie znała. Zdała sobie sprawę, że nuci bardzo starą piosenkę ze swojej

przeszłości. Miała bowiem kiedyś pochodząca z północy nianka, która traktowała ją jak samotne dziecko - bo przecież nim była - nie zaś jak nietykalna wielmożna pania.

Usłyszała głębokie westchnienie, lekki podmuch poruszył strzepy jej prawie już nieistniejącej koszuli nocnej. Wypływała z niej energia - jak woda z tamtej kamiennej misy - i zwierze na nią reagowało. Może jednak nie było martwe, tylko bardzo, ale to bardzo zmęczone.

Kiedy kon podniósł głowę z jej kolana, na krancu mola rozległ się przeraźliwy, ogłuszający wrzask, który parokrotnie odbił się echem. Jakies stworzy wylazły z wody. Na powietrzu zawahały się i zbily w gromade, zamiast ruszyć do przodu, jak się spodziewała księżniczka.

Mahart stała z kamieniem w ręku, ledwie postrzegając konia, który gramolił się i wierzgał, próbując się podnieść. Skupiła całą uwagę na stworzeniach mieszkających w jeziorze. Zielonkawy blask z wyspy zdawał się łączyć i do nich, dlatego widziała je znacznie lepiej.

Na pewno nie przypominały z wyglądu żadnego zwierzęcia, o jakim słyszała lub którego wyobrażenie widziała w starych księgach. Każde z nich miało cztery długie, cienkie kończyny. Para wyrastająca z górnej części ciała - gdyż po wyjściu z wody stały na tylnych nogach - wyglądała nie jak łapy, ale rece o spiętych blona palcach. Istoty te miały szerokie, okrągłe głowy, zaokrąglone brzuchy, a rysy jak u ropuchy, która raz znalazła zagubioną w żalosnym ogrodzie zamkowym. Usta były bardzo duże, tak samo jak oczy; zamiast nosów widniały między nimi tylko wąskie szczeliny. Ohydna, nie osłonięta odzieżą śliska skóra sprawiała wrażenie posmarowanej tłuszczem. Mahart nie umiała też rozróżnić ich płci, chociaż zdawała sobie sprawę, że we wciąż rosnącym tłumie są zarówno samce, jak i samice.

Ku jej bezgranicznemu zdumieniu mieszkańcy jeziora nie próbowali podejść do niej blisko, chociaż nowi przybysze bez przerwy napierali na pierwsze szeregi, pchając je do przodu. A przecież była pewna, że mają wobec niej złe zamiary i że planują atak.

Poszukać jakiejś kryjówki? Zakletego ogrodu? Kon parsknął, a potem zarzął. On również stał naprzeciw wodnym stworom, przewracając oczami tak, że widac było białka, i grzebnął kopytem w omszały kamień.

Mahart jedną ręką chwyciła wiszącą luźno wodzę. Wierzchowiec nie próbował się uchylić, lecz oparł się o nią barkiem, jakby czuł się przy niej bezpieczny.

Księżniczka powoli wróciła do okalającego ogrodu muru. Czy znajdzie tam dość miejsca, żeby kon nie zniszczył tego bogactwa jadalnych owoców i korzeni? Zwierze zdawało się znać jej zamiary. Gdy na moment rozluźniła uścisk, wysunęła wodzę z jej dłoni, cofnęła się nieco i bez trudu przeskoczyła przez kamienne ogrodzenie.

Z jeziora dobiegło teraz zawodzenie, w którym wyczuwano się | artykułowane dźwięki. Mahart z całej siły chwyciła się najbliższego fragmentu muru. Coś ją ciągnęło, wzywało do miejsca, gdzie czekały tamte ohydne potwory, i tylko w ten sposób mogła stawiać opór.

Czepiając się górnej partii ogrodzenia, z trudem zrobiła w jego stronę jeden krok, potem drugi, aż wreszcie zdołała przedostać się na drugą stronę i ponownie padła twarzą na rosnące gęsto warzywa. Nacisk obcej woli natychmiast znikł.

Zawodzenie trwało jeszcze przez kilka chwil, a potem umilkło. I znowu słyszała tylko plusk wody w jeziorze. Miała nadzieję, że dziwaczne stwory się wycofują.

Kiedy odwróciła głowę, zauważyła, że kon kroczy wokół wewnętrznej strony muru, celowo omijając owocujące rośliny. Wreszcie dotarł do miejsca, gdzie opuścił głowę i zaczął się pasc, szybko i lączywie, jakby się bał, że coś odbierze mu pokarm. Niezdarnie zdjął z niego wodze i schylił się po obluźowaniu ostatnich rzemieni.

Szorstka tkanina pachniała koniem i kurzem, ale była ciepła. Otuliwszy się nią, księżniczka wróciła do źródła. Przemówiła teraz głośno, jakby dźwięk jej głosu miał dać jej odpowiedź, jakiej potrzebowała.

-Kim jestem? - zapytała i w jakiś sposób skierowała to pytanie do kryształu, z którego tak miarowo kapła woda. - Rozumiem, że jest coś, co muszę zrobić. Czuje to tu - dotknęła najpierw piersi, a potem czoła między brwiami. - Ale kim jestem? Na pewno nie kims, za kogo zawsze się uważałam.

Z niszy nie nadeszła żadna odpowiedź... Nie, musi poszukać jej w innym miejscu - w swojej jazni. Znowu ogarnęło ją uczucie, że czeka na coś lub na kogoś, to samo, które tak długo nawiedzało ją w snach o kwitnących łąkach. Ale jeszcze nie pora na to. Znalazła nieco dalej inne miejsce przy murze, gdzie nie docierała wsiakająca w ziemię woda z kamiennej misy, i ciasniej owinięła się kocem. Natychmiast zmorzył ją sen.

Willadene ujrzała jakąś twarz - a raczej parę utkwionych w siebie oczu o władcym spojrzeniu. Kryła się w nich wewnętrzna moc, jaka zawsze wyczuwała u Halwice. Siła ta groziła jej, a nie tylko mierzyła ją wzrokiem. Stare, bardzo stare oczy jak jamy, w których wirują wieczniewiecznie płonące ognie. Spalają, jeśli w nie wpadnie...

Walczyła nie pięściami, tylko wola i myślami...

A potem zorientowała się, że siedzi w mroku i że Ssssaaa cicho syczy jej do ucha. Ciepło, znacznie większe, niż mogłoby wydzielić takie małe ciałko, rozchodziło się od ramienia dziewczyny, do którego przytuliło się zwierzątko Vazula. Nie widziała już żadnych oczu, tylko ciemność. Obok niej ktoś się poruszył, momentalnie więc oparła dłoń na rekojesci noża.

Na ramieniu dziewczyny spoczęła czyjaś ciężka ręka. Jednocześnie uczennica Halwice usłyszała szeptał jeszcze cichszy od syku Ssssaaa.

-Zachowaj spokój!

Willadene nie potrzebowała tego ostrzeżenia. Usłyszała bowiem w ciemności inne dźwięki -

z dala od podobnej do jaskini kryjowki z galezi, ktora dla siebie przygotowali. Konie. Nicolas puscil jej ramie i odszedl szybko. Oczy dziewczyny przyzwyczaily sie juz nieco do mroku. Wyciagnela reke, ale za pozno, by powstrzymac Ssssaaa, ktora rowniez ja opuscila.

Kimkolwiek byli ci nocni wedrowcy, nie probowali sie ukrywac i znajdowali sie znacznie dalej, niz poczatkowo sadzila. Dobiegł ja plusk wody, jakby wierzchowce nieznanych jezdcow weszly do strumienia, w zaden jednak sposob nie mogla sie dowiedziec, ilu ich jest.

Wyczula towarzyszacy przybyszom smrod zla. Po omacku odnalazla amulet i zblizyła go do nosa. Jeszcze w Kronengredzie przymocowala do niego zawiniatko z dwoma pradawnymi liscmi wyjetymi ze starej ksiegi, a calosc przewiazala strzepkiem nocnej koszuli Mahart. Miala glebokie przekonanie, ze kazda z tych czesci czerpie sile od pozostalych i ze nalezy trzymac je razem jako jedna calosc.

Tetent konskich kopyt ucichl. Nocni wedrowcy nie zbliżyli sie do zarosli, w ktorych ukryli sie Willadene i Nicolas. Ale w glebi duszy dziewczyna zdala sobie sprawe - i odruchowo mocniej scisnela amulet - ze przynajmniej jedna osoba sposrod nieznajomych wyczula ich obecosc. Nie miala pojecia, dlaczego nie wypiedzili ich z kryjowki...

Nicolas wczolgal sie na swoje dawne miejsce obok Willadene. Widziala zamazana plame, ktora byla jego twarza, ale reszta postaci zlewala sie z nocnym mrokiem.

-Mamy towarzystwo... - szepnal.

Ssssaaa zeskoczyla z galezi i znow przytulila sie do dziewczyny.

-Jeden z nich wiedzial, ze tu jestesmy - powiedziala cicho, pewna, ze sie nie myli.

-W takim razie albo sie spiesza, albo... - W tej chwili mimo woli porownala zimne spojrzenie Nicolasa, ktore tak czesto na nia zwracal, z lodowatym tonem, jakim wyszeptal te slowa. - ...uwazaja nas za latwa zdobycz, ktora bez trudu zlapia w wolnej chwili. Ssssaaa zdolala uspokoic nasze konie, Vazul na pewno ma w niej wspaniala sojuszniczke. Widac jednak bylo, ze jada dobrze sobie znana droga - pieciu mezczyzn i dwie kobiety...

-Jedna z nich to Jej Wysokosc Saylana - szepnela Willadene. Nie wiedziala, dlaczego wlasnie to imie przyszlo jej na mysl.

Znow zacisnal palce na jej ramieniu.

-Jak sie o tym dowiedzialas?

Wsunela nos w niezgrabne zawiniatko, w jakie przemienil sie jej amulet.

-Czulam zapach paproci z polnocy i smrod zla!

-Nie probowali zacierac sladow - Nicolas rozluznil nieco uscisk. - Pojechali na polnocny zachod. Wprawdzie ksiazka Lorien wykonczyl Czerwonego Wilka, ale nie wylapal wszystkich jego zwolennikow. Ci rozproszyli sie i czekaja, az znow zostana wezwani. Tych siedmioro podaza w strone Iszbi.

-Czym jest to Iszbi? - spytala w koncu. Slowo to zdawalo sie miec jakas straszna moc. Uwazali tak wszyscy, ktorzy wymowili je przy niej.

Nicolas milczal dluga chwile, jakby sie zastanawial, co powinien powiedziec, a kiedy sie odezwal, odniosla wrazenie, ze sie wymiguje od odpowiedzi.

-Czy widzialas Gwiazde w klasztorze?

Willadene przypomniala sobie swoja jedyna wyprawe do tego swietego przybytku razem z Halwice, kiedy zielarka pozostawila ja w swiatyni, a sama udala sie na narade z ksienia. To cudowne miejsce napelnilo ja takim zdumieniem i zachwytem, ze nie zapamietala zadnego szczegolu oprocz silnego zapachu, ktory uspokajal umysl i serce, ktory ja otulil i nia zawladnal. Dlatego Halwice musiala mocno potrzasnac Willadene, zanim ta przyszla do siebie. Pozostal jednak w jej pamieci ow wspanialy zapach. Ozylo tez blade wspomnienie czegos swiecacego w przeciwleglym krancu dlugiej sali.

-Nasz swiat - mowil dalej Nicolas tak powoli, jakby szukal odpowiednich slow - jest otwarty, tak jak my od chwili narodzin. Zawsze musimy dokonywac wyborow i nasz swiat takze. Czasami wydaje sie, ze na te decyzje wplywa jakas obca, silniejsza od nas wola. Jak wygladaloby twoje zycie, gdyby nie atak zarazy?

Willadene poglaskala miekkie futerko Ssssaaa.

-Ja... moja matka byla polozna, znajoma Halwice, a ojciec straznikiem granicznym. W tamtych dniach, za rzadow poprzedniego ksiecia, ludzie wedrowali na pomoc. Byly tam dobre pastwiska dla owiec, mowiono nawet o zbudowaniu miasta. Zamieszkaliby w nim straznicy graniczni i ich rodziny, i staloby sie osrodkiem handlowym dla nowych osadnikow. Moj ojciec przeniosl sie do oddzialu, ktory mial tam pelnic sluzbe, a matka uznala to za szanse na nowa prace. - O dziwo, nie myslala o tym od lat, niewolnicza praca w kuchni Jacoby zatarla w jej pamieci takie mile wspomnienia.

-Twoje zycie potoczyloby sie wiec inaczej i stalabys sie kims innym.

Nie sciskal juz jej ramienia tak mocno i wladczo; od jego reki plynelo cieplo tak jak od Ssssaaa. Teraz Willadene odwazyla sie zadac Nicolasowi to najwazniejsze pytanie.

-A kim bylbyś ty?

-Pochodze ze starego rodu, niegdys dobrze znanego wsrod naszych wielmozow. Przyczynilismy sie do upadku Iszbi. Mowiono, ze ktos rzucil na nas jakas klatwe, choc

walczyliśmy w imieniu Gwiazdy. Dlatego było nas coraz mniej. W dodatku ataki z dalekiego zachodu niszczyły nasze dobra, a nie mieliśmy pieniędzy na wynajęcie żołnierzy, gdy nasze siły z czasem się zmniejszały. Synowie i córki - oprócz kilkorga - umierali młodo i bezpotomnie, aż do moich czasów. Mojego ojca okaleczył w walce niedzwiadz ors, który napadał na nasze ostatnie stado koni. Odtąd ojciec nie mógł już ani walczyć, ani przewodzić swoim drużynom; nie był też w stanie zwerbować nowych. Tymczasem rozbojnicy urosli w siłę i napadli na nas tuż przed atakiem zarazy. Nasz zamek padł, a moi rodzice zgineli razem w płonącej wielkiej sali. Już wcześniej jednak krążyły pogłoski o zarazie, dlatego oddali mnie na wychowanie pewnemu strażnikowi granicznemu, bo mój ojciec nie widział mnie w roli wielmoży. Zawsze będę mu wdzięczny za jego zdrowy rozsądek. Byliśmy dalekimi krewnymi Vazula i po przejściu zarazy, kiedy zostałem sam na świecie, odwążyłem się powołać na to pokrewieństwo. Vazul to wszechstronnie uzdolniony człowiek, bardziej, niż mogą przypuszczać jego najwięksi krytycy, i nie żałuję, że stałem się jego oczami i uszami w dziwnych miejscach. Taka jest moja historia, pani.

Gdyby rozbojnicy nie zdobyli Farholmu, gdybym nie został wysłany do strażników granicznych na przeszkolenie i gdybym nie odszukał kanclerza - wtedy nie byłbym tym, kim dzisiaj jestem.

-Iszbi - powtórzyła powoli. - Co to jest? Nie mówi się o nim w Kronengredzie, a nawet jeśli tak, to ja nigdy tego nie słyszałam.

-Musimy jeszcze raz wrócić do równowagi Światła i Ciemności. Wiele pokoleń temu na zachodzie powstała potęga, która utrzymywała wiezi z silami niezrozumiałymi dla zwykłych ludzi. Była tam pewna kobieta, Nona, z królewskiego rodu Harkmarów. Mówi się o nim - choć niewykluczone, że to tylko legenda - że miał przodków nie będących ludźmi. Ale ktoż potrafi powiedzieć, jak taka potworna rzecz w ogóle jest możliwa? Ta nieznaną siłą przyciągnęła do siebie Nona i odwrotnie; Nona zgromadziła wokół siebie ludzi o podobnej naturze i razem założyli dziwną twierdzę - właśnie Iszbi. Już prawie o nich zapomniano - aż do chwili, kiedy wypróbowali swoje moce. Mieszkańcy naszego księstwa i sąsiedniego królestwa Oberstrandu w imieniu Gwiazdy położyli kres, jak sadzili, takim związkom z Ciemnością. Stoczono ostatnią bitwę, w której zgineli wszyscy żywi słudzy zła. Ale czy ono samo zostało pokonane, nikt nie wiedział. A teraz krąży pogłoski, że zaraza była dziełem zwolenników Ciemności i że miała nas osłabić przed drugim takim starciem zbrojnym.

-A co oni chcą zrobić z Jej Wysokością Mahart? Zatrzymać ją jako zakładniczkę?

Switało już i widziała Nicolasa znacznie lepiej.

-Być może. Ale najwyraźniej ci, którzy mineli nas tej nocy - a przewodzi im pani Saylana - zamierzają udać się do Iszbi. Właśnie tam kryje się źródło wszystkich naszych kłopotów.

Willadene jeszcze raz przycisnęła amulet do nosa. Bil od niego tak silny zapach Mahart, iż dziewczynie natchwile się wydało, że księżniczka stoi obok niej.

-W takim razie my również tam wyruszymy - oświadczyła kategorycznie i zrozumiała, że muszą tak postąpić.

Posilili się racjami podróżnymi, które Nicolas zabrał z Kronengredu. Willadene poszła sama na brzeg strumyka, schowała spodnice-spodnie oraz luźne reformy i posmarowała obolałe skóra ud masłem, starając się zuzyc jej jak najmniej.

Był piękny, jasny poranek i przebijające się przez gęstą mgłę słońce zdobiło plamami powierzchnię wody. Okolica kipiała życiem - Willadene słyszała głosy ptaków, szelest jakichś małych zwierzątek w trawie. Ssssaaa przycupnęła nad strumieniem i ugasiła pragnienie, a potem szybkim jak błyskawica ruchem łapki wyrzuciła na brzeg trzepoczącą się rybę, po której niebawem pozostało tylko parę ości.

-Pozostawili niezatarty trop i jada na północny zachód, nawet nie próbując się ukrywać. - Nicolas powiedział o tym Willadene, gdy wróciła do obozowiska. - W takim razie musimy zachować czujność. A ponieważ oni niczego się nie boją, możemy się natknąć na niebezpieczeństwa różnego rodzaju. Wprawdzie rozbojnicy Czerwonego Wilka poszli w rozsypek, ale umieją wyzyc z tego, co znajduje w lesie i na polach, i dobrze znają te strony.

Willadene bardzo nie chciała znowu dosiąść konia. Nie miała jednak wyboru i była równie pewna jak Nicolas, że muszą się spieszyć. Iszbi czekało albo coś czekało w nim.

21

Smukły zwiadowca, którego plamisty strój trudno było dostrzec nawet wtedy, gdy znalazł się w pełnym blasku słońca, podniósł oczy na swego dowódcę, gotów meldować. - To prawda, Wasza Wysokość, ale są trzy tropy, które nakładają się na siebie. Ostatni to dzieło pewnego strażnika granicznego.

Książa Lorien pociągnął starannie odmierzony łyk wody z manierki.

-Dzieło strażnika granicznego? - spytał.

-W każdym razie kogoś, kto zna wiele sztuczek niezbędnych na szlaku, Wasza Wysokość. Niektorzy rozbojnicy Czerwonego Wilka posiadali taką wiedzę, ale nie wierze, by celowo pozostawiali tropy tak dobrze ukryte jak te.

Książę skrzywił się lekko.

-Nie, bo żaden posąg z miasta nie umiałby ich odczytać. W takim razie, Truforsie, odnalazłeś trop człowieka pana kanclerza. A przed nim jechały dwie grupy, które nie próbowały zatrzeć śladów?

-Druga grupa jechała szybko i noca, musiała jednak dobrze znać drogę, Wasza Wysokość, jakby to rzeczywiście był utarty szlak.

-Zwolaj wszystkich, Truforsie. Zaalarmuj tez zwiadowcow.

-Ruszamy za nimi, Wasza Wysokosc?

-Na pewno do Iszbi - odparl Lorien. Dobrze widzial cien na twarzy rozmowcy. Nikt nie moglby posadzić Truforsa o brak odwagi, ale on także pochodził z Dawnego Ludu. Mezczyzni z jego klanu maszerowali ta droga rowne dwiescie lat temu, by stoczyc zaciety i niemal smiertelny boj.

Zwiadowca zasalutowal i odszedl, zniknal w listowiu, jak gdyby nigdy go tu nie bylo. Lorien pozostal, wpatrujac sie w slady konskich kopyt pozostawione na zeszlorocznych suchych lisciach wsrod drzew. Prawda jest taka, ze zaden czlowiek nie powinien pozostawic na swoim ciele ropiejacego wrzodu. Natomiast potomkowie starozytnych rodow nie moga zostawic jatrzacej sie rany w samej ziemi. Jego ojciec - no tak, wyslal do niego giermka z wieściami. Ale zgromadzenie dostatecznie duzych sil, by przeczesac ten nierowny teren pelen jarow i wawozow, grubych drzew oraz przechodzacych w gory wzgorz, wymaga czasu.

Ksiaze wiedzial, ze potrzebuje posilkow z Kronengredu i nie watpil, iz Vazul ma dostatecznie duzy wplyw na swego pana, aby dopilnowac rowniez ich wyjazdu. Lecz zamieszki juz wybuchly w dwoch dzielnicach stolicy Kronenu. Splonela cala ulica magazynow kupieckich... Zdumialo go, ze pozar, jak sie zdaje, powstal w sklepie zielarki Halwice. To dziwna kobieta, w jakis sposob przypominajaca Vazula, o silnej woli, dobrze znajaca sie na wielu sprawach. A teraz udala sie do klasztoru Gwiazdy. Ludzie mowia, ze modlitwy dodaja sil wojownikom - jesli to prawda, beda ich bardzo potrzebowali.

Wygladalo na to, ze porwanie Mahart najbardziej dotknelo Halwice. Lorien nie watpil, iz ksiezniczka miala byc zakladniczka, atutem przetargowym... Spojrzal znowu na zryta kopytami droga. Mahart jest bardzo mloda i sadzac ze slyszania, niewiele widziala poza swoim rodzinnym zamkiem. Usilowal sobie przypomniec jej twarz, lecz zamiast niej ciagle widzial lico dojrzalej pieknosci, ktora otwarcie probowala go zlapac w swoje sidla. W jego pamieci ozylo wspomnienie tanca; zgodnie ze zwyczajem mial byc taki nudny i ceremonialny, ale nagle stal sie rownie wesoly jak wiejskie plasy, kiedy jej dlon spoczela w jego rece. Nigdy czegos podobnego nie przezyl... A ksiezniczke porwano z jej loza, gdzie powinna byc bezpieczna... Lorien zacisnal zeby. Iszbi - nie, tak niewinna panna nie powinna znalezc sie w Iszbi. Nie pozwoli, by pochlonela ja Ciemnosc.

Wstal bladly swit i pierwsze zorze zajasnialy na niebie, kiedy Willadene, starajac sie ukryc niechec do nastepnego dnia w siodle, pozwolila, by Nicolas pomogl jej wsiasc na konia. Ruszyli w dalsza droge. Tym razem jej towarzysz nie podadal tropem ich poprzednikow. Zamiast tego jechal rownolegle do niego, kryjac sie tam, gdzie to bylo mozliwe. Zatrzymywal sie od czasu do czasu i Willadene siedziala, drzac nerwowo, gdy ja opuszczal, zeby przyjrzec sie sladom. Byla przekonana, ze robi cos wiecej - pozostawia takie same ledwie dostrzegalne znaki, na jakie wczoraj zwrocil jej uwage, i oskarzyla go o to, gdy

wrocil do niej.

-Wlasnie tak czynie. Ksiaze Lorien wysle zwiadowcow. Ci, ktorzych tropem jedziemy, nie zacieraja go, gdyz uwazaja, ze za nimi moga podazyc tylko im podobni i moze zgromadza sie, by im towarzyszyc i ich wspierac. Ale ksiaze powinien znajdowac sie niezbyt daleko za nami. Jesli dopisze nam szczescie, jego zwiadowcy dotra do nas.

Wygladalo jednak na to, ze sie pomylił. Czasami robili przerwy i Nicolas pozwalal koniom pasc sie lub pic wode ze strumieni i potokow, ktore najwidoczniej znal od dawna. Tego ranka byl bardzo spokojny i ucinal rozmowe, jesli probowala ja nawiazac. Willadene uznala, ze jej towarzysz zaluje szczerosci z poprzedniej nocy i ze nie chce dalszych opowiesci o przeszlosci lub czegos wiecej niz przelotnej znajomosci na dzien dzisiejszy.

Zaciskala jedna reke na leku siodla, a w drugiej trzymala amulet i od czasu do czasu wachala go. Przez caly czas obawiala sie, ze czas lub odleglosc rozprosza osobisty zapach Mahart i ze nie bedzie miala pewnosc, czy nadal jada sladem jej porywaczy.

A przeciez nawet wtedy, kiedy Willadene cala sila woli starala sie skupic uwage na celu podrozy, badajac zmyslami otoczenie, zdawala sobie sprawe, ze swiat, w ktorym sie znalazla, powoli staje sie czescia niej samej. Mocny zapach roslin, brzezzenie owadow i spiew ptakow... Wydawalo sie jej, ze przez cale zycie przebywala w czymś w rodzaju wiezienia, a teraz jest wolna.

W tamtych bladych wspomnieniach, o ktorych opowiedziala Nicolasowi - i ktore prawie sie zatarly w budzacej groze kuchni Jacoby - byly takie krajobrazy i znala je kiedys w dzieciinstwie. Czy rzeczywiscie chodzila z matka zbierac ziola? Bardzo mozliwe, poniewaz jej matka byla dobrze znana uzdrowicielka i wzywano ja do chorych mieszkajacych poza Kronengredem. Nie probowala siegac dalej pamiecia. Teraz liczy sie tylko wyprawa, ktora ma na celu uwolnienie porwanej corki wladcy Kronenu. Tak, ksiezniczce swiat poza murami miasta musi wydawac sie rownie dziwny jak samej Willadene. Dziewczyna krzepila sie nadzieja, ze porywacze uznaja Mahart za zbyt wazna, by zle sie z nia obchodzic.

Ssssaaa niemal sennie syczala jej do ucha. Willadene pod wplywem naglego impulsu zblizyla amulet do malego, ostro zakonczonego noska, by zwierzatko moglo go powachac. Zanim zdazyla cofnac reke, cienkie jak igly zeby wbily sie w liscie znalezione w starej ksiedze.

-Nie! - powiedziala tak energicznie, ze Nicolas odwrocil glowe i rzucil jej pytajace spojrzenie. Willadene lagodnie odsunela glowke Ssssaaa od zwiniętego jedwabiu i rozlozywszy go na siodle, puscila lek. Zauwazyla na materiale slady zebow, ale dwa dziwne liscie pozostaly nietknięte.

-Co to takiego? - Nicolas podjechal do niej.

-Nie wiem.

Szybko powiedziała mu o tym, jak Ssssaaa odnalazła liście w sklejonych stronach butwiejącego zielnika. Młodzieniec nie próbował odebrać dziewczynie znaleziska, lecz pochylił się nżej.

-To liście... - mówiła Willadene. - Spojrz na żyłki. Widziałam wiele suszonych roślin, ale wszystkie tak stare jak te rozpadały się w proch przy dotknięciu. A przecież nosze je przy sobie od tamtej pory i dotąd nawet nie popekały.

Nicolas opalonym palcem lekko dotknął jej rozwartych dłoni, na których leżały tajemnicze liście. Nie odsunęła się, pozwoliła, by znacznie bardziej się do niej zbliżył.

-Mówisz, że to są liście... - odezwał się po chwili. Poczula się urazona, ponieważ zakwestionował jej talent.

-Ależ to prawda, każdy może to zobaczyć!

-A ja twierdze, że to wygląda jak mapa. Wspomniałaś o Władcy Serc - może wskazuje ona miejsce, gdzie rośnie ten czarodziejski kwiat?

Willadene szybko cofnęła dłonie i zawinęła liście w jedwabną szmatkę.

-My nie szukamy żadnych kwiatów! - stwierdziła stanowczo. - Władce Serc oddano Gwiezdzie, aż...

-... aż - przerwał jej - zbrojcy zeszli z zachodnich wzgórz i zrownali klasztor z ziemią. Jeżeli zło się budzi, podobnie musi czynić dobro. Przez ile lat te liście tkwiły ukryte w księdze Halwice? Dlaczego Ssssaaa zdołała je wydobyć nietknięte?

Dziewczyna starannie na nowo zawinęła amulet i jego dwa dodatki.

-Chciałbys, żeby kierowała nami obca wola, a nie nasza własna! - powiedziała ostrym tonem.

Co do Halwice, tak, Willadene chętnie wykonałaby każde polecenie zielarki. Czy teraz nie cierpiała, jadąc konno, ponieważ Halwice odwołała się do jej talentu? Wzdrygała się jednak przed myślą, że wola nieznanej, przekraczającej ludzkie rozumienie istoty używa jej teraz tak, jak ona sama masci do wyleczenia jakiejś choroby.

Nicolas wzruszył ramionami.

-Pani, jednego nauczyłem się w życiu: nic nie dzieje się tylko dzięki przypadkowi. Twoje znalezisko może być większym skarbem niż zawartość księżeczego skarbca. Pilnuj go dobrze.

Później podniesiona reka nieoczekiwanie zatrzymał jej wierzchowca.

Ostrzegła ich cisza, która nagle zapadła. Przed chwilą ptaki głośno śpiewały na pobliskim drzewie. Willadene instynktownie posłużyła się swoim talentem. Tak, wyczuła zapach mężczyzny, i to znajomego. Oburacz mocno przycisnęła amulet do piersi i przelknęła ślinę.

Zapach mężczyzny zmieszany ze smrodem zła stał się znacznie mocniejszy, odkąd zweszyła go po raz ostatni. Zauważyła pytające spojrzenie Nicolasa i powiedziała bezgłośnie:

-Wyche.

W odpowiedzi Nicolas tylko leciutko skinął głową. Słyszeli teraz odgłos konskich kopyt, równie głośny jak tetent wierzchowców grupy, która minęła ich wcześniej. A potem do Willadene dotarł znajomy, gruby głos.

-Dobrze sobie radziliśmy w mieście. Powinna była nas tam zostawić. Tego zakichanego księcia już dawno należało wyprowadzić na Wzgórze Stracen i skrocić o głowę.

-Przeceniasz się, miejski szczurze - powiedział drugi głos tak lodowatym tonem, jakby ich twarze smagnął podmuch mroźnego wiatru. - Ona czegoś potrzebuje i to powinno wam wystarczyć. Gdyby twoi podwładni nie schrzaniли roboty, złapalibyśmy również Loriga - dodał z wściekłością.

-A teraz on poluje na nas, my zaś nie mamy czasu, żeby z kolei zapolować na niego.

Głos Wyche'a dobiegł teraz z większej odległości, podobnie jak tetent kopyt. Nicolas uśmiechnął się szeroko.

-Weze z podziemnych korytarzy szukają kryjówek...

-Powiedział, że w mieście wybuchły walki... - Willadene znowu z całej siły trzymała się leku siodła.

-Tak, tego się spodziewaliśmy, nie wiedzieliśmy tylko kiedy. Nasz książę ma ludzi, którzy służą mu mieczami, choć nie noszą ich publicznie. Wyche to chwalił i pozwalaliśmy mu na wiele, by się dowiedzieć za jego pośrednictwem, jak daleko rozprzestrzenił się spisek. Stajemy do walki twarzą w twarz z tym, co chciałoby pochłonąć nas wszystkich, i nie zrobiliby tego łagodnie. Lubi bowiem występować przeciw własnym sługom, kiedy nie są mu już potrzebni. Dziękuję ci, malenka...

Willadene zrozumiała, że zwrócił się do Ssssaaa. Później dodał:

-Ona chroni lepiej niż najlepsza zbroja. To wielki zaszczyt, że ją nam pożyczono. A teraz zaczniemy płacić za ten zaszczyt.

Dziewczyna nadal tuliła do piersi amulet jak wojowniczkę tarczę. Nicolas ponaglił konie i te

ruszyły stępa. Teraz jednak skierowali się nieco dalej na północ, oddalając się od tropu tych, którzy ich wyprzedzili.

Mahart obudził dźwięk przypominający pyknięcie. Spojrzała w niebo rozjasnione słońcem, a mimo to zamglone. Księżniczce wydało się, że jakaś zasłona rozpostiera się między jego promieniami a miejscem, w którym leżała. Usiadła, odrzucając koc. Kon pasł się w pobliżu, chciwie szczywał zwilżone woda rośliny rosnące wokół źródła; najwyraźniej nie chciał pic bezpośrednio z kamiennej miski.

Wierzchołek Mahart na pewno nie był wypielegnowanym rumakiem z książeczek stajni. Widziała wystające zęba w jego boku, jakby od dawna zle go karmiono, choć teraz najwidoczniej starał się to sobie powetować.

Jedzenie! Ruszyła w stronę najbliższych miniaturowych drzewek i wybrała dla siebie dwa okrągłe plumferty. Po powrocie na miejsce spoczynku musiała się jednak zastanowić nad swoją obecną sytuacją i nad przyszłością.

Obdarzyłaś mnie Twoją łaską, Gwiazdo - powiedziała półgłosem i wykonała reka gest wdzięczności, nie z grzeczności, lecz ze szczerego serca. - Wyrwałaś mnie z rąk nieprzyjaciół i zaprowadziłaś do tego schronienia, ale na pewno uczyniłaś to z jakiegoś powodu.

Zamilkła. Spróbowała objąć wzrokiem jak największą część ogrodu, w którym się ukryła. Nie miała pojęcia, dlaczego wszystkie rosnące w nim rośliny owocują jednocześnie. Zlizła z palców sok plumfertów, starając się połączyć wszystkie posiadane informacje.

Czy miała być zakładniczką, bronią, której wrogowie zamierzali użyć przeciw jej ojcu? Niewiele zapamiętała z podróży podziemnymi korytarzami pod Kronengredem. Później znalazła się w obozie, gdzie porywacze przerzucili ją przez grzbiet jucznego konia i właśnie tam usłyszała słowo Iszbi...

Skupiła na nim myśli. Zamknęła na moment oczy i znowu znalazła się w zakurzonej, ciemnej bibliotece zamkowej, po której błądziła bez niczyich wskazówek, biorąc stąd jakąś kronikę, stamtąd pamiętnik, czytając bez troski, bez żadnego ukierunkowanego zainteresowania. Legendy łączyły się z faktami historycznymi, fakty zamieniały w legendy - potwory walczyły z bohaterami i skarby wysypywały się z ciemnych jaskiń dla każdego, kto miał dość szczęścia lub siły, by je znaleźć.

Tak, Iszbi. Mahart nagle tak mocno ścisnęła w dłoń drugi plumfert, że skórka owocu pękła i miąższ wśliznął się jej między palce.

To coś z zachodu... A przecież każdy, kto o tym pisał, nie nazywał go po imieniu, tylko napomykał, iż nie należało do rodzaju ludzkiego - że w rzeczywistości od ludzi dzieliła go ogromna przepaść i że to coś starało się ją przebyć, pokonać... Była tam jakaś kobieta... - Mahart potrząsnęła głową, jakby starała się uporządkować wspomnienia. Tak - ona była

człowiekiem. Ale czy rzeczywiście? Mówiono o jakiejś domieszce nieczłowieczej krwi w jej rodzie. Ta kobieta jednak nie pochodziła z Kronengredu - raczej z królestwa. Miała na imię Nona...

Mahart wydawało się, że lodowaty palec dotknął jej czoła. Przebiegł ją dreszcz. Tak, to ta kobieta ze skaza zła w krwi, choć była królewna, zawarła tamten pakt. I to ona i jej zwolennicy użyli zamku Iszbi jako punktu oparcia do przyciągnięcia mocy, które może tylko księżniczka z klasztoru Gwiazdy potrafiłaby choć w części zrozumieć. Mahart z irytacją uderzyła w kolano lepka od soku piśca. Wtedy wszystko to uznała za legendę! Gdyby tylko wiedziała więcej!

Umyła ręce w kamiennej misie, a potem, pod wpływem nagłego impulsu, zerwała kilka kepek trawy rosnącej pod kamiennym ogrodzeniem i ostrożnie zaczęła obrządzać konia. Praca przynosiła jej ulgę, odpędzała natrętne myśli i wspomnienia. Kiepski był z niej stajenny, ale koń najpierw parsknął, potem zaś pokiwał głową na boki, jakby dziękował za jej trudy.

Nadal nie widziała słońca ani, jak mogła sięgnąć wzrokiem, żadnych żywych istot, oprócz swego cierpliwego wierzchowca i siebie samej. Owady, brzęcząc, nie przelatywały z kwiatu na kwiat, ptaki nie śpiewały. Choć Mahart tak niewiele wiedziała o zewnętrznym świecie, zdawała sobie sprawę, że coś tu jest nie w porządku. Zrobiła, co mogła dla swego konia, a potem podeszła do niższego odcinka muru, przez który weszła wraz z nim do tego miejsca. Widziała w oddali molo i poza nim wyspę. Choć jeszcze się nie ściemniło, dostrzegła wokół niej słabą zieloną aurę. Woda była nieruchoma; nigdzie ani śladu istot, które przedtem przemykały między skalami na brzegu.

Las paproci otaczał ruiny z trzech stron. To wielkie rumowisko rozpadło się na tak niewielkie stosy gruzu, że nikt by nie mógł powiedzieć, czy są to pozostałości stolicy granicznej, zamku, czy niewielkiego miasta. Jeżeli jednak to było Iszbi, pasowały do niego wszystkie trzy określenia. Mahart nie zamierzała wszakże opuszczać bezpiecznego schronienia, by to zbadać.

Spojrzała na siebie. Z powodu panującego w zamku chłodu nosiła grubą, ciepłą koszulę nocną, uszytą z miękkiego materiału, żeby dobrze się w niej spało. Teraz resztki koronki nadal trzymały się na kilku nitkach, ale dziury i rozdarcia zamieniły koszulę w lachmany. Na noc Julta zaplotła jej włosy w warkocze, które później się potargaly o ciernie i galezie. Mahart zaczęła je rozplatać i wyjmować liście i gałązki; skóra bolała ją w miejscach, skąd je wyciągała. Użyła palców jako kiepskiej namiastki grzebienia, próbując wygarnąć wszystkie smięci stamtąd, dokąd mogła dosięgnąć.

Kiedy wreszcie doprowadziła włosy do względnie porządku, zdjęła lachmany, zwinęła je w kłęb i wróciła do kamiennej misy. Przecież tylko koń oglądał jej nagie ciało.

U podnoża zbiornika rosła gąbczasta roślina, która wchłaniała wodę i wydawała się miękka

w dotyku, Mahart nabrała wody w dlonie i zaczęła się myć najlepiej jak umiała. Krzywiła się, gdy dotykała bolących zadrapań i otarć, lecz z determinacją nie przerywała ablucji.

Kiedy skończyła, przyjemne ciepło wysuszyło jej skórę równie dobrze, jak ręcznik przed ogniskiem. Poszukała w miarę otwartego miejsca, rozłożyła tam pozostałości swego jedyne go odzienia, by przyrzec mu się krytycznie.

Na chwile lub dwie znów znalazła się gdzie indziej - z powrotem w książecym zamku przed podłużnym zwierciadłem w swojej komnacie i oglądała w nim swą piękną suknię balową.

Suknię balową... Zamknęła oczy. Jeszcze raz czyjaś silna ręka zacisnęła się wokół jej dłoni, poprowadziła ją do tańca takim lekkim krokiem, że wydobyłoby się to niemożliwe. Przypomniła sobie teraz pewną twarz. Na jakiej podstawie ona, która znalazła tak niewielu mężczyzn, mogła powiedzieć, czy jej partner jest urodziwy? Wiedziała tylko, że kiedy patrzyła mu w oczy, odpowiada uśmiechem na jego uśmiech, przenika ją ciepło i że sprawia jej to przyjemność.

Oczy księżniczki zwilgotniały; łza spływająca po obolalym policzku przywołała ją do brutalnej rzeczywistości.

Ależ głuptas z niej! Przeszłość jest przeszłością, zresztą nie były to prawdziwe wspomnienia. To nie starożytna rycerska legenda - ktoż mógłby jej szukać, jak nie wasale ojca? Zapytała się ponuro w duchu, ilu z nich godnych jest zaufania?

Wrocila do sprawy przyodziewku. Może oderwać te długie rekawy? Jeden z nich był rozdarty prawie do połowy. Wstała i przymierzyła to, co pozostało z nocnej koszuli.

Jeżeli podrze ją umiejętnie, uzyska coś w rodzaju przepaski biodrowej zamiast bielizny, sięgająca prawie do kolan halki oraz kilka pasków, którymi będzie mogła się przewiązać. Mahart zabrała się do pracy. Przeprowadzenie tych wszystkich zmian bez nożyczek czy choćby noża było bardzo trudnym zadaniem.

W końcu ponownie przymierzyła to zaimprovizowane odzienie i tym razem naprawdę się ucieszyła, że nie musi patrzeć w podłużne zwierciadło i oglądać rezultatu swoich krawieckich poczynan.

Tak była zajęta pracą, iż zaskoczyło ją, gdy zauważyła, że zamglone światło dzienne gasnie. Nie, jeszcze nie zapadła noc, nie straciła w takim stopniu poczucia czasu. Ale bardzo się tego bała.

Kon podniósł głowę. Przedtem zdawał się drzemać obok muru. Teraz parsknął, spoglądając ponad kamiennym ogrodzeniem. Mahart pospiesznie zaczęła szukać w zagłębieniu, w którym spędziła noc, aż wreszcie zacisnęła dłoń na gładkim kamieniu, zamiastce broni.

Trzymając go w ręku, ostrożnie okrążyła cały ogród, przyglądając się jezioru i lasowi

paproci. Latwo jej sie szlo po trawie i bujnych roslinach, ale kilkakrotnie bolesnie potknela sie o kamien. Zrozumiala, ze musi rowniez znalezc cos, co zastapi jej buty.

Panujacy w ogrodzie dziwny spokoj wydal sie jej teraz grozny. Uslyszala rzenie konia, ktory cofnal sie w rog ogrodzenia i stal, drzac caly. Jakas sila najpierw porazila zwierz, a teraz siegnela po nia.

Musi pojsc, jest bardzo potrzebna. Nic w swiecie sie nie liczy poza ta potrzeba!

Na oczach Mahart paprocie rozchylily sie, tworzac otwarta brame. Na jej przeciwleglym krancu znajdowalo sie cos rownie zielonego, ale nie byla to roslina. W jakis sposob - moze sprawil to refleks swiatla lub stwor, ktory wystapil przeciw niej - widziala dalej i wyrazniej niz zwykle.

Na wyspie nie bylo ruin. Staly tam nietknie mury zwieczone okraglym, bulwiastym dachem. Lekka mgielka, przedtem przeslaniajaca wyspe, teraz tez tam wisiala, ale nie zaslaniala otwartych drzwi w dziwnym budynku. W drzwiach Mahart ujrzala jakas postac, ktora wzywala ja ruchem reki, wolala bezglosnie, tak cicho, ze zaimprovizowana maczuga omal nie wysliznela sie z rak ksiezniczki. Mahart gotowa byla przeskoczyc przez mur ogrodu, by tam dotrzec.

-Przybadz!

Czy to byla prosba, czy rozkaz?

Mahart jak szalona skoczyla w strone kamiennej misy. Wypuscila z rak kamien, zanurzyla obie dlonie; prysnela woda w twarz. Woda splynela strumykami po jej rekach, zmoczyla wlosy i zrosila ramiona.

Ksiezniczka oburacz chwycila sie krawedzi kamiennego zbiornika i probowala sie obrocic, zeby znow spojrzec na postac, ktora na nia czekala, ktora ja wzywala...

Ktora zadala! Tego Mahart byla teraz pewna. To zasadzka i tylko dzieki lasce kogos znacznie potezniejszego, niz mogla pojac umyslem, nie wpadla w te pulapke.

22

Bylo to cos w rodzaju polowania i kazdy uczestniczacy w nim mezczyzna, ktory przemykal sie jak najciszej przez rzadki las, unikajac otwartych przestrzeni, rownie dobrze moglby scigac dzikie zwierzeta. Od jakiegos juz czasu teren podnosil sie stopniowo: poczatkowo zbocza wzgorz opadaly tak lagodnie, ze z trudem mozna to bylo zauwazyc, a teraz prowadzily coraz wyzej i wyzej. Lorien przykucnal za jakas skala i sluchal uwaznie. Nie pomylil sie, gdyz znow uslyszal te ciche trele - wolanie czarnej sojki wzywajacej swoich pobratymcow na jakas nieoczekiwana uczte. Ale ten szczegolny dzwiek nie wydobyl sie z gardla zadnego ptaka. Matthew znajdowal sie dalej na poludnie, a Jasper i Timous

towarzyszyli mu z prawej.

Zolnierze goraco protestowali, lecz ksiaze zmusil ich do zaakceptowania jego propozycji - jezeli rozprosza zwiadowcow na duzej przestrzeni i beda sie porozumiewali za pomoca dobrze znanych sygnalow, latwiej odkryja kazdy nowy trop. A poniewaz zamierzal sie przylaczyc do tropicieli, musial uzyc calego swego autorytetu, by sie z tym pogodzili.

Początkowo szedł starszymi tropami, ale w pewnej chwili dostrzegł ślady jeźdźców z południa, jadących ciężko i nawet nie próbujących zacierać odcisków konskich kopyt. Było ich pięciu...

Nagle zauważył jakiś kolorowy błysk. Droge zagrodziła mu nieprzenikniona zaporą z kolczastych zarosli. Jeźdźcy, których śledził, musieli tutaj zawrócić i pojechać wzdłuż jej skraju. Jeden z nich popełnił błąd, zbyt blisko się zbliżył do jakiegoś krzaka i zapłacił za ten brak ostrożności.

Lorien zdjął skrawek cienkiej koronki. Nie nosiłby czegoś takiego żaden lesny wędrowiec, nawet dworski strojnis. Nie wiedząc, czemu to robi, podniósł strzepek do nosa i wyczuł resztki zapachu, z którym już się zetknął. Nie była to korzenna, niemal krecaca w nosie won perfum, jakie, co go trochę zaskoczyło, Jej Wysokość Mahart wybrała na bal zwycięstwa. Przywodził raczej na myśl czystą wodę, mroźne powietrze zimowego poranka... Użyła go druga wielmożna pani z Kronenu, Saylana! Dama o płomiennych oczach i kształtnym ciele, którego krągłości tak subtelnie podkreślała suknią barwy wina i złota - takiej, jak ta koronka.

Nie miał ochoty zostać wciągniętym w dworskie intrygi. Kanclerz Vazul zdawał się jednak wierzyć, że to pani Saylana jest sercem tego całego zamieszania. Lorien nie mógł jej sobie wyobrazić jadącej przez ten las, ale na własne oczy przekonał się, że to zrobiła. Wsadził za pas kawałek złocistej koronki i okrzyk kraniec ciernistej bariery w odpowiedzi na wezwanie; zadzwieczało po raz trzeci i już się nie odważył go zignorować.

Kiedy tak się przeslizgiwał między drzewami, las zrzedł. Książe znalazł się wśród skal i głazów o barwie, z jaką nigdy dotąd się nie zetknął - były matowozielone. Przecinały je jeszcze ciemniejsze pregi. Z oddali widział teraz ostre zbocze skarpy i jeszcze dalej góry. Dwie z nich oznaczały teren, na którym kiedyś polował, chociaż nigdy jeszcze nie zapuścił się tak daleko na ziemię sąsiedniego państwa.

Zauważył lekki ruch z prawej, sygnał, który sam wymyślił. Krył się, jak mógł, bo nie został otwarcie powitany, a to oznaczało kłopoty. Dobrze, że szedł tak ostrożnie, ponieważ dotarł na skraj wielkiego zagłębienia terenu, jakby jakiś olbrzym zgarnął ziemię gigantyczną chochlą.

Jasper leżał na brzuchu na brzegu tego jaru i szybko przeniósł spojrzenie ze zbliżającego się Loriena na coś w dole. Wyglądało jak rodzaj garbu. Minęła minuta, zanim książe rozpoznał

w nim skulone ciało mężczyzny w plamistym mundurze maskującym, jakie nosili jego gwardziści.

-Timous - wyszeptal. - Kto... - Porwał go wściekły gniew.

-Tak go znalazłem, Wasza Wysokosc. Nie żyje... - odparł Jasper bezbarwnym głosem.

-Spadł? - zapytał Lorien, ale zdawał sobie sprawę, że prawda jest inna. Timous, chyba że ktoś go scigał, nigdy by się nie zapuścił tak blisko stromego zbocza tego wawozu.

-Ślady? - Następne pytanie było rozsądniejsze.

-Jest trop, ale tylko jego własny - odrzekł Jasper.

-Idź do Mattewa, przyprowadź cały oddział.

-Zostaniesz sam, Wasza Wysokosc? - Gwardzista wyraźnie oczekiwał, że książę zaprzeczy.

-Stane na straży. Znajdziesz mnie tutaj. Pospiesz się jednak. Potem powiedz Mattewowi, że będą potrzebne liny - są w jukach na grzbietach kuców.

Zwiadowca nadal miał taką minę, jakby chciał wyperswadować Lorienowi tę samotną wartę, ale dostatecznie długo służył pod jego rozkazami, żeby wiedzieć, że książę nie zrezygnuje.

Jasper mówił o jakimś tropie. Lorien oderwał wzrok od skulonej postaci w dole. Timous był spokojnym człowiekiem, miał wiele umiejętności, które im wszystkim dobrze służyły. Zawsze jednak, kiedy go chwalono, sprawiał wrażenie, że źle się czuje, i nigdy nie zaprzyjaźnił się z nikim w swoim oddziale. Zaraza odebrała życie jakiejś bliskiej osobie, o której nigdy nie wspominał, i Lorienowi wydawało się, że Timous w pewien niezrozumiały dla innych sposób pozostawał poza ścisłymi więziami łączącymi towarzyszy broni. Ale Timous był jego żołnierzem, służył mu umiejętnie i lojalnie. A teraz książę, jako jego dowódca, będzie musiał na kims pomścić jego śmierć, ponieważ nie zginął przypadkiem.

Lorien ruszył czujnie skrajem wawozu. Trop powinien być niezbyt daleko, bo inaczej Timous nie spadłby w dół.

Tak, znalazł go i nachylił się nad nim; nie mógł odczytać znaczenia śladów. Ktoś samotny biegł wtedy nieostrożnie, nie zważając na to, co się przed nim znajduje. Książę zauważył połamane galezie, co dowodziło, że biegnący człowiek upadł, podniósł się i co sił w nogach popędził dalej. A przecież kiedy Lorien zaczął się cofać, nie znalazł tropów świadczących, że ktoś scigał uciekającego. Żadne ślady nie pokrywały odcisków stop Timousa.

Oddalił się znacznie od skraju klifu. Na prawo od niego strzelały ku gorze skały, które, jak

się zdawało, stały ramie w ramie, wreszcie łączyły się w wysoką ścianę. Trop Timousa prowadził wzdłuż tej ściany.

Lorien wyciągnął miecz z pochwy. Postąpił głupio, idąc dalej, ale w niezrozumiały dla siebie sposób czuł, że musi wyjaśnić, co się stało na początku tego tropu. Później ślady Timousa nałożyły się na odciski konskich kopyt prowadzące prosto do przypominającej bramy szczeliny między ścianami z zielonego kamienia.

Lorien przystanął. Zdrowy rozsadek walczył w nim z tym dziwnym przyciąganiem. A mimo to bez namysłu wyszedł na pozostawione przez nieznaną jeźdźców ślady, usiłując zobaczyć, co się znajduje poza wąwozem.

Zauważył jakiś ruch... Szybko przemknął na prawo, wstyd z powodu własnej głupoty podsycił w nim gniew, który go ogarnął na widok ciała Timousa. Jest doświadczonym zwiadowcą, wojownikiem uznawanym za sprytnego i przebiegłego. Ostrożność kazała mu się oddalić, uciec chylkiem...

Chciał to uczynić, jednak nogi nie posłuchały rozkazu jego woli. Na moment zdał sobie sprawę, jakie to potworne - ale jeśli zapanowała nimi jakaś dziwna siła, nie kontrolowała ona reszty ciała. Wyciągnął miecz...

Ten, kto mu groził w tak ledwie uchwytny sposób, wyszedł na otwartą przestrzeń. Na moment Lorien poczuł ulgę. Postać w zbroi, nawet jeśli nosiła hełm, który całkowicie zasłaniał jej rysy, nie była dla niego niczym nowym. Zaskoczyło go, że zdawała się nie mieć żadnej broni - nie widział ani miecza, ani uniesionego do góry topora, którym by zagroziła mu drogę.

Strażnik - jeśli to rzeczywiście był strażnik - podniósł ramię, opierając rękę na własnym barku. Po sekundzie zamachnął się i rzucił w powietrze błyszczący, jaskrawozielony sznur, a z nim...

Lorien mimo woli omal się nie skulił ze strachu. Tak, to tylko świetlna lina falowała w powietrzu, ale przed nią nadchodził mrok, śmierć i coś gorszego od śmierci. Odzyskał władzę w nogach - zamaskowany stworzenie chciało zmusić go do biegu. Jednak książę nie ruszył się z miejsca. Nie widział ani włóczni, ani strzał, a postać w zbroi nie cisnęła następnego straszliwego sznura.

Lorien zamachnął się mieczem. Walczył teraz z własnym strachem, trząsał się tak bardzo, że nigdy przedtem nie przypuszczał, iż jest do tego zdolny. Jego miecz błysnął w powietrzu. Powinien uderzyć w ten niesamowity zielony promień, rozrabac go...

Zamiast tego świetlista lina owinięła się wokół brzeszczotu, jakby żadne stalowe ostrze nie mogło jej przeciąć. Książę, którym opanował paniczny strach, odrzucił od siebie miecz, zanim zielonkawy sznur zdolał dotknąć jego ręki. Spróbował się wycofać.

Straznik w zbroi nie ponowil ataku. Po prostu stal i czekal, jakby wiedzial, co sie dalej stanie. Kiedy brzeszczot ze szczekiem odbil sie od skaly i spadl na ziemie, swietlna lina odwinela sie i choc nie wzleciala w powietrze, popelzla szybko po skalistym gruncie jak atakujaca zdobycz zmija.

Lorien skulil sie, opierajac sie o jeden z wysokich skalnych filarów, a nastepnie sprobował sie przemknac obok niego. Pozniej na moment pociemnilo mu przed oczami i zszokowany zdal sobie sprawe, ze za skalami znajduje sie inne zaglebie terenu - nie tak szerokie jak to, ktore pochlonelo Timousa, lecz na tyle glebokie, ze potluklby sie, spadajac w dol. Przyszlo mu jeszcze na mysl, ze tamten zielony sznur podazy za nim, po czym uderzyl glowa o kamien i choc nosil helm, ogarnal go mrok.

Dlugie palce siedzacej przy stole kobiety poruszaly sie szybko. Po obu stronach stal rzad pociemniacych ze starosci i od dlugotrwałego uzycia miseczek, kazda wypelniona jakimś proszkiem. Nie mieszala ich jednak, starannie odmierzajac dozy, jak miala w zwyczaj. Zamiast tego polozyla przed soba na stole kwadratowy kamien, w ktorym to tu, to tam polyskiwaly iskiereki jak gwiazdy na nocnym niebie.

-Musicie zrozumiec - powiedziala spokojnie Halwice - ze to, co robie, jest zabronione i moge to uczynic tylko jeden raz. Otrzymalam rozgrzeszenie, poscilam i spedzilam ostatnia noc na pokucie w swiatyni Gwiazdy. Reszta juz nie ode mnie zalezy, jestem tylko narzedziem.

Ksiaze Uttobric zagryzl dolna warge i nic nie odrzekl. Natomiast kanclerz poruszyl sie lekko w krzesle, otworzyl usta, jakby chcial cos powiedziec, ale zmilczal.

Halwice brala w palce, szczypte po szczypcie, roznobarwne proszki - szare jak popiol, czerwone niby zakrzepla krew, zielone niczym zywe liscie, niebieskie jak morze, biale niczym piasek lub muszle malzy morskich.

Pracowala uwaznie, usypujac kolorowe linie na kamieniu z oltarza, ktory z taka niechecia pozyczyly jej kaplanki Gwiazdy. Halwice zawsze wiedziala, ze kobiety w jej rodzie dziedziczyly po sobie rozne talenty. Niektore nie chialy ich rozwijac, aby nie zaplacic za to zbyt wysokiej ceny. Tak stalo sie i z nia - szczytila sie tym, ze jest uzdrawiaczka i az do tej pory nie probowala byc niczym wiecej. Roznobarwne drobiny poruszily sie same z siebie, zdawalo sie, ze sie lacza z tymi iskierekami lub ich unikaja. Czerwone i szare skupily sie razem i trzymaly z dala od uwiezionych w kamieniu swietlnych blyskow. Przemieszczaly sie, ziarenko po ziarenku, tworzac jakis obraz. Ksiaze Uttobric i jego kanclerz pochylili sie teraz do przodu, wstrzymujac oddech, by w jakis sposob nie przeszkodzic temu, co sie dzialo.

Inne kolory, podobnie jak czerwony i szary, odnalazly, jak sie wydawalo, swoich partnerow. A pozniej troje ludzi ujrzalo na kamieniu prawdziwy obraz.

-Na Gwiazde! - powiedziala rozkazujaco Halwice. Proszek znieruchomial.

Zielarka patrzyla na niewiescie lico, tak dokladnie odtworzone przez czerwony i szary

proszek, jakby świeżo namalował je dobry malarz.

-To Saylana - szepnął Uttobric. Ale tylko przez chwilę miał rację. Twarz traciła urodę, skóra się marszczyła, odpadała, usta zapadły się nad bezzębnymi szczekami. Żył tylko oczy, które zamieniły się w jamy z iskierkami na dnie. I to życie trwało uparcie. Natomiast w dolnej części kamienia iskiereki łączyły połyskliwe linie o innych barwach - zielone, niebieskie i białe - które pozostały widoczne tak długo, aż wszyscy troje dobrze zobaczyli.

-Nie mamy już na to wpływu, wszystko jest w innych rękach. - Halwice opadła na krzesło. Kolorowy proszek unosił się z poswieconego kamienia, tworząc tęczowy obłoczek, a potem zniknął. - To oni dzierżą miecz i los zależy od nich, nie od nas. Oczyszczone księstwo, Uttobricu - to twoje zadanie. O tym, co wydarzy się gdzie indziej, dowiemy się z czasem.

Nicolas zwolnił tempo i Willadene była bardzo z tego zadowolona. Chociaż tego ranka posmarowała maszczącą otartą udę, szarpał ją piekący ból. Robiła co mogła, by nie odczuwać tego dyskomfortu, skupiając uwagę na otoczeniu i na docierających zewsząd zapachach. Raz Nicolas zatrzymał nagle oba rumaki na skraju jakiejś polanki, gdzie przed pniem największego drzewa spośród tych, które okalały tę niewielką przestrzeń, na tylnych łapach stał brązowy niedźwiedź ors, drac pazurami grubą kore. Na szczęście lekki wiatr dął w ich stronę - Willadene poczuła ostry zwierzęcy odor - i niedźwiedź nie zwrócił na nich uwagi. Później opadł na cztery łapy i odszedł rozkolysanym krokiem na południe.

-Oznacza swoje terytorium - wyjaśnił Nicolas. - Może w pobliżu jest jakiś młodszy osobnik z tego samego gatunku. Jeżeli trafi na to drzewo i nie dosięgnie z łatwością do tych śladów pazurów, wycofa się przezornie.

Zwinięta wokół szyi Willadene Ssssaaa poruszyła się lekko. Dziewczyna początkowo myślała, że zwierzątko zaniepokoił odor niedźwiedzia, ale ostry noski szturchnął zawiniątko z amuletem wysunięte teraz spod kaftana.

Willadene wiedziała, że Ssssaaa ma własny sposób porozumiewania się z ludźmi, zbliżyła więc torebkę do jej noska. Poprzez cuch niedźwiedzia, który nadal wisiał w powietrzu, wyczuła nagle jakiś inny zapach. Trwało to zaledwie sekundy lub dwie, ale wystarczyło, by odwróciła głowę pod ostrzejszym kątem. Potem dziwna won się rozwinęła, lecz przypominała wołanie o pomoc. Willadene zameldowała o tym Nicolasowi. Przez chwilę myślała, że wywiadowca jej nie uwierzy, bo jego oczy znów spoglądały ostro i przenikliwie. Później jednak skłonił lekko głowę, zmienił kierunek jazdy, a nawet nieco przyspieszył tempo.

Las wokół nich zrzędl i pojawiły się skały. Nicolas schylił wodze przy olbrzymim głazie, który górował nad nim, choć siedział na koniu. Dziewczynie zaskoczył wygląd tej kamiennej ostrogi, ponieważ nigdy dotąd nie widziała skały o takim kolorze. To nie porastający ją mech, lecz sam kamień miał tę niespotykaną barwę. Głaz przecinał ciemniejszy, również zielony pas.

-Przed nami przeklecie Iszbi - powiedział Nicolas. Willadene nadal mocno sciskala amulet, ale teraz zamknęła oczy i posłużyła się swoim talentem. Badala zapachy warstwa po warstwie, nie zwracając uwagi na te, które zrodził otaczający ją świat - zwierzęta, Nicolas, jej amulet. Było to bardzo trudne, miała wrażenie, że walczy, szukając na oślep we wszystkich kierunkach, chwytając włókienka tak cienkie, że wyslizgiwały się jej, choć starała się je pochwycić. Na zewnątrz, na zewnątrz, w dół, w dół...

Nagle zeszywniała. Wylowila coś, co wywodziło się z ciemności i strachu. Zapach przelanej krwi! Mahart? Czy nagły przypływ jej zapachu oznaczał, że coś grozi życiu lub zdrowiu księżniczki? Nie, Willadene w jakiś sposób zdała sobie sprawę, że won ta nie pochodzi od Mahart. Ale wyczuwała wyraźnie przemieszany zapach krwi i bólu napływający gdzieś z bliska.

Dziewczyna otworzyła oczy.

-Tam jest ktoś ranny!

Chociaż nie umiała jeździć konno, chwyciła postronek, który Nicolas trzymał teraz luźno w ręce, i udało jej się skierować swego wierzchowca poza skalną ostrogę. Na szczęście koni stąpił ostrożnie, wybierając drogę. Poczula ciepłe futerko na grzbiecie dłoni: to Ssssaaa zbiegła po jej ramieniu i przywarła do szyi wierzchowca. Możliwe - nie była tego pewna - że zwierzątko w jakiś sposób kontrolowało konia. Zaraz po tym odkryciu wszyscy nagle się zatrzymali.

W odległości zaledwie kilku kroków teren się urywał, kończył poszarpana szczelina, wypełniona skalami, które były zwalone w taki sposób, jakby wrzuciła je tam jakaś ogromna siła. Willadene usłyszała cichy jęk.

Chociaż szybko zeskoczyła na ziemię, zrobiła to tak niezrecznie, że Nicolas ją wyprzedził i znalazł się na samym skraju rozpadliny. Willadene odwiązała swoją torbę z lekami i po chwili dołączyła do niego.

Ostra skala rzucała cień na większą część tego, co znajdowało się w dole, ale dziewczyna dostrzegła przelotnie czyjeś ramie i reke czepiającą się jednego z kamieni, jakby jej właściciel próbował wstąpić.

Nicolas odszedł szybko, gdy Willadene uklekła jak najbliżej skraju szczeliny, aby się zorientować, w jaki sposób dotrzeć do rannego. Ściany rozpadliny były popekane i pełne szczelin; ktoś zreczny potrafiłby zapewne zejść na dół w miejscu znajdującym się blisko nieznanego mężczyzny. Nie wiedziała, czyjej się to uda. Potem wrócił Nicolas, ciemna plama na tle zielonej skały, z przewieszonym przez ramie zwojem liny.

Willadene posłusznie wykonywała jego polecenia i pracowali najszybciej, jak mogli. Ciągnąć i wiazać liny, niejasno zdała sobie sprawę, że Ssssaaa ją opuściła. Dostrzegła przelotnie smukłe ciałko zwierzątka bez trudu zbiegającego w dół zbocza jaru, jakby to była prosta

gładka droga.

Nicolas zawiązał petle na końcu sznura, wielokrotnie ze wszystkich sił sprawdzając jego wytrzymałość. Drugi koniec przymocował do leku siodła Willadene, resztę zaś zwiesił nad szczeliną i w końcu włożył jej do ręki postronek.

-Kiedy powiem "ciągnij", odprowadź konia od skraju rozpadliny - rozkazał. Później, znajdując oparcie dla nóg i rękę niemal tak łatwo jak Ssssaaa, zniknął w dół.

Zszedł na dno jaru w odległości kilku kroków od nieruchomego teraz i prawie ukrytego wśród kamieni rannego i zniknął między głazami. Zaraz potem znów się pojawił, zgięty pod ciężarem mężczyzny odzianego w kolczugę i krotką opanczone, zwykle noszona na zbroi, bez żadnego herbu. Ranny lekko poruszył głową - osłaniająca ją miszurka pozostała na miejscu, lecz hełmu nie było, a rozmazana na bladej twarzy krew nie pozwalała dojrzeć rysów.

Nicolas oparł ciało o ścianę rozpadliny, a potem Willadene usłyszała niewyraźnie, że coś powiedział. Zapewne ranny okazał się dostatecznie przytomny, by zrozumieć jakiś rozkaz, gdyż podparł się rękami w naszywanych metalowymi płytkami rekawicach. Nicolas, podnosząc najpierw jedną jego rękę, a potem drugą, owinał go pętlą tak, że zacisnęła się tuż nad talia.

Nicolas podniósł oczy na Willadene.

-Ciągnij, ale powoli - rozkazał i jego słowa odbiły się echem w wąskiej szczelinie.

Tymczasem dziewczyna już odwróciła konia tyłem do klifu, a teraz poprowadziła go do przodu. Lina napięła się po chwili. Później Willadene zwolniła tempo, ale nadal ponagliła zwierzę, coraz bardziej oddalając się wraz z nim od skalnej ostrogi strzegącej tej pulapki. Widziała ruchy liny - czasem się obluźniała, to znów napinała, jakby ranny pomagał sobie rękami i nogami. Dziewczynie wydawało się jednak, że upłynęło dużo czasu, zanim w jej polu widzenia najpierw pojawił się Nicolas, a potem zakrwawiona głowa rannego mężczyzny.

Widac było, że uratowany żołnierz należy do wojsk księcia Loriena. Nie nosił jednak maskującego stroju zwiadowcy, który miał się zlewać z listowiem, lecz kolczugę, a u pasa - pusta pochwa miecza.

Zdołał wszakże utrzymać się na nogach. Nicolas otoczył ramieniem jego szerokie bary, gdy potykając się zrobił krok do przodu.

-Tutaj! - Teraz to Willadene wydawała rozkazy. Wskazała na otwartą przestrzeń, gdzie ranny mógłby się położyć; musi przecież obejrzeć jego obrażenia. To cud, że nic sobie nie polewał pomimo takiego upadku.

Położyła obok siebie torbę z lekami, nalala wody z manierki, którą trzymał Nicolas, i zaczęła

zmywac krew ze zwroconej ku niej twarzy. Nieco wczesniej Nicolas zdjal misiurke z glowy zolnierza i teraz Willadene znalazla tuz za linia wlosow spory guz i rane, jakby brzeg helmu rozcial tu skore.

-Kim... - Ranny otworzyl oczy, gdy nalala do rany nieco sporzadzonego przez Halwice leku przeciwko zakazeniu. Potem zmruzyll je i rzekl: - Uczennica zielarki...

-To prawda, Wasza Wysokosc - odpowiedziala, starajac sie opanowac. Oparla dlon na jego piersi, gdy chcial sie podniesc. - Pozwol mi skonczyc.

Bez dworskiego stroju krolewicz wydawal sie mlodszy, a przeciez bardzo pewny swoich umiejetnoscii. Jak sam jeden znalazl sie na tym pustkowiu? Na pewno nie spodziewala sie, ze zastanie go tutaj bez eskorty.

Nicolas cofnal sie nieco, zwijajac line, zeby ponownie ja schowac. Pozniej cos go zaskoczylo, bo na moment zniknal dziewczynie z oczu. Ksiazce Lorien spojrzal na nia, marszczac brwi.

-Powiedziano mi, ze mozesz odnalezc jej slad... to znaczy ksiezniczki Mahart... tak jak pies - powiedzial powoli. - To dlatego tu jestes? - Przez jego twarz przemkнал cien, nie strachu, w kazdym razie nie o siebie, a potem wyplynal na nia ciemniejszy rumieniec gniewu.

-Jest w poblizu, ale gdzie? Tego musimy sie dowiedziec. Rozlegl sie syk i Ssssaaa wychynela jakby znikad, wskoczyla na ramie dziewczyny i poty ocierala sie o jej policzek, az Willadene zwrocila ku niej glowe. Ksiazce przygladal sie tej scenie, mruzac oczy.

-Jest gdzieś tam, za tymi skalami... - powiedziala dziewczyna. Czy to jej talent, czy tez cos innego poinformowalo ja o tym? Nie moglaby przysiac ani na jedno, ani na drugie.

Zobaczyla wracajacego Nicolasa. Trzymal - z dala od siebie - jakis miecz. Ostry brzeszczot pociemnił, miał barwę dymu i, o dziwo, wydawalo sie, ze przedtem owiniety byl czymś w rodzaju liny. Na ten widok ksiazce Lorien nagle usiadł.

-Pozbadz sie, go, czlowieku. Zatrul go tamten przeklęty stwor!

Nicolas odrzucil od siebie miecz; ten ze szczekiem uderzyl o kamien, rozpadl sie na czesci wzdłuż linii o barwie dymu i lezal tak, jak gdyby porzucono go przed wielu laty w jakiejś zapomnianej bitwie.

Lorien odepchnal Willadene, ktora usilowala go powstrzymac, i wstal. Przeniosl wzrok poza dwojke wybawcow i uwaznie spojrzal w gore zbocza, gdzie strzelala ku niebu skalna sciana ze szczelina w srodku.

-Cofnijcie sie! - Odwrocil sie do nich. - Nie wiecie, co pelni tam straz...

-Ale ty spotkales to cos albo tego kogos - powiedzial spokojnie Nicolas. - W takim razie podziel sie z nami swoja wiedza.

Chociaz ksiaze Lorien nawet na moment nie oderwal oczu od szczeliny w skalnej scianie, zaczal mowic krotkimi zdaniem. Pobrzmiewaly w nich ostre nutki rozkazow wydawanych w bitwie. Opowiedzial o znalezieniu martwego Timousa i o przerywanym tropie tego zwiadowcy, jakby scigalo go cos potwornego, o zakutej w zbroje postaci, ktorej helm zaslanial twarz i ktora zdawala sie nie miec zadnej broni do chwili, az wyszarpnela z powietrza zielona, swietlna wstega...

Gdy Willadene uslyszala o tym niezwyklym orezu, jeknela i chwycila Nicolasa za reke, poniewaz bardzo dobrze zapamietala tamto spotkanie ze zlem w Czarnej Wiezy, kiedy Nietoperz lezal bez sil, a ona sama zrobila tylko to, co mogla. Nawet teraz na mysl o tej bitwie poczula mdlosci i ze wszystkich sil starala sie powstrzymac wymioty.

Widzac wyraz twarzy swoich wybawcow, ksiaze Lorien przerwal opowiesc i zapytal:

-Znacie te bron?

Willadene poczula, ze nie panuje nad soba na tyle, by skinac twierdzaco glowa, Nicolas jednak przekazal krolewiczowi swoja wersje tego spotkania ze zlem.

-Ale to bylo w Kronengredzie, w zamku. I mowisz, ze tamten orez zostal zniszczony - powiedzial Lorien. - Jak wiec tu sie znalazl?

-Wasza Wysokosc, jakis miesiac temu, kiedy przynioslem ci wiesci, ktore doprowadzily do rozprawy z Czerwonym Wilkiem, znalazlem zwloki jednego z naszych straznikow granicznych, tak ulokowanego, ze mogl dobrze widziec, kto przybywal i opuszczal to gniazdo rozbojnikow. Jego szyje otaczal pierscien wypalonego ciala, ktory niemal odcial mu glowe. Wtedy zrozumialem, ze zadna znana bron nie jest w stanie zadac takiej rany. Mysle jednak, ze to, co zaatakowalo nas w Czarnej Wiezy, co scigalo i usmiercilo twojego zwiadowce i probowalo cie zabic, bylo zywe. Czy jadowite weze nie wydaja na swiat potomstwa?

-A jesli odwazymy sie znow przejsc przez te brame... - powiedzial powoli ksiaze. - Widzieliscie, co zrobilo z moim mieczem wykutym przez naszych najlepszych kowali? A przeciez cialo to nie stal.

Na wargach Nicolasa zaigral dziwny usmieszek.

-Jezeli kiedys gdzies tam bylo Iszbi, to na pewno prowadzilo do niego wiecej niz jedno wejście. Zastanawialem sie... Straznicy i zwiadowcy graniczni przekazuja sobie wiele informacji, o ktorych gdzie indziej dawno zapomniano. Pani - zwrocil sie teraz do Willadene - chodzi mi o twoja mape.

Dziewczyna natychmiast zaslonila dlonmi amulet.

-Wyobraznia cie poniosla... - Ale kiedy dotknela tego zawiniatka, zrozumiala, ze Nicolas powiedzial prawde. Ona sama zawsze w glebi duszy wierzyła, iz to niezwykle znalezisko moze ja zaprowadzic do Wladcy Serc. Wladca Serc nalezy jednak do odleglej przeszlosci...

-Mape? - Lorien patrzyl teraz na Willadene. - Mape, ktora co pokazuje, Nietoperzu?

-Moze inne wejscie do miejsca, do ktorego chcemy sie udac. To Ssssaaa przyczynila sie do jej znalezienia, a ona zawsze pragnie tego co kanclerz - zeby w Kronenie panowal spokoj.

Willadene powoli rozwinela oba liscie i cofnela sie nieco, gdy Nicolas i ksiaze Lorien ostrocznie polozyli je na jakiejś skalnej polce. Ksiaze zawolal nagle:

-Przeciez ta linia to na pewno Vars w poblizu swych zrodel! W zeszlym roku wedrowalem razem ze zwiadowcami granicznymi, zeby sprawdzic nasze stare mapy, poniewaz okazalo sie, ze wiele z nich jest niedokladnych. Ale przysiegne na Gwiazde, ze to jest Vars!

-Twoi ludzie sa w poblizu - odezwal sie Nicolas. - Mozemy poprowadzic jakis oddzial tedy...

I co znajda, pomyslala Willadene, kiedy inni straznicy z rownie niezwykla bronia zagrodza im droge? W glebi duszy wiedziala, ze ona sama moze wejsc do Iszbi jedynie przez brame, ktora znajduje sie w gorze zbocza. Nic jednak nie powiedziala, tylko zaczela ukladac wlasne plany. Gdzies tam jest Mahart, i to niedaleko. Raz juz sobie poradzila z zielonym wezem, wiec robi to ponownie. Przeciez w podroznej torbie niesie flaszke z tym samym plynem. Tak, ona ma wlasne plany, o ile w tej sytuacji zdola je obmyslic.

23

Wycofali sie z okolicy zielonych skalnych wiezyczek i zalozyli tymczasowy oboz. Willadene demonstracyjnie przejrzała zawartosc swojej torby z medykamentami, chociaz nie musiala dotykac zadnego z nich, gdyz miala w pamieci cala ich liste. Zrobila, co mogla dla ksiecia Loriena. Ksiaze na obandazowana glowe znow wlozyl - nieco obluzowana - misiurke. Dziewczyna wyciagnela racje podrozne i nalegala, zeby wszyscy sie posilili, mimo ze przez caly czas musiala walczyć z wewnetrznym impulsem, ktory kazal jej opuscic towarzyszy podrozy i zajac sie tym, co ja tutaj przyciagnelo. Ssssaaa zwinela sie w klebek na zacienionym wierzchołku pobliskiego kamienia, lecz nie spuszczala wzroku ze szczeliny w skalnej scianie. Dzieki takiej strazniczce Willadene czula sie w tej chwili bezpieczna.

Ksiaze i Nicolas prawie zapomnieli o Willadene, tak zainteresowaly ich mapy-liscie. Lorien zdolal zidentyfikowac jeden punkt na mapie, natomiast Nicolas odnalazl jeszcze dwa, ktore odkryl podczas dzialan wywiadowczych przeciwko rozbojnikom Czerwonego Wilka.

Jesli wielu z tych ostatnich ucieklo ze swego gniazda, musialo skierowac sie na poludnie, poniewaz obozujaca przy skalnych wiezyczkach trojka miala wrazenie, ze przebywa na

wyludnionym terenie. Nie dostrzegli też zakutej w zbroje postaci, której stawiał czoło książę Lorien.

Kiedy zjedli wydzielone im przez Willadene skromne porcje, książę wstał i spojrzał na szczatki swego miecza. Później podniósł wzrok na dziewczynę, pakującą z powrotem zapasy do sakw przy siodle.

-Pani, wiem, że wy, zielarze i zielarki, wiecie o wielu sprawach, które wydają się dziwne innym ludziom. Czy zastanawiałaś się, czym może być ten świetlny wąż?

-Wasza Wysokość, jestem jedynie uczennicą zielarki, nie urodziłam się w rodzinie trudniącej się tym zajęciem. Wiem tylko jedno - ten stwor jest bezgranicznie zły i reaguje na wezwanie innego umysłu.

-Jej Wysokości Saylany?

Willadene chciała przytaknąć, lecz coś sprawiło, że się zawahała. Tak, Saylana stała po stronie Zła, ale czy ktoś kierował jej umysłem?

-Nie mam co do tego pewności, Wasza Wysokość. Nie wątpię jednak, że ma ona w tym swój udział i przysięgłabym, że jej knowania były nasieniem, z którego wyrosło to wszystko.

-Obserwowałem cie. Patrzysz tam! - Przeniósł wzrok na daleką bramę w skalach.

Nagle Willadene ogarnęło zniecierpliwienie.

-Wasza Wysokość, posłano mnie pewnym tropem. Zrobiłam to dobrowolnie, gdyż to, co zobaczyłam, i to, czego się dowiedziałam o Jej Wysokości Mahart, sprawia, że pragnę jej pomocy. Uważam, że grozi jej wielkie niebezpieczeństwo.

-Jako zakładniczkę?

-Nie, całkiem inne, którego natury nie rozumiem. - Willadene potrząsnęła przecząco głową. - Wiem tylko, że otacza ją zło.

-Wydostaniemy ją stamtąd... - oświadczył Lorien. Dziewczyna pomyślała, że jest zbyt pewny siebie. Nagle rozległo się swiergotliwe wołanie Nietoperza i pojawił się oddział książęcych żołnierzy. Willadene cofnęła się, odruchowo zabierając swoją torbę, natomiast Lorien wyszedł na spotkanie nowo przybyłym.

-Ssssaaa. - Czarne zwierzątko wskoczyło dziewczynie na ramiona. Jego syk zabrzmiał jak wołanie o pomoc. Z amuletu napłynął wyraźny, osobisty zapach Mahart, niczym błagalny zew.

Nie wolno zapomnieć o strażniku skalnej bramy. Tak, książę Lorien zniszczył jeden złowrogi

orez, ale sluga zla moze dysponowac innym. Willadene wiedziala, ze musi sie przygotowac. Jej wlasna bron jest ukryta za pazucha, w gorze kaftana. Wyjela ja spokojnie, na uboczu, pozwalajac swym towarzyszom zajmowac sie starozytnymi mapami. Oderwany od koszuli pasek materialu obwiazala jak najciasniej na koncu ulamanej galezi. Lala nan podarowany przez Halwice silnie dzialajacy plyn tak dlugo, az przynajmniej jego polowa wsiakla w szmatke.

Slyszala glosne rozmowy w dole. Wyslano dwoch zwiadowcow, zeby sprowadzili wiecej ksiazeczych zolnierzy; Lorien i Nicolas nadal przygladali sie dziwnym mapom. Od czasu do czasu wzywali ktoregos z czekajacych wojow, aby i on z kolei obejrzal znalezisko.

Willadene podniosla torbe z lekami i, jak juz przywykla, przesunela ja w odpowiednie miejsce ruchem ramienia. Ssssaaa nie probowala wskoczyc jej na szyje, tylko wila sie jak waz wsrod kamieni. Willadene spodziewala sie, ze zwierzatko ostrzeze ja w razie niebezpieczenstwa.

Przynajmniej nie jade konno, pomyslala z ulga. Kluczyla miedzy glazami, szla najszybciej jak mogla, wciaz w gore. Skalna sciana znalazla sie na prawo od niej - widziala wyraźnie przed soba ciemny otwor i obserwowala go uwaznie, szukajac wzrokiem jakiegos ruchu.

Nagle z dolu dobiegl ja glosny krzyk. Nawet sie nie obejrzala, lecz rzucila sie do przodu. Przyciagala ja jakas rosnaca z kazda chwila sila, czula, ze jest potrzebna. Nic sie jednak nie poruszylo, straznik w zbroi rowniez sie nie pojawil, jakby ktos celowo pozostawil otwarta brame w skalnej scianie.

Moze tak wlasnie bylo. Willadene musiala jednak ulec nieznaney mocy, ktora zmusila ja do przejscia przez zacieniony otwor. Ssssaaa wyprzedzala ja o kilka krokow. Kiedy dziewczyna znalazla sie w skalnej bramie, wokol niej zalegla martwa cisza. Okrzyki zamilkly, jakby ktos zatrzasnal za nia jakies wrota.

Willadene chwycila mocniej kij owiniety szmatka nasaczona plynem Halwice. Szla po czymś w rodzaju bruku, a z obu stron wznosily sie wysokie skaly, tak ze mogla isc tylko w jedna strone - do przodu.

Nicolas rzucil sie ku dziewczynie. Biegl najszybciej jak umial. Potem jednak calym ciałem zderzyl sie z jakas materialna zapora z taka sila, ze odbil sie jak pilka, uderzyl w idacych tuż za nim zolnierzy, przewrocil ich i razem z nimi runal na ziemie.

-Willadene! - Zdolal wciagnac do pluc dostatecznie duzo powietrza, zeby wykrzyzciec jej imie. Wstal z trudem, ale tamto uderzenie bylo tak silne, ze chwial sie na nogach. Zapora? Nie widzial nic oprócz ciemnego wejscia. Nie stal tez w nim zaden straznik, gotow znów go odepchnac.

Ksiazę Lorien nie upadł. Przesuwal w powietrzu wyciagniete rece tam i z powrotem, jakby obmacywal jakas powierzchnie. Po chwili Nicolas dolaczyl do niego. Tam cos bylo! Jakas

niewidoczna sciana, ktorej nie mogli przebic w zaden znany im sposob, chociaz sprobowali wszystkiego: rzucali glazy tak ciezkie, ze musialo je podniesc dwoch mezczyzn, przyniesli tez z dolu drzewo i posluzyli sie nim jak taranem.

Niczego nie widzieli, tylko czuli - zamknieci z tej strony tajemniczej bariery, nie mogli pojsc za Willadene.

W koncu Nicolas powiedzial ponuro:

-Wasza Wysokosc, wydaje mi sie, iz pozostala nam tylko nadzieja, ze tak jak przypuszczasz, w innym miejscu znajdziemy wejscie do tego przekletego miejsca.

-Przekletego, po trzykroc przekletego. - Lorien grzbietem dloni otarl pot z piekacych policzkow. - Iszbi ma swoje tajemnice, a my tylko nasze ludzkie umysly i wole. - Popatrzył na Nicolasa. - Ale ludzie niegdys oczyscili to miejsce i zadne mury nie sa w stanie powstrzymac naszej woli. Zobaczymy, na co nam sie przyda ta mapa.

Dlaczego te dziewczynne opetalo takie szalenstwo? Nicolas zacisnal piesci. Gdyby Willadene stanela przed nim w tej chwili, z trudem by sie powstrzymal przed zadaniem jej ciosu. Mowiono, ze w zielarstwie kryja sie czary - na pewno przyprawdzilo ich tutaj to, co nazwala swoim talentem. I moze bedzie zmuszona stawic czolo zlym czarom poza ta niewidoczna zaporą. A oni w niczym nie zdolaja j ej pomoc - moga tylko probowac odnalezc jakas dawno zapomniana sciezke. Obawial sie, ze przybeda za pozno, aby udzielic jej pomocy w walce ze slugami Ciemnosci.

Ruszyli w droge. Nicolas prowadzil, gdyz najlepiej znal te lesne sciezki. Przez caly czas dreczylo go wspomnienie o tamtym zielonym, pelzajacym stworze, ktory zaatakowal ich w Czarnej Wiezy, i rosnacy strach przed czymś znacznie gorszym, co moze na nich czekac.

Mahart nabrala w dlonie wody ze zbiornika i pociagnela dlugi lyk. Poczula, jakby ten zyciodajny plyn nie tylko wypelnil jej usta i gardlo, lecz takze dotarl w najskrytsze zakamarki umyslu, zmywajac strach.

Odwrocila sie od zrodelka w strone ogrodu. Wygladal jak zawsze od chwili, gdy szczesliwym trafem natknela sie na niego. Kon wyszedl z rogu ogrodzenia i znow pasl sie spokojnie.

Ksiezniczka zmusila sie, by podejsc do muru i ponownie zaczela obchodzic go powoli, bardzo powoli, wypatrujac nie tego, co znajdowalo siew srodku, ale na zewnatrz. Kilkakrotnie przystanela i przetarla oczy, bo dostrzegla opary dziwnej mgielki oddzielajacej ja od lasu paproci. Przez moment widziala zarysy budynkow, jakby znalazla sie w Kronengredzie lub w Brescie. Zawsze jednak po chwili gigantyczne paprocie znow Isnily zielenia, a tamte przemijajace szybko wizje pojawialy sie coraz rzadziej i w koncu zniknely.

Wreszcie ulokowala sie w gniezdzie wymoszczonym z koca i zerwanej trawy, ktora rosła w

poblizu muru. Uwazala jednak, zeby nie zerwac zbyt wielu roslin z tego dziczalego ogrodu. Poczula, ze musi odpoczac, zapasc w pokrzepiajacy sen, az wreszcie nie mogla dluzej mu sie opierac i zasnala.

Uslyszala swidrujacy w uszach placz, jakby to szlochalo zrozpaczone, porzucone dziecko. Placz napelnil mrok, napelnil jej serce i zrozumiala, ze musi odpowiedziec na te zalosna skarge. Mahart otworzyla oczy i zdala sobie sprawe, ze juz siedzi i wyteza sluch. Ten placz nie byl czescia snu - naprawde go slyszala. Rozdzieral jej serce.

Zerwala sie z ziemi, potknela przy tym lekko - jej gole nogi byly posiniaczone i obolale, poniewaz do tej pory nie znalazla czegokolwiek zastepujacego obuwie. Teraz jednak nie mialo to zadnego znaczenia - wazny byl tylko placz.

-Gdzie jestes?! - zawolala. - Gdzie jestes?- Nie odpowiedzial jej nawet szelest paproci. Dotarla do nizszego odcinka muru i przeszla na druga strone.

Isc nad jezioro? Czy mozliwe, ze poza podobnymi do ropuch stworami zyje tam jeszcze ktos i ze jakies dziecko wpadlo w ich rece? W tym pelnym zalu glosie wyczula teraz bol.

Zawodzacy placz przyciagnal jej wzrok poza koniec mola. Popatrzyła na jezioro. Jego powierzchnia byla gladka. Nie zauwazyla tez zadnych ruchow wsrod skal na brzegu. Nie, placz dobiega z innego kierunku. Kulejac lekko, obeszla rog muru okalajacego ogrod i nagle uswiadomila sobie, ze stoi naprzeciw miejsca, gdzie wczoraj paprocie rozstapily sie przed nia, ukazujac jej droge w mrok. Podswiadomie spodziewala sie, ze znow zrobia dla niej przejście. Ale nawet nie drgnely; tylko nadal slyszala placz dziecka.

-Gdzie jestes? - zawolala bezradnie jeszcze raz. Nie moze przeciez przedzierac sie przez gaszcz paproci, nie wiedzac, dokad ma isc.

Nie miala zadnej broni oprócz kamienia, na ktory natknela sie przypadkiem - i watpila, czy okaze sie skuteczny w razie prawdziwego ataku.

-Wasza... Wasza Wysokosc...

Mahart z zaskoczeniem zauwazyla jakis ruch na skraju lasu paprociowego. Jakas czarna plama czolgalala sie, przedzerala przez gestwiny na otwarta przestrzen. Glos byl ochryply, rwal sie, jakby wydobywal sie z ust staruszki.

Mahart zaczela sie cofac, az oparla sie o mur ogrodowy, ktory w tym miejscu byl za wysoki, zeby mogla przezen przejsc na druga strone.

Czolgajaca sie postac poruszala sie powoli, z wyraznym trudem, i chociaz tamten zalosny placz ucichl, w glosie, ktory znow sie odezwal, zabrzmiala niemal taka sama nuta rozpacz.

-Wielmozna pani... litosci... zlituj sie nade mna...

Zgarbiony kształt zatrzymał się i skulił jeszcze bardziej, tak że księżniczka nie mogła mu się lepiej przyjrzeć. Później cienkie jak patyk ramie odsunęło do tyłu obszerna oponcza, odsłaniając głowę i barki.

Te na polu widoczna nieznaną istotę otaczała niesamowita zielonkawa poświata, jakby złożone ze świetlnych drobinek cząstki paproci wtarły się w jej skórę, kiedy czolgala się przez ten zwarty gąszcz.

Mahart jęknęła i odruchowo nakreśliła w powietrzu starożytny znak chroniący przed złem.

-Na światło Gwiazdy! - wykrztusiła cienkim, rwącym się głosem i zaczęła się cofać wzdłuż ogrodzenia, nadal zwrócona w stronę tego stworza, jakby nie odrywając od niego oczu mogła trzymać go z dala od siebie.

-Pani... - To słowo zakończyło żalostne zawrośnięcie. Wychudłe ramie - skóra i kości - opadło wzdłuż podobnego do tłumoka ciała tej istoty.

To, co Mahart wtedy ujrzała, uznała za część koszmarnego snu, ponieważ pomimo obwisłej i niewiarygodnie pomarszczonej skóry i białych pasm w zmierzwiionych włosach, poznała tę skuloną postać! A gdy poznała... Przelknęła ślinę. W jakiś sposób przypominało to spotkanie z jednym z ropuchowatych mieszkańców jeziora, tylko było znacznie, znacznie gorsze.

Dwukrotnie próbowała, zanim zdołała wymówić imię, które знаła tak dobrze.

-Zuto... - Ale przecież to nie mogła być jej towarzyszka z lat młodzieńczych! To tylko straszliwa wizja tego, co może przynieść starość.

Z ust tej istoty wyrwał się nieartykułowany okrzyk. Wydobyla teraz obie ręce spod fałd, pod którymi dotąd były ukryte, i objęła nimi swoje ciało, nadal zasłonięte przez luzną oponczę lub szatę.

Mahart przypomniała sobie zarazem - jedyne straszliwe nieszczęście, o jakim słyszała przez większą część swego życia. Czy w jakiś sposób ta groźna choroba przetrwała właśnie tutaj, by znowu zaatakować młode, zdrowe ciało? I kto zabrał i przyprowadził tu Zute?

Mahart wysiłkiem woli zmusiła się, by odejść od muru. Zuta jest przecież nieodłączną częścią jej przeszłości, musi więc...

-Wasza Wysokość! - Wołanie to zagłuszył głośny, wyzywający syk. Ssssaaa otarła się o kostki księżniczki, po czym wysliznęła się na otwartą przestrzeń, żeby stawić czoło stworowi, który wyszedł z lasu paproci. Zuta - ale jak to może być Zuta?!

Ktoś mocno chwycił Mahart za ramię i odsunął od czolgającej się istoty. Księżniczka rozejrzała się i od razu rozpoznała nowo przybyłą - uczennicę zielarki Halwicę. Willa...

-Willadene - powiedziała triumfalnie na głos.

Później Mahart bezradnie machnęła ręką w stronę w tak niezwykle sposób postarzałej Zuty. Usłyszała znów szloch, rozpaczliwy płacz dziecka lub zgrzybiałej staruszki, opuszczonej przez wszystkich i zagubionej. Księżniczka spojrzała pytająco na Willadene.

-Czy to tamta zaraza?

-To bezgraniczne zło - odparła tamta. - Zostan tutaj. Dobrze się stało, że tu przyszedłaś. Ja wezwę...

Willadene puściła Mahart i ruszyła w stronę zgarbionej postaci, wokół której krążyła Ssssaaa. Zwierzątko dobiegło do dziewczyny, wskoczyło na jej rękę i po rekawie ponownie wdrapało się na ramię.

Willadene zsunęła z ramienia torbę z lekami; oburącz trzymała zawieszony na szyi amulet.

Stwór, który mógł być Zuta, wrzasnął głośno i pochylił się do przodu, aż dotknął głową ziemi niedaleko od miejsca, gdzie stała uczennica Halwice.

-To nie jest ta zaraza, która nas zaatakowała, Wasza Wysokość - powiedziała stanowczym tonem Willadene. - Ale na razie trzymaj się od niej z daleka.

Sama też nie próbowała podejść bliżej Zuty, tylko wyjęła z torby coś, w czym odbiło się jasne, czyste światło, padające nie wiadomo skąd. Wyciągnęła to coś przed siebie, ale nie dalej niż na skraj kola nakreślonego przez Ssssaaa.

Tak mało wie... Willadene miała ochotę wykrzyknąć na cały głos frustrację, jaką nią opanowała. To na pewno jest zło, ten silny fetor przyprawiający mdłości, ale chyba jakieś nowe. - A może nie? Wyczuwała ten sam smród, który dusił ją w obecności Wyche'a - tutaj jednak był znacznie ostrzejszy, przesycił powietrze. Próbowала teraz zastosować w praktyce sposób znany tylko z opowieści starych kobiet i nigdy nie słyszała, żeby ktoś podjął taką próbę. A przecież to Halwice zapakowała do torby Willadene środki, które jak uważała, mogły się przydać jej uczennicy. Ta zaś ufala instynktowi swojej pani ponad wszystko na świecie.

Trzymała w ręku coś w rodzaju zwierciadła - nie z wypolerowanego metalu, jak zwykle, lecz z przejrzystego kryształu. Z tyłu oprawka miała barwę nocnego nieba. Willadene już nie obserwowała Zuty, lecz skoncentrowała się na tym odłamku kryształu.

Najpierw ujrzała w nim to wyschnięte, zgrzybiałe ciało, tak stare, że mogło powstać z jakiegoś zapomnianego grobu. A potem otaczająca je zielonkawa poświata stała się mocniejsza. Willadene w rzeczywistości widziała tylko cień podobny do okrywającej Zute kolderki lub sieci. To coś ucztowało na ciele nieszczęsnej dworki!

Ssssaaa syczala teraz tak glosno, iz Willadene wydalo sie, ze ogluchnie. Nie umialaby nazwac tego, z czym miala do czynienia, uzyła wszakze jedynej broni, jaka przyszła jej na mysl - tej, która przygotowała przeciwko zielonemu wezowi z opowiesci ksiecia Lorien.

Sciskajac w reku zwierciadlo, nadal zwrocone kryształowa powierzchnia w strone Zuty, Willadene zawolala na cale gardlo, tak glosno, ze zagluszyła syk Ssssaaa.

-Na Gwiazde, dla Gwiazdy, przeciw Ciemnosci, która pozera i czeka na zdobycz, niech sie stanie swiatlo, niech powroci zycie, niech to sie skonczy!

Siegnela ponad skrajem nakreslonego przez Ssssaaa kola i dotknela zaimprovizowanym orezem wykrzywionego ciala Zuty. Wydalo sie jej, ze kryształowe zwierciadlo, które trzymala w drugiej rece, buchnelo plomieniem. Ogień ten jednak nie parzył, mogła wiec nadal sciskac w dloni magiczny kryształ. W miejscu, gdzie owiniety szmatka kij dotknal skulonej postaci, trysnelo swiatlo. Przez chwile Willadene czula won bedaca czescia mocy, która jej odpowiedziala, czegos nie z tego swiata - czego zlo nie moglo ani skalac, ani dotknac.

Zuta przestala jeczec. Nagle jej skrecone cialo wyprostowalo sie, jakby chciala sie polozyc i wypoczac. Obie dziewczyny nic juz nie widzialy w wiszacej wokol nich mgielce, ale pod ta mgielka rozlalo sie cos plynnego i dymiacego, a wyslany przez kryształowe zwierciadlo blysk - choc Willadene nie ruszyła reka - padl na te ohydne maz, która zaraz potem zniknela.

Slyszaly, czuly, jak sie oddala - podmuch powietrza, smrod, sila, która przygiela paprocie, zanim sie wycofala. Pozniej przez dluga chwile poza czasem widzialy Zute, w calej jej krasie, lezaca wygodnie. Emanowal z niej wielki spokoj. A potem mgielka zbila sie w kule i kiedy sie rozwiala, na tym miejscu nic nie pozostalo.

-Co to bylo? - zdolala wykrztusic Mahart.

-Los zrzadzil - Willadene sama szukala wyjasnienia, dopasowujac strzepy swojej skapej wiedzy - ze cos, co nadal tam sie czai - skinieniem glowy wskazala na las paproci - odebralo twojej dworce mlodosc i wyslalo jej zyciowe sily. Wasza Wysokosc, wyglada na to, ze znalazlysmysie w swiecie legend i magii, choc podobno nie istnieje on od wielu pokolen.

Ksiezniczka usiadla obok uczennicy Halwice.

-Ja jestem Mahart, a ty Willadene. Niech w tym dziwnym swiecie, o którym mowisz, roznicie spoleczne przestana istniec, bo twoja wiedza sprawia, ze jestes silniejsza ode mnie. Zuta...
- Ksiezniczka zdala sobie sprawe, ze wyslawia sie z trudem. - ...była moja przyjaciolka od lat. A przeciez zawsze wiedzialam, czulam, ze jest w niej cos, czegos nigdy nie poznam, i moze ona powiedzialaby to samo o mnie. Dziekuje ci, Willadene, ze teraz znalazła spokoj. Oby blask Jasnej Gwiazdy obdarzył nas tym samym i nie mozemy prosic o wiecej niz o ten

wieczny odpoczynek.

-Nie stalas sie jednak ofiara tego zla... - Willadene zauwazyla, ze drza jej rece. Szmotka, ktora owinela wokol kija, odpadala platami, spalona; unosil ja wiatr, a kryształowe zwierciadlo pociemniało i zgasło.

-To cos probowalo. Ale chodz, prosze cie, chodz - tu jest bezpiecznie!

W taki oto sposob Willadene znalazla sie w magicznym ogrodzie. Mahart miala racje - dziewczyna poczula, ze jest bezpieczna, ze otacza ja cieplo i milosc. Nie watpila jednak, iz wygraly tylko potyczke, a nie decydujaca bitwe.

Ksiaze Lorien uwaznie przyjrzał sie poszarpanej skarpie przed nimi. W przeciwienstwie do dziwacznych zielonkawych prazkowanych klifow z drugiej strony tej okolicy, znajdowali sie przed zwyczajna szarawa, strzelajaca w gore skala. A przeciez, odkad opuscili tamta zlowroga, strzezona przez zlo brame, jechali wzdluz tej samej sciany skalnej.

Bylo ich teraz wiecej, bo przybyli zolnierze Loriena, ktorzy poinformowano o tym, czemu maja stawic czolo. Dolaczyla tez do nich garstka kronenskich zwiadowcow granicznych. Ci ostatni poprosili Nicolasa o wyjasnienie sytuacji. Najwieksza trudnosc sprawialo im odkrycie prawdziwej natury wroga. Dwukrotnie tego dnia wybili do nogi grupki wojownikow - zle uzbrojonych, a mimo to gotowych umrzec, jesli zdolaja zabrac ze soba na tamten swiat chociaz jednego przeciwnika. Niektorzy niezdarnie poslugiwali sie bronia, jakby bardziej przywykli do wbijania noza w plecy niz do walki na miecze. Nicolas byl pewny, ze sa to rzezimieszki z Kronengredu; nie wiadomo, dlaczego sprzymierzyli sie z nielicznymi, walczacymi zaciekle rozbojnikami. Nie brali jencow, gdyz nieprzyjaciele nie chcieli sie poddac nawet wtedy, gdy zostali ciezko ranni. A Nicolasa, przyzwyczajonego do przypominajacych wilcze wycie okrzykow wydawanych w boju przez zbojcow, niepokoila gleboka cisza, w jakiej teraz walczyli.

Jechali wzdluz skalnej sciany przez caly dzien, kiedy ta nagle skrecila ku polnocy i po raz pierwszy jej powierzchnia stala sie tak nierowna, ze moze udaloby sie na nia wspiac. Raz po raz naradzali sie nad starozytna mapa z lisci. Wreszcie Nicolas i ksiaze Lorien zgodzili sie, ze dotarli do miejsca zaznaczonego na koncu tajemniczej mapy.

Ksiaze uznal jednak, ze wspinaczka w ciemnosci jest niewskazana, przynajmniej dla nich. Ale Nicolas, ktory uwazal, ze nie sluzyc pod rozkazami Loriena, juz chodzil przy urwisku, szukajac wzrokiem oparcia dla rak i nog.

Cos mu mowilo, ze Willadene nie dotarla do zadnego bezpiecznego miejsca. Mijal juz drugi dzien, odkad powziela te nierozwazna decyzje i nic nie mogl na to poradzic, przynajmniej na razie.

Ksiaze podszedl do niego i uderzyl piescia w skalne wybrzuszenie. Jego rece chronily rekawice naszywane metalowymi plytkami.

-Samotna wedrowka...

-Samotna wedrowka - odpowiedział Nicolas, nie odwracając głowy, by spojrzeć na Lorienta.
- Właśnie tego mnie uczono, Wasza Wysokość. A ponieważ wiem co nieco o mocach, które Halwice i Willadene umieją przywołać z nasion, korzeni i liści roślin, wierzę, że Jej Wysokość Mahart jest tutaj. I że grozi jej wielkie niebezpieczeństwo. Działają tu siły, z którymi się dotąd nie zetknęliśmy...

-I nie można z nimi walczyć stą. Ale uczono nas różnych rzeczy, przyjacielu. Nie jesteś też moim wasalem. Jeśli chcesz tak postąpić ... - Zawahał się. - Pozostaw ślad, ruszymy za toba o świcie.

Nicolas uzbroił się lekko, żeby broń nie przeszkadzała mu we wspinaczce. Nosił swój ulubiony długi nóż, wraz z nieco mniejszym brzeszczotem w podwójnej pochwie, a wokół pasa owinał długi sznur to tu, to tam ze złością zawiązany w węzeł; umiał nim zabijać cicho i niepostrzeżenie.

Wierzył też w swoje umiejętności zdobyte podczas lat spędzonych w wywiadzie. Nie zmarnował tego czasu. Jego ciało było doskonale wytrenowane, gdyż ćwiczył również mięśnie, o których istnieniu większość mężczyzn nie miała pojęcia. Nigdy dotąd go nie zawiodło. Musi uważać na bok, ponieważ rana jeszcze się goi, ale za sprawą Halwice zasklepiła się tak dobrze, iż wierzył, że zielarka pomogła mu nie tylko ziołami, lecz także czymś ponadto.

Niecierpliwie przelknął skąpa rację żywnościową książeczek żołnierzy i po zapadnięciu zmroku zaczął się wspinać. Jak się spodziewał, powierzchnia urwiska była tak nierówna, że zapewniała dobre oparcie dla rąk i nóg i niebawem dotarł na szczyt. Bok bolał go trochę, wciąż jednak mógł poruszać się równie zrezygnownie jak kiedyś.

Znalazł wolne miejsce między dwiema ostrogami skalnymi i usiłował dojrzec, co się teraz przed nim znajduje. Na niebie świeciły już gwiazdy i wschodził księżyc, a Nicolas zawsze dobrze widział w nocy, gdyż jako zwiadowca i szpieg zwykle działał po ciemku.

W dole rozciągał się jeszcze jeden jar w tym strzeżonym przez tajemnicze siły kraju. Zaraz potem młodzieniec zdał sobie sprawę, że nie dotarł na szczyt klifu, a tylko na wierzchołek muru, który zaplanowały i zbudowały jakieś istoty rozumne, by je bronił.

Stroma skala, obok której się zatrzymał, okazała się zrujnowana wieża strażnicza. Jeśli więc byli tu kiedyś nieznani strażnicy, musieli w jakiś sposób przybywać do tego miejsca i z niego odchodzić. Strażnicy czy tacy jak ów człowiek z metalu, który pilnował tamtego wejścia? Nicolas zważył na dloni spory odłamek skalny z nadzieją, że gojąca się rana w boku nie przeszkodzi mu w celnym rzucie. Potem ruszył dalej.

Początkowo niezwykła cisza w dole wywarła na nim duże wrażenie - nie słyszał brzęczenia owadów ani nawet szelestu liści na wietrze. Równie dobrze mogłoby podać martwym od

dawna szlakiem. Ale uznał te okoliczności za najlepsze ostrzeżenie, że powinien iść tak cicho, jak to tylko możliwe.

Znalazł drogę prowadzącą w dół. Zaczynała się w środku drugiej strażnicy, na którą się natknął. Schody niewiele różniły się od drabiny, schodził więc bardzo ostrożnie, choć wąskie szczeble były dostatecznie mocne. Później przez otwór w murze wyszedł na otwartą przestrzeń.

Ujrzał tam rozległe ruiny. Wyglądały na miasto tak wielkie jak Kronengred, które zniszczyła jakaś katastrofa. Tu także panowała głęboka cisza, choć normalnie powinien słyszeć stapanie nocnych myśliwych, skwir sokołów i wiele innych odgłosów żywych istot.

Zamiast tego gdzieś z przodu dobiegł go jekliwy krzyk tak przerażający, że Nicolas natychmiast oparł dłoń na rekojesci noża. A potem owo wołanie zagłuszył szelest, który stawał się coraz głośniejszy, jakby jakaś wielka miotła zamytała teren przed nim.

Minał ruiny. W pewnej chwili poczuł tak silny zapach paproci, z jakim nigdy dotąd się nie zetknął. I rzeczywiście, mimo mroku dostrzegł paprocie. Takich jeszcze nigdy nie widział. Były wysokie niczym drzewa i rosły tak blisko siebie, że nikt nie mógł wtargnąć na ich terytorium.

Nicolas nie zamierzał tego uczynić, przynajmniej dopóki trwa noc. Rzucił szybkie spojrzenia na boki i zauważył pokrytą kupami gruzu przestrzeń, rozciągającą się wzdłuż zrujnowanego muru. Zaczął kluczyć między nimi.

Wyteżał słuch w nadziei, że znów usłyszy tamto dalekie zawrodożenie, ale już się nie powtórzyło. Willadene...

Z determinacją przegnał wszelkie obawy i dalej powoli kroczył wśród gruzów, a mur stawał się coraz wyższy i prowadził go do przodu.

Szum paproci ucichł i Nicolas zdał sobie sprawę, że ogarnia go narastające zmeczenie. Nie zdoła dłużej iść bez odpoczynku, bez łyżeczki kordialu, który Willadene dała mu jako środek wzmacniający, zanim się rozstali.

Dosć łatwo znalazł miejsce, gdzie mógł się ukryć i przespacerować bez obawy, że ktoś znajdzie go z boku, od strony lasu paproci. Spał jak rasowy zwiadowca graniczny: drzemal i budził się co chwila. Dobrze wiedział o tym, że znajduje się na terytorium wroga, choć żaden rozbojnik nie grasował tej nocy.

Był jednak ktoś, kto nie pragnął odpoczynku, komu nie podobało się, że jacyś zuchwalcy krzyżowali mu plany, i pieńił się z wściekłości z powodu tego, co już stracił.

Willadene? Uczennica Halwice nawet nie czuła, że zdrzemnęła się na wspólnym zaimprovizowanym posłaniu. Mahart chwyciła ją za nadgarstek i Willadene szybko oprzytomniała. Podniosła głowę, całkowicie już rozbudzona i tak czujna, jakby czekało ją jakieś zadanie, o którym na swoje nieszczęście zapomniała.

-O co chodzi? - spytała, usiłując wyczuć powód tego niepokoju.

Mahart usiadła. Zastąpiła wprawdzie pozostałe po nocnej koszuli lachmany dodatkowym odzieniem, przyniesionym przez Willadene, ale gałazki nadal tkwiły w jej włosach i tylko w niewielkim stopniu przypominała jasnie wielmożna pania z Kronengredu.

-Nie czujesz tego? - spytała drzacym głosem księżniczka. Po powrocie do ogrodu długo rozmawiały. Dzielily się myślami, których, jak sadziły, nigdy by nie wyjawily innemu człowiekowi. Willadene od razu zrozumiała, co Mahart ma na myśli.

W ich schronieniu zaszła jakaś zmiana. Mgliste światło, które raczej trudno było nazwać dziennym, przygasło. Jak pociągnięta niewidzialnym sznurem, Willadene zwróciła się w stronę niewielkiej kamiennej misy. Mahart już tam podążała. Płynąca dotąd nieprzerwanie i wylewająca się z niewielkiego zbiornika woda znieruchomiała; ani jedna kropla nie kapła z kryształu.

A przecież Willadene nie wyczuła ostrzegawczego smrodu zła. Zamiast tego odetchnęła głęboko, wdychając nie tylko mieszane zapachy wszystkich rosnących w ogrodzie roślin, lecz także znacznie bardziej od nich subtelna won.

Mahart nie odrywała oczu od spokojnej teraz powierzchni kamiennej misy. Woda, która tam pozostała, lśniła jak zwierciadło. Co w nim zobaczyły? Później żadna z dziewcząt nie umiała opisać tego dokładnie, może nawet te obrazy nie były identyczne, gdyż zostały zmienione przez ich tak różne charaktery.

-Nie - szepnęła Mahart, cofając się o krok.

-Musimy! - odpowiedziała Willadene i ogarnął ją lek. Z jakiegoś powodu ich dotychczasowe schronienie zamykało się przed nimi; teraz już nie będą mogły do niego wrócić.

Willadene, mimo instynktownej obawy, dotknęła kryształu, z którego przedtem sypiała woda; szukała po omacku, jakby spodziewała się znaleźć rękę nieznanego obrońcy.

Rozległ się dźwięk dzwonu. Oslepilo ją ostre światło, miała wrażenie, że dotknęła serca burzy. Kryształ rozprysnął się, jego odłamki jak grad wpadły do kamiennej misy. Willadene spojrzała ze zdumieniem na to, co pozostało w jej palcach - mogło bowiem równie dobrze pochodzić z jednej z szuflad w sklepie Halwice. Był to spory, zaokrąglony strak.

Podświadomie podniosła go do góry i ten nieuchwytny zapach, który tak drażnił jej powonienie od momentu przebudzenia, na chwile lub dwie stał się silny, niosł pociechę,

dodawał otuchy.

-Dar Gwiazdy... - powiedziała cicho Mahart. - Na pewno podarowała go nam Gwiazda. - Niesmiało, jakby musiała zdobyć się na odwagę, dotknęła straka czubkiem palca. Znowu napłynęła ta dodająca sił won. Potem księżniczka spojrzała na Willadene.

-Musimy więc Jej służyć - powiedziała tak, jakby składała przysięgę przed ołtarzem w klasztorze.

Zaspokoili głód, może po raz ostami, owocami i korzeniami z czarodziejskiego ogrodu.

Willadene przewiesiła przez ramię torbę z lekami i obie jeszcze raz przeszły przez niższy odcinek muru i szły obok niego, aż znalazły się przed lasem paproci, z którego wcześniej wypelzła Zuta.

Wydawało się, że ich przybycie to rodzaj sygnału - paprocie rozchyliły się, dając im przejście, z którego jednak nikt nie mógłby zejść na bok. Zapach paproci był bardzo mocny, ale nie tłumił innej woni - potężniejszego smrodu zła. Pod nogami wyczuwały omszałe kamienie, którymi kiedyś wybrukowano jakąś ulicę, i od czasu do czasu poprzez zasłone paproci widziały morze ruin.

Mahart zerknęła przez ramię, zamknęła na moment oczy, a potem z determinacją spojrzała przed siebie. Gąszcz paproci zamknął się za nimi tak, jakby się dostosowywał do sytuacji, wykonywał czyjeś rozkazy.

Wreszcie wyszły z zasnutego mgłą lasu na otwartą przestrzeń. Czas zniszczył wszystko, co tu przedtem było, ale wznosząca się przed nimi budowla przetrwała nietknięta.

Trzy szerokie stopnie prowadziły do portyku z podtrzymującymi dach kolumnami, na których wyryto napisy w dawno zapomnianym w zewnętrznym świecie języku.

W portyku znajdowały się pojedyncze wielkie drzwi; buchał z nich smród zła tak mocny, że prawie widoczny. Za drzwiami panował jednak mrok, nowo przybyłe nie widziały tam żadnego światła.

Willadene wyciągnęła rękę do Mahart i obie zacisnęły dłonie na czarodziejskim straku.

Weszły po stopniach jak wojowniczkę maszerujące do boju. Teraz we wnętrzu budowli pojawił się słaby blask. Jakas siła popychała je do przodu i musza jej ulec, aby dokonać tego, po co tu przyszły.

Znalazły się w długim pomieszczeniu, które równie dobrze mogło być salą audiencyjną jakiegoś władcy. Kiedy światło wokół nich pojaśniało, rozblysły drogicę kamienie i zalsnił metal; zauważyły też postacie - nadal sprawiały wrażenie zamazanych, jakby musiały pozostać ukryte przed ich oczami.

-Witajcie, nareszcie was tu widze!

Kobieta siedząca na tronie blisko końca tej wielkiej komnaty pochyliła się lekko do przodu. Jej zielona suknia lśniła od drogich kamieni i srebrnych nici; w istocie obciążała jej ciało, podobnie jak maska młodości, która zaczynała pekac.

-Czego od nas chcesz, Saylano?

Głos Mahart nie zadrzał. Zatrzymały się w niewielkiej odległości od tronu. Willadene zauważyła, iż po obu stronach tego ozdobnego krzesła leża bezwładnie dwa ciała. Zorientowała się, że są martwe. Rozpoznała też śmierć nowego rodzaju, której należało się obawiać znacznie bardziej niż pchnięcia mieczem czy czary z trucizną. A jednak stała, wiedząc, że jej siła łączy się z siłą Mahart i że ta ostatnia umacnia jej własną.

-Czego od was chce? - zarechotała Saylana. Tym razem nie był to dzwiczny, srebrzysty śmiech. - Twojego życia, moja słodka. I zdaje się, że z łaski Pradawnej Mocy Ciemności przyprowadziłaś tu jeszcze kogos - te dziewczki, która otrzymała znacznie więcej, niż prawnie należy się każdemu z ludzi. Dlatego mój posiłek będzie dwakroć smaczniejszy... - Znowu zarechotała, a potem nagle odwróciła lekko głowę, jakby usłyszała, że ktoś woła ją po imieniu.

W tej właśnie chwili Willadene, która czuła się tak bardzo zmęczona tym wszystkim, co się wydarzyło po jej przebudzeniu, przypominała sobie Ssssaaa. Uprzytomniła też sobie, że nie widziała jej od tamtej chwili. Jednak to nie zwierzątko kanclerza zwróciło uwagę Saylany. Kobieta ponownie odwróciła się do nowo przybyłych, szczerząc w szerokim uśmiechu czarne piątki zębów.

-Na Drimona, ten, kto jest cierpliwy, zyskuje wszystko. Tak, czeka nas prawdziwa ucztą!

Poruszyła prawą ręką z nadzwyczajną, wręcz nadprzyrodzoną szybkością. Z jej palców wystrzelił sznur zielonego światła. Mahart i Willadene nawet nie zdążyły się poruszyć, ale przynajmniej na razie ta potworna brona nie miała ich zabić. Zwinęła się, tworząc koło, które wirując w powietrzu stawało się coraz większe, a potem opadło na podłogę wokół nich. Saylana na ten widok skinęła głową i znowu uśmiechnęła się szeroko. Obie dziewczyny zrozumiały, że uznała je za więźniarki, które nie umkną z zakletego kregu.

Nicolas obudził się, zanim pierwszy brzask rozjaśnił niebo. Wstał czujny, gotów do walki, znał bowiem dobrze uczucie, które tak często ratowało mu życie: intuicyjna świadomość, że grozi mu niebezpieczeństwo. Trzymał już noż w ręce, kiedy porosnięte ciemnym futerkiem zwierzątko wychylnie zwinnie spomiędzy gruzów i skoczyło ku niemu.

-Ssssaaa! - Poglaskał głowę zwierzątka. Nigdy się nie dowiedział, jak kanclerz znalazł to stworzenie lub jak zawarł z nim przymierze. Już od pierwszego spotkania Nicolas rozumiał, że Ssssaaa jest bezgranicznie oddana tym, których sama wybrała - między innymi Vazulowi. Wiedział też, że takich szczęśliwców jest bardzo mało. Ssssaaa wyprzedziła ludzi

tylko o kilka minut; przez ten czas Nicolas zdążył opuścić swoje zaimprovizowane schronienie. Nie zaskoczyło go, że Lorien prowadził żołnierzy prawie tym samym szlakiem, jakim on sam szedł. Była to niewielka grupa - sześciu ludzi królewicza i trzech kronenskich strażników granicznych. Kiedy Lorien ujrzał Nicolasa, podszedł do niego szybko.

-Tam jest jakas moc, ktorej nie rozumiem! - wybuchnął. - Zaczelismy sie wspinac, ale tylko ci - machnieciem reki wskazal na towarzyszacym mu zolnierzy - dotarli na szczyt. Pozostali zachowywali sie tak, jakby cos ich zwiiazalo, kiedy sprobowali. Jezeli to jest Iszbi, w takim razie mamy do czynienia z przebudzonym pradawnym zlem.

-Mamy do czynienia z porywaczami księżniczki - odrzekł ponuro Nicolas, a potem dodał nieco innym tonem - i Willadene...

-Ależ ona sama dokonała wyboru... - zaczął Lorien.

Nicolas rozesmiał się posepnie.

-Wasza Wysokosc, zaden mezczyzna nie moze kontrolowac takiej kobiety jak Willadene. Ma ona w sobie cos, co sprawia, ze zawsze jest wolna i kroczy sciezka, ktora uzna za swoja. Popatrz - poglaskal glowke Ssssaaa. - Oto ktos, kto powie nam, ze tak wlasnie jest. A to, czego szuka, znajduje sie tam - skinieniem glowy wskazal na las paproci; sposepnial, bo wydalo mu sie, ze ich silny zapach powoduje gnicie samego powietrza.

Nicolas cala sila woli zmusil sie, by smialo ruszyc w strone zielonej sciany paproci. Byla to chyba najtrudniejsza decyzja w jego zyciu. A przeciez nie dostrzegal tam zadnego niebezpieczenstwa. Tylko te przeklęte olbrzymie paprocie, za nimi zas - gdzieś tam - dwie dziewczyny. Nie wątpił bowiem, że Willadene w jakiś sposób dotarła do Mahart.

-Padnij, panie! - To krzyknął jeden z żołnierzy, którzy znajdowali się nieco z tyłu. Książe ukrył się równie szybko jak Nicolas, który zaklął w duchu, że ktoś inny wcześniej od niego zauważył grożące im niebezpieczeństwo.

Nad ich głowami, kiedy schronili się wśród walących się murów, zaswiszczała strzala. Nie została wszakże wymierzona w ich stronę, ale w jakiś cel ukryty wśród paproci.

Przez długą chwilę panowała złowroga cisza - nikt nie potknął się o rozrzucone w nieładzie kamienie. Najlejszy wiaterek nie poruszał wysokimi paprociami.

Nicolas dotknął reki Loriena, skinieniem głowy wskazując na las paproci. Nie wątpił, że książe umie wędrować po zwyczajnym borze, ale w tej krainie obowiązywały inne prawa, których nie znalazł nikt z obecnych tu ludzi. Lorien wpatrywał się w niego uporczywie. Nicolas był pewny, że książe nie chce pozwolić, aby sam wyruszył na zwiady. W końcu jednak Lorien skinął przyzwalająco głową. Nicolas skreślił w prawo i podczołgał się do skraju lasu. Usiłował przegnać wszystkie niepotrzebne myśli, skoncentrować się tylko na tym, co musi zrobić. Niech królewicz wędruje tak szybko, jak mu się podoba, on, Nicolas, zawsze go

wyprzedzi.

Spodziewał się, że otoczy go roj komarów, których zawsze jest pełno w normalnych lasach, ale tutaj nic nie było. Tylko...

Przyłgnął do ziemi, zasłonił twarz rękami i patrzył przez palce. Jego czarny jak noc, obcisły stroj był tak zabrudzony, że miał barwę otaczających go kamieni, może więc z łatwością udawać jeden z nich.

Co teraz widzi - żywego mężczyźnię czy zwłoki, które osunęły się bezwładnie w chwili śmierci, a teraz podtrzymywały je paprocie? Czy ów mężczyźnia zginał od tamtej strzały? Nie, nie zauważył żadnego drzewca, był jednak pewny, że nieznajomy nie żyje.

Czy zmarły był przedtem samotnym strażnikiem, tak jak zakuta w zbroję postać, która strzegła pierwszego wejścia do tej doliny? Ten jednak nie nosił kolczugi i, co ciekawe, podciągnął kolana do chudej klatki piersiowej, jakby kulil się bezsilnie, czekając na śmierć. Nicolas nie usłyszał żadnych dźwięków, zobaczył tylko zwinięte w klebek zwłoki. Trzeba jednak się dowiedzieć, kto lub co zabiło nieznajomego, gdyż może sami pojechać tą drogą.

Młodzienciek poczołgał się dalej, chociaż dusił go przekleśny zapach paproci.

Nagle stwierdził, że przecież zna te ofiary! Nie bez powodu krzył w nocy po uliczkach i ukrytych zakamarkach Kronengredu, podobnie jak po otwartych przestrzeniach poza stolicę księstwa. Te twarz, wykrzywiona w grymasie oblednego przerażenia, ostatnio widział w stolicy Kronenu. Willadene wspomniała o nim - nazywał się Figis - śmieć wyrzucony na brzeg przez zaraze, bez krewnych i pana... Nie! Figis był z Wyche'em, kiedy Nicolas ujrzał go przelotnie po raz ostatni. Ze zgromadzonych przez wywiad informacji wynikało, że Wyche zniknął z Kronengredu tej samej nocy, gdy porwano Jej Wysokość Mahart.

Jesli trafił tutaj jeden z tych dwóch złoçzynców, równie dobrze mogą się natknąć i na drugiego. Ssssaaa przemknęła obok jak błyskawica, obwachala zwłoki, syknęła i ponownie wrocila do Nicolasa. Czy to znaczy, że nie grozi im tu żadne niebezpieczeństwo?

Młody wywiadowca jak zawsze zachowywał ostrożność i nie zamierzał się ujawnić, jeśli nie musiał. Im dłużej wpatrywał się w twarz zmarłego, tym bardziej dziwiła go ta śmierć. Figis umarł śmiertelnie przerażony, tego Nicolas był pewny, nadal jednak nie dostrzegał żadnej rany ani rozlanej krwi.

Poza tym Figis, którego przedtem widział, był młody, o kilka lat młodszy od niego, Nicolasa. A teraz na jego twarzy oprócz grymasu strachu zauważył coś dziwnego: głębokie bruzdy po obu stronach nosa, zapadnięte usta. I jeszcze coś - z bujnej czupryny Figisa pozostały tylko rzadkie kosmyki rozrzucone po łysiejacej głowie. Nicolas gotów był przysiąc, że to jest ciało Figisa, ale Figisa, który bardzo się postarzał w ciągu zaledwie kilku dni.

Ssssaaa wybiegala do przodu i zawracala, jakby chciala zachecic Nicolasa do dalszej

wedrowki. I podczas ktoregos z takich powrotow ujrzal przelotnie w oddali jeszcze jedna postac. Mlodzieniec znieruchomial. Nie umial kontrolowac Ssssaaa tak jak kanclerz, a teraz zwierzatko zmienilo kierunek i bieglo w strone tej ciemnej plamy. Zachowujac wszelkie srodki ostroznosci, Nicolas poszedl za swoja przewodniczka.

Tym razem byl to Wyche, uwiezony miedzy pniami paproci. Olbrzymi brzuch i cielsko zmarlego skurczyly sie - wygladal tak, jakby umarl z glodu. Na jego twarzy, podobnie jak u Figisa, malowalo sie przerazenie. Zmarl ciezsza smiercia i moze konal powoli.

Obaj mezczyzni nie zyli i ich zabojca lub zabojcy zawladneli tym terytorium. Jezeli przybedzie tu ze swymi ludzmi niczego nieswiadomy ksiaze Lorien, nie znajdzie gniazda rozbojnikow, lecz narazi sie na niebezpieczenstwo, ktorego nie umieli ani zrozumiec, ani przewidziec.

Kto wie, moze Willadene i Jej Wysokosc Mahart tez juz sie zamienily w takie wyschniete skorupy jak te, ktore znalazl w lesie paproci? Zawsze latwo wpadal w gniew, ale szybko nauczyl sie go wykorzystywac do swoich celow, dlatego nigdy nie pozwolil, by popchnal go do nieobliczalnych postepkow.

Nicolas wrocil najszybciej, jak mogle, i przykucnal obok ksiecia Loriga i dowodcy oddzialu. Mysl o smierci, ktora wysysa z czlowieka wszystkie sily witalne, nie dodawala nikomu odwagi. Dlatego mlody wywiadowca zauwazyl cien powatpiewania na ich twarzach.

Ssssaaa wrocila razem z nim i wdrapala mu sie na ramie. Podobnie jak czesto robila to z kanclerzem, przysunela teraz ostro zakonczony pyszczek do ucha Nicolasa i zaczela syczec tak cicho, jakby pogwizdywala. Usilowal odgadnac, jakie poslanie przynosi, kiedy przemowil ksiaze Lorien.

-My rowniez cos odkrylismy, Nietoperzu. Tylko ja sam moge bezpiecznie podejsc na skraj lasu; pozostalym to sie nie udaje.

-Co im przeszkadza? - Nicolas uznal, ze ta nowa informacja nie pasuje do tego, co zobaczyl, bo przeciez tamci dwaj nie zyjący juz mezczyzni zaglebili sie w gaszcz paproci.

Helm Loriga zaslanial wieksza czesc jego twarzy, ale nie ukryl determinacji, z jaka ksiaze zacisnal zeby.

-To cos jest jak sciana, taka sama, jaka wieksza grupa naszych ludzi napotkala na dole. Cos lub ktos wyraznie dazy do tego, zeby nas bylo mniej. Jesli nie znasz jakiegos zapomnianego sposobu wedrowki po lesie, zatrzyma nas powietrze albo mur, ktorego nikt z nas nie potrafi dostrzec.

Ledwie skonczyl mowic, gdy z lasu paproci dobiegl ich wrzask przerazenia i bolu. Nicolas zerwal sie z miejsca. Dziewczeta! Jesli tylko on sam moze tam wejsc, niech tak bedzie. Kiedy jednak ruszyl pedem z Ssssaaa, ktora przywarla do jego szyi, zobaczyl, ze Lorien

zbliza sie do niego, i razem przedarli sie przez pierwszy rzad paproci. Nicolas usilowal sie opanowac, gdy znow rozlegl sie krzyk. Tylko szaleniec mknie na oslep w nieznanne - tej lekcji nauczyl sie wiele lat temu. Zatrzymal sie i chwycil ksiecia za ramie. - Tedy? - wskazal palcem prosto przed siebie. Lorien, dyszac ciezko, skinal glowa. Potem zaczal isc wolniej, podobnie jak Nicolas.

Przez zaslone paproci majaczyly ruiny jakiegos budynku pozbawionego dachu. Bylo tam jasniej niz w lesie. Rosnace w ruinach paprocie niedawno zostaly skoszone i uslaly ziemie jak dywan. Na srodku pomieszczenia pozostala, nadal mocno osadzona na podstawie, kolumna z zielonego, prazkowanego kamienia. Ktos ja wykorzystal do swoich celow.

Przywiazany do kolumny mezczyzna nadal byl, skrecal sie i obracal, usilujac sie uwolnic z wiezow. Nicolas rowniez go znalazl. Przez dlugi czas nie reagowal na okazywane mu przez tamtego lekcewazenie, spokojnie znosil afronty, nie bral sie do bitki w odpowiedzi na drwiny i szyderstwa.

Zgodnie z prawem Barbric nie mogl zasiasc na tronie Kronenu. Ale kazdy, kto choc troche znal syna Saylany, wiedzial, ze ma on wlasne zdanie o tym, kto powinien nosic ksiazeca korone.

Teraz jednak mial taka mine, jakby byl bliski szalenstwa. Wydawalo sie, ze zobaczyl cos, czego nie mogl zaakceptowac zaden z jego zmyslow.

Naprzeciw niego stala zakuta w zbroje postac, ktora nie wpuscila Loriena do skalnej bramy. Wokol oslonietego kolczuga ramienia okrecil sie zielony, swiecacy waz i szykowal sie wlasnie do ataku.

-Na Gwiazde! - wykrzyknal blagalnie Barbric, pryskajac slina na wszystkie strony. - Nie pozwolcie jej ucztowac na mnie! Jestem jej synem! Nie mam najmniejszych watpliwosci co do tego, ze ta, ktora mnie urodzila, juz dawno opuscila cialo, gdy zaczelo sie strzepic jak znoszona suknia. Kiedys, gdy ludzie nazywali ja Nona, to miejsce nalezalo do niej i chcialaby je odzyskac.

Wydawalo sie, ze podczas tej blagalnej przemowy odzyskuje panowanie nad soba.

-Nie rozumiecie? Ona wysysa zycie z ludzi, a teraz szykuje sie do przejecia innego ciala - mlodego ciala Mahart, ktore zapewni jej wiele lat zycia.

-Popierales ja - odpowiedzial Nicolas. Przez caly czas nie spuszczal oka z metalowej postaci ze swietlnym wezem. Nie byl bowiem pewny, kiedy jeden z nich, a moze obaj zaatakuja.

-Nie wiedzialem, co zamierza. Popieralem odebranie tronu temu staremu durniowi, ale ona zawarla pewien pakt, za ktory drogo zaplacila, a ja dowiedzialem sie o tym za pozno.

-Szkoda, że nie umiemy trafniej przewidywać rozwoju wydarzeń - zauważył Lorien.

Twarz Barbrica wykrzywił gniew.

-Nie bądź taki śmiały, bohaterze. Twoja siła wchłonie na deser i bądź pewien, że już czeka na ciebie razem z tymi, które schwytała.

-Ona je uwięzła... - powiedział Nicolas. Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie.

-Schwytała obie tak zrecznie, jakby wylowiła je ze strumienia Gladden - Barbric kiwnął głową. - A teraz sami się przekonacie, czy możecie zawrócić, żeby się uratować!

Nagle jego ponura mina ustąpiła miejsca obłędnemu przerażeniu. Pojedyncza paproć, która nie została ścięta wraz z innymi, ugięła się jak pod podmuchem wiatru. Kiedy znowu się wyprostowała, w powietrzu płynęły cienkie nitki, zielone jak paprocie, a przecież prawie niewidoczne.

Barbric wrzeszczał bez przerwy. Ssssaaa zeskoczyła z ramienia Nicolasa i jak strzała rzuciła się na zakutego w metal strażnika. Nieoczekiwany atak tak małego stworzenia na moment całkowicie go oszłomił. Strażnik ciężko postąpił do przodu, potknął się o sterte skoszonych paproci i runął na wznak. Zielony stwór, dotychczas owinięty wokół jego ramienia, wpelznął wyżej i jakby wlał się do jednego z otworów na oczy w metalowej masce. Wprawdzie świetlny wąż już się więcej nie pojawił, ale Barbrica szybko oplotła zielone wstęgi, mimo że szamotał się i wil jak szalony.

Nicolas podszedł do niego z nożem w ręce, a książe Lorien z mieczem, który wcześniej wziął od swojego oficera. Choć Nicolas i Lorien starali się zadać jak najcięższe ciosy, jednak ich ostre brzeszczoty po prostu odskoczyły od niesamowitych wież.

Później zielone pasma rozwinęły się, złączyły w jedną wstęgę i odpłynęły do lasu. Zwłoki Barbrica wisiały na kamiennej kolumnie.

Obaj mężczyźni nadal szli ostrożnie i czujnie rozglądali się wokół. Nicolas czuł, że powinni rzucić się do ataku. To, co usłyszeli od Barbrica, wydawało się majaczeniem szaleńca - ale przecież widzieli jego śmierć. Nie chcieli im się wierzyć, że Saylane coś opętała, a jej ciało nosi, niczym odzież, jakąś legendarną czarownicę.

Cos jednak zamieniło ciała Figisa i Wyche'a w puste skorupy, wyssało z nich życie i zrobiło to samo z Barbrikiem. Nie mogli też zrozumieć upadku metalowego strażnika. Czy został w jakiś sposób ukarany za to, że pozwolił Nicolasowi i Lorienowi odnaleźć Barbricę i dowiedzieć się czegoś o tej makabrycznej pułapce?

Las paproci znowu stał się rzadszy i w niewielkiej odległości ujrzały niebo i wysoki budynek, który miał w sobie prostotę świątyni. Nicolas nie wątpił, że to właśnie tam zasiada w majestacie Saylana, a raczej ta, która ją udaje.

Zadna z dziewcząt nie sprobowała swych sil i szczescia w walce z zielona zapora w kształcie pierscienia. Swiatlo w dlugiej sali naplywalo jak fala, a potem nieco sie cofalo. Willadene w dziwny sposob wyczuwala obecność magicznego straka, który obie sciskaly w dloniach. Była niemal przekonana, że przyjdzie im z pomocą, chociaż jeszcze nie nadeszła odpowiednia pora. Saylana z powrotem skulila sie na tronie. Faldziste suknie, jakie nosila, wydawaly sie teraz za duze i za ciezkie dla jej smuklego ciala.

Zamknela oczy, które zapadly sie w oczodoly. Uwieziona dziewczeta widzialy, jak nadal starzeje sie jej twarz i zbyt odsloniete ramiona. Willadene nie wierzyła, że ta moc spi albo że sie wyczerpala.

Moze na jakis czas opuscila to wiednace cialo, aby dokads sie udac?

Uczennica Halwice czula, że powinny przystapic do dzialania, ale nie wiedziala, co maja zrobic i w która strone uciekac.

Staly teraz z Mahart ramie w ramie. Instynktownie zbily sie do siebie jak towarzysze broni czekajacy na atak wroga. Tak, Willadene czula zapach strachu i nie watpila, że obie sa w tym samym stopniu przerazone, ale nie ogarnela ich panika.

Cialo na tronie drgnelo, kiedy powrocila ozywajaca je energia i koscista reka dotknela zrytego zmarszczkami czola. Dotkniecie to oderwalo od czaszki dlugi, zakurzony lok, który zsunal sie po ramieniu Saylany. Zapadniete ze starosci usta usmiechnely sie lekko, a oczy otworzily, by napawac sie widokiem uwiezionych dziewcząt.

-Uczta! Na korzenie przekletego po wsze czasy Yastara, uczta! Przyjrzała sie Mahart i Willadene jak ktos, kto ma przed soba dzieci, które juz pokajaly sie za swoje winy i teraz czekaja na wybaczenie. Czarodziejski strak grzal ich zacisniete dlonie. Willadene zdala sobie sprawe, że przez chwile staly w jakimś miejscu przesyconym orzezwiajacymi, przyjemnymi zapachami, mieszanka woni trawy, kwiatow i nagrzanego sloncem ziemi...

-Ty jestes Nona - powiedziala Mahart, jakby ktos rozwiadal za nia jakis problem.

Odpowiedzial jej glosny rechot.

-Nona? Moja mala, siegasz daleko w glab wiekow w poszukiwaniu tamtej kobiety. Nie moge dokladnie pamietac kazdego, kto zaopatrzyl mnie w odpowiedni stroj. Rozumiem, że pamiec o Nonie przetrwala wsrod ludzi, pomyslcie jednak, że znacznie wyrazniejszy slad pozostanie w historii po waszych uslugach.

Przestala szczerzyc zeby w upiornym usmiechu i znow rozsiadla sie na tronie. Tym razem jednak dokonala sie w niej jakas zmiana. Na ich oczach jej cialo odzyskalo jednosc, a oznaki starosci zniknely.

Kiedy ponownie się do nich odezwała, była Saylana, ale Saylana, która postarała się o jakieś dwadzieścia lat od czasu, gdy Willadene widziała ją tańczącą w sali balowej na zamku w Kronengredzie.

-No, no - skomentowała. - Kochany Barbric odnalazł w sobie nieoczekiwane zasoby energii. Jak prawdziwy syn jest teraz ze swoją matką. - Poklepała się po piersiach, które znowu wypełniały jak należy wydekoltowany stanik. - Mamy jeszcze więcej gości, moje drogie, - choć nie wiem, czy powitacie ich z radością. Ale oni wyświadczą mi naprawdę wielką przysługę.

Smukły cień wybiegł spoza tronu długimi skokami. Zbliżył się do dziewcząt, aż znalazł się na odległość dłoni od otaczającego je zielonego kregu. Tam odwrócił się, przykucnął, unosząc jak najwyżej głowę, by lepiej się przyjrzec siedzącej na tronie kobiecie.

-Mahart!

-Willadene!

Ich imiona padły tak szybko jedno po drugim, że prawie zły się w jedno słowo. Podobnie jak Ssssaaa, Nicolas okrzyknął podwyższenie z tronu czujnie, niczym nocny łowca. Obok niego szedł mężczyzna w kolczudze i polpancerzu, z obnażonym mieczem w dłoni.

-Stojcie! - zawołały jednocześnie obie dziewczyny. Ten krzyk zatrzymał biegnących ku nim mężczyzn. Nicolas rzucił szybkie spojrzenie na podłogę, zauważył zielony pierścien, a potem jednym skokiem zastąpił drogę idącemu wielkimi krokami Lorienowi.

Willadene wolną ręką starła się rozwiązać torbę z lekami, której nie chciała porzucić. Po omacku znalazła jakąś buteleczkę. Z nadzieją, że trafnie wybrała, szybko podniosła naczynko do ust i chwyciła zębami korek.

Zastanowiła ją cierpliwość Saylany. Pozwoliła jej się w taki sposób uzbroić, ponieważ miała pełne zaufanie do swojej mocy. Może myśl o czyjejs interwencji dodatkowo rozbawiła ją grze, jaką zamierzała prowadzić.

Willadene wyciągnęła korek. Później obróciła buteleczkę w dłoni i chlusnęła jej zawartością w stronę najbliższego odcinka zielonego pierścienia. Większość płynu rozlała się na podłogę i przez krótką chwilę dziewczyna bała się, że nie trafiła. Potem jednak zauważyła smuzkę pary unoszącą się z zielonej wstęgi. Wstęga utraciła już kształt kola, spadła na podłogę i rozpadła się na dwie części; rozcieli ją krople, które na nią kapnęły.

Unikając wijących się zielonych sznurow, Lorien wielkimi krokami podszedł do dziewcząt i wyciągnął rękę do Mahart. Nicolas zaś nie odwrócił się plecami do siedzącej na tronie postaci, tylko bokiem zbliżył do tamtych trojga.

Karykatura Saylany zwróciła się do Willadene: - Czegoś jednak się nauczyłaś od swojej

pani. No coż, jeśli tak jest, będziesz dla mnie tylko smaczniejszym kaskiem.

Chociaż rece tego stwora nadal spoczywały na poręczach tronu, dolna część jego ciała zaczęła się skrecać i obracać. Szeroka, postrzępiona spodnica wydeła się, zachwiała i spod jej skraju wysunęły się jaskrawozielone konce wstęg.

Wstęgi wydłużyły się i skierowały w stronę stojących niżej ludzi. Wyglądały jak bezlistne pnacze i rosły niewiarygodnie szybko. Lorien stanął między dziewczętami a zbliżającymi się zielonymi wezami.

W sali znowu rozległ się rechot.

-Tak, potężny zbrojnik banitów, użyj swego miecza. Moje weze już zniszczyły ci jeden. Może myślisz, że tym razem będziesz miał więcej szczęścia?

Książe zacisnął usta. Nicolas i Willadene odgadli, że przypomina sobie to, co się stało przy skalnej bramie. Jedna z pełzających wstęg skierowała się nieco dalej w bok, a potem znowu zaczęła się zbliżać, zaganiając Nicolasa do stojącej przed tronem grupki ludzi. Zerknął w górę, ale nie zobaczył sieci, która mogłaby na nich opasc.

Mahart poczuła, że musi zacząć działać. Zbierała w sobie odwagę. Głos jej nie zdrzał, kiedy powiedziała:

-Ty, która służysz Ciemności, wiedz, że my stoimy w blasku Gwiazdy. Dlatego jest nas więcej, niż widzisz.

Na chuda twarz siedzącej na tronie kobiety wypłynął ciemny rumieniec.

-Wzywaj swój złośliwy blask, wielmożna pani. Nie sadzę, żebyś otrzymała odpowiedź...

-Och, to całkiem możliwe - wtracił Nicolas. - Już raz Gwiazda odpowiedziała w tym miejscu i...

-Zamilcz! To było dawno. Z upływem czasu każdy się uczy. Siostry z waszych klasztorów siedzą na pradawnej nauce jak kury na jajach i boją się posłużyć nawet tym, co wiedzą. Nie sadzę, by ktorekolwiek z was miało w zanadrzu coś nowego.

Podniesiona reka uczyniła jakiś gest.

Zielone pnacze, które podpełzło do boku Nicolasa, nagle podskoczyło. Willadene jęknęła. Była pewna, że napastnik owinie się wokół Nicolasa. Ten jednak zrecznie się uchylił i znalazł się niemal ramie w ramie z uczennicą zielarki.

-Wesołek z ciebie! - zauważyło monstrum na tronie. - Probuście wszystkiego. Im dłużej będziecie się starali uniknąć losu, jaki was czeka, tym smaczniejszy stanie się mój posiłek.

A gdybys uzyl teraz miecza, ksiaze? Kto wie, moze ten ma wytrzymalszy brzeszczot?

Willadene katem oka dostrzegla jakis ruch. Saylana skupila cala uwage na wiezniach - mozliwe, ze zupełnie zapomniala o Ssssaaa. Dziewczyna nie wiedziala, jaka bronie dysponuje to zwierzatko, ale zblizalo sie prosto do tronu.

-Ach, sprawiasz mi zawod, ksiaze... - zdazyla jeszcze powiedziec Saylana. Zielony waz, ktory zapedzil go do grona innych wiezniow, podniosl sie z podlogi i kolysal jak slepa glowa olbrzymiego robaka.

Lorien nie probowal uzyc stali przeciwko temu napastnikowi. Zamiast tego wyszarpnal spod kolczugi lancuszek, na ktorym wisial polyskujacy krysztal. A pozniej, szybko i nieoczekiwanie, zakrecil lancuszkciem nad glowa i rzucil go. Krysztal uderzyl we wciaz peczniejace zielone pnacze.

-Na Moc Gwiazdy! - zawolal.

Stracili z oczu mknaca w powietrzu iskry prawie w tej samej chwili, kiedy ja zauwazyli. Starzejaca sie twarz Saylany wykrzywil grymas, upodabniajac ja do maski jakiegos potwora. Wyciagnela przed siebie rece. Zielone pnacza skrecily sie, zaczely wirowac i utworzily wokol czwórki ludzi siegajaca do pasa sciane, zbijajac ich w ciasna gromade. Teraz ziola Willadene na nic sie nie zdadza. Nie miala juz tych, za pomoca ktorych odparla poprzedni atak.

Saylana powoli kolysala sie z przodu w tyl, w kacikach jej ust pojawila sie piana. Piana ta rozprysla sie na wszystkie strony, kiedy sluzka Ciemnosci zawolala cos w niezrozumialym dla uwiezionych ludzi jezyku - bez watpienia bylo to przeklenstwo z innego czasu i miejsca.

Cale jej zniekształcone ciało zwijalo sie z wysilku, jakby walczyła z czymś więcej niż tylko z bezsilnymi wieźniami.

Omijajac z niezwykla zrecznoscia smagajace powietrze zielone liny, Ssssaaa zblizala sie do podnozka tronu. W pewnej chwili Willadene zdala sobie sprawe, ze ktos jeszcze wlaczyl sie do walki. Nadal z Mahart mocno trzymaly sie za rece, ukrywajac w nich magiczny strajk. Uczennica Halwice poczula w dloni rosnace cieplo; owial ja znajomy, pochodzacy z innego swiata zapach. Z drugiej strony dostrzegla przelotnie smukle rece Nicolasa, ktory cos robil przy swoim nozu. Przeciez stal nie da rady niesamowitym pnaczom, ktore znow sie podnosily po krotkiej przerwie! Co on zamierza uczynic?

Na tronie ciałem Saylany wstrzasnely konwulsje. Wskazala prawa reka na Loriena.

-Nie usmierciles mnie, glupcze, jako pierwszy zaplacisz za swoje szalenstwo!

Otoczajacy ich zielony mur wypuscil z prawej strony dlugi, wirujacy was. Zanim krolewicz zdazyl sie uchylic, macka spadla mu na ramie i owinela sie wokol niego. Zrobil to, co mogli

w tej sytuacji - jak najdalej odsunął się od Mahart.

Podobnie jak wcześniej Lorien rzucił kryształ, tak teraz Nicolas cisnął swój nóż w stronę ich nieprzyjaciółki. Ale Willadene nie zobaczyła obnażonego stalowego brzeszczotu - młody wywiadowca w jakiś sposób owinał go matową szarą powłoką.

Rzucony wycwiczona reka nóż spadł na falujący podolek Saylany.

Wszystkich ogłuszył jej wrzask. Twarz służki Ciemności przypominała teraz trupią czaszkę, w której były tylko oczy. Gorączkowo odrzuciła na bok orez Nicolasa. Bron ta jednak pozostawiła tłące się dziury w jej podartej i zmietej sukni.

Strak, którego Willadene strzegła wraz z Mahart, stał się coraz gorszy - jeszcze trochę, a poparzy jej rękę. Odwróciła głowę i spojrzała na księżniczkę. Mahart nie odrywała oczu od Loriena. Książę stał nieruchomo jak posąg, wszystkie mięśnie jego ciała były napięte jak druty; wydawało się, że toczy bój z jakąś nienaturalną siłą.

-Mahart! - Willadene gwałtownym ruchem uniosła piasek. Księżniczka znowu skupiła na niej uwagę. - Teraz!

Nie wiedziała, czy ten myślowy rozkaz dotarł do towarzyszki, ale w jakiś sposób była tego pewna. Podniosły razem ręce i rzuciły czarodziejski strak w duszne, cuchnące powietrze długiej sali.

Zobaczyły jednak, że zaraz spadł, jakby uderzył w jakąś niewidoczną zapórę. Mahart krzyknęła cicho, z rozpaczą, ale Willadene skupiła uwagę na czymś innym. Ssssaaa natychmiast znalazła się w miejscu, gdzie upadł strak. Chwyciła go w zęby i jednym długim, niezwykle skokiem znalazła się na tronie, na kolanach stworza, z którego ciała i energii rodziły się coraz silniejsze i dłuższe macki.

Czaszka Saylany pochylila się na moment, gdy monstrum przyjrzało się nowemu napastnikowi i temu, co trzymał w pyszczku. Oburącz chwyciła zwierzątko w pol i zakreciła nim w powietrzu, ale strak pozostał na jej ciele.

Saylana wrzasnęła. W tym okrzyku zabrzmiał nie tylko ból, lecz także potworny strach. Zaden z więźniów nigdy nie słyszał nic podobnego. Z całej siły cisnęła Ssssaaa w powietrze.

Willadene dostrzegła obok siebie jakiś ruch. Nicolas wychylił się niebezpiecznie ponad zielonym murem, zdolał złapać bezwładne ciało zwierzątka i przytulił je mocno. Ssssaaa jednak nie poruszyła się ani nie wydała żadnego dźwięku.

Z piersi siedzącego na tronie stworza wydarł się jeszcze jeden, znacznie bardziej przerażający krzyk. Na podolku Saylany, tam gdzie leżał zaklęty strak, rozblisło światło, które z każdą chwilą stawało się coraz jasniejsze.

Otoczająca wiezniów zielona ściana zadrzała, zwarła się i próbowała wchłonąć ich wszystkich. Ten ostatni atak zalał się jednak. Zielone macki pospiesznie wciągnęła ta, która je zrodziła. Jej postać znów się wypełniła, stała bardziej podobna do znanej im kobiety z człowieczego rodu. Twarz Saylany miała teraz rysy rzeźby strzegącej wejścia do tej zaczarowanej krainy.

Saylana już nie próbowała się uwolnić od wciąż rosnącej świetlnej plamy, która prawie sięgała jej do piersi. Siedziała tylko nieruchomo i przyglądała się jej szeroko otwartymi oczami.

Lorien potknął się i omal nie upadł, gdy oplatające go zielone pnacze wycofało się nagle. Stojąca w pobliżu Mahart szybko go podtrzymała. Miał ściagniętą, poszarzałą twarz, ale powoli pokręcił głową, jakby chciał się uwolnić od jakiegoś koszmarnej wizji, i wraz z innymi skupił uwagę na ich nieprzyjaciółce.

Wydawało się, że leżące na jej kolanach nasienie znalazło odpowiednią glebę, aby zapuścić korzenie. Przez świetlistą mgiełkę widzieli rosnącą lodygę i rozwijające się długie liście. Żyłki na tych liściach zapłonęły złotym blaskiem, odcinając się ostro od zielonego tła, jak ich odpowiedniki na tamtej starożytnej mapie.

Widzieli wyraźnie tylko nieruchomą twarz Saylany i oczy, które po kolei wbijały w nich wściekle spojrzenie, jakby rzuciły na nich klatwę.

Kwiat wciąż rosnął. Willadene aż westchnęła z zachwytem. Nie spodziewała się trafić na taki cudowny zapach. Pochodził przecież z innego świata.

-Władca Serc!

Mahart wciąż podtrzymywała Loriena, chociaż już tego nie potrzebował.

Doskonale piękna maska siedzącej na tronie kobiety popekała, rozpadła się w proch. Uderzył w nich potężny wiatr. Najpierw był lodowato zimny i groźny, a potem stopniowo osłabł i stał się ciepłym, letnim wietrzykiem z ich świata.

Sala zniknęła. Mahart otworzyła szeroko ramiona, pragnąc objąć rozposcierające się przed nią ukwiecone laki. I ten, na którego czekała, był tu - wyciągał do niej ręce.

Willadene stanęła na skraju klifu i patrzyła na rosnący w dole biały kwiat w kształcie gwiazdy. To Władca Serc. Nie chciała jednak go zerwać. Jego miejsce było w ludzkich sercach i wyrosł w jednym z nich.

Objęły ją ramiona Nicolasa i poczuła ten szczególny zapach, który, jak wiedziała, zawsze będzie oznaczał dla niej ciepło i bezpieczeństwo. Miękkie futerko musnęło jej policzek.

Później światy, które każde z nich znalazło osobno, zawirowały i znów znaleźli się w Iszbi.

Tam jednak również zaszła pewna zmiana. Na tronie nie siedziała już potworna kobieta; jej ciało popekało i rozsypało się w proch.

W powietrzu wisiał słup światła. Choć nie wiedzieli, co się kryje w jego wnętrzu, byli pewni, że to kwiat. Wypełniający dawną salę tronową Saylany smród zła zniknął i przeniknął ich pochodzący z innego świata cudowny, przyjazny zapach.

Powoli, nie wiedząc, czy to nie jakiś sen, odwrócili się i wyszli ze zrujnowanego budynku, zamienionego teraz w kupę gruzu. Tam gdzie przedtem rosły gigantyczne paprocie, rozposcierały się ruiny wielkiego miasta, które już nigdy się nie odrodzi. Powitała ich z radością grupa mężczyzn. Stali na tej równinie, patrząc szeroko otwartymi oczami, i nie mogli uwierzyć w to, co widzieli.

-Czy ona spróbuje znowu tu wrócić? - spytała Mahart, gdy szli do czekających na nich żołnierzy.

-Zło rodzi zło - odpowiedział jej Lorien. - Musimy pełnić straż.

-W jaki sposób?

Królewicz spojrział na Willadene. Dziewczyna półgłosem mówiła coś do Ssssaaa, trzymając ją w ramionach. Nicolas szedł obok niej jak zawsze lekkim krokiem.

-Z pomocą dawnej wiedzy - odrzekł Lorien powoli. - Legendarnej wiedzy, której pozwolono zaginąć. Nadal są wśród nas ludzie obdarzeni różnymi niezwykłymi talentami. Musimy ich odnaleźć, wykształcić i postawić na straży...

-Czy to ma być nowy rodzaj strażników granicznych, Wasza Wysokość? - rozesmiał się Nicolas. - Nie zdziw się, jeśli twoja propozycja zostanie wprowadzona w życie. Strażnicy ci będą uzbrojeni nie tylko w miecze i włocznie, lecz także w orez, który nie roztrzaska się i nie zardzewieje.

Komnata była duszna. Mahart miała wrażenie, że wepchnięto ją do celi więziennej i że utraciła tak drogo okupioną wolność. Chodziło jednak o jedną z niezmiernie ważnych spraw, jakie zamierzano rozstrzygnąć właśnie tego dnia. Wyczuwała bliskość Loriena. Dobrze wiedziała, że on też czuje jej obecność, chociaż nie patrzył w jej stronę, lecz dwornie poświęcał całą uwagę księciu Uttobricowi.

W zamku zebrała się grupa ludzi, którzy mogli zdecydować o całej przyszłości Kronenu. Oczywiście był Vazul, choć ostatnimi czasy wyglądał na osieroconego, bo Ssssaaa nie wróciła do niego. Przyszła też uczennica zielarki oraz sama Halwice, a na honorowym miejscu siedziała ksieni, która tak rzadko opuszczała klasztor. Nicolas już nie nosił czarnego stroju, pozwalającego mu skryć się w mroku, tylko rdzawobrazowy mundur kapitana strażników granicznych.

Na srodku ksiazki Uttobric jak zwykle wiercil sie na krzesle, poniewaz ciagle zle sie na nim czul.

Opowiedzieli swoje historie i polaczyli je szczegolami w jedna calosc. Chociaz dziwne to byly opowiesci, nikt nie watpil, ze powiedzieli prawde. Teraz, kiedy skonczyli, wladca Kronenu najpierw zwrocil sie do ksieni.

-Wasza Swiatobliwosc, wydaje sie, ze to zlo mocno sie zakorzenilo wsrod nas, a my czulismy tylko dziwny niepokoj. Czy istnieje jakis sposob, abysmy mogli strzec i bacznie obserwowac to, co kryje sie w umyslach mezczyzn i kobiet?

-Taka ingerencja rowniez jest zlem - odparla spokojnie. - Jednak rzeczywiscie musimy postawic straze. Nasze uczone siostry wertuja juz najwczesniejsze relacje, szukajac wzmianek o tym, jak mozna wykryc Ciemnosc, zanim sie rozprzestrzeni. Kiedy sie tego dowiemy, podzielimy sie nasza wiedza ze wszystkimi.

-Na Gwiazde, dziekujemy za to Waszej Swiatobliwosci.

Ksieni przeniosla spojrzenie z Uttobrica na Loriena. Patrzyla dlugo, jakby musiala powziac jakas decyzje, a nie byla pewna, czy moze to zrobic.

-Jakiego amuletu uzyles przeciw tamtej sluzce zla? - zapytala.

-To byl krysztal, na ktory slubowalem.

Ksieni skinela glowa.

-I nawet jego dotkniecie wystarczylo, zebys mogl zyskac na czasie. Wobec tego, Wasza Ksiazeca Mosc - ponownie zwrocila sie do Uttobrica - wydaje sie, ze Gwiazda wysluchala naszych prosb. Ale podarowala nam cos potezniejszego... - Teraz skupila uwage na Mahart i Willadene. - Z wasza pomoca ozywila to, co dawno temu utracilismy. Mozliwe, ze ten cudowny kwiat znowu opuscil nasz swiat, ale jakas jego czastka pozostanie. Wladca Serc nie nalezy bowiem do konkretnej osoby, lecz do nas wszystkich, ktorzy zyjemy, umieramy i probujemy ulepszyc to, co sie znajduje wokol nas. Wladca Serc... - rym razem zwrocila na siedzaca za stolem czworke takie samo badawcze spojrzenie, jak przedtem na Loriena - ...objawil sie wam, laczac was tak silnymi wiazami, ze nie rozerwie ich zaden cien. Wasza Ksiazeca Mosc pragnie miec straznikow. Chociaz uwazam, ze zlo ponownie pojawi sie niepredko, przynajmniej nie za naszego zycia, to wlasnie oni sa twoimi straznikami.

Trzymala dotad swoja rozdzke na kolanach; teraz podniosla ja i powoli przesunela obok tamtych czworga. Krysztal na czubku rozdzki rozjarzyl sie i Willadene westchnela z zachwytem, poniewaz dotarla do niej won z tamtego swiata - swiata pieknych snow, bezpiecznych dni i spokojnego szczescia.

Ksieni jeszcze nie skonczyła.

-Halwice - skierowała teraz rozdzkę w stronę zielarki i czubek znowu zablysnął światłem - pochodzisz z Dawnego Ludu, choć z ostrożności zaprzeczałaś temu, posługując się tylko niewielką cząstką twego talentu. Powiadam ci, zrzuc wieży, które nałożyły na ciebie poprzednie pokolenia jeszcze przed twoim urodzeniem. Na Gwiazde, bądź tym, kim miałas być!

-Wasza Książeczka Mosć - tym razem spojrzała w oczy władcy Kronenu. - Ta kobieta będzie taka strażniczka, jakich zabrakło w naszym księstwie podczas rządów Domu Gardów. To właśnie odrzucenie takich talentów doprowadziło do upadku ich rodu i utraty władzy. Myślę, że już wiesz, co jeszcze trzeba zrobić. Tych czworo twierdzi, że Iszbi zostało oczyszczone. Możliwe, ale skądże je zło. Wybierz inną siedzibę dla swoich strażników. Znajdź się tam również miejsce dla kilku obserwatorek z naszego klasztoru, bo my także musimy zachować czujność przez jakiś czas.

Ponownie położyła rozdzkę na kolanach i zamilkła. Książę Uttobric odchrząknął i wyciągnął rękę do Vazula. Kanclerz szybko podał mu pergaminową kartę opatrzoną pieczęciami.

-Wasza Wysokość - zwrócił się Uttobric do Loriena. - Nie pochodzisz z Kronenu i nie musisz brać na swoje barki kłopotów naszego państwa. Możemy cię tylko o to poprosić. Na podstawie tego - machnął lekko ręką w stronę dokumentu - na północnej granicy, w najdalszej części Kronenu, o najsurowszym klimacie, w miejscu, gdzie może czaić się Ciemność i złi ludzie, powstanie strażnica. Obsadza ją prawdziwi strażnicy. Będą nas strzec nie tylko przed rozbojnikami, ale także przed Ciemnością. Jeśli udasz się tam z trójką swoich towarzyszy, w których żyłach płynie nasza krew i którzy zostali powołani do tej służby, będziemy ci bardzo wdzięczni.

Lorien jedną ręką wziął od niego statut, drugą zaś ujął dłoń Maharta. Książeczka odpowiedziała uściskiem.

-Wasza Książeczka Mosć - powiedział stanowczym tonem. - Myślę, że znalazłem tu kogoś, kogo nigdy nie opuszczę. Dlatego wyrażam zgodę.

I tak wszyscy czworo podpisali ten dokument. Willadene, która już planowała naradę z Halwice, aby zielarka zdradziła jej nowe tajemnice; Mahart, która czuła się wolna, choć znajdowała się w murach zamku; i Nicolas, przenoszący szybko spojrzenie z Willadene na swojego byłego pana, kanclerza Vazula. Na pewno mają wiele do zrobienia; niezbyt dobrze też wiedzą, co powinni uczynić. Może będzie to inna praca od tej, którą wykonywał jako Nietoperz przez ostatnie kilka lat, ale nie mniej absorbująca. I - znowu popatrzył na Willadene - nie jest już sam, czekają go więc nowe i jak wierzył, przyjemne przeżycia.

Musi jednak powiedzieć Vazulowi o pewnej sprawie, zanim się rozstana. Zrobił to, kiedy wstali, żeby wypić za nową podróż ze złotych kielichów używanych podczas uroczystych okazji, przyniesionych na polecenie Uttobrica.

-Ssssaaa poszła za Władca Serc. - Mówił to z przykrością, bo wiedział, jak wiele to małe zwierzątko znaczyło dla kanclerza. Jednak, ku jego zaskoczeniu, Vazul uśmiechnął się i poklepał go po ramieniu.

-Nie martw się. Ale przyslij mi wybrane przez ciebie młode, kiedy Ssssaaa wyda na świat potomstwo. Czasami jest mi naprawdę zimno bez porosnietego futerkiem obroncy.

W taki oto sposób powstała kronenska Marchia Graniczna i odtąd dumnie pojawiała się na każdej mapie jako Kraina Straży. Możliwe, że Kronenczycy nie do końca rozumieli, z jakich korzeni się wywodzi, ale tym, którzy pełnili tam straż, wiatr od czasu do czasu przynosił mocny zapach Władcy Serc.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-23

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/